

P. 9786 Chr. Arch.

010 100 53-3-75006304

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ Nr 7/370 - 8/371 1978



• *« La Culture »* • *Revue mensuelle* •

Z. OSSOWSKI : **SYTUACJA JEST NIJAKA**

H. GRYNBERG : **ŻYCIE OSOBISTE**

BRUKSELCZYK :

MIĘDZY ROZUMEM A BRZEGIEM PUCHARU

AL. ZINOWIEW : **AUTOBIOGRAFIA**

REZOLUCJE « POLONII JUTRA »

SPIS RZECZY

Zygmunt Ossowski:	<i>Sytuacja jest nijaka</i>	3
Gustaw Herling-Grudziński:	<i>Dziennik pisany nocą</i>	10
Irena Borowiecka:	<i>Wakacje w Sosnowiance (dok.)</i>	23
Henryk Grynberg:	<i>Życie osobiste</i>	63

ARCHIWUM POLITYCZNE

Brukselczyk:	<i>Widziane z Brukseli</i>	114
PPN:	<i>Niemcy a Polska</i>	123
Dominik Morawski:	<i>Korespondencja z Rzymu</i>	129
—	<i>Wywiad „Il Giornale” z K. Kąkolem</i>	137
Andrzej Koraszewski:	<i>Amnesty International</i>	138

SPRAWY I TROSKI

Benedykt Heydenkorn:	<i>„Polonia 78”</i>	142
Benedykt Heydenkorn:	<i>Stan ilościowy skupisk polskich</i>	147
—	<i>Odpowiedzi na Ankiety „Kultury”</i> ..	148

K R A J

—	<i>Niezależna prasa w Kraju</i>	149
—	<i>Ferment w PAX'ie</i>	153

SĄSIEDZI

Adam Kruczek:	<i>W sowieckiej prasie</i>	155
—	<i>Apel historyków i naukowców ukraińskich</i>	161
Józef Łobodowski:	<i>Nacjonalistyczne wybryki</i>	162
Andrzej J. Chilecki:	<i>Kronika niemiecka</i>	167

KRONIKA KULTURALNA

Zbigniew Jasiński:	<i>Dopiero z tej depechy, aż z Paryża...</i> ..	170
Adam Sutkowski:	<i>O twórczości muzycznej Romana Palestra</i>	177
Ksawery Deryng:	<i>Malewicz a Polska</i>	187

WOŁANIE NA PUZZCZY

Kisiel:	<i>Mój przedostatni odjazd</i>	190
---------	--------------------------------------	-----

KSIĄŻKI

Janina Katz Hewetson:	<i>Elegia na śmierć miasta</i>	197
Jerzy Rolicz:	<i>Zarys historyczny</i>	204
M. Broński:	<i>Panie opisują panów</i>	206
Maria Danilewicz Zielińska:	<i>„Wysokie progi”</i>	210
I G:	<i>„Wremia i my”</i>	211
—	<i>Nadestane nowości wydawnicze</i>	212



—	<i>Wydarzenia miesiąca</i>	214
---	----------------------------------	-----



P. Amato, A Estryn, A. Mich- nik A. S. Ostrowski:	<i>Listy do Redakcji</i>	219
—	<i>Odpowiedzi Redakcji</i>	220

DOKUMENTY

Aleksander Zinowiew:	<i>Autobiografia</i>	221
—	<i>Rezolucje „Polonii Jutra”</i>	231
KSS „KOR”:	<i>Do Amnesty International, Genewa</i> ..	236
—	<i>Sprawa Antoniego Sokółowskiego</i>	236
KSS „KOR”:	<i>Do Amnesty International, Londyn</i> ..	237

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ Lipiec-Sierpień - Juillet-Août 1978

INSTYTUT



LITERACKI

WPLĄTY NA FUNDUSZ « KULTURY »

Aleksander I. Bragiński, Pittsburgh, Pa. (USA), po raz 18-ty	F. 51,00
Andrzej Brzeski, Davis, Cal. (USA), po raz 37-my	F. 235,50
Bezimiennie z Canberra (Australia)	F. 261,25
Bezimiennie z Paryża (9 ^e), po raz drugi	F. 1000,00
Jerzy i Janina Grot Kwaśniewscy, Melbourne (Australia) — dla uczczenia pamięci zmarłego w Melbourne Andrzeja Chciuka	F. 75,00
Janina Katz Hewetson, Kopenhaga	F. 300,00
Prof. Kazimierz Łaski, Wiedeń, po raz drugi	F. 131,00
Irena i Józef Miętus, Yarrambat, Vic. (Australia) — zamiast kwiatów na grób śp. Andrzeja Chciuka	F. 75,00
Ryszard Piątkowski, Mississauga, Ont. (Kanada), po raz szósty	F. 809,71
Romuald A. Quas de Penno, Wilmington, De. (USA), po raz trzeci	F. 23,00
Jan Woźniak, Londyn — zamiast kwiatów na trumnę Andrzeja Tarnowskiego	F. 42,25
Dr Antoni B. Wójcicki, Orange Mass. (USA)	F. 32,20
Zapis testamentowy śp. Komandora Waleriana Jasionowskiego \$ 1000,00	F. 4600,00
Witold Osiński, Lund (Szwecja) — na organizację opozycyjną w Polsce	F. 100,00
Adam Zalewski, Stockholm — dalsza wpłata na pomoc dla opozycji w Polsce (za miesiące lipiec i sierpień)	F. 100,00
Bezimiennie z Kassel (RFN) — na pomoc dla opozycji w Polsce	F. 150,00
Bezimiennie (Rawensburg, RFN) — na pomoc dla opozycji w Polsce	F. 218,82

DZIĘKUJEMY!

WPLĄTY NA KSS „KOR”

Paolo Amato, sekretarz Federazione Giovanile Repubblicana, Florencia	F. 473,00
Kazimierz Grabowski, Düsseldorf (RFN)	F. 90,00
R. J. S., Montreal	F. 40,00
Adela i Władysław Zelenicy, Paryż	F. 200,00
Dochód z występów Haliny Mikołajskiej w Stockholmie	F. 558,00
Zebrane w czasie spotkania z prof. Leszkiem Kołakowskim, zorganizowanego przez Two Przyjaciół „Kultury” i Komitet PPS, 17 maja 1978 w Stockholmie. (Dochód po potrąceniu kosztów)	F. 819,00

WPLĄTY NA ROPCİO

Tadeusz Brzostek, Paryż	F. 100,00
Ryszard Głowacki, Chadstone, Vic. (Australia)	F. 516,90
Grażyna Madejska, Oslo	F. 100,00
Czesław Maliszewski, N. Britain, Conn. (USA)	F. 69,00
Jan Wójcik, N. Britain, Conn. (USA)	F. 46,00

WPLĄTY NA PPN

J. D. i R. C. z Connecticut (USA)	F. 90,00
-----------------------------------	----------



Com. P. 9186 Chr. Arch.

Sytuacja jest nijaka

Przyjechał Pan do Paryża, niech Pan więc napisze jaka jest sytuacja w kraju, powiedział redaktor Jerzy Giedroyc. Ale jak spełnić to zamówienie, skoro sytuacji w ogóle nie ma, lub inaczej mówiąc jest ona nijaka. Opozycja nieco osłabła, rząd osłabł jeszcze bardziej, w kraju panuje głód, zanosi się na powrót chorób społecznych, takich jak gruźlica, biologiczny i moralny stan społeczeństwa jest okropny. Wszystkie dna nieszczęść polskich zdaje się zostały już osiągnięte i przebite, partia utraciła już wszystkie swoje twarze i pozostała tylko bezsilność zarówno rządzących, jak i rządzonych.

Dlaczego wobec tego nie następuje spontaniczny wybuch, odruch zniecierpliwionego społeczeństwa i dramatyczny protest intelektualistów. Nie następuje, bo byłby nieskuteczny, zostałyby utopiony we krwi i represjach. Nie byłoby nawet żadnej interwencji sowieckiej, bo Sowieci mają wszystko na miejscu, na ziemiach polskich przygotowane, i są w każdej chwili gotowe do konfrontacji. Zdziawiająco zręczna jest taktyka, jaką „doradzili” Rosjanie partii i bezpieczeństwo w walce z opozycją. Nie ma masowych aresztowań, ani represji, ale jest stałe, systematyczne, nie dające wytchnienia nękanie. Powoli, po cichu usuwa się z pracy wykładowców i uczestników kursów TKN-u, nakłada wysokie grzywny na właścicieli lokali, w których odbywają się wykłady, przetrzymuje zainteresowanych, prowadzi zręczną grę na zmęczenie ludzi.

Czy gra ta może skończyć się sukcesem władz? Tak i nie. W tym sensie tak, że w akcji TKN-u muszą następować przerwy, choćby ostatnio w związku z sesją egzaminacyjną na uczelniach. Nie należy też lekceważyć faktu, że coraz więcej młodzieży jest relegowanej ze studiów. Stanowi to groźny dla opozycji i całego społeczeństwa cios w młode, najwartościowsze pokolenie. Wymaga to wielkiego umiarkowania i poczucia odpowiedzialności ze strony KOR-u i TKN-u. W końcu najważniejsze jest abyśmy

mieli młodzież z ukończonymi normalnymi studiami, umożliwiającymi normalną pracę zawodową. Ale jednocześnie byłoby złudzeniem przypuszczenie, że opozycja demokratyczna zaniecha dalszej walki i skapituluje. Nie jest to już możliwe nie tylko dlatego, że przywódcy nie mają odwrotu, ale także dlatego, że na odwrót nie pozwolą im masy. Opozycja stała się ruchem masowym. To właśnie powoduje, że władze walczą z nim ogłębnie, choć, tam gdzie im się to udaje, okrutnie. I rząd i opozycja znają granice swoich możliwości i w pewnym sensie obie strony są w impasie. Konflikt, który zdawało się rozegra się w ciągu kilku miesięcy roku 1976 rozciągnął się na lata i to postawiło każdą ze stron w nim uczestniczących w nadzwyczaj trudnej sytuacji.

Stwarza to naturalną tendencję do polaryzacji zarówno w partii jak i w opozycji. W partii nie ma co prawda skryzalizowanych frakcji na wzór dawnych rewizjonistów czy partyzantów, bo wszyscy już pojęli, że role rozdają Rosjanie, a nie daje ich gra frakcyjna. Ale w partii są głębokie różnice zdań w sprawie strategii walki z opozycją. Należący do twardego skrzydła w PZPR Andrzej Werblan zapowiadał w instrukcji dla aktywu ideologicznego podjęcie dalszych środków prawnych przeciw opozycji, co oznacza po prostu politykę represji. Represje hamuje tylko i wyłącznie strach partii wobec katastrofalnej sytuacji gospodarczej.

W polityce wobec społeczeństwa widać zarówno dwutorowość linii partii, jak i jej doraźność. Ostatnie miesiące były wypełnione przede wszystkim walką z Towarzystwem Kursów Naukowych. Próbowano izolować Michnika i Kuronia, rozgłaszając, że gdyby nie oni, wnoszący treści polityczne, władze tolerowałyby ograniczoną działalność TKN. Ale tolerancji bynajmniej nie było i TKN zwalczano wszystkimi dostępnymi władzom środkami. Jednocześnie światowy skandal wywołany przez opublikowanie przez KOR materiałów cenzury PRL spowodował „relatywne” złagodzenie cenzury, co widać szczególnie na przykładzie niektórych publikacji *Polityki*, a prawdopodobnie znajdzie wyraz w prasie i książkach wydawanych z okazji 60-lecia odzyskania niepodległości. Owo 60-lecie pomyślane zostało bardzo zrzecznie. Z jednej strony ma wyjść naprzeciw zapotrzebowania społeczeństwa na historię najnowszą i afirmację naszej polskiej odrębności, a z drugiej ma włączyć dzieje PRL do sześćdziesięciu lat niepodległej Polski. W to ostatnie nikt jednak nie uwierzy. A ustępstwo partii, nawet w dużej części zakłamanie, wobec rzeczywistych pragnień społeczeństwa jest faktem niewątpliwym. Wszyscy czekają teraz czy ukaza się biografie Piłsudskiego, Sikorskiego, dzieje Armii Krajowej, książki o dwudziestolecu i do jakiego stopnia będą one wolne od zakłamania.

Wydaje się, że w kulturze ostatni zjazd Związku Literatów przyniósł chwilowe odkręcenie partyjnej śruby, ale „jastrzębie” bynajmniej nie dały za wygraną. Mimo śmierci Wilhelmięgo w katastrofie lotniczej w Bułgarii — w Filmie Polskim — jego

będzie za grobem zwycięstwo. Słabiutki, bez własnego oblicza i osobowości nowy minister kultury Mietkowski otrzymuje własnie otoczenie złożone z ludzi twardych i nastawionych zdecydowanie „antynacjonalistycznie”. Z ministerstwa kultury odejdą „nacjonalisci” i stanie się ono ministerstwem (!) propagandy. Tutaj wytyczne radzieckie są tak zdecydowane, że na dłuższą metę nie należy mieć żadnych złudzeń. Żelźenie cenzury jest także przejściowe i krótkotrwałe.

Dwoistość linii partii można obserwować nie tylko na odcinku stosunku do opozycji i w polityce kulturalnej. Widać ją wyraźnie także w polityce wyznaniowej. Po głośnym wykorzystaniu propagandowym spotkania Gierka z kardynałem Wyszyńskim i w papierem sielanka skończyła się. Pozostały z niej tylko pozory w przyjaznym tonie rozmów i wybitych w prasie komunikatach o uroczystościach Bożego Ciała. Pozostała także należyta kurtuazja wobec przyjeżdżającego z Watykanu i chcącego częściej rezydować w Warszawie Msgr. Poggi, z którym nie bardzo jest jednak o czym mówić. Za ceremonialnymi formami, które mogą nawet przyjąć jakąś nową formę stosunków dyplomatycznych Warszawa-Watykan, nie ma żadnej poważniejszej treści. Wszystkie postulaty kardynała Wyszyńskiego z jego słynnego kazania z Trzech Króli, na czele z żądaniem osobowości publiczno-prawnej dla Kościoła pozostały bez odpowiedzi. Kardynał Wyszyński nie ma więc żadnych złudzeń i zasadniczo wszystko wróciło do normy. Być może jest jakaś mała szansa, że przy utrzymujących się już permanentnych trudnościach gospodarczych, w jakimś momencie szczególnie krytycznym, jakiś jeden postulat kościoła zostanie zaspokojony, ale nic więcej. Umiarkowane skrzydło partii, do którego zawsze należy jej I-szy sekretarz, bo rządzący najlepiej znają beznadziejność położenia, stwarza pozory, które następnie są wykorzystywane propagandowo przez partyjnych dogmatyków, a następnie są przez nich starannie torpedowane. Takie były też dzieje ostatniego odprężenia między kościołem i państwem. Gierek próbował zresztą odprężenia z kościołem już dwa razy, najpierw zaraz po dojściu do władzy, kiedy Jaroszewicz konferował z kardynałem Wyszyńskim i ostatnio w obliczu katastrofalnej sytuacji gospodarczej. W obydwu wypadkach Rosjanie zaraz po stworzeniu pozorów odprężenia powiedzieli twardo — nie. Ostatnio miało to miejsce na konferencji sekretarzy ideologicznych partii bloku w Budapeszcie. Nie znaczy to, by w przyszłości nie dokonywano następnych prób dezorientacji kościoła i opinii przyjaznymi i gołębimi załatami wobec biskupów, szczególnie gdyby dało się to wykorzystać przeciw opozycji. Ale jak się okazało biskupi polscy są ludźmi wielce doświadczonymi. A „pewne siły” w partii robią wszystko, by ich doświadczenie pogłębiać. Dziennikarze zachodni akredytowani w Warszawie znaleźli gdzieś cztery kolejne numery pisma *Mysł Społeczna*, wydawanego przez rządowe zrzeszenie Caritas, skupiające księży patriotów. Pisma tego oczywiście nikt z Polaków nie czyta. Tymczasem ukazały się tam cztery kolejne ostre ataki

przeciw biskupom polskim. I to jakie. Wyraźnie i brutalnie ktoś przyhamował zapędy prokościelne Edwarda Gierka. Polityka ta zanim się zaczęła już się skończyła. Największymi wrogami komunistów są oczywiście komuniści.

Wreszcie najważniejsza sprawa z punktu widzenia polityki partii. Można by ją załatwić krótko. Nie ma żadnej koncepcji wyjścia z obecnego kryzysu gospodarczego. Rzeczywiście nie ma. Nawet planowanie gospodarcze zamieniono na kwartalne rozdzieniki wątych funduszy dewizowych będących w dyspozycji władz PRL. Ciężary i konsekwencje bankructwa polityki gospodarczej ekipy Gierka przerzucono z całym cynizmem na społeczeństwo, zabezpieczając się przed jego gniewem stałym wzmocnieniem organów bezpieczeństwa. Po wyczerpaniu wszelkich możliwych pożyczek zachodnich postanowiono zwrócić się o ratunek do Rosjan. Ale powoli umierający car — Breżniew ma własne kłopoty. Odmówił Gierkowi poważniejszej pomocy gospodarczej, a szczególnie większego eksportu ropy do Polski, o co Gierek zabiegał szczególnie, by uratować bilans dewizowy PRL. Ale Breżniew wsparł Gierka w sprawie dla niego osobiście ważniejszej niż gospodarka, w najważniejszej sprawie dla komunistów — w sprawie władzy. Zgodził się odwołać znenawidzonego w Warszawie i knującego jakoby także przeciw Gierkowi jakiegoś spiski ze Szlachcicem — ambasadora sowieckiego Piłotowicza. Powszechnie przyjęto to w PZPR jako dalszy akt osobistego wzmocnienia pozycji Gierka, Piłotowicz widząc z bliska krach gospodarczy chciał się jakoś zabezpieczyć i spotykał się z obalonym przez Gierka Szlachcicem, co było solą w oku I-go sekretarza. Uzyskał więc odwołanie ambasadora, nie uzyskując jednak niezbędnej pomocy gospodarczej. Gierek się więc umocnił. W każdym razie do końca ery Breżniewa lub do nieprzewidywanych wstrząsów społecznych na tle gospodarczym, które są możliwe, których nikt nie chce, ale które może wywołać nawet drobne zacięcie się zdezelowanej maszynierii systemu.

Beznadziejna sytuacja partii wcale nie polepsza, ani nie ułatwia sytuacji opozycji i społeczeństwa. W tak delikatnej sytuacji w kraju i wobec wyrafinowanych środków z jakimi jest zwalczana, opozycja stoi wobec skomplikowanych problemów. Musi starannie przemyśleć swą taktykę i sposób postępowania. Nie może zawieść młodzieży, która jej ufa, ale i nie może doprowadzić do masowego relegowania młodzieży z uniwersytetów. Z pewnością w KOR-ze i w TKN-ie panują w tej sprawie napięcia, gorące dyskusje i różne stanowiska. W Ruchu Obrony Praw Człowieka i Obywatela doszło do sensacyjnego zwrotu przez wyeliminowanie z jego szeregów niedawnego przywódcy — Leszka Moczulskiego. Studenckie Komitety Samoobrony, których partia obawia się najbardziej, są też najostrzej zwalczane przez władze bezpieczeństwa. Permanentny kryzys społeczno-gospodarczy i polityczny w PRL powoduje, że opozycja musi przedstawiać swoją koncepcję działania na lata. Jest to bardzo trudna operacja. Sukcesy opozycji demokratycznej, jej rosnący

wpływ na młodzież, jej akcja prasowa i wydawnicza są imponujące. Mimo to trzeba widzieć także realistycznie olbrzymie trudności, z którymi opozycja się boryka. Nie jest prawdą to, co słyszmy ostatnio, że opozycja to w gruncie rzeczy setka lub nieco więcej ludzi. Ludzi jest znacznie więcej. Nie widać jednak dostatecznie jasnej taktyki, która nie zmniejszając nacisku na reżym, zabezpieczałaby młodzież przed tak drastycznymi dla niej konsekwencjami współdziałania w ramach opozycji, jak relegowanie ze studiów.

Niespodzianką dla partii będzie natomiast „bunt intelektualistów”. Słysz się już o dziesiątkach polskich autorów zamierzających publikować na Zachodzie. Ludzie ci wcale się z tym nie kryją, a następujące w rezultacie tych publikacji represje paszportowe i inne skazują ich na stałe publikowanie na Zachodzie. Kto raz bowiem popróbował smaku prawdy trudno mu potem znów wrócić do tradycyjnej samocenzury i obowiązującej konwencji półprawdy. Zdaje się, że za dwa lata będziemy mieli bogatą literaturę polską na Zachodzie. To dobrze, byle była jednak lepsza od rzeczy dotąd z kraju nadsyłanych. Wolne piarstwo powinno być przede wszystkim piarstwem dobrym.

Dlaczego sytuacja w Polsce jest nijaka? Wynika to w dużej mierze z beznadziejnego położenia partii, która musi jednak pozostawać u władzy i z trudności ułożenia odpowiedniej do sytuacji strategii opozycji, która nie może jednak skapitulować. Głównym powodem nijakości sytuacji w kraju jest jednak postawa społeczeństwa, jego najszerzych mas. Społeczeństwo nie nawidzi tego co jest, ulega demoralizacji, alkoholizmowi lub apatii, nie jest podatne na propagandę reżymu, chętnie bierze udział w demonstracjach religijnych, ale nie ma wyraźnie zarysowanego oblicza. Może z wyjątkiem młodzieży, co zresztą jest i rozumiało i pocieszające. Społeczeństwo polskie jest w swej znakomitej większości wielką tajemnicą, nigdy dokładnie nie wiadomo, kiedy niespodziewanie wybuchnie, a kiedy będzie latami znosiło sytuacje nie do zniesienia. Gdzie jest źródło tej tajemnicy?

Gierek przeżywając swe kolejne porażki w rozmowach z najbliższymi wini o wszystko społeczeństwo. Mamy trudny naród mówi się w KC. Publicystyka reżymowa wylewa na społeczeństwo kubły pomyj, a walka z naszymi wadami narodowymi i przywarami społecznymi stała się ulubioną metodą uniemożliwiania poważniejszej krytyki rządzących. Także opozycja wolałaby, żeby społeczeństwo było mniej uśpione, bardziej zaangażowane i miało wyraźniejsze oblicze. Tymczasem Polacy mają wyraźne oblicze, ale od czasu do czasu. I inaczej być nie może.

W systemie totalitarnym masy nie mogą być bohaterskie na co dzień. W systemie totalitaryzmu opartego o zasadę jednego pracodawcy, którym jest państwo, nie da się kontynuować nieustannego buntu. Miliony ludzi nie mogą żyć z zapomóg i ofiarowanych funduszy, lecz muszą ciężko, nieraz ponad siły pracować. Czasem ludzie ci są tak dalece bez wyjścia, że muszą

świadomie okradać jedyne go pracodawcę. Czasem kradną z przyzwyczajenia, a piją, żeby o wszystkim zapomnieć. Obraz moralny społeczeństwa rzeczywiście nie jest radosny, z tym jednak zastrzeżeniem, że procesy demoralizacji postępują, bo się źle rządzi, a nie odwrotnie.

Jest natomiast zupełnie oczywiste, że żadne teorie wad narodowych i przywar społecznych nie wyjaśniają ani niepowodzeń rządu, ani pewnej słabości społeczeństwa. Na jego obraz rzutują poważne przesunięcia społeczne, migracja ze wsi do miasta, z jednych gałęzi produkcji do innych, z jednych środowisk do innych, do najczęstszych sytuacji wychodzenia poza sferę tradycyjnych więzów i instrumentów naturalnej, nie narzuconej kontroli społecznej. Społeczeństwo polskie jest stale w stanie ruchu, ciągle się przemieszcza, nieustannie szuka warunków znośniejszych, korzystniejszych, odpowiadających jego wyższym, zorientowanym zdecydowanie na wzory zachodnie, aspiracjom cywilizacyjnym i bytowym. Takie społeczeństwo w warunkach systemu ekonomicznego z zasady absurdalnego musi być skołowane, trudno poddaje się zabiegom pedagogicznym i dość chaotycznie podąża w kierunku zaspakajania swoich własnych jednostkowych celów. Cel ogólnospołeczny ze względu na absurdalność społeczne wydaje się każdemu cokolwiek rozgarniętemu nierealną abstrakcją. Cele opozycji są sympatyczne, ale odległe od codziennego życia, chyba że własny syn lub córka wylatuje z wyższej uczelni.

Główną jednak cechą charakterystyczną społeczeństwa jest zmęczenie. Kobiety polskie są śmiertelnie znużone walką o zaopatrzenie domu łączoną z konieczną jednoczesną pracą zarobkową. Młodzież jest przeciążona absurdalnymi programami szkolnymi. Mężczyźni nie tylko pracują, ale także zarabiają poza pracą, w drugiej pozaoficjalnej sferze życia społecznego, gospodarczego i zawodowego. Wszyscy zaś ze zmęczenia piją, wszyscy kombinują, robią najprzedziwniejsze interesy, walczą o byt, czy też dążą do wzbogacenia się, co po 33 latach pokoju nie wydaje mi się ani gorszące, ani nienormalne. Jedni walczą o byt, o minimum życiowe, a inni o życie znośniejsze, wygodniejsze. I wszyscy są tą walką śmiertelnie zmęczeni. Dlatego społecznie i politycznie, z wyjątkiem środowisk szczególnie wrażliwych, młodych lub jakoś uprzywilejowanych, większość społeczeństwa jest dość nijaka, nie przeżywa żadnej specjalnej sytuacji ogólnej, a raczej przeżywa ją w sposób dość indywidualny i bardzo dolegliwy.

Wszystko co tu mówimy nie dotyczy oczywiście pozytywnych i negatywnych marginesów społecznych, zdeklarowanych ideowców i wyjątkowych szubrawców. Przepraszając za zestawienie, muszę stwierdzić, że te kategorie ludzi mają swoje odrębne od szarych mas drogi i cele. Masy zaś żyją raczej naprawdę szaro, poinformowane są średnio, podobnie zresztą tak i masy na Zachodzie, a może nawet nieco lepiej. Nie można bowiem nie wiedzieć jak okropny jest komunizm żyjąc w jego obrębie, podczas

gdy łatwo nie widzi się dobrodziejstw kapitalizmu, żyjąc na Zachodzie.

Teza o zmęczeniu społeczeństwa nie jest bynajmniej pomyślana jako alibi lub usprawiedliwienie dla niego. Cztery razy po wojnie społeczeństwo polskie ruszyło się i wybuchło i wybuch nowy możliwy jest właściwie w każdej chwili. Polakom nie trzeba więc alibi. Potrzeba natomiast zrozumienia w jak ciężkiej sytuacji moralnej i materialnej znajduje się znakomita większość społeczeństwa. Zrozumienie tej chwilami dramatycznej sytuacji milionów rodzin i ludzi prowadzić musi do oględności w podnoszeniu przeciw narodowi pochopnych zarzutów, jak i do liczenia się z faktem, że poza pewnymi granicami umęczenia pozostaje tylko bunt. Właściwa ocena tych granic jest zasadniczą przesłanką postępowania opozycji, a powinna być także przesłanką polityki partii jeśli chce ona uniknąć nowego nieszczęścia w kraju.

Zygmunt OSSOWSKI

BIBLIOTEKA « KULTURY »

TOM 195 — JULIUSZ MIEROSZEWSKI

MODELE I PRAKTYKA

Str. 244.

Cena F. 20,00.



TOM 269 — JULIUSZ MIEROSZEWSKI

MATERIAŁY DO REFLEKSJI I ZADUMY

Str. 256.

Cena F. 40,00.

Dziennik pisany nocą

Neapol, 26 kwietnia 1978

W *Tajnym agencie* Conrada siłą napędową terroryzmu jest sprzężenie „szaleństwa i rozpacz”. Urzędnik ambasady Vladimir, wtajemniczając Verloca w swój plan wysadzenia w powietrze Obserwatorium w Greenwich, poprzestaje na szaleństwie. W jego tyradzie istotne są dwa zdania. „Zamach bombowy musi być czysto niszczycielski, wy anarchiści powinniście dać dowód że zmierzacie do rozszarpania całej tkanki społecznej”. I dalej, klucz terroryzmu inspirowanego przez obce państwo: „Tylko szaleństwo jest naprawdę przerażające, bo nie można go uśmierzyć groźbami, perswazją czy przekupstwem”.

Ale Verloc jest tajnym agentem, terrorystą na żołdzie ambasady, nie odczuwa żadnej rozpacz, wystarcza mu misja rozsądzenia szaleństwa. O jego towarzyszach, prawdziwych terrorystach, daje najlepsze pojęcie postać Profesora (dynamitologii). W epilogu powieści oglądamy Profesora po rozmowie z Ossiponem przy kuflu piwa. Wychodzi z baru. Idzie przed siebie, odwracając oczy od „obmierzonego” tłumu. Jest całkowicie wyzuty z przyszłości, gardzi nią, sam stanowi źródło siły. Delektuje się w myślach obrazami ruiny i zniszczenia. Kruchy, niepozorny, obdarty, nędzny; a równocześnie straszny w prostocie jedynej idei, która „szaleństwo i rozpacz przyzywa dla odrodzenia świata”. Nikt nie zwraca na niego uwagi. On zaś sunie niepodejrzany i śmiertcionośny, *like a pest in the street full of men*, „jak morowe powietrze ulicą pełną ludzi”.

W czterdzieści dni od porwania Moro przez terrorystów z Czerwonych Brygad tyle mogę zanotować w dzienniku o atmosferze panującej we Włoszech: morowe powietrze. Wyczułem je natychmiast po powrocie z Francji do Włoch, na początku kwietnia czyli w trzecim tygodniu pobytu Moro „za kratami więzienia

ludowego”. Odtąd gęstnieje z dnia na dzień, a każdy dzień oznacza tu obecnie miotanie się od kolejnych edycji gazet do kolejnych biuletynów radia i telewizji. Jakie są składniki morowego powietrza? Podejrzliwość bez wyraźnej konsystencji i kierowana na oślep we wszystkich kierunkach. Nerwowość o włos od paniki. Nieustanny strach przed zaskoczeniem. Paraliż postępowy bezradności. Łatwowierność wobec najdzikszych nawet hipotez i pogłosek. Zakłócenie zmysłu równowagi, jeśli nie wręcz choroba błędnika. Porażenie więzi życia zrzeszonego. Dość, jak sądzę, by mówić przynajmniej o naddarciu całej tkanki społecznej. Kiedy Paweł VI „ukłęknął” przed Czerwonymi Brygadzistami, zapewniając że ich mimo wszystko po chrześcijańsku „kocha” i zaklinając w imię tej „miłości” by uwolnili swego więźnia, szaleństwo terroryzmu odniosło zwycięstwo połowiczne. Do pełnego brak mu uwięzienia samego papieża, albo akcesu Moro do Czerwonych Brygad.

Próbuje się teraz ustalić genealogię Czerwonych Brygad i sklecić na prędcie z dostępnych elementów ich jako tako wiarygodną podobiznę. Są bękartami kontestacji 1968 roku. Są sierotami włoskiej partii komunistycznej, która stoi dziś co prawda twardo na gruncie obrony państwa i odrzuca kategorycznie wszelkie pertraktacje z terrorystami, lecz wczoraj jeszcze — ileż lat! — pracowała nad erozją „państwa burżuazyjnego” i rozkładem jego organów samoobronnych, podsycala bełkot „rewolucyjny”, rozpalala do demagogicznej czerwoności każde najdrobniejsze ognisko konfliktu. Są produktem ubocznym trzydziestoletnich rządów i praktyk korupcyjnych chadecji. Są późnymi wnukami Lenina, Trockiego, Stalina. Są naturalną konsekwencją rozdętych nieprzytomnie uniwersytetów i rosnącego bezrobocia wśród młodzieży. Są ofiarami umysłowego i moralnego rozbestwienia włoskich biesów intelektualnych, głosiciele zasady „skoro nie ma Boga, wszystko jest dozwolone”. Są dziećmi państwa, które w sto lat od zjednoczenia nie zanadto jest przekonane o swej jedności; i dziećmi kościoła, który po dwóch blisko tysiącach lat chrześcijaństwa zaczął ostatnio jakby przepraszać z zażenowaniem że wciąż jeszcze istnieje.

Listę można by ciągnąć dalej, dzień w dzień gazety przynoszą materiały do refleksji i gorączkowego „rachunku sumienia”. Ale chociaż każdy z tych elementów zawiera jakąś (mniejszą czy większą) cząstkę prawdy, w sumie wyłania się z nich obraz nadmiernie rozbiegany, *identikit* pozbawiony rysu szczególnego. Kiedyś nazwałem terrorystów zachodnich desperackimi nekrofilami ideologii. Nie miałem wówczas w pamięci czytane dawno *Tajnego agenta*, z jego formułą „szaleństwo plus rozpacz”. Szaleństwo nie wymaga wyjaśnień. A rozpacz? Notatka z 1946

roku w wydanych świeżo *Journaux de voyage* Camusa, grubo wcześniejsza od książek Arona i Bella: „Pamiętać, że nasze czasy są końcem wszelkich ideologii”. Od trzydziestu lat Zachód „rewolucyjny” nie chce o tym pamiętać, ba — nie chce tego za nie uznać. Kto wie czy nie tu ukryte jest głęboko nasienie, z którego wyrosła rozpacz terroryzmu.

27 kwietnia

Trzeba jednak nawrócić do Vladimira z powieści Conrada. Kto jest Vladimirem za kulisami Czerwonych Brygad, w czym interesie leży włoska „destabilizacja”? Odpowiedzi jednoznaczne są oczywiście niemożliwe, dadzą się tylko przewidzieć skutki polityczne morowego powietrza we Włoszech. Pierwszy: przejście komunistów z większości parlamentarnej do rządu wydaje się na dalszą metę dość prawdopodobne, zważywszy ich postawę (bardziej nawet nieustraszoną i jednolitą niż na froncie demochrześcijańskim) w obronie państwa zagrożonego przez terroryzm; i coraz częstsze u Włochów ciągoty do Rządu Jedności Narodowej. Drugi: zaszachowani z lewa, przywódcy komunistyczni muszą powściągać swoje aspiracje do większej autonomii wobec Moskwy. (Wypada uściślić to zaszachowanie z lewa: także we własnej partii. Czerwone Brygady cieszą się podskórną sympatią w prosowieckich, „neostalinowskich” odłamach PCI. Rossana Rossanda z *Manifesto* pisze: „Czytając komunikaty Czerwonych Brygad, mam uczucie kartkowania albumu rodzinnego”). A zatem perspektywa ministrów komunistycznych, lecz przywołanych do porządku, otrzeźwionych, świadomych że *lunga manus* Moskwy nie została wcale przez rozwój wypadków przykrócona, że potrafi różnymi sposobami utrzymywać dawny zasięg. Nie wynika z tego że Czerwone Brygady są sowieckim „narzędziem”, jakkolwiek mogą sobie wyobrazić zakonspirowanego dobrze Verloca w ich sztabie głównym. Otrzymują po prostu nieodzowną pomoc w szkoleniu, zdumiewająco wybornej siatce operacyjnej i uzbrojeniu; pomoc opłacalną dla obu stron.

Na tym wolno przerwać chwilowo zapiski z kraju nawiedzonego przez morowe powietrze, odkładając następne do dnia w którym żywy lub umarły Moro opuści lochy „więzienia ludowego”. Jeżeli je kiedykolwiek opuści, w co wątpię.

4 maja

Paryski maj 1968 zablokował mnie w Londynie. Udało mi się wrócić do Francji dzięki uprzejmości dziennikarza angielskiego,

skiego, który z polecenia swojej gazety wyruszył w „rewolucyjny” teren własnym samochodem i z własnym zapasem benzyny. Jechaliśmy przez Ostendę. Granica francuska była otwarta, znikli strażnicy i celnicy. Po drodze nie czuło się napięcia, zjedliśmy obiad w cichym i sennym miasteczku prowincjonalnym. Dopiero Paryż uderzył w nas gorącym podmuchem czegoś groźnie wzbierającego, ni to burzy ni trzęsienia ziemi. Wrażenie towarzyszyło mi odtąd aż do końca maja, nawet gdy raz czy dwa miałem sposobność oglądać karnawałowy aspekt „rewolucji”: studencki „festyn” uliczny, eksplozję „imaginacji w pochodzie do władzy”. Była w tym wrażeniu pewność że naprzeciw siebie, mierząc się wzrokiem, stanęły dwie Francje gotowe do wojny domowej.

Teraz, w dziesiątą rocznicę, Fontaine twierdzi że paryski maj zainaugurował „zimną wojnę domową” w krajach o ustroju „burżazyjno-neokapitalistycznym”. Zimną? Powiedziałbym raczej: „pełzającą wojnę domową”; podobną właśnie do płomienia, który pełza i przeskakuje z miejsca na miejsce na wilgotnej korze pnia, nie mogąc dostać się do drzewa. I równie nieuchwytną w swej buntowniczej — a nie „rewolucyjnej” — treści jak majowa inauguracja paryska. Myślę czasem, że pasowałyby do niej okrzyk Błoka z roku 1906: „Weźmy ogień od Bakunina! Tylko w ogniu roztapia się ból, tylko w piorunie spełnia się burza!”.

5 maja

Bunt, ogień, burza... Co to wszystko właściwie znaczy? Jak gdyby współczesna Europa zachodnia dusiła się w kleszczach despotyzmu, jęczała w jarzmie niewoli, staczała się na dno nędzy i wyzysku, wegetowała bez widoków jutra... Jak gdyby odnosiło się do niej rzeczywiście przykazanie Bakunina: „Nie wierzyć w nic, myśleć tylko o jednym, o skróceniu karku rządzącym, o niszczeniu, niszczeniu i jeszcze raz niszczeniu”. Przybyszom ze Wschodu w głowach się ta „negacja absolutna” nie mieści: „O co im u diabła chodzi? Powariowali?”.

Sypią się diagnozy. Słysz się o konwulsjach mutacji człowieka w nowym „wieku technetronicznym”. O demograficznym wybuchu agresji, którego nie jest w stanie rozładować „normalna” wojna, jako że „uniemożliwiła” ją bomba atomowa. O przemianach jakie pociąga za sobą z konieczności *permissive society*, już nieodwracalna.

Moje widzenie rzeczy jest skromniejsze, staroświecko „naiwne”. Przed wiekiem wyrwała się Amielowi w *Journal intime* uwaga: *On a toujours une religion et une foi, comme on fait*

de la prose, fût-ce sans le savoir. Istnieje coś poza człowiekiem i zbiorowością ludzką; nie na każde cierpienie znajduje człowiek lekarstwo; boska jest w jakiś sposób sama tajemnica cierpienia nieuleczalnego: ta najprostsza, najbardziej elementarna religijność (nie żadna określona religia), którą posiada się nie wiedząc nawet o tym, jak zdolność „mówienia prozą”, ulega na Zachodzie nieustannej atrofizacji. A bez niej żyć można dwojako. Albo pokładając, na przekór ostrzeżeniom, nadzieję w Postępie uniwersalnym. Albo snując rojenia o wzniesieniu Ognia uniwersalnego, w którym bez śladu „roztopi się ból”.

7 maja

„Mój Piotr Wierchowieński może nie przypominać w żadnej mierze Nieczajewa, a jednak wierzę że moja wyobraźnia stworzyła tę osobę, ten typ, który odpowiada zbrodni”. Słowa Dostojewskiego przytoczyłem przed laty w dzienniku, w związku z określeniem Natalii Herzen „nowy typ człowieka *à la* Nieczajew”. Nie sądzę by typ powieściowy stworzony przez Dostojewskiego był dostatecznie bliski temu, co Natalię Herzen uderzyło i przeraziło w Nieczajewie. Wierchowieńskiemu, łajdakowi i diabolicznemu szarlatanowi o „olbrzymiej ambicji politycznej” (jak powiada Stawrogin), brak specyficznej — nowej właśnie i przerażającej! — „ideoowości” Nieczajewa. Uchwycił ją bardzo dobrze Brzozowski w *Płomieniach*: „Nieczajew miał w sobie coś z zimnego, systematycznego szafu. Był on zamkniętym w sobie, jak kryształ jakiejś nieznannej i do niczego innego niepodobnej substancji duchowej”. Brzozowski próbował wyjaśnić w testamencie Brenneisena na czym ta „substancja duchowa” polega: „Nieczajew jest silny człowiek, ale on sam siebie oddał sprawie. On ma boga. Ten bóg mieszka w nim, tym bogiem jest nienawiść. Nie trzeba mieć nigdy boga. Nawet takiego, co w nas mieszka. Trzeba być zawsze ja”.

Powieść Brzozowskiego jest tak rozdygotana, zadyszana, samospalająca się, że trudno utrzymać na oku jej główną linię. Od Nieczajewa biegnie ta linia, klucząc i kołując, do rozmowy Kaniowskiego z Tichonrawowem w zakończeniu *Płomieni*. Tichonrawowa osaczają dręczące pytania. Kto nam zaręczy, że życie ma jakiś sens, że tkwi w nim jakaś logika, że jest rozumne? Może to nasze złudzenie? Może jest tak, jak „napisane w starym, dziecinny katechizm”? Może „musimy siebie w sobie zabić, aby stać się tym co jest poza nami”? Może tam poza nami jest Bóg? Po tej rozmowie Kaniowski wraca do Rosji, „jakby odwoził czyjeś zwłoki”. Niewiele już stronik pamiętnika dzieli

go od zdania „byłem sam ze swoim ludzkim losem, poza mną nic”. Dramat człowieka zbuntowanego, rozłożony na czynniki pierwsze: bóg-nienawiść w Nieczajewie; dumne i uparte ja Brenneisena; stary, dziecinny katechizm Tichonrawowa; popiół samotności Kaniowskiego. Czyli, w ostatecznym rozrachunku, dylemat Dostojewskiego: Bóg-człowiek czy Człowiek-bóg.

9 maja

Zwłoki Moro dostawiono adresatom w centrum Rzymu, w samochodzie zaparkowanym między siedzibą partii komunistycznej na Ulicy Ciemnych Sklepów i siedzibą partii demochrześcijańskiej na Placu Jezusa. Tragiczny finał pięćdziesięciu czterech dni odsłonił dwa szczyty: sprawności Czerwonych Brygad i impotencji państwa. Czerwony Renault z trupem w bagażniku przetnie nic zadzierzgniętą między Siedzibami, czy na odwrót wzmocni ją i zamieni w trwałą więź „kompromisu historycznego”? We dług mnie to drugie, chociaż rzecz wymaga jeszcze czasu. Ale zobaczymy. W ogóle słowo „zobaczymy” jest tu teraz, gdy opadła kurtyna po pierwszym akcie, w ciągłym użyciu; i ma najprzeróżniejsze odcienie. Chwilami wydaje się że cały kraj stracił rozeznanie własnej sytuacji, lub odkrył nagle że dotąd bardzo niewiele o sobie wiedział.

Terroryści popełnili jednak błąd, który może się okazać zba wienny. Zwracając zwłoki Moro, stworzyli swego rodzaju punkt psychologicznego odbicia dla Włoch ogłuszonych i zatrutych morowym powietrzem. Po ostatnim komunikacie o egzekucji byłem przekonany, że zakopią gdzieś swego zabitego więźnia i zamilkną na jego temat; i że ten grób-nie grób będzie długo jeszcze, intensywniej nawet, roztaczał trujące wyziewy. Moro nie żyje? A może żyje? Może przyjdzie od niego nowy list, już nie tylko z żądaniem pertraktacji i uznania Czerwonych Brygad za stronę w wojnie domowej, lecz z wyrazami respektu i zrozumienia dla „sprawy rewolucyjnej”? Stało się inaczej. Moro męczennik na oczach milionów ludzi, zwinęty w bagażniku samochodu, przeszyty kulami jak Święty Sebastian strzałami, jest źródłem wstrząsu, zgrozy, wściekłości, weneracji. Za kilka dni częściowe wybory samorządowe pokażą, jak się to odbije na układzie sił. Poza dyskusją jest wzrost głosów na chadecję, natomiast nie wiadomo czy i w jakim stopniu dojdzie do „ukarania” PCI przez płynny elektorat flankujący na zasadzie „Czerwone Brygady to też w końcu komuniści”. Znaczny spadek głosów osłabiłby Berlinguera i ośmielił w partii jego przeciwników „dogmatycznych”. Dla Czerwonych Brygad byłby to powód do zacierania rąk, dla Vladimira zysk

mniejszy od planowanego (przy moim założeniu, że Moskwie zależy na wejściu komunistów do rządu).

11 maja

W Turynie toczy się proces poprzedniego, „historycznego” kierownictwa Czerwonych Brygad. Sam wódz Curcio uznał za konieczne ustosunkować się wczoraj, od razu na wstępie rozprawy do egzekucji Moro. Nie zważając na protesty sędziego i prokuratora, odczytał z karteczki co następuje: „Dla nas (cytuję Lenina) nie istnieje moralność poza społeczeństwem ludzkim, dla nas moralność jest funkcją interesów walki klasowej proletariatu, moralność jest tym co służy zniszczeniu starego społeczeństwa opartego na wyzysku. W tym sensie my z Czerwonych Brygad uważamy, że akt sprawiedliwości rewolucyjnej wobec Moro jest najwyższym aktem człowieczeństwa w społeczeństwie podzielonym na klasy”.

W prasie „bloku” wschodniego omija się skrupulatnie nazwę Czerwone Brygady, zastępując ją zwrotem „terroryści” bądź „faszyści”. I sugeruje się, że reakcją Włoch na zbrodnię winno być niezwłoczne powołanie do życia Rządu Jedności Narodowej z udziałem komunistów.

15 maja

W dziesięciolecie Wiosny Praskiej sporo reporterów z Zachodu wyprawiło się do Czechosłowacji. Z ich reportaży widać, że w kołach opozycji czechosłowackiej dyskutuje się (nadal) czy można było uniknąć inwazji; i (od niedawna) czy ruchowi skupionemu wokół Karty 77 należy nadać charakter „zdecydowanie polityczny”.

Co do inwazji. Wiem z wiarygodnego źródła, jaki był przebieg wizyty Tito w Pradze wczesnym latem 1968. Zaraz po przyjeździe zapytał Dubczeka, kiedy nowe kierownictwo zamierza ogłosić powszechną mobilizację. Dubczek zdębiał, w jego minie było więcej nawet zgorznienia niż zdumienia. Tito skrócił swój pobyt pod jakimś pretekstem, co upodobiło go do lekarza, który po zbadaniu pacjenta składa w milczeniu rodzinie pożałowany ukłon kondolencyjny. Odległe echa tej wizyty rozbrzmiewają chyba w dzisiejszych dyskusjach praskich, bo większość reportaży kładzie nacisk na zarzut opozycji pod adresem Dubczeka i towarzyszy, że zlekceważyli rolę Jugosławii i Chin. Ale lekcja

przed dziesięciu lat będzie dopóty platoniczna, dopóki nie ruszy się coś znowu w partii. Nic tego obecnie nie zapowiada.

Przypuszczalnie świadomość tego martwego punktu, pogłębiają jeszcze przez nieudany romans z eurokomunizmem, wywołuje tu i ówdzie w środowiskach Karty 77 potrzebę nadania ruchowi charakteru „zdecydowanie politycznego”. Eufemizm oznacza, rzecz jasna, szukanie pewnych form bezpośredniego oddziaływania na partię, „dialogu” z partią. Byłby to krok samobójczy. Z niebezpieczeństwa zdaje sobie sprawę młody adwokat praski Peter Pithart, cytowany przez jednego z reporterów: „Naszym celem jest zmienić społeczeństwo, a nie podejmować próby uzdrowienia reżymu. Większa dojrzałość polityczna społeczeństwa, widoczna dziś po dziesięciu latach, stanowi nasz główny dorobek. Są to jednak wstępne stadia *długiego* procesu, który tylko *pośrednio* może wpłynąć na reżym”. Analogicznie rozumują przedstawiciele opozycji polskiej (w ostatniej *Kulturze* Michnik, zapytany czy „wyobrażałby sobie jakieś rozmowy grup opozycyjnych z władzami”, odpowiada: „Nie widzę co by nam dzisiaj miały nowego do powiedzenia i *vice versa*”). Gdyby miała odżyć stawka na „usanowanie” partii, „normalizacja” zatriumfowałaby w Czechosłowacji definitywnie.

17 maja

Komuniści hiszpańscy wyrzekli się leninizmu. Oświadczenie Gonzaleza wskazuje, że socjaliści hiszpańscy biorą w rachubę wyrzeczenie się marksizmu. A co będzie, gdy komuniści hiszpańscy wyrzekną się marksizmu? Czego wówczas wyrzekną się socjaliści hiszpańscy? Piszę to bez cienia ironii, tym więcej że odcięcie się komunistów hiszpańskich od leninizmu jest w praktyce zerwaniem z Moskwą, a więc decyzją, którą od dawna uważam za warunek *sine qua non* utworzenia kredytu eurokomunizmowi. Chodzi mi raczej o ilustrację stanu, w jakim znajduje się „ideologia”. Czeką nas teraz kolejny urodzaj na zachodnich „odkrywców” komunistycznych w rozterce lub odwrocie. Trzydziestu lat trzeba było, na przykład, Althusserowi do odkrycia że francuska partia opiera się na schemacie „militaryzacji”. Komunizm jest, i był zawsze, programem grodu warownego w walce z *polis*. Trocki przyznawał to z dumą. Ale o zachwalanym przez Trockiego ideale „militaryzacji” nie wolno było komunistom pisać słowa, a liberał von Mises założył sobie na miano „reakcyjnego oszczercy” za twierdzenie, że „w społeczeństwie kolektywistycznym obywatel nie może mieć więcej wolności, niż żołnierz w wojsku”.

19 maja

Sam jestem, także w tym dzienniku, dowodem zatrucia Włoch morowym powietrzem. Lektury, rozmowy, przypomnienia, indagacje — wszystko to kręci się od prawie dwóch miesięcy dokoła jednego wydarzenia o ogromnej, i nie tylko włoskiej, „nośności”. Pora wydobyć się, przynajmniej na pewien czas, z tej przymusowej monomanii (czy moromanii). Odnotowawszy przedtem, dla większej jasności, dzisiejszy artykuł w *La Repubblica*.

Jego autor zdołał namówić do wynurzeń wysokiego oficera wywiadu włoskiego, naturalnie z zastrzeżeniem anonimatu. Okazuje się, że listy Moro z „więzienia ludowego” (w sumie osiemdziesiąt) pisane są swoistym szyfrem. Rozszyfrowane, nie pozostawiają wątpliwości odnośnie plonu „przesłuchań” więźnia przez terrorystów. Moro ujawnił szereg ważnych, ściśle tajnych informacji politycznych i wojskowych. Czerwone Brygady są w posiadaniu dokumentacji wystarczającej, by szantażować (kroplomierzem) całą galerię polityków, wysokich funkcjonariuszy państwowych i dowódców wojskowych; oraz posiać zamęt w sztabie Paktu Atlantycznego, zmuszając go do zrewidowania pozycji Włoch w strukturze aliansu. Oficer wywiadu nie ukrywa swego przeświadczenia, że „obce wywiady współdziałają z Czerwonymi Brygadami”.

Dość tego. Odwiedziłem dziś w zaułkach starą N. Powiesiła sobie nad łóżkiem fotografię Moro, wierzy w jego kanonizację. San Moro, to brzmi nawet niezłe.

22 maja

Kennan, wynalazca doktryny *containment* i w swoim czasie ambasador amerykański wyproszony z Moskwy, stał się ostatnio beniaminkiem prasy sowieckiej. *Prawda* wynosi pod niebiosa jego *The Cloud of Danger* jako książkę „mądrą”, owoc „ewolucji poglądów autora w kierunku zdrowego rozsądku”, gorąco ją rekomendując do bibliotek podręcznych Departamentu Stanu i Białego Domu. Cudownie nawrócony Kennan czerpie swoją obecną mądrość z rozlicznych źródeł. Dwa z nich, ściśle ze sobą połączone, wysuwają się na czoło i rozstrzygają o ewolucji poglądów b. ambasadora we właściwym kierunku. W ZSSR zaszły kolosalne zmiany, kraj otrząsnął się z dziedzictwa stalinizmu i rządzony jest przez człowieka „umiarkowanego, konserwatywnego, miłującego pokój”. Nie chcąc czy nie umiając tych zmian dojrzeć, złowroga „prawica” amerykańska, złożona z „entuzjastów wojskowych” i pożądana w obsesji sowieckiej groźby wojskowej, poddaje nieustan-

nym szykanom zwolenników (w rządzie i poza rządem) „poszerzenia obszaru współpracy amerykańsko-sowieckiej”. A tymczasem jeśli kto ma powody do obaw, to raczej Rosja niż Ameryka. Jak z tego widać, Kennan wynalazł dla odmiany dokładne przeciwieństwo *containment*. Niewyznaną bo wstydliwą (tak wstydliwą, że Kennan dla zachowania kontenansu mający o uzasadnionych obawach sowieckich) przesłanką nowej doktryny jest nieuchronny, równoczesny proces ekspansji potęgi sowieckiej i kurczenia się potęgi amerykańskiej. Konkluzją nowej doktryny, też niewyznaną, jest izolacjonizm. Drobną próbka. Kennan przyznaje że Zachód ma wszelkie podstawy by domagać się od ZSSR przestrzegania układow w Helsinkach w kwestii praw człowieka, zastanawia się jednak czy byłoby rzeczą rozsądną posuwać się na tej drodze za daleko. I jednym niemal tchem dodaje: „Nie ustąpię nikomu w mojej admiracji dla Sołżenicyna i Sacharowa. Zaliczam ich do największych Rosjan naszej epoki. Gdybym był Rosjaninem, odczuwałbym wobec nich najgłębszą wdzięczność i dałbym im całkowite poparcie. Ale nie jestem Rosjaninem”.

W roku 1935 Suwarin skończył swoją biografię Stalina i przedłożył ją Gallimardowi. Mijał miesiąc za miesiącem, odpowiedź nie nadchodziła. Georges Bataille, przyjaciel Suwarina, zwrócił się do głównego lektora Gallimarda, którym był wtedy Malraux. Odpowiedź Malraux: „Macie rację, pan, Suwarin i wasi przyjaciele, lecz staniemy po waszej stronie kiedy będziecie silniejsi”.

Tylko na pozór nie ma żadnego związku między „admiracją z zastrzeżeniem” Kennana i „racją z zawieszeniem” Malraux.

26 maja

Capodimorte jest maleńką wioską w Molise na południe od Abruzzów, liczy nie więcej pewnie niż pół tysiąca mieszkańców. Był czas że jeździłem tam często z T. do jego matki malarki. Mieszkała w ruinach zamku, na szczycie wzgórza ściśniętego koroną domków. Wioska Kafki lub Kubina, tak ją nazwałem po pierwszej wizycie i taką ją przechowuję we wspomnieniach. Domki o ścianach z surowych głazów i zamkniętych okiennicach, wąskie i puste uliczki na których przelotnie spotykało się mieszkańców: szli przyśpieszonym zawsze krokiem i jakby w odruchu ucieczki, znikali za drzwiami rzucając od progu ukradkowe i wyleknione spojrzenia. Nagabywani przez obcych — a obcym był każdy kto się w Capodimorte nie urodził — mamrotali cicho coś niezrozumiałego. Albo nie odpowiadali w ogóle, lecz zasłaniaли się tarczą wzroku przezroczyściego, utkwionego *ponad*, nieobecnego; i w popłochu ruszali przed siebie. Domki, gdy się

przechodziło uliczką, nie sprawiały wrażenia wymarłych; raczej naśladowanych milczeniem i... trudno mi to inaczej wyrazić... słuchaniem z uszami przytkniętymi do szpar w kamieniu.

Matka T., wypytywana o mieszańców Capodimorte, wpadała w niemotę i uśmiechała się z cieniem smutku w szeroko rozwartych, chorych i starych oczach. Starość, właśnie starość, ona była duszą wioski. Ale starość poza czasem wymiernym, czy ja wiem... ciemna, ślepa, głucha, cierpliwa, kamienna, zamazująca granicę między życiem i śmiercią. Z okna pracowni malarskiej w zamku pejzaż, który wciąż powtarzała w swoich płótnach matka T., coraz gorzej go widząc. Urodziła się w wiosce, opuściła ją w dzieciństwie, wróciła do niej po owdowieniu. Ten pejzaż to dwa wzgórza sterczące na równinie, jedno ściśnięte koroną wioski, drugie koroną cmentarza.

W jesienny dzień, podczas mojej ostatniej wizyty, odbywał się w Capodimorte pogrzeb. Trumna niesiona przez czterech mężczyzn, otoczona czarną gromadką ludzką, spłynęła wolno z postojami na równinę; stamtąd kondukt rozpoczął wspinaczkę na cmentarne wzgórze krótkimi skokami, rozkołysany jak do szturm i trumnę unosząc jak taran; zdawało się, że nigdy nie dojdzie do bramy. Tej nocy obudził mnie krzyk. Chwilę wyciekałem, odezwał się znowu, przeciągły a potem urywany, dobawający się z ust które zatyka dłoń. Pobiegłem korytarzem do pokoju matki T. Siedziała przy otwartym oknie z tym swoim smutnym uśmiechem, nie odwróciła ku mnie głowy, wskazała tylko ręką w stronę cmentarza. Brudny księżyc bełtał się w chmurach, jeszcze raz z przeciwległego wzgórza zerwał się krzyk zdmuchnięty natychmiast przez wiatr. Wtedy spojrzała na mnie bez uśmiechu i przyłożyła palec do ust. Grube zmarszczki zamieniły jej twarz w poroty brudami kamień. Utrwałam tu po tylu latach obraz Capodimorte, czy sen o nim?

30 maja

Nie było w tym roku wiosny. Za dwa dni czerwiec, a powietrze chłodne i szare, mdłe słońce ukazuje się rzadko i szybko znika, przeciągają krótkie burze, niespokojne morze ma odcień ołowiany. Zwykle wiosną tłumno jest w parku letniego Pałacu Królewskiego. Dzisiaj pusto.

W Pinakotece poszedłem prosto do *Przypowieści o ślepcach*. Bruegel wielbił naturę, brzydili go i śmieszyli ludzie. Czudy, rozmarzony, arkadyjski w krajobrazach, groteskowo prześmiewczy i zjadliwy w zaludnianiu płócien insektami o człowieczych kształtach. Malował zabawy, tańce, obżarstwo, święta, żniwa,

polowania tak, jakby chodziło o chmary dziwnych stworów owadzich, które oblaży ziemię. Ludzcy, przejmująco ludzcy, są za to ślepi żebracy z *Przypowieści*. Przeżywany za życia *le Drôle*, uważany długo potem za półbajkowego i manierycznego piewce *Schlarafenlandu*, Bruegel dopiero w naszym stuleciu występuje u historyków sztuki jako malarz „skrajnie pesymistyczny”. Może miarą działania tego pesymizmu jest moja reakcja na *Przypowieść*, zawsze taka sama mimo że oglądałem już przecież obraz dziesiątki razy: wspaniały, wspaniały, trudno oderwać oczy, ale w końcu bolą od patrzenia...

3 czerwca

Zmartwiła mnie wczorajsza rozmowa z młodym człowiekiem z Kielc. Okazało się, gdy puściliśmy się na „spacer” po moim mieście rodzinnym, że pamiętam je w sposób martwy; to znaczy pamiętam niby wszystko, lecz moje odzywki „spacerowe” były jak twarde i szerniałe groszek wyciskany z suchych strączków. Miasto bez widzenia, wodzenie palcem po zaschniętej mapie plastycznej, nazwy i miejsca którym odpowiadały obrazy z wyblakłych widokówek. „Tak, tak, tylko wie pan...”, przerywał z zakłopotaniem mój młody rozmówca. Musiało mu się wydawać, że prowadzi za rękę półniewidomego.

W pewnej chwili użył nazwy Łżawiec, potem Kleryków. Odżył w Kielcach kult Żeromskiego? „Owszem, czyta go się, ale jaki uroczyście nudziarz, jakim pisze językiem nie z tego świata!”. Miałem na myśli nie jego książki, których sam (z wyjątkiem paru) nie mógłbym chyba dziś czytać. Interesowało mnie tropienie kielecko-świętokrzyskich korzeni Żeromskiego, przedwrotna fiksjacja uczniów gimnazjum jego imienia. „Nie, tego raczej nie ma, bardzo rzadko zdarza się o tym słyszeć”. Mój starszy kolega gimnazjalny Adolf Sowiński, zmarły w Wiedniu na ostry atak nostalgii (umiera się i na taką chorobę), usiłował wskrzesić po 56 roku dawną tradycję książką *Lata szkolne — Opowieść o Stefanie Żeromskim*. Młody człowiek z Kielc nigdy się z nią nie zetknął.

Przypominam sobie kolację z biednym Adziem w Neapolu, nieustannie przerzucanie się „żeromskianami”: świadectwa roczne i półroczne Żeromskiego w archiwum gimnazjalnym; stancja w pobliżu browaru, na której mieszkał Andrzej Radek; kapliczka na Świętej Katarzynie z koślawym napisem „Stefan Żeromski uczeń klasy drugiej”; szkółka ludowa w Psarach pod Bodzentynem, do której z takim lękiem jechał Marcin Borowicz; Ciekoty u stóp Bukowej Góry, rodzinna wieś Żeromskiego; stara Biruta

w wypłowiałej mantylce i aksamitnym kapeluszu z woalką, z rękami w dużej mufce z tiulowymi koronkami, Biruta której kłaniał się na głównej ulicy Kielc; pokątny sprzedawca używanych książek szkolnych, bryków i ściągaczek maturalnych, według własnych przechwałek jeden z pierwszych chlebobawców Żeromskiego (w roli dostawcy ściągaczek), wiekowy Żyd nazwiskiem Icek Hitler. Adzio i ja też dostarczaliśmy ściągaczki na ulicę Małą, co pozwala nas obok wielkiego poprzednika zaliczyć w poczet kieleckich hitlerowców. Adzio wyrósł na dobrego poetę i jeszcze lepszego tłumacza poezji niemieckiej, jego pierwszy tom wierszy nazywał się melancholijnie *Gospoda zmierzchu* i robił furorę wśród kieleckiej młodzieży literackiej. Jego zwłoki przewieziono z Wiednia do kraju, bodaj to on właśnie zapoczątkował (przynajmniej w dziedzinie literatury) żałobny powrót emigrantów na ojczyzny łono.

Gustaw HERLING-GRUDZIŃSKI

Nowość wydawnicza

TOM 288 — BIBLIOTEKI « KULTURY »

ALEKSANDER SOŁŻENICYN

ARCHIPELAG GUŁAG

Tom III

w przekładzie Michała KANIEWSKIEGO

Str. 544.

Cena F. 110,00.

Wakacje w Sosnowiance (dok.)

V.

Otaczała nas duszna Wszechmoc Władzy. Z którymi jej zastępami mieliśmy do czynienia? Z jakimi czeka nas jeszcze spotkanie? W ostatnim czasie tyle jej formacji się ujawniło pod swym zakapturzonym przewodnictwem, tyle wtajemniczeń i specjalizacji, że trudno by było ustalić z grubsza systematykę Straży Porządku. Ale nawet bez głębszych studiów można by wyróżnić następujące gatunki i podgatunki.

Celebranci czyli nosiciele Ikon Przenajświętszych Wodzów i wersetów ich Objawień, które służą do zasłaniania przyszczy i syfilitycznych nosów; Zaklinacze, którzy za pomocą Magicznych Formuł stymulują oporną rzeczywistość; Egzorcyści, którzy pałką i pięścią nawracają schizmatyków i ratują nawiedzonych przez złego ducha; Asenizatorzy i Odczyniacze, którzy oczyszczając z faktów rzeczywistość, zaszczepiają jej swym zbawiennym trudem Fakty Zastępcze; ci wszyscy i jeszcze inni mają na swe usługi zwarte szeregi Opluskwiaczy, Falsyfikatorów, Goryli i uniwersalne Sługi do Wszystkiego. Oni to, działając na mocy Wysokich Zleceniodawców, mają nablizszą, niekiedy bezpośrednią łączność i styczność z nami wszystkimi, dając nam satysfakcję pośredniego obcowania za ich skromnym pośrednictwem z wyższymi Władzami. Jednakże Sługi, tknięte pokusą własnej nietykliwości, przejawiają czasem własną nieobliczalną inicjatywę i dlatego tak trudno niekiedy odróżnić siniak zadany przez Władzę od oddolnego siniaka gminnego. Jak się w tym wszystkim połąpać, a przede wszystkim — co robić?

Odpowiedzi na to zasadnicze pytanie nie były o wiele donioślejsze, niż doradcze konkluzje pana Dicka z Davida Copperfielda:

postanowiłyśmy na wszelki wypadek spakować najważniejsze rzeczy, walizeczki i torby dzieci — gdyby przyszedł zamknąć nasz dom. Zrobiłyśmy to rano ku zdziwieniu dzieciarni, która nie miała zamiaru nigdzie się stąd wynosić. Wytłumaczyłam, że chodzi nam o porządek, o to, żeby już nikomu nie ginęły w tajemniczych okolicznościach cukierki, co się już raz zdarzyło. Czyżbym nauczyła się od Władzy fałszywych motywacji? Drugie moje postanowienie nie było niczym nowym — jazda do Warszawy. Nie było na co czekać, życzliwe instytucje i życzliwi ludzie muszą zostać powiadomieni o dalszej eskalacji napaści. I kiedy rano oznajmiłam dzieciom, że muszę na króciutko wyjechać, przyłapała mnie na schodach Mańka i powiedziała przez łzy:

- A ja myślałam, że pani mnie troszkę lubi...
- Maniu, co ty pleciesz? Bardzo cię lubię, bardzo.
- To dlaczego pani znowu ucieka?

Przekonywałam ją, że wcale nie, że jadę w ważnych sprawach, właśnie w sprawach dzieci, bo muszę przywieźć zapas owoców i słodyczy. Nie mogłam zdradzić mojej Tajnej Misji, a słodyczami naprawdę zamierzałam osłodzić rozstanie. Mańka przytuliła się, pierwszy raz — i właśnie dlatego był to gest tak bardzo znaczący.

— Będę za panią tęskniła, niech pani zaraz wraca — szepnęła i wręczyła mi schowanego dotąd za plecami pięknie wyrzeźbionego w korze ludzika. Postawiłam go zaraz na honorowym miejscu, na kominku w jadalni.

Jechaliśmy we dwoje, Kalikst i ja, powoli, chcąc odpocząć po nieprzespanej nocy, po tym wszystkim, co nas spotkało, nabrać sił przed tym, co nas spotka jeszcze. Byłam po dużej, mocnej kawie, wolałam być ostrożna, czułam jakieś wewnętrzne dygotanie, skurcze szczęk — nie chciałam ryzykować przy kierownicy. Mijaliśmy spokojne osłoneczone lasy po obu stronach szosy, raz przebiegła nam drogę sarna i zaraz zaszła się w zieleni. Od czasu do czasu dzieci zrywały się znad rowów z wyciągniętymi rękami, z koszykami jagód i grzybów na sprzedaż. Tu, w drodze między Zagórzem a Warszawą, był teren neutralny niejako, nie biorący żadnego udziału w naszych zmartwieniach i bataliach, działał kojąco i sprawiał, że chwilami rodziła się we mnie półświadoma myśl, że tamto wszystko, to tylko jakiś omam, zły sen, wykwit zagórzańskiego mikroklimatu. Za Miłęcinem i Parochą Górną droga była szersza i dość luźna, ale nie śpieszyliśmy się zbytnio. Chodziło tylko o to, żeby zmieścić się w godzinach urzędowania instytucji i kolejno do każdej z nich zdążyć. Wzięłam nawet ze sobą kilka arkuszy papieru kancelaryjnego na

podania, odwołania i skargi; w Warszawie nie miałam zapasów, a i tak na pisanie trochę czasu zejdzie.

Podjechaliśmy pod dom. Zmieniło się tutaj, błoto, w którym kiedyś ugrzęzłam, stało się gładkim trotuarem, a trawniki wokół bloków wyrównuje brygada więźniów pod eskortą milicji. Postanowiłam zacząć od telefonu do „Głosu Stolicy”; Radca-Redaktor wydawał mi się najbardziej bojowy, w jego miarodajnym rozpedzie i wpływowej zapalczywości upatrywałam swoją bodaj czy nie największą szansę, bo nawet jawna życzliwość Instytucji nie dorówna przecież osobistemu zaangażowaniu Osobistości. Nie było go jednak w redakcji, radzono mi zadzwonić po trzech godzinach, miałam więc czas na objazd Resortów.

W kawiarni Związku Pisarzy napisałam kilka podań i zażaleń, aby je pozostawić w rękach urzędników, z którymi mam rozmawiać. Na razie byłam niepewna jutra, nie wiedziałam, czy mam prawo cokolwiek planować, zobowiązywać się do czegokolwiek. Na następny miesiąc nie miałam jeszcze kompletu dzieci, ale już od chwili przyjazdu do domu było parę telefonów w tych sprawach, a ja nie mogłam dawać żadnej zdecydowanej odpowiedzi. Prosiłam więc o telefon za tydzień, a Kaliksta, który miał tym razem zostać w Warszawie, zobowiązałam, by udzielał informacji — w zależności od tego, jak się sprawy potoczą. Nie byłam zresztą pewna czy wszystkie telefony można było traktować serio, czy istotnie dzwoniли tylko zainteresowani wakacjami swoich dzieci. Na przykład jakiś baryton pytał o cenę; zamiast odpowiedzi poprosiłam o podanie wieku dziecka: powiedział, że czternaście lat, na co odparłam, że górny wiek na moich wakacjach to lat dwanaście. Nie zrażony tym nieistotnym szczegółem, dopytywał się nadal uporczywie o cenę. Przyszyczałam już do dmuchania na zimne, odłożyłam słuchawkę. Wyglądało mi to na urzędowy wywiad. Ostatecznie nie miałam nic do ukrycia, ale póki co — nie chciałam sama pomnażać liczby nauczycieli.

Przeciłam moje siły, zdaję sobie teraz z tego sprawy, przeciłam je podejmując się spisania tej opowieści. Nawet nie o umiejętności pisarskie mi chodzi, ale o wytrzymałość. Kiedy teraz mam przystąpić do kroniki dalszych wydarzeń, do przedstawienia moich wizyt w Urzędach, wzdygam się na samą myśl, że mam oto dokonać ich pamięciowej powtórki, jeszcze raz brnąć przez te wyboje. Proszę więc mego Czytelnika, aby mnie zechciał zrozumieć i darować mi, że kolejny etap historii zrelacjonuję nieco sumarycznie, nie wprowadzając go do poszczególnych urzędów. Będzie mi łatwiej, a mam nadzieję, że i tak zostanie zrozumiana.

Trzymała mnie dotychczas ludzka życzliwość. To była przeciwwaga bezosobowej Instancji. Właściwie tylko na tę pokątną życzliwość mogłam liczyć w warunkach, w których Prawo jest huśtawką używaną dla krotochwili Absolutyzmu Nieoświeconego. I oto miałam się przekonać, jak Bat Określa Świadomość — zgodnie z prawidłami praktycznego marksizmu.

W Ministerstwie Szkolnictwa i w Kuratorium — instytucjach tak jednoznacznie odnoszących się dotychczas do całej sprawy — nie spotkałam już tych ludzi; to znaczy byli to ci sami, co przedtem, ale odmienieni nie do poznania, nawróceni na Słuszne Poczucie, uzbrojeni w Słuszność, odwracający się od swych niedawnych opinii — w imię Słuszności. Lapidarnie, prawie obelżywie dali mi do zrozumienia, że nie mam czego u nich szukać. Przybita, ale jeszcze nie całkiem zrezygnowana zadzwoniłam do Rady Redaktora. Był. Podszedł do telefonu, a ja nie mogłam go poznać po głosie, z którego tak dobrze zapamiętałam buńczuczność i pewność siebie właściwą walecznemu obrońcy krzywdzonych. Mówił cicho, głosem, który nie chciał być zbyt donośnym, ani bronić żadnych racji — do tego stopnia nie chciał, że przestał być właściwie głosem Rady:

— Jeśli miałbym coś radzić — wymamrotał — to poradziłbym, żeby dała pani temu wszystkiemu spokój. Im prędzej, tym lepiej. Niech się pani z tego wycofa i to już... Po co pani ma cierpieć i po co ja mam cierpieć...

Podziękowałam. Przeprosiłam. Zrozumiałam wszystko. Odgórne instrukcje doszły z pewnym opóźnieniem do tych wszystkich, do których się odwoływałam, którzy nieopatrznie i pochopnie próbowali interweniować w imieniu prawa. Potem Kalikst wyraził gorącą nadzieję, że już na tym poprzestaną i do Pana Boga nie będą się próbowała dodzwonić. Byłam skłonna przyznać mu rację, takich chodów nie miałam, byłam śmiertelnie zmęczona, bez sił do dalszej szarpaniny, a musiałam sobie pozostawić choćby mizerną resztkę własnej aktywności na trudne zadanie likwidowania kolonii, na ewakuację dzieci z zagrożonej nie na żarty Sosnowianki. Pozostał mi jeszcze Resort Ochrony Zdrowotności, teraz tam nie byłam, ale rozsądek perswadował mi, że bym się nie karmiła głupimi nadziejami, bo i tam być musi jak gdzie indziej, jak wszędzie. Mur otoczył mnie ze wszystkich stron, mogłam sobie teraz pukać i bębnić w jego cegły do woli — wszystko zamknięte na głucho.

Szłam byle iść Nowym Światem, Krakowskim Przedmieściem, było słonecznie i stosunkowo bezludnie, luki spowodowane urlopami i wczasami wypełniały w przerzedzonym tłumie wycieczki zagraniczne i wiejskie. Gdzieś z daleka załopotał transparent

z napisem zawierającym mobilizującą i bogatą intelektualnie myśl: POLAK POTRAFI. Ale nawet hasło tak zachęcające nie było zdolne porwać mnie do czynu, ani nawet rozśmieszyć. Bez przekonania, jedynie po to, żeby nie mieć sobie nic do wyrzucenia, że cokolwiek zaniedbałam, wstąpiłam do Resortu Zdrowotności. Okazało się, jak już w Sosnowiance przeczuwałam, że anulowali orzeczenie Sanepidu w Małżyńcu. Ale, co zdumiewające, utrzymali tę swoją decyzję w mocy, nie wspięli się na wyżyny Słuszności! Co więcej: obejrzawszy drugi podobny elaborat, ten z Parochy Dolnej, też zapowiedzieli stanowczo jego unieważnienie. Nie do wiary! Czyżby Polak i tak potrafił? A cóż to za gniazdo oporu i praworządności, jedyny Sprawiedliwy?

Okazało się, że ktoś tam po prostu wściekł się na wiadomość o tym, że ponad jego głową Sanepid zmuszany jest do takich podejrzanych usług. Że podległe Resortowi instytucje wysyłają swoich funkcjonariuszy pod eskortą poruczników Armiejszyków, słowem, że są używani do Brudnej Roboty. Tak się ów ktoś miał wyrazić i nie dziwię się jego wzburzeniu, bo kto jak kto, ale Kontrolerzy Sanitarni nie powinni brudzić, jest w tym stwierdzeniu logika nieodparta. Musiałam sobie zdać sprawę, że już teraz, kiedy wprzęgnięto przeciw Sosnowiance wszystkie siły, Resort Zdrowotności nie jest w stanie sam mnie ocalić, ale jakaś odrobina nadziei wkradła się we mnie znowu, nadzieja, która nie umiałaby znaleźć własnych uzasadnień.

Dopiero po powrocie do domu, kiedy spróbowałam zreferować Kalikstowi przyczyny mojej otuchy, okazało się — i sama musiałam to uznać — że nie ma na co liczyć, że jedyne, co mi pozostało, to ratować dzieci i to jak najszybciej. Nie tylko ze względu na coraz bardziej zagrażające Sosnowiance niebezpieczeństwo, ale i dlatego, że czułam, jak mi ubywa sił, konieczny był pośpiech odwrotu. Trzeba będzie odłożyć *ad acta* moją teczkę, z którą ostatnio się nie rozstawałam, teczkę z nagłówkiem: Sprawy do Załatwienia, do której wkładałam wszystkie Nakazy, Zakazy i brudnopisy moich podań i odwołań. Można by ją już przetytułować na Sprawy Nie do Załatwienia.

Zmęczenie pokonało niepokoje i nerwy i zasnąłam ciężkim snem. Śniło mi się, że idę z dziećmi piaszczystą leśną drogą, dzieci rozbiegają się, jestem sama i nie mogę ich pozbierać, mimo nawoływań. Nie odpowiadają na moje wezwania. Dobiegam do łysej, piaszczystej wysepki wśród lasu i widzę, jak moje dzieci staczają się po stromym urwisku do jakiegos piaszczystego leja. Mańka, cała w miątkim piachu, który zasypuje jej oczy, wyciąga rękę, Sławek próbował jej pomóc — i sam wpada w ślad za nią, osuwa się w głąb. Sama dróżka jak ruchome schody podwozi dzieci na skraj tej białej przepaści, aby na jej krawędzi postrącać

je w dół. Chwytam jakąś złamaną gałąź, żeby ją podać tonącym w piachu, jak wiosło, ale dzieci już prawie nie ma — jest jeszcze głowa Sławka, zielona spódniczka Marioli, Mańki nie widzę wcale — tylko na dnie leja piasek kłębi się i wiruje jak wzburzona topiel nad obrotami śruby okrętowej. „To jest piasek! Zwyczajny piaseczek!” — wołam z całej siły, z mocą perswazji. Chcę uspokoić dzieci, żeby nie pomyślały sobie Bóg wie czego, żeby nie dały się pogrążyć w jałowym, sypkim strachu, wierzę, że wystarczy, aby to zrozumiały, a wstaną, otrzepią się i z moją pomocą wygramolą się na powierzchnię. Chcąc odwrócić ich uwagę od dna leja, krzyczę: „Jak wy będziecie wyglądać?! Kto wam głowy domyje? Wyłaście, bo już nigdy nie pójde z wami na spacer!”. Ale dzieci nie ma wcale na dnie, tylko szepcze piasek: „Ja nie chciałam, proszę pani, ja nie chcąc”. Wskakuję do dołu, ostrożnie, żeby nie nadebrać przez nieuwagę na któreś z dzieci. Jestem już na dnie, na czworakach rozgrzebuję piach, chcę się dokopać do moich dzieci, piasek jest bardzo ciepły, ogrzany słońcem, mówię sama do siebie: „ciepło, ciepło, gorąco, gorąco” jak przy zabawie w ukryte fanty, natrafiam dłonią na coś twardego i wydobywam na wierzch psy z kory, królowe z kory, ludziki z kory — cały magazyn wyrobów Mańki.

Zbudził mnie strach, pierwszy prawdziwy, goły strach, który na jawie nie znajdował do mnie dostępu. Próbowałam jakoś racjonalistycznie rozszyfrować sobie ten sen i chyba mi się to udało. Widziałam kiedyś w zagórzańskim lesie pułapkę mrówkolewa. Jego larwa, malutka bestia, siedzi sobie ukryta na dnie idealnie symetrycznego lejka wytoczonego w suchym piasku. Mrówka, która osunie się nieopatrznie w głąb, usiłuje się wydostać na wierzch, ale piasek osypuje się pod jej gorączkową wspinaczką, jest zbyt suchy, i schwytyany w zasadzkę owad osuwa się bez ratunku po ścianach leja prosto w żarłoczne żuchwy robójnika, który nie uznaje pogoni, nie rusza się ze swego stanowiska — wie, że ofiara przyjdzie sama. To nie fatalizm, to organizacja. Ta entomologiczna egzegeza snu powinna mnie być uspokoić, ale uspokoił mnie dopiero poranny telefon, który upewnił mnie, że z dziećmi wszystko w porządku. Na razie byłam cała rozdygotana i dopiero po kilku papierosach usnęłam znowu. Nie przysniło mi się już nic i to było najlepsze, czym sen mógł mnie obdarzyć.

Ale Władza nie śpi, Władza czuwa. Ktoś nie śpi, aby spać mógł ktoś. Świecą się po nocach ogniki papierosów w ustach zacząonych po bramach Tajniaków, jaśnieją czujne okna Ministerstwa Posłuszeństwa, palą się żarówki w celach przyjaciół z KOR'u na Rakowieckiej, w Izbach Przesłuchań. Nie jest to Światłość Wiekuista, ale razi w oczy i wzmaga tylko dookólną ciemność.

VI.

Obudziłam się wcześniej z nowym przyływem sił i niepoprawnym postanowieniem, że jednak spróbuję przebić ten mur. Gdyby mnie kto zapytał, jakie widzę szanse powodzenia i co konkretnie chcę przedsięwziąć, nie umiałabym odpowiedzieć nic prócz tego, że muszę i już. Dobrze, że Kalikst zdecydował się pojechać do Sosnowianki. Dzięki temu nieco mniej niepokoiłam się o dzieci, no i nie musiałam w jego obecności upierać się przy swoim, nie mając żadnych argumentów nawet dla przekonania siebie samej, wynikających ze zdrowego rozsądku, żadnych racji, które on mógłby uznać. Wolałam realizować swój upór poza polem jego widzenia, bez jego wiedzy. Łatwiej mi będzie nawet sromotną klęskę wziąć wyłącznie na siebie.

Był wczesny ranek, słońce świeciło prosto w moje okno, nastawiłam radio i wodę na kawę, jeszcze nie wiedziałam, co zrobię, dokąd pójde, ale wiedziałam już na pewno, że zrobię i że pójde. W radiu muzyczka przeplatała się z komunikatami o powodzi, jakiś komentator cytował ostatnią Słuszną Wypowiedź wysokiego dostojnika, który dzielił się ze Społeczeństwem swoją radością, że słowa poety „Niech prawo zawsze prawo znaczy, a sprawiedliwość — sprawiedliwość” — stały się już u nas rzeczywistością, codzienną praktyką, bo już wszystko znaczy to, co ma znaczyć. Tak, wiem, wiem, że we wczorajszym numerze „Dialektyki” cytat ten jest na pierwszej stronie, w ramce — jak mi się wydało — niemal żałobnej. Telefon do Zagórza uspokoił mnie po wczorajszym śnie, który dotąd mnie ocieniał niepokojem.

Ale mur nas otacza, jest zamknięty jak koło, błędne koło. Cóż poza tym, ponad to? Tylko coś ponad murem: Wieża Strażnicza. Bez namysłu nakręciłam wyszukany w Spisie Telefonów numer centrali Ministerstwa Posłuszeństwa. Mógłby to wykonać każdy obeznany z telefonem, ale chyba nikt poważny nie uczyniłby tego z zamiarem przeprowadzenia konwersacji telefonicznej z Ministrem. Niewątpliwie fakt ten mógłby w czyichś oczach świadczyć o moim zmniejszonym poczuciu rzeczywistości. Wszechobecność i niewidzialność — to boskie atrybuty Władzy, których nie wolno naruszać, których naruszać się nie da. Postanowiłam więc działać wbrew oczywistości i zaskakującym manewrem pogwałcić immunitet Władców.

Odezwała się centralka, połączyła mnie z Sekretariatem Gabinetu. Poprosiłam pilnie Ministra. Objawem zdumienia Sekretarki było zapewne jej wrażenie, że nie dosłyszała, czemu dała wyraz ponawiając pytanie głosem pełnym niedowierzania. Powtórzyłam, że w ważnej i nie cierpiącej zwłoki sprawie — natych-

miast — z Ministrem. I podałam wyraźnie moje imię i nazwisko. Jej zdumienia starannie nie przyjął do wiadomości, a fakt ten przekazałam domagając się rzeczy najzwyczajszej, zrozumiałej samej przez się, co do której nie mam wątpliwości, że natychmiast zostanie załatwiona. To była z mojej strony tylko sprawa tonu. Wiem, że bywa to czasem metoda skuteczna, że niekiedy zmusza adwersarza do nagłej i niemej rezygnacji z uświęconych obyczajem zakazów i ograniczeń. — Ale przecież pan Minister przyjmuje telefonów z miasta — powiedziała nieco skonsternowana Sekretarka prawie usprawiedliwiającym się tonem. Poprosiłam, aby w imieniu Ministra nie przesądzała sprawy, lecz by przekazała, że dzwonię i czekam na rozmowę. Uległa, być może wydedukowała, że muszą stać za mną jakieś potężne moce, skoro jestem tak pewna swoich roszczeń — dość, że kazała mi poczekać.

Za parę chwil odezwał się głos:

— Tu minister. Z kim mówię? Pani nazwisko nic mi nie mówi...

— Borowiecka. Jestem żoną Kaliksta Borowieckiego, pisarza.

— Aha, wiem, już wiem. O co pani chodzi?

Wyjaśniłam uprzejmie, że to nie jest rozmowa na telefon, co było wyjaśnieniem dość głupim, jako że rozmowy „nie na telefon” mogą być podsłuchiwane jedynie przez Funkcjonariuszy Resortu pana Ministra. Dodałam więc, że sprawa jest skomplikowana i zbyt długo by to trwało, więc jeśli to możliwe, przyszedłabym i wyjaśniła wszystko osobiście; ale Minister poprosił o wyłożenie sprawy. Opowiedziałam w wielkim skrócie o nagonce prowadzonej ze wszech stron i niegodnymi środkami przeciwko dziesięciorgu dzieci i mnie, u której przebywają na wakacjach. Dodałam, że jest to nagonka o charakterze wyraźnych szykan na tle politycznym i przy zastosowaniu odpowiedzialności zbiorowej... Pan Minister się zdziwił: czemuż to pani tak sądzi? — Cóż, wskazuje na to cały jej przebieg... Czyżby panu Ministrowi nie było wiadomo, że mój mąż od ponad półtora roku nielegalnie pozbawiony jest prawa do pracy (podkreśliłam słowo „nielegalnie”), że odebrano mu wszelką możliwość publikowania, zarabiania na życie... Przemilczał to, całej sprawy nie znał, zasięgnie informacji w województwie małżynieckim i zadzwoni.

Przeprosiłam, że wychodzę i nie będzie mnie w domu. Gdyby więc zechciał łaskawie podać mi godzinę, o której ja mogłabym zadzwonić... Dobrze, o piętnastej.

Po odłożeniu słuchawki — machinalnie podniosłam ją wtórnie, już pełną tylko nieartykułowanego buczenia, aby zajrzeć w nią z niedowierzaniem: co mogło skłonić Władzę do aktu tak niesłychanego, jak zstąpienie z wysokości? Omyłka? Zasko-

czenie? Przypadek? Czyżby Władza, znużona monotonią izolacji, zapragnęła nagle, na chwilę tylko, dać nura w mętny nurt życia? A może to fakt mego uzurpatorskiego wtargnięcia tak ją zaintrygował, skłonił do objawienia ciekawości tym rzadkim symptomem, skutecznie i profilaktycznie tępionym przez Resort Posłuszeństwa?

Zanim nadeszła umówiona godzina układałam sobie różne warianty scenariusza, według którego chciałam rozegrać spotkanie. Zaden mnie już po chwili nie zadowalał, a poza tym zdawałam sobie sprawę, że to raczej druga strona będzie konstruować dramaturgię dialogu. Mój udział będzie skromny i nie do ustalenia z góry. Na pół godziny przed terminem wpadł mi do głowy pierwszy punkt programu i na tym na razie poprzestałam: pojechałam szybko do głównego Gmachu Ministerstwa Posłuszeństwa i zatelefonowałam do Ministra z Biura Przepustek, powiadamiając go, że jestem tutaj. Że może więc zechce przyjąć mnie osobiście.

Nastąpiła krótka pauza, chwila wahania, poświęcona na błyskawiczną walkę Ministra z samym sobą. I zezwolił, uprzedzając, że czasu ma niewiele i że doprowadzą mnie przed jego oblicze Funkcjonariusze. I rzeczywiście: od tej chwili mogłam się zdać całkowicie na opiekuńcze przewodnictwo całej sztafety Funkcjonariuszy. Jedni wiedli mnie przez dziedzińce i przesmyki między blokami i nie pozostawiali zdezorientowanej w niewiadomym miejscu, ale natychmiast przekazywali w godne i nieomyślne ręce następnych, podobnie uśmiechniętych i równie mi życzliwych. Ostatnia ekipa doprowadziła mnie do windy, informując, że mam jechać na drugie piętro. W windzie zostałam sama — zaufano mi i naciśnięcie guzika powierzono już mnie osobiście. Poczulałam się nieco osierocona i przez to chyba musiałam się omylić i naciśnąć guzik z cyfrą 4, co sprawiło, że dojechawszy na czwarte piętro skorzystałam z guzika nr 2, aby zjechać na właściwą kondygnację. Ledwo jednak opuściłam windę, a tu już dwaj nowi Funkcjonariusze powitali mnie dobrotliwą uwagą: „Za wysoko pani zjechała”.

W pierwszej chwili, pełna nie uzasadnionej podejrzliwości, pomyślałam, że są to Pracownicy zasłużonego Departamentu Metafor i Aluzji — i że ich uwaga nie dotyczyła windy, lecz była krytyką mojej ikarowej pychy, która kazała mi wdrapywać się aż na takie Wyżyny Władzy. Ale to była tylko ostatnia ekipa Wiodących, która wprowadziła mnie zaraz do Gabinetu Ministra Posłuszeństwa.

Było to wnętrze będące jak gdyby połączeniem domu przedpogrzebowego i akwarium. Zza biurka i zza zielonych palmowych liści wynurzył się Minister — nawet dość szczipły jak na tak

Grubą Rybę — i gościnnym gestem zaprosił mnie do okrągłego stołu, jakby troszkę zdziwiony moim nieco niedbałym, turystycznym strojem.

— Otóż — powiedział — przekażę pani wiadomości, jakie udało mi się uzyskać, dobrze? Czy pani jeszcze chciałaby mi coś powiedzieć, czy woli pani posłuchać?

Wolałam.

— Otóż sprawa wygląda tak. Jest pani w Małżyńcu osobą znaną, bardzo już popularną — no bo interwencje, telefony z różnych resortów, redakcji... Cóż za operatywność! A cała tajemnica jest taka: była pewna nie wyjaśniona sprawa — wie pani, jakiś donos, anonim, trzeba to było sprawdzić. Sprawdzono, wyjaśniono i milicja nie ma już do pani żadnych pretensji... No, może jedną, drobną: są nieco dotknięci tym, że jak mówią, przyjęła ich pani w swoim domu niezbyt grzecznie...

— Nie przypominam sobie, panie ministrze, żebym była wobec nich niegrzeczna; to pewne, że nie przyjmowałam ich jak przyjmuję moich gości. Natomiast ich zachowanie, mówiąc łagodnie, pozostawiało wiele do życzenia.

Minister podniósł wysoko brwi, po czym w ślad za nimi sam się podniósł zza stołu, zbliżył się ku mnie hieratycznym krokiem, ujął moją dłoń i skłoniwszy się przesadnie rzekł:

— Pozwoli pani, że Minister przeprosi ją za niegrzeczne zachowanie Funkcjonariuszy swego Resortu...

To rzekłszy, złożył mi na dłoni ministerialny pocałunek, wyrażając niejako w ten sposób całą delikatność swego Resortu, by nie powiedzieć — czułość, która musi doznawać niewymownych cierpień, gdy Resort rękami swych Funkcjonariuszy łamie Dla Dobra Sprawy szczęki, tłucze po głowach pałami do nieprzytomności, zamyka usta ciosem pięści. Jakież to samozaparcie i jakież oddanie Sprawie, które wymaga tylu przewyciężeń i samoudręczeń!

— A jeśli mógłbym pani prywatnie radzić — Minister wybywał się resztek urzędowej sztywności — to poradziłbym, żeby pani nie zadzierła z władzami terenowymi, jeśli chce pani spokojnie żyć. Pani ostatnie odwołanie złożone w województwie jest nieco obraźliwe w tonie, tak to tam mogą potraktować.

— Ależ to nie ja zadieram, jak tylko odpieram bezprawne ataki... Czyżbym miała pana radę rozumieć tak, że powinnam znosić bez szemrania to wszystko, tę całą samowolę? Przepraszam, ale chyba nie to pan miał na myśli...

Minister kiwał głową z wyrazem niedowierzania czy politowania.

— Jest pani bardzo dziecinna — powiedział niemal po ojcowsku. — Zresztą mogę panią zapewnić, jeśli to panią zainteresuje, że nie była to inicjatywa naszego Resortu. Ja wiem, że zazwyczaj wszelkie pretensje są wymierzone pod naszym adresem, ale tym razem — niesłusznie.

Potraktowałam to jako zaprzeczenie, choć nie byłam pewna, czy wyrażenie „niesłusznie” nie dotyczy Słuszności pisanej dużą literą. Odpowiedziałam:

— To bardzo pana Ministra przepraszam. Nie niepokoiłabym, gdybym nie miała pewności, że to właśnie sprawa Ministerstwa Posłuszeństwa...

— Nie. I jak powiedziałem, milicja nie ma już do pani pretensji, sprawa została zamknięta.

— No, nie bardzo! Wszystkie Instytucje i Instancje biorą teraz wzmożony udział w tej aferze: i Sanepid, i Gmina, i Województwo, Rady Narodowe — wszystko to mnie teraz osacza.

— Aaaa... — Minister z bezradnym uśmiechem rozłożył ręce. — To już nie mój resort, nie mam na to wpływu. Życzę powodzenia.

Tak, to już koniec. Chciał zobaczyć na własne oczy osobliwość: niepokorną petentkę. I zobaczył. Nie mam tu już nic do roboty. Wstałam, żeby się pożegnać.

— A co do pani męża — powiedział, także wstając — to z czasem wszystko się pomyślnie ułoży, unormuje, mąż zmieni poglądy...

Uśmiechnęłam się za przykładem Ministra:

— Znam dobrze mojego męża i muszę pana wyprowadzić z błędu. Mój mąż wie, czego chce i pod wpływem represji poglądów nie zmienia. Na to naprawę nie ma co liczyć.

— A pani stosunek do poglądów męża?... — Minister był jakby nieco zaskoczony i zaintrygowany.

— W zupełności je dzieliłam.

Minister zanurzył się w wodorostach swego akwarium, do wyjścia doprowadzili mnie tamtejsi Opiekunowie. Czy na ulicy przekazali mnie swym następcom — nawet nie zauważyłam. I to było wszystko. Wróciłam do domu pełna obrzydzenia i pogardy dla siebie za tę na nic niepotrzebną i skazaną na fiasko eskapadę. Wprawdzie poszłam tam bez bicia się w piersi, co jak zauważyłam było dla Ministra zaskoczeniem, ale jedyną mizerną korzyścią — która na nic się nie przyda — było jeszcze jedno upewnienie się, że cały ten grad spadł na mnie z bardzo wysokiej chmury, a gminnych i wojewódzkich kacyków nie miałam prawa obwiniać o samowolę, lecz o cudzowolę.

Nie wiem, czy mimo stanowczo nie budzącej zaufania minis-

terialnej interpretacji Afery, nie zaczęłam odrobiny dowierzać sugestii, że źródła należałoby się dopatrywać gdzie indziej. A może, zaprawiona w bojach, uznałam po prostu, że jeszcze nie ustąpię przed wszechwładną Słusznością — czyli przed Kłamstwem posługującym się Lewymi Papierami? Dość, że postanowiłam zobaczyć się z Grodzickim i przemilczeć ten zamysł przed Kalikstem. Postanowienie powzięłam bez wahań, nie było wyboru, pozostała mi już tylko Najwyższa Instancja. Ku mej rozpaczy dowiedziałam się, że Grodzicki wyjechał z partyjno-rządową Delegacją do Bratniego Kraju i powinien wrócić mniej więcej za trzy dni. Nie mogłam siedzieć w Warszawie oczekując jego powrotu. Musiałam wracać do Zagórza, do dzieci. Przed wyjazdem zatelefonowałam tam, jak zwykle prawie nic nie było słysząc, wykrzyczałam do słuchawki piąte przez dziesiąte o mojej wizycie u Ministra.

Jak się wkrótce potem okazało, Kalikst dosłyszał i zrozumiał tylko to, że milicja nie ma już do mnie pretensji i że Minister przeprosił mnie. Wnioski z tego wyciągnął takie, że z radością zakomunikował Ewelinie o odwołaniu obłężenia i polecił rozpakować walizki. Kiedy zaraz po dotarciu na miejsce wyjaśniłam wszystko i rozwiązałam nieporozumienie, przygnębienie było podwójne. W dodatku przed południem byli rodzice Sławka i matka Mańki, bardzo zaniepokojeni niepewnymi wakacjami swoich dzieci — i Ewelina, cała szczęśliwa, uspokoiła ich, że odtąd chyba mogą się już niczego nie obawiać. A że dzieci trochę przytyły, nabrały rumieńców, a Mańka nauczyła się uśmiechu — uspokojeni odjechali pół godziny temu do Warszawy. Obiecali przekazać dobrą wiadomość innym matkom, których numery telefoniczne wręczyła im Ewelina.

Niestety nie było podstaw do odwoływania alarmu, stan obłężenia trwał i jeśli — jak sceptycznie skonstatował Kalikst — dobiegał końca, to nie takiego, jakiego można było sobie życzyć. Zawsze lubiłam przeciwstawiać się wyrokowi losu nie przyjmując ich do wiadomości, co niekiedy gmatwało Siłom Wyższym ich wykonanie. Tym razem już nie mogłam sobie na to pozwolić, sprawy zaszły za daleko. Moja udawana nieświadomość wraz z prawdziwą niewiedzą dzieci — to zbyt wielkie ryzyko. Były szczęśliwe, w bezustannej galopadzie, karmiły naszego domowego kurczaka, bawiły się z miauczącą Sabcią i milkliwym żółwiem. Miałam przed sobą trzy dni. Trzy dni do następnej próby spotkania się z Grodzickim, dygnitarzem Najwyższej Instancji. W tym czasie nie oczekiwałam żadnej gwałtownej odmiany na gorsze, choć odpowiedź z Województwa na moje odwołanie z pewnością nie będzie pomyślna: i Wojewoda, i Minister dali mi to już wyraźnie do zrozumienia, każdy po swojemu. Ale przecież jeszcze

nie nadeszła, więc decyzja nie nabrała mocy. Drobne, chwilowe pocieszenie: powinno mi to umożliwić ze trzy spokojne dni wakacji moich dzieci. Ewelina i pani Marcysia ani na chwilę nie przerywały normalnego toku zajęć i zabaw, ale tym razem i ja będę mogła bez popłochu pobyc z nimi, co się ostatnio dość rzadko zdarzało.

Mimo wszystko wakacje trwały przecież nieprzerwanie — dzięki Ewelinie, przede wszystkim dzięki niej. Zajęłam się znowu dzieciarnią, zachowując pozory spokoju, jakby się nic nie zdarzyło, jakby tylko od słońca i deszczu miały zależeć lepsze i gorsze dni naszych wakacji. Poszliśmy na grzyby, dzieci szukały ich zapalczywie, czając się za krzakami, jakby w obawie, że zbyt płochliwy maślak czy podgrzybek mógłby im uciec lub zaszyć się w mchu.

— Czy to jadalny, proszę pani? — spytał Sławek, biegnąc z pyzatymp prawdziwkim w dłoni.

— Jeszcze jak! — zawołałam z entuzjazmem. — To najprawdziwszy prawdziwek!

Sławek nie posiadał się z radości. Moja radość mogłaby się wydać przesadna, ale wszystko wokoło było tak nieprawdziwe, z każdym dniem bardziej trujące, że na tym tle prawdziwy grzyb, to już było coś. A swoją drogą irytujące muszą być dla Władzy granice jej egzekutywy, świadomość, że mimo koordynacji wysiłków nie wszystko jej podlega, że na przykład borowiki nie podporządkowały się dyscyplinie Najwyższej Instancji. Na dobrą sprawę w ramach kuracji głodówkowo-trucielskiej Władza powinna była rzucić w tutejsze lasy wyłącznie duży asortyment muchomorów i sromotników trujących. Schowałam prawdziwka do kobiałki jako cenny dowód niedowładu Najwyższej Instancji w zakresie Słusznego zagrybiana i odgrzybiana lasów państwowych.

Szłyśmy niezbyt daleko, tylko do poziomkowych dołków. Były to stare okopy i leje po bombach z 39 roku — pięknie zarosłe poszyciem leśnym, rudziejące od maślaków, nakrapiane czerwieńią poziomek. I ja, i Ewelina trzymałyśmy w garściach kije na Wszelki Wypadek. Wprawdzie wilków w naszych lasach nie ma, ale mógłby się trafić niepożądany przedstawiciel fauny dwunożnej, Jakiś Schizofranio nie odpowiadający za swe czyny wobec nikogo prócz swych mocodawców.

— Nie chodźcie do lasu bez kija — radzono nam, a czasem dodawano:

— A wszędzie poza tym — bez patyka! Jeśli chcecie cokolwiek załatwić.

Dobrze radzić! Tyle patyków trzeba było zainwestować w kolonie, a to łózka, a to garnki, a to koce... Same jazdy do War-

szawy też pochłoneły już kilka patyków, co najmniej ze trzy tysiące. A zresztą w tej sytuacji można by się nieźle nadziać na własny patyk: już tam tylko czekają, żeby złapać za rękę z podsuwanym banknotem. Po cóż miałabym im aż tak ułatwiać życie? Zasoby prawie się wyczerpały, dobrze będzie, jeśli wyjdę na zero. Myślałam, że koszta czerwca zwrócą się w lipcu i sierpniu, no i że jeszcze coś pozostanie; teraz już wiem, że chyba nic z tego nie będzie. Tyle, że żyjemy się z tego samego garnka, co dzieci — to cały materialny profit.

Odchodziliśmy w las nie daleko. Muszę przyznać, że trochę bałam się, bałam się o dzieci. Dobre rady Lesiaczkowej nie zdadzą się na nic, a sama nie bardzo umiałam sobie doradzić cokolwiek, jak chronić malców przed niebezpieczeństwem, którego się nawet nie domyślają. Tym trudniejszy to dylemat, że w razie czego nie wszystkich będzie można oddać rodzicom: matka Sławka wyjechała za granicę, rodzice Klementynki spokojnie podróżują po Francji. A tymczasem, jak widać, obłężenie staje się coraz dotkliwsze, Władza najwidoczniej ogłosiła wspólne ruszenie przeciwko Sosnowiance, a ma jeszcze w zapasie i na miejscu rezerwy nie lada — na przykład osiłka Pichurę. Nie wiadomo już nawet czego i kogo się bać. Pichury? Innych? Kogo?

Pichura siaduje przeważnie w „Zagórzance” przy butelce czystej i kuflu Utrwalacza z Pianką i czeka na instrukcje, prywatne, nie prywatne, różne. Dawniej jeździł Pekaesem, rozklekotanym i starym autobusem powiatowej komunikacji, zawsze mocno zaprawiony przed kursem. Ludzie musieli jechać, nie było rady, ale na widok autobusu chwiejnie podjeżdżającego do przystanku zegnali się znakiem krzyża świętego: daj nam Jezusie Nazareński, żebyśmy żywi dojechali!... Rupecki opowiadał mi o nim i jego talentach automobilistycznych. Ludzie w strachu bożym wsiadali, Pichura brał, jak było trzeba i 250 procent normy, upychał pasażerów, jak owce do skupu, zbierał pieniądze, szybko szło, bo biletów nie wydawał — i jazda. Modły podróżnych najwidoczniej skutkowały, ale do czasu, do dnia, kiedy autobus wyładował w rowie kołami do góry. Ale i tak niebiosa miały pasażerów w swojej pieczy, bo skończyło się na zbiorowym poturbowaniu. Pichura stracił pracę. Może nie żeby go aż wyrzucili za karę, tylko autobus trzeba było naprawiać, nie było wozu zapasowego, a Pichura nie miał czasu, miał za to pieniądze z niewydawanych biletów, dużo, bo nie zdążył przepić. Przesiadł się więc na własną taksówkę, ale nie było chętnych, ludzie się zanadto bali, woleli i daleko na piechotę, byle nie z nim. I przez to właśnie, że im tak życie było miłe, sprzedał samochód i teraz pije w „Zagórzance”, ale nie za własne pieniądze — ludzie mu stawiają: to władza miejscowa, żeby kapował, to ci, na których

ma oko, żeby mu zmętniało. Czasem posyłają go dla postrachu, albo żeby kogo załatwić... Czy bać się Pichury? Dlaczego właśnie Pichury? Mało to innych?

Dalej w las nie było po co chodzić: wielka połać wyrębana, a na jeszcze większej odbywa się żywicowanie. Las stepowieje, pokrywa się suchą, jałową trawą, pachnie żywica ściekająca z wyrzeźbionych na pniach nacięć do pouczepianych pojemniczków blaszanych i plastikowych. Dzieci znalazły trochę grzybów, buzie umorusane jagodami przekrzykiwały się w przechwałkach: kto znalazł więcej, kto pierwszy zauważył. Po deszczach ostatnich dni można już było bezkarnie zbierać jagody — trujące nawozy rozpylane z samolotu już się z nich spłukały.

Wracaliśmy, a Ewelina próbowała robić sobie wyrzuty, że ma niewyparzony język, że trzeba działać bardziej dyplomatycznie, jeśli chcemy uniknąć najgorszego. Po co zawsze rąbać prawdę w oczy? Może i racja, ale jeśli wyrok kapturowy został wydany, to co pomoże chytrność? Jaki argument mógłby liczyć jeszcze na coś? W rozważaniach na temat Władzy logika jest przyprawdą szkodliwą. Ba, gdyby dziadek Klementynki był jeszcze Szeferem Najwyższej Instancji jak dwadzieścia lat temu, pewno wystarczyłby jeden jego telefon i wojska podjazdowe podałyby tyły, ale dziadek jest Byłym Szeferem, a to gorzej niż gdyby był nikim. Nie, ani ja, ani Kalikst nie lubimy nadmiernie owijać w bawełnę. Gdyby nie to, byłoby mu dzisiaj miękko i wygodnie w tych bawełnianych powijakach. Jeśli pozwalał sobie kiedy na chytrą taktykę mijającą się z prawdą, to tylko w drobiazgach, w ważnych drobiazgach, jak kiedyś z Gadziorem.

Właśnie miał zaczynać budowę Sosnowianki, budowę, która wskutek braku funduszy wlokła się kilkanaście lat. To był dopiero sam początek i z wielkim trudem, kosztem nie małych wyrzeczeń udało się ogrodzić siatką całą leśną działkę, na której miał stanąć dom. Była też gotowa furka i bramka. Gadzior, który za odpowiednią opłatą nadzorował teren i złożone na nim materiały budowlane, podkradając je nocami po trochu, przybiegł do Kaliksta z własnym pomysłem:

— Panie Borowiecki — zaczął tonem świadczącym, że oczekuje entuzjastycznego przyjęcia, jeśli nie nagrody. — Mam myśl!

Kalikst niczym nie wyraził zdumienia ani zaskoczenia, choć wiadomość, że Gadzior ma myśl wydała mu się zgoła nieprawdopodobna.

— Mam myśl! Nocami idą przymrozki, zające w lesie głodne. Ja bym przyniósł trochę kapustki, ułożył tu na środku, a furkę bym zostawił otwartą. Oni tu wskoczą pojeść i nie wyjdą, to się zamknie i kijem się załatwi.

— O nie, panie Gadzior — powiedział Kalikst. — Nic takiego.

— Ale dlaczego? Gajowy nie musi tego widzieć.

I wtedy, w obawie, że Gadzior może potajemnie urzeczywistnić swój plan, Kalikst po błyskawicznym namyśle sprzeniawierzył się swoim zasadom, odrzucił ideę prawdy, chwycił się idei skuteczności:

— Jakto? To pan nie wie, panie Gadzior? Tu niedługo stanie mój dom, a przecież jakby tu teraz zabić stworzenie Boże, to już bym się nie opędził przed nieszczęściem: w takim domu choroby by zamieszkały, albo i co gorszego! Jak pan mógł pomyśleć nawet coś podobnego, to pan nie wie, że nie wolno zabijać przed budową?

Zawstydzony Gadzior zaczął pośpiesznie kiwać głową ze zrozumieniem:

— Ja przepraszam, panie Borowiecki, nie pomyślałem o tym, prawda znaczy się. Ja już się zdziwiłem, że pan nie lubi pasztetu z zająca...

No cóż, zabobon wymyślony na prędce jakoś nie bardzo się nam sprawdza: zając ocalał, ale Sosnowianka nie całkiem. A teraz już nawet najlepszy marksistowski zabobon nie przydałby się na nic.

Wróciliśmy ze spaceru w samą porę: już pani Marcysia przygotowała obiad. Był to nasz ostatni spacer, nie odważyłam się więcej opuszczać z dziećmi sosnowiańskiej twierdzy — za duże ryzyko. Na szczęście i my mamy swój ogrodzony kawałek lasu, trzeba się będzie zadowolić tym kawałkiem.

I zaraz po przyjsciu zaczęły się błogosławione kłopoty, których na szczęście nie brak — i pozwalają na parę chwil, czasem na trochę dłużej zapomnieć o zrzędzeniach losu uosobionego w Najwyższej Instancji. Zaczęło się własnoręczne dokarmianie to Marioli, to Ewki, jako że łyżki maczane w zupie zaczęły odmawiać im posłuszeństwa; trzeba było zagadywać, albo snuć jakieś niestworzone a więc ciekawsze od prawdziwych historie, żeby malec nie musiał jeść, żeby samo mu się jadło. Najlepiej czarowała Ewelina, a i pani Marcysia w wolnych chwilach też asystowała przy jedzeniu, a jej niezwykle słownictwo jakoś wcale dzieciom nie przeszkadzało.

— Zostaw ten sędziorek — mówiła Wackowi, kiedy zamiast kończyć zupę zabawiał się scyzorykiem i próbowała wmawiać dzieciom, że bardzo dobre są opłatki wsiane, mając oczywiście na myśli płatki owsiane. Jej pracowita krzątanią, jej pogodna twarzyczka jak trochę przywidłe ale rumiane jabłko — wszystko skłaniało nas do uśmiechu, a przede wszystkim do

zaufania — nie tylko do niej, ale do świata, do dnia, że się potoczy ku wieczorowi nie inaczej, tylko tak jak powinien, jak Pan Bóg przykazał. Bo jeśli się nawet zdarza nie tak, to tylko przez chwilowe roztargnienie losu, które jest jak narychlej powściągane, żeby znów było dobrze. Ta wiara emanowała z niej, manifestowała się w jej wielu odzywkach i porzekadłach, a jak słyszałam wychowała się w skrajnej, zagłodzonej nędzy.

Na parę godzin wpadł Kalikst, jak to robił od czasu do czasu, dość rzadko zresztą, i przywiózł garść wiadomości z Warszawy. Nie były nazbyt pocieszające, ale Kalikst nie tracił optymizmu. W kościele Św. Marcina na Pivnej trwa głódówka grupy osób, domagających się w ten sposób wypuszczenia na wolność aresztowanych członków KOR'u i robotników skazanych na lata więzienia po zeszłorocznych wydarzeniach czerwcowych. Prasa przy pomocy wprawnych piór używanych do wszelkich usług stara się oplugawić głodujących, którzy odmawiają przyjmowania pożywienia dobrowolnie, bez jakiegokolwiek polecenia ze strony Władzy, co mogłoby być ich jedynym usprawiedliwieniem. „Głos Stolicy” dawał do zrozumienia, wymieniając kilka „obcibrzmiących” nazwisk uczestników głódówki, że niektórzy pierwszy raz w życiu znaleźli się we wnętrzu katolickiego kościoła; uwaga ta zawierała w sobie pewne twórcze wpływy apartheidu, jak też szlachetną awersję do osobników o nie dość piastowskiej proweniencji. „Goniec Popołudniowy” ironizował z bizantyjskim poczuciem humoru, że „już oni się starają o to, żeby nie schudnąć”. Nam, Kalikstowi i mnie, mają za złe, że uparliśmy się, wbrew instrukcjom Władzy, aby się nie zagłodzić; do tamtych mają wprost przeciwną pretensję. O, jakże trudno dogodzić Władzy, która tak indywidualizuje swoje podejście do podwładnych, obywatelami zwanych...

Kalikst sprzedał w Warszawie część swego księgozbioru i w ten sposób uzyskał środki na kawałek dalszego przetrwania. Było mi przykro, chciałam przecież przejąć ster, a tymczasem tak się stało, że nie uda mi się z kolonii wydobyć ani grosza, żeby choć trochę wspomóc naszą najbliższą przyszłość. Poprzedniego dnia, opowiadał Kalikst, powiadomiono go, że pewien Działacz Miarodajny oświadczył odpowiedzialnie, że w oka mgnieniu gotowi są zdjąć zeń anatamę z jej wszystkimi konsekwencjami, że kłopoty się skończą i że to tylko od samego Kaliksta zależy. Zapewnił neutralnego informatora, przekaziciela tej sensacyjnej wieści, że nie rozumie.

— To proste — odpowiedział mu. Wystarczy, żeby powiedział komu należy, że popełnił błąd, że go do tego ten a ten namówił, względnie, że go w to wrobiono i że nawet nie

bardzo wiedział, co podpisuje. Taka deklaracja będzie uwzględniona.

— Świetnie! — rzekł Kalikst. — Już biegnę to załatwić — i zostawił mediatora bez pożegnania.

— A może ów Działacz Miarodajny — zaśmiała się Ewelina — fundował swoje zamiary co do ciebie i nadzieję na poprawę — na fackie sprzed kilku miesięcy? Kiedy to podpisałeś jednak oświadczenie nie całkiem zgodne z twoim przekonaniem?

Wtedy to — był chyba styczeń — zawiadomiono nas telefonicznie, że do Sosnowianki było włamanie. Pojechalśmy tam natychmiast. W domu był już kapral Bałdyga i komendant miejscowej milicji. Stwierdziłam brak starego szkła i świeczników. Milicja przystąpiła do spisывania protokołu. Kalikst mówił, komendant poprawiał jego sformułowania i dyktował, Bałdyga gryzmolił na urzędowym blankiecie. Tajemnice Śledztwa już się szeroko rozeszły po chałupach dzięki rezonansowi meliny prowadzonej przez starą Korpychową, były to zapewne tajemnice bardziej deliryczne niż rzeczywiste, nie było jeszcze czasu na jakiegokolwiek dochodzenia. U Korpychowej przy bimbrze najwcześniej rozbrzmiewały zawsze wszelkie sekrety służbowe, choć nieco bełkotliwie. Ale tu, w Sosnowiance, Funkcjonariusze mieli miny nieprzeniknione, nie puszczali pary z ust, nie wspomnieli ani słówkiem, że podejrzewają o udział we włamaniu syna starej Jagiełłowej z Kaczorowa. Kalikst i tak słyszał już o tym.

— Czy coś panu mówi nazwisko Jagiełło? — spytał wnikliwie komendant.

— Mówi — potwierdził Kalikst.

— Co pan o nim wie?

Kalikst z wysiłkiem powstrzymał się od udzielenia krótkiej informacji o bitwie pod Grunwaldem.

— To ten z Kaczorowa? — wyraził przypuszczenie po chwili pasowania się ze sobą.

— Piszcie! — rozkazał komendant Bałdydze i modyfikując zeznania Kaliksta, zaczął: — Kiedy weszłam do mieszkania zobaczyłam skradzione przedmioty...

— Przepraszam, — przerwał Kalikst — ale właśnie ich nie widziałem, bo już były skradzione.

Komendant skarcił go wymownym spojrzeniem i z wysiłkiem wiążąc zerwany wątek, powtórzył:

— ...zobaczyłam skradzione przedmioty, których brakowało, a które to przedmioty posiadały dla mnie wartość 30 tysięcy złotych...

— Nie dla mnie — zaryzykował znów Kalikst. — One po prostu miały taką wartość.

— Ale dla kogo? Dla pana — odparł zniecierpliwiony komendant. — To nie złoto, żeby miało swoją wartość. Piszcie.

I dyktował dalej swój elaborat, będący zarazem i wybitnym wkładem do Teorii Językoznawstwa, i do Teorii Socrealizmu, dziełem osadzonym więc w znakomitej tradycji, która rzeczy nieistniejące zmusza do istnienia. Ponad to z dzieła komendanta można się było m.in. dowiedzieć, że na skradzionych kielichach były wzorki i ozdoby w kształcie frazesów i że świeczniki były pozbawione świec, co obniżało ich wysokość, ale nie wartość...

I to wszystko Kalikst podpisał! Swoim imieniem i nazwiskiem, własnoręcznie, bez wywojowania jakichkolwiek poprawek! Zgodził się zostać sygnatariuszem! Co prawda pod presją okoliczności, ale jednak. I któż teraz zaprzeczy, że Kalikst skłonny jest takim presjom ulegać? Trudno się więc dziwić Działaczowi Miarodajnemu, że wstąpiła weń nadzieja nawrócenia grzesznego Kaliksta, tak szafującego swym autografem?

Piszę o tym tyle, bo być może kiedyś archiwariusz wygrzebie z papierzysk ów tekst sygnowany przez mego męża i uraduje się, że odnalazł jego nieznanie dzieło. Chce więc już teraz zapobiec niebezpieczeństwu przypisania Kalikstowi autorstwa utworu zaimprovizowanego w jego imieniu w 1977 roku przez komendanta MO w Zagórzcu.

VII.

Wyjechałam wczesnym rankiem, dzieci jeszcze spały, wolałam uniknąć sceny którego to już z kolei pożegnania. Kalikst odjechał jeszcze wczoraj, wiedziałam, że go spotkam w Warszawie, nie mogłam więc zataić przed nim, że się tam wybieram. Powiedziałam mu tylko, że jadę, aby pozawiać rodziców o nieuniknionym i nagłym końcu kolonii. Marek z Gajówki przyniósł mi jabłek na drogę — były to dojrzałe, zbielejące na kość papie-rówki z jedynej jabłonki rosnącej pod samą Gajówką. Nad międzyleśnymi łąkami unosiła się jeszcze poranna mgła, zapowiadała się pogodny dzień. Za młodymi sosenkami od strony Pałusza wałęsała się z pątykiem w ręku Lesiaczkowa. Piały koguty.

Przed wyjściem z Sosnowianki zostawiłam tyle przykazań, próśb i ostrzeżeń Ewelinie i pani Marcysi, że aż mogło to w ich oczach zakrawać na objaw mojej nieufności, niedowierzania im, czy czegoś w tym rodzaju. A to był tylko mój niepokój i wyrzuty sumienia, że tak zostawiam i zostawiam dzieci w środku

lasu, jak owa zła macocha z bajki, która wywiodła sierotkę w gęstwinię na pożarcie wilkom.

Jechałam powoli, mając w pamięci fortele Władzy, która lubi np. psuć samochody, w czym doszła do dużej wprawy — choćby przy usilnych i częściowo udanych próbach unieszkodliwienia fiata członkini KOR'u, Grażyny Błażejskiej. Tak dojechałam do najbliższej stacji obsługi w Miłęczynie i tam poddałam się małemu przeglądowi kół i silnika; wszystko było na szczęście w porządku. Dalej mogłam już jechać pewniej i szybciej, co mi dawało — to śmieszne — poczucie jakiejś swobody, niezależności, lekkiego wydobywania się z matni. Tak, zauważyłam to, że ostatnio najlepiej wypoczywało mi się przy kierownicy, ulatniał się z serca stale odczuwany ucisk osaczenia.

Od razu dowiedziałam się, że Delegacja Rządowa powróciła już z Bratniego Kraju, a więc Grodecki jest już chyba uchwytny. W Związku Pisarzy powiedziano mi jednak, że nie ma go w domu, że przebywa w Marcepankowie. W Marcepankowie? To taki ośrodek wypoczynkowy dla dygnitarzy Najwyższej Instancji, nie daleko stąd, ale dostać się tam zwykłemu śmiertelnikowi, to raczej marzenie ściętej głowy. Moja jeszcze nie ścięta, mimo to postanowiłam tam dotrzeć i zjadłszy papierówkę zamiast śniadania pojechałam.

Zatrzymał mnie uzbrojony wartownik przy bramie. Myślałam, że to coś na kształt pensjonatu, a to twierdza. Dalej też żołnierze pod bronią, jak na granicy państwa. Wszyscy czujnie strzegli Marcepankowa, a miny mieli tak napięte, rzec by można — odbezpieczone, że przeleżałam się, aby najuprzejmiejszym nawet pytaniem nie wywołać eksplozji. Musiałam przecież przebrnąć przez to Pole Minowe i dostać się do Grodeckiego, Towarzysza Starej Daty. W nim jedynym pokładałam jeszcze mizerną resztkę nadziei.

Nie, nie ma mowy, nie wpuszczą, muszę mieć odpowiednią przepustkę, albo polecenie od towarzysza Grodeckiego. Najlepiej będzie, jeśli zatelefonuję do jego domu z Warszawy. Aha, to po to tu przyjeżdżam, żeby teraz wracać i nakręcać stamtąd nieznanym mi, ściśle zastrzeżony numer, a tymczasem Grodecki znów gotów gdzieś wyjechać z oficjalną delegacją. Po długich wysiłkach, przy zastosowaniu dyplomacji uśmiechu rozbroiłam wreszcie pierwszą minę: strażnik zgodził się wpuścić mnie do centrali telefonicznej. Też była obsługiwana przez wojsko, przez gołowąsów-radiotelegrafistów, czy — jak się to mówi — łącznościowców. Tu już min nie było, tylko zasięki surowego regulaminu służby. Uprosiłam w końcu młodego żołnierza, który — pomimo przestróg kolegów — odważył się: no, dla pani się poświęcę... Grodecki polecił mnie wpuścić.

Znalazłam się na rozległym terenie eksterytorialnym, nie podlegającym — jak się zdawało — nawet szerokości i długości geograficznej. Była to kopia lub filia Disneylandu, Arkadia dygnitarzy. Doznałam uczucia, jakie bywa udziałem turystów wysiadających z odrzutowca po krótkim, przedrzemany locie, zaszokowanych osaczającą ich z nagłą egzotyką antypodów. Choć Warszawa była tuż-tuż, znalazła się teraz w niezmierzonej dali, za rubieżą — ze swymi beznadziejnymi kolejkami u drzwi pustych sklepów, z odorem zmęczenia w przeładowanych tramwajach, z Dżentelmenami i Pederastami świdrującymi wprawnym oczkiem, z działaczami KOR'u siedzącymi gdzieś za kratami czerwonon murów zabytkowej carskiej architektury na Mokotowie.

Tu wiatr buszował w bujnych drzewach o listowiu uprawnionym do zwiększonych przydziałów chlorofilu, na klombach pyszniły się chyba egzotyczne kwiaty, które jak przypuszczam znosić mogły tutejszy, obcy sobie klimat jedynie na mocy specjalnego rozporządzenia. Przed moimi oczami realizował się oto sen nuworysza o własnym królewskim dworze, w dekoracjach przydających Władzy splendoru. Nawet obłoczki nad parkiem zdawały się przybierać wdzięczną postać Łabędzi na Stawie — tych z makatek eksponowanych na Bazarze Różyckiego. Pomyślałam sobie, że przybycie tutaj bez intencji i zamiarów hołdownicznych jest nieomal że profanacją, a co najmniej nietaktem. Panowała wokół wszechwładna dworskość, a to, co zauważyłam w szklanej witrynie mijanego pawilonu, to nie były pałki milicyjne — tylko rurki z kremem.

Szłam i szłam parkową aleją jak zaczarowana Alicja w ogrodzie złego czarnoksiężnika, pełna po raz pierwszy w życiu nienawiści — no, może tylko niechęci — do kwiatów. Aleja była długa i kręta, nie wiedziałam jak długa i nie byłam pewna, czy idę we właściwym kierunku. Zbliżałam się do dziwnych tarasów otoczonych przez palmy, dalej poprzez strzyżone krzewy przeświecała pstrokacizna jaskrawych kolorów. Nie zdziwiłabym się, gdyby to były papugi. Skręciłam w stronę pawilonów. Jacys uprzejmi funkcjonariusze gościnnym gestem wskazali mi przejście, zapraszając do basenów z ciepłą wodą, wzięli mnie najpewniej za Tutejszą Towarzyszkę. Podziękowałam dochodząc do wniosku, że beznadziejnie błędę po tej rozległej Krainie Nieprawdopodobieństwa.

Nie, to jednak nie były papugi. Ta czerwień, żółć i szafir — huśtawki, a właściwie baldachimy nad huśtawkami. Zobaczyłam je w tej samej niemal chwili, kiedy wśród liści, jak wielki tropikalny owoc, zaśniła mi łysina Grodeckiego.

— Chciałam się panu poskarżyć — powiedziałam na powitanie. Grodecki wiedział o tym; wszyscy od lat proszą go o naj-

rozmaitsze interwencje, o pomoc, niekiedy o ratunek. A on interweniuje w wielu drobnych i mniej drobnych ludzkich sprawach, pomaga, czasem nawet wyratuje z opresji. Niechętni mu — a są wśród nich i tacy, którym pomógł — twierdzą, że wielkie polityczne winy okupuje w ten sposób mnóstwem konkretnych zasług, które ważą na jego opinii w różnych środowiskach. Tak czy owak, należy on do ratowników bezinteresownych i rzadko odmawia pomocy.

— Ale pięćęćknie tu! — powiedziałam tonem wieśniaczki, której pokazano odlewnię żelaza albo drapacze chmur.

Przemilczał to że źle tajoną przykrością, nie dość wszakże dokuczliwą, aby go aż miała skłaniać do przeprowadzki. Sądziłam, że zechce zaprosić mnie na rozmowę do swojego domku, ale powiedział: Tu się nam najlepiej porozmawia. I wskazał najbliższą huśtawkę. Była duża, parosobowa, pod szafirowym baldachimem ozdobionym złotymi frędzelkami, które podnosiły rangę tej Arkadii jak generalskie epolety. Od dawien dawna już nie doznawana przeze mnie woń befsztyków z połędwicy, niesiona aż tu przez zefiry ciągnące od kuchni w zabytkowym pałacyku, sprzyjała dialektycznemu myśleniu. Usiedliśmy pod kolorowym daszkiem, Grodecki odbił się obcasem od ziemi, wprawiając huśtawkę w kołysanie a frędzelki w trzepot — i zaczęła się moja opowieść, tym tylko różniącą się od tej — zapisanej, że jeszcze bardziej starałam się streszczać, pomijając z konieczności epizody bliższe, a także tym, że nazwiska jej aktorów i statystów podawałam prawdziwe. Wokoło roztaczało się solennie Marcepankowo pełne komfortowych widoków. Na tym tle moja relacja brzmiała jak dysonans, jakbym tu wtargnęła z Polski z pełnym wozem asenizacyjnym, aby wyładować jego zawartość w samym centrum kwecia.

Grodecki słuchał uważnie, czasem przerywał mi i dopytywał się o jakiś szczegół. Pokazałam mu dokumenty, wezwania, nakazy. Kiwał głową potakująco, ale nie był to wyraz aprobaty, tylko odruch potwierdzający, że tak, że się to wszystko zgadza, że dobrze o tym wie, że nic nowego, że tak to właśnie wygląda, że on, wtajemniczony, nie myśli się dziwić. Ale jednocześnie dostrzegłam wzbierającą w nim po trochu irytację. Może jednak dowiadywał się czegoś, co wykraczało poza jego wiedzę o taktyce represyjnej i machinacjach Władzy? A może tylko była to dezaprobatą niezręczności tych poczynań? Nie wiem, co kryło się w Grodeckim na dnie, nie wiem, co mówią na dnie starzy Działacze — ale na siłę chciałam go swymi domysłami ucłowieczyć, choćby za to, że reagował jak człowiek. Pomilczał, powiedział:

— No, cóż? Ja znam Kaliksta Borowieckiego. To są metody bardzo skuteczne, jeśli się je, wiecie, stosuje wobec takich, których łatwo przestraszyć. Ja się z nim, znaczy z mężem, nie zgadzam, stoimy po dwóch stronach barykady, ale to nie na niego takie sztuczki. I jeszcze jedno wam powiem: Minister Postuszeństwa Powszechnego nie nałgał wcale, kiedy zapewniał, że to nie jego resort, znaczy, że to nie od niego wyszło. Bo nie od niego. To wyszło — i nie tylko to — od samego Towarzysza Barnaby, z jego Wydziału. Ja tam jutro będę o tym rozmawiał i mam nadzieję, że coś wskóram. Podrzucicie tylko tam, do Centrali Najwyższej Instancji — i to z samego rana, jutro — odpisy tych dokumentów.

Podziękowałam bardzo gorąco, Grodecki odprowadził mnie kawałek w kierunku bramy.

— Mąż ma całkowity zakaz druku, prawda?

— Całkowity.

— To z czego wy żyjecie?

— Właśnie próbowałam zarobić na życie...

— Przrzekam, że spróbuję pogadać.

Byłam mu wdzięczna, ale nie mogłam opędzić się od myśli, czy Grodecki wypowiadając słowa „stoję po przeciwnej stronie barykady niż pani mąż” — zdawał sobie w tym momencie sprawę z niezamierzonej śmieszności tej deklaracji ideowej — rozbrzmiewającej pod szafirem baldachimu, pod złotem frędzelków, nad jednostajnym bujaniem się marcepankowskiej huśtawki.

Nabrałam nowej nadziei, bo wierzyłam, że Grodecki na pewno dotrzyma słowa. Do dziś jestem pewna, że dotrzymał. Chyba można już było wracać do lasu, porozpakowywać dzieciom torby i walizeczki, urządzić nową wycieczkę. Byle mi tylko sił wystarczyło po tym wszystkim. Byłam jednak pewna, że nasze sosnowe, wiewiórcze lasy, tak we wszystkim odmienne od kalifatu Marcepankowa, prędko doprowadzą nerwy do porządku. Tak, teraz, kiedy dotarłam już na sam szczyt, wiem nareszcie z jak wysoka spadały na mnie plagi.

O, święta naiwności! Nie tak dawno myślałam jeszcze, że to wszystko — to gminne knowania kaprali i sierżantów zaplanowane w melinie starej Korpychowej! Nad głową porucznika Armiejczyka dostrzegłam tylko kołującą muchę, a nie zauważyłam Odgórnjej Aureoli! On i wszyscy jemu podobni spełniali tylko poruczone im obowiązki Dla Dobra Ojczyzny. A dziesiątką moich dzieci, doniosłym zadaniem przerwania im wakacji — zajmowała się Najwyższa Instancja, której wszechobecność pozwoliła dotrzeć aż tam, między sosny i jałowce i przyłapać na gorącym uczynku uprawiania Berka lub Piłki do Dołka.

I znów, po raz któryś-tam, wróciłam do Zagórza z nową nadzieją. Powitała mnie cisza leśna i gwar dzieci — najlepszy dowód, że w gruncie rzeczy nic się nie stało. Wybiegły mi na spotkanie, żeby opowiedzieć o prawdziwku znalezionym przez Ewkę; o kurczaku, który nie pozwala się wypędzić z jadalni; o samolocie, który znowu latał nad lasem i rozrzucił nawozy sztuczne, więc trzeba było całą zupę wylać, bo nasypał do wszystkich talerzy tego paskudztwa; że Klementynkę bolał brzuch, ale już przestał; że przez dwa dni mojej nieobecności gorzej im było zasypiać, bo nie dostawały ode mnie proszków nasennych...

Proszki Nasenne — to były moje całusy na dobranoc, których domagały się wszystkie dzieci, pilnując, żebym je dawkowałam sprawiedliwie, po równej porcji każdemu. Dopiero po tym wieczornym obrzędzie zapadała cisza. Malcy zapewniali, że Proszki są nadzwyczaj skuteczne. Teraz wróciłam z nowym zapasem. Tylko Mańka stała na uboczu, nie brała udziału w ogólnym tumulcie powitania. Odczekała, aż wreszcie w pokoju, gdzie usiadłam żeby odpocząć, podbiegła, rzuciła mi przedziutko na kolana jakiś drobiazg i uciekła. Było to serduszek wydlubane mozolnie z sosnowej kory.

I znowu, jak już tyle razy, pojechałam do miasteczka po nowy zapas chleba. Przed sklepem stał tłumek odrętwiałych babin i dzieci, chleba nie było, piekarnia nie dowiozła, nie ma czym. Już tak stały i stały od paru godzin. Śmierdziało w słońcu końskim moczem, procesja gęsi szła dostojnie w stronę wielkiej nie schnącej kałuży na środku gliniastego placu, który był kiedyś kirkutem. Podjechałam swoim wozem pod piekarnię i przywiozłam pięćdziesiąt dużych bochenków. Babiny tak mnie obłogosławiły, że poczułam się jak ktoś, komu skutecznie odczyniono zły urok. Wymiełam gromadę pijanych, tłukących się do krwi pod wejściem do budy z szyldem — „Restauracja Zagórzanka”, nad którą powiewały chorągiewki nie zdjęte po Święcie Państwowym. Obietnica Grodeckiego, błogosławieństwa babin i powrót do Sosnowianki — nastroiły mnie optymistycznie. Ten optymizm zmienił się późnym wieczorem w radość.

Przyjechał Kalikst, żeby zostać na parę dni, i przywiózł dobre nowiny. Dzieci już były po Proszkach Nasennych, panowała zupełna cisza. Przerwaliśmy ją triumfalnie — Ewelina i ja — duetem wokalnym: przed paru dniami władze wypuściły z więzień wszystkich aresztowanych przed dwoma miesiącami działaczy KOR'u i wszystkich skazanych na długoletnie więzienie robotników z Ursusa i Radomia! Aż mi się głupio zrobiło z powodu naszych kolonijnych utyskiwań. Przecież ciotka Drza-

dzkowa mawią: „Nie czas się martwić odciskami, jak grozi amputacja”. To prawda, gdyby nie dzieci... Na Rakowieckiej, opowiadał Kalikst, pod więzieniem czekali na nich przyjaciele z kwiatami, pięknymi kwiatami, choć nie z Marcepankowa. Przed dwoma miesiącami Kalikst wraz z innymi publicznie domagał się od Władz ich wypuszczenia, ale Władcy nie lubią ulegać żądaniom: wycofali jedną z poprawek do Konstytucji, zgodnie z żądaniami sygnatariuszy protestów, ale ich samych wpisali na Czarną Listę; teraz zwolnili więźniów, ale nazwiska tych, którzy stawali w ich obronie podkreślili — na czarnym tle — czerwonym ołówkiem. Toteż nie ingerencji Prawa mogliśmy się spodziewać, tylko protekcji Grodeckiego.

W każdym razie można już było liczyć na spokojne dni i przespane noce. Sosnowianka jakby znowu zadomowiła się w sobie, odetchnęła po tylu dniach napięcia. Czekaliśmy na odwołanie alarmu, wydawało mi się, że sprawa powinna się wyklarować ostatecznie już w krótkim czasie. Zresztą, mądrzy licznymi doświadczeniami, wiedzieliśmy, że żadnego odwołania nie będzie, bo go być nie może, jako że Nieomyślność nie przyznaje się do błędów i nie zwykła wycofywać się jawnie. Po prostu chyba nastanie cisza, rwący nurt urzędowych dochodzeń i nakazów wsiąknie gdzieś niepostrzeżenie w piasek i okaże się, że nic nie było i że nikt nic nie wie. A kapral Bałdyga, zamiast się czaić w pobliskiej gęstwinie, podejdzie do ogrodzenia, żeby tłumiąc pijacką czkawkę pogadać o pogodzie.

VIII

Mieliśmy nadzieję, że teraz trzeba tylko czekać na finał, że nareszcie czas zaczął pracować dla nas i że dwa plus dwa niebawem znów będzie wynosić cztery dzięki najwyższej interwencji. Tym bardziej, że bici i więzieni robotnicy są już na wolności, przyjaciele z KOR'u także, a Najwyższa Instancja ma pełną głowę innych spraw, kłopotów nadprogramowych: jak zapobiec strajkom w Korombli przy pomocy szybkiego podrzucenia mięsa do miejscowych sklepów i dodatkowych pałek do Komendy; jak przeciwdziałać katastrofalnym skutkom powodzi, która wprawdzie przyniesie na swych wezbranych wodach świętny argument dla usprawiedliwienia rezultatów Centralnej Gospodarki, ale pieniędzy pochłonie mnóstwo; jak dopilnować Kompanii Honorowej, aby nie pomyliła cesarskiego z królewskim — w związku z zapowiedzianymi wizytami Cesarza czyli Szacha Iranu oraz belgijskiej pary królewskiej; nauka tego zawołania

także wymaga najwyższego nadzoru. Najwyższa Instancja ma nadto jeszcze wszystkie sprawy do wykonania i kontroli, bowiem władza jej jest uniwersalna, a trudno, jak powiada mądrość ludowa, schwytać jednocześnie dziesięć srok za ogon, nie mówiąc o innych ptakach. Zdawałam sobie sprawę, że wyjaśnienie sprawy kolonii musi potrwać, jako że nadmiar zajęć Władzy jest zbyt absorbujący, ale to nic, doczekamy się, to nam da jakiś luz w czasie, swobodę uskrzydłą nadzieją.

Przeglądając moją tekę pt. Sprawy do Załatwienia, widziałam ślady wszystkich moich potyczek — od kurnikowych grzęd Gminy, aż do Wieży Strażniczej Najwyższej Instancji. Trzeba było zaczynać od razu wysoko, od strefy Orlich Lotów, nie tracić czasu na drób, ale skąd mogłam to wiedzieć? Dobrze, że w końcu trafiłam; była to isticie taternicka wspinaczka. Te wszystkie resortowe poparcia, które mnie tak nagle zawiodły, nie były — razem wzięte — warte jednego słowa Grodeckiego, jego krótkiego przyrzeczenia ze stemplem Najwyższej Instancji. Teraz w oparciu o to słowo i o ten stempel będziemy kontynuować myszkowanie po lesie, chóralne piosenki, wyprawy nad rzekę, grę w piłkę i tysiąc innych wspaniałych zajęć — już pod szerokimi skrzydłami Słuszności.

Na ten nowy, słoneczniejszy, choć przerywany przelotnymi deszczami, nastrój trafił Staszek Śliwiński, kuzyn Kaliksta, zawołany i ceniony ornitolog. Przyjechał do tutejszych lasów w ptasiach sprawach jak co roku i wstąpił do nas po drodze, wybierając się właśnie na obrączkowanie ptaków w pobliskich knyżyńskich lasach.

A może to było kiedy indziej? W tym rozluźnionym czasie, kiedy odpowiedzialność za nasze losy powierzyłam Grodeckiemu, powszednie sprawy Sosnowianki toczyły się same, zajęcia z dziećmi stały się znów jedynym zadaniem, któremu trzeba sprostać i ten normalny wreszcie rytm dnia sprawił, że chronologia już dziś zatarła mi się w pamięci. Wszystko, co zapamiętałam, odbywało się kiedyś-tam, którego dnia. Bo cóż to właściwie znaczyło — czekać na ostateczne zakończenie oblężenia, czekać w takim spokoju, jaki teraz nastał? Nie mogło to znaczyć nic innego, jak czekanie na nic, na upragnione nic — niewidzialny już dla nas odwrót. Może się powtarzam, ale medytacje na ten temat, przerywane zajęciami odrywającymi od tych myśli oraz odpukiwaniem w niemalowane drewno — zaprzętały mnie wtedy ciągle. Każdy dobry dzień, który mijał, był dla mnie argumentem za tym, że to już nie antrakty tylko, nie chwilowa cisza przeznaczona na przegrupowanie wojsk, ale uspokojenie, którego — oby! — nic już nie zakłóci.

Trzech starszych chłopców uprosiło mnie, żebym pozwoliła im wziąć udział w ptasiej wyprawie — i pojechali. Poranny deszcz szybko ustał i wsiąkł w piasek — tu nawet po rześnistej ulewie kałuże trzymają się nie dłużej niż pół godziny, wszystko wchłania biały, jałowy piach, który wystarcza sosnom i jałowcom. Dziewczynki już wczoraj chciały nazbierać opadłych szyszek na rozpałkę, ale wczoraj suche jeszcze i rozczapierzone, zalegające całą ziemię pod sosnami, stuliły się po deszczu kładąc po sobie zwilgotniałe łuski; lepiej poczekać aż wyschną znowu. Zresztą w komórce był jeszcze niewielki zapas drwa i suchego chrustu, a ogień już od świtu buzował pod fajerkami, podopieczny ogień pani Marcysi.

Do obiadu było jeszcze sporo czasu, pojechaliśmy z sześciorgiem dzieci nad Bug; tylko Mańka postanowiła zostać z panią Marcysią i za nic nie dała się namówić na wycieczkę: miała swoje ważniejsze sprawy, rzeźbienie w dużym kawałku kory Królowej w Koronie. Z Gajówki przyjechał Marek wozem z pocziwym małym Gniadoszkiem i wyruszyliśmy. Bug wezbrał, ale nie podchodziliśmy do jego właściwego koryta, brodziliśmy tylko w płytkiej łasze, niewielkim rozlewisku, pełnym kamyków i wielkich małży, a Ewelina znalazła na płytkim przeświecającym dnie neolityczny toporek z jeleniego rogu; podobno bywa ich tu po wylewach więcej.

Tutaj, nad Bugiem, rolę ziemnowodnej gospodyni grała nasza Ewka, znająca te zakątki niemal od urodzenia. Zbierała świecące masą perłową skorupy małży, a inne dziewczynki za jej przykładem robiły to samo, obiecując sobie zmaistrować — albo poprosić o to Mańkę — piękne muszlowo-perłowe naszyjniki. Piasek był nagrany, prawie parzył w stopy, najlepiej było brodzić w płytkiej wodzie. Co roku było tu inaczej, Bug zalewał stare plaże, odsłaniał nowe, tylko olbrzymie topole na wysokiej skarpie nie zmieniały się od niepamiętnych czasów, a i teraz może się uchronią, pomimo że szykuje się tu jakieś terytorium campingowe w ramach ochrony środowiska naturalnego — z gospodą w stylu domku Baby Jagi z wyszynkiem. Na razie jest jeszcze zielono i prawdziwie, a topole bezkarnie górują nad okolicą.

Ileż to słonecznych dni już upłynęło, a Bug daremnie czekał na dzieci trwożnie hołubione w zakamarkach Sosnowianki, w dniach zagrożenia, kiedy w czasie moich wypraw do warszawskich Urzędów i Osobistości Ewelina i pani Marcysia nie odważyły się wyruszać z naszą gromadką poza obręb leśnej twierdzy. Można tu było przyjeżdżać nie kilka razy zaledwie, jak się nam to udało, ale bardzo często, w prawie każdy pogodny dzień. Teraz, myślałam, gdybyśmy nawet chcieli wykorzystać czas jak

najzachłanniej, już go nam tak niewiele do końca turnusu pozostało. Niech dzieci mają przynajmniej piękne zakończenie kolonii, bardzo tego chciałam, ale czy coraz częstsze deszcze pozwolą nam jeszcze na to?

Rozesłałyśmy obrusik na piasku i dzieci zbiegły się na drugie śniadanie, które Ewelina wyciągała z przepastnej torby, kiedy u stóp wielkiej topoli na skarpie zatrzymał się samochód. Tak, to był stary trabant Staszka — i już za chwilę on i trzech moich chłopców zbiegali po stromym zboczu. Z daleka wołali:

— Proszę paniiii! A myśmy widzieli sarenkę - n i e m o w l a c z k ę !

— Ona się dopiero co urodziła, jeszcze słabiutka i cała mokra!

— I ja ją sfotografowałam! Trzy razy!

— I pan Stanisław pokazał nam gniazdo czarnego bociana! Czarnego! On jest pod ochroną!

Staszek przywiózł mi list, który nadszedł tymczasem do Sosnowianki. Wstąpił tam z chłopcami, myśląc, że nas zastanie, i Mańka wręczyła mu z dumą niebieską kopertę. Od pewnego czasu bardzo satysfakcjonowała ją rola mojej sekretarki, funkcja, którą ohotniczo sobie przywłaszczyła. Na kopercie był stempel urzędowy — pieczęć Wojewódzkiej Rady Narodowej w Małżyńcu. Oczekiwana odpowiedź na moje odwołanie w związku z decyzją Naczelnika Gminy, Jelitki! Przeczytałam. I zaraz porozumiałam się z Eweliną. Ona wróci z dziećmi mniej więcej za godzinę. Ja natychmiast odjeżdżam do Sosnowianki ze Staszkiem. Jeszcze zdążyła się urodzić sarenka, jeszcze był Bug, ostatni raz. Trzeba się zaraz porozumieć z Grodeckim. Już tydzień, trochę więcej niż tydzień od jego obiecannej interwencji. Jak to się stało? Czy możliwe, aby polecenie Najwyższej Instancji nie dotarło do województwa? Przez tyle czasu? Wicewojewoda — bo to on podpisał tę decyzję — definitywnie i w całej rozciągłości zatwierdza postanowienie Jelitki. Likwiduje ostatecznie moje wakacje. Zarządza rozpedzenie dzieci pod groźbą sankcji karnych. Co to mogło znaczyć? Czyżby ociążała biurokracja nie zdążyła się jeszcze przestawić na nowe tory?

— Nie dziw się, Irka! — pocieszał mnie Staszek w drodze. — Myślisz, że w mojej pracy ornitologicznej mam tylko do czynienia z ptakami? Więcej jest Ładnych Ptaszków od zatruwania życia. Wszędzie, absolutnie wszędzie, nawet w zoologicznej branży. Myślisz może, że w związku z obrączkowaniem ptactwa nie było już szyszan i przewąchiwań? Wiesz, żeby ptaszek odlatujący za morze nie przenosił na nóżce razem z obrączką materiałów wrogich wobec Władzy! Nie śmieję się, serio! To jest ZMP — Złośliwa Mania Prześladowcza...

Błyskawiczny telefon do Grodeckiego rozwiął wątpliwości. Tak, to już koniec.

— Przykro mi bardzo — mówił Grodecki. — Dotrzymałem obietnicy, ale nic nie zdołałem wskórać. Decyzja jest niezłomna. Przepraszam. Złóżcie broń, nie ma rady.

Podziękowałam mu za życzliwość i kłopoty, bardzo się opeędzał od tych podziękowań i zapewniał, że zrobił wszystko, co mógł. Nie był nazbyt rozmowny; wyczułam, że przykrość, jaką odczuwał, była podwójna: że zawiódł moje nadzieje i — że tak mało już na starość znaczy w Najwyższych Sferach, gdzie kiedyś przecież coś znaczył, a i dziś jeszcze nie odszedł formalnie w niełaszkę. Teraz już doprawdy nie było chwili do stracenia: obtelefonowałam w gorączkowym pośpiechu wraz z Eweliną wszystkich rodziców, których można było zastać w domach czy biurach, wezwałam ich, żeby jak najprędzej przyjechali po dzieci, których już — po powrocie z Buga — nigdzie ani na krok nie wypuszczałam. Na ogół rodzice nie okazali tak wielkiego zdziwienia i zaskoczenia, jak w czasie, kiedy odwiedzili ich tajniacy z żądaniem oświadczeń w sprawie dolarów. Hodowali już w sobie pewne niepokoje, więc finał nie stanowił dla nich gromu z jasnego nieba.

Kapral Bałdyga i jego koleżkowie coraz chętniej zażywali spacerów wokół Sosnowianki, zaczęło się pakowanie rzeczy i odpowiedzi na trudne pytania. Sławek, ten najkapryśniejszy z chłopców, który tak dużo czasu mi zajął wmawianiem sobie najrozmaitszych dolegliwości, na co jedynym niezawodnym lekarstwem miał być natychmiastowy powrót do mamy — teraz używał tych samych argumentów dla przekonania mnie, że tylko Sosnowianka może go uratować, dalszy w niej pobyt, bo „ciocia na mnie dobrze działa i klimat”.

Dzieci natrętnie dopytywały się, poszeptując między sobą, dlaczego je w y r z u c a m. Tłumaczyłam beładnie, że nic podobnego, że to powódź winna, że nie wolno czekać, aż Bug szeroko rozleje i podmyje nam Sosnowiankę... Ale dzieci na ogół przerażały umysłowo poziom tej argumentacji. Reszta należała już do rodziców, którzy zjeżdżali przez najbliższe dwa dni i po swojemu, każdy inaczej, przekonywali o konieczności wyjazdu. Niektóre matki, moje przedkolonijne znajome, znały mniej więcej prawdę; innym mówiłam ogólnikowo o niepojętych szyszanach, których próbkę miały same w czasie wizyt składanych im w Warszawie przez milicję.

Mańka po raz pierwszy od śmierci kurczaka popłakała się i próbowała mnie przekonać, że może lepiej zostanie, żeby mi pomóc bronić się przed złymi ludźmi. A więc jednak, mimo

wszelkich środków ostrożności, coś do dzieci, tych bystrzejszych, przeciekleo niestety ze skrzętnie przeze mnie zatajanych spraw... Inne dopytywały się, czy na przyszły rok pozwolę im przyjechać „do naszej kochanej Sosnowianki”. Odpowiadałam wymijająco, że bardzo bym się ucieszyła, gdyby się tak stało. Pożegnania były wzruszające i bardzo smutne, ale nie mam teraz siły udrczać się ich przypominaniem.

Zrobiło się prawie cicho, aż nieznośnie. Prawie — bo rodziców Klementynki i Baśki nie udało się odnaleźć; spokojnie, nic nie przeczuwając, wojażowali gdzieś po zagranicach — i obie dziewczynki musiały na razie pozostać z nami. Prosiłam, żeby mówiły do mnie — ciociu, w razie czego. Zawsze wodziły rej wśród dzieciarni, były chyba najbardziej rezolutne i samodzielne, ale teraz jakoś przycichły, osowiły trochę, jakby instynktownie wyczuwały, że coś nie tak jest w Sosnowiance, że dorośli się zmienili, że wymieniają między sobą zbyt dużo wymownych spojrzeń i często porozumiewają się milczeniem. Nawet żarłocznej Klementynce pogorszył się apetyt i bywało, że budziła się w nocy z płaczem, którego sama nie mogła zrozumieć. Nasza Ewka poczuwała się do współodpowiedzialności i czytywała Klementynce bajki w szare, deszczowe dni. Czuła się dorosła: ona jedna wiedziała więcej niż reszta dzieci, była najbliżzej mnie, nie jeden sekret dotarł do niej niechcący, a luki w tych wieściach uzupełniała pytaniami, których nie można było skwitować zupełnym milczeniem.

Nie miałam głowy na rozpamiętywanie klęski. Choć wszystkie problemy rozwiązała mi Władza, uwalniając mnie od obowiązków i — miałam nadzieję — od swojej napastliwości, jeden problem pozostał, nie przez niedopatrznie, ale jako zamierzony rezultat całej akcji. Sprowadzał się do pytania — z czego żyć, jak dotrwać do końca lata. Sosnowiankę nie zaraz uda się sprzedać, więc Kalikst uruchomił nasz ostatni, niewielki zaskórniak pochodzący z pożyczki i sprzedanych książek, ten żelazny kapitalik, który miał być na czarną godzinę. Ale czy nie była to już właśnie ta najczarniejsza z godzin?

Rodzice oprócz dzieci odebrali pieniądze. Pozwracałam wszystko skrupulatnie, nie zostało nic, a nawet mniej niż nic, bo część oszczędności poszła na te zwroty. Gorzej, bo niektórzy powpłacali mi już zadatki na następne miesiące w zamian za odpowiedzialną obietnicę, że dzieci przyjmę. To była najcięższa sprawa. I zanim się z nią uporałam, musiałam uprosić nawet pewnego rodzica, aby nie żądał ode mnie — zgodnie z obyczajem — zwrotu zaliczki w podwójnej wysokości, nie stać mnie było na to. Zawiodłam w ten sposób wielu ludzi, popsułam im zaplanowane urlopy bez dzieci, nie byłam w stanie nawet się

z tej niesolidności rzeczowo usprawiedliwić. Może przeczytają tę historyjkę, zrozumieją i wybaczą.

Terapia głodówkowa, przeprowadzona przez Władzę konsekwentnie, była więc już bardzo zaawansowana, choć mimo wszystko nie osiągnęła jeszcze wymarzonego przez Sprawców apogeum. A rezultaty? Żadne, a nawet gorzej, choć nie można powiedzieć, aby usiłowania Niemiłościwie nam Panujących nie odniosły żadnego skutku. Był on jednak odmienny od zamierzonego: był niczym innym, jak dobitnym potwierdzeniem naszych racji oraz popisową kompromitacją urzędowej Słuszności. Wprawdzie odbyło się to wielkim kosztem, ale się przyda. Obraz jest jasny, a dzięki mojemu uporowi — wyjątkowo pełny, czego bym nie uzyskala, rezygnując, śladem innych maltretowanych, z walki już na pierwszych gminno-wojewódzkich etapach nagonki.

Jedno mi tylko teraz w tej apatii nie dawało spokoju: nietypowe, osobliwe praworządne stanowisko Resortu Ochrony Zdrowotności. Więc kiedy przyszedł dzień, w którym mogłam już odwieźć do Warszawy Klementynkę i Baškę do stęsknionych, świeżo przybyłych zza granicy matek i ojców — postanowiłam podziękować dobrym ludziom, którzy dziwnym trafem i niepojętym sposobem zdołali oprzeć się Słuszności i pozostać przy swoich ludzkich racjach — w samym centrum Urzędu. Posłałam z bukietem, przyjął mnie Radca, ten sam, który tak niezawisłe odniósł się do mojej sprawy. Oznajmił mi, że ów drugi, powtórzony protokół kontroli Sanepidu w Sosnowiance — także został już całkowicie anulowany, co nie było łatwe. Radca powiadomił mnie, że właśnie wczoraj wysłane zostało do mnie — jak również do Mażyńca i Parochy Górnej — pismo powiadamiające mnie o tym. Po czym zaproponował, że — ponieważ wychodzi — moglibyśmy porozmawiać po drodze. Podziękowałam za życzliwość, dałam bukiet i poinformowałam Radcę, że poniosłam klęskę, której już jego sprawiedliwy Resort nie odwróci, ale że o jego życzliwości nie zapomnę nigdy.

Szliśmy Krakowskim Przedmieściem w stronę Nowego Światu. Radca milczał długo i tajemniczo, aż się zaczęłam rozglądać, czy aby nie ma gdzieś w pobliżu huśtawek, do których mnie prowadzi, jako do najlepszego miejsca na poufne rozmowy — aż wreszcie już w pobliżu Hotelu Europejskiego przemówił:

— Chcę, żeby pani wiedziała, że przez cały czas, kiedy debatowaliśmy w Resorcie nad tym, jakby tu sformułować anulowanie, żeby owca była cała, a wilk nie doznał uszczerbku na honorze — przez ten cały czas mieliśmy na głowie Urząd Śledczy i Prokuraturę, które to Urzędy miały za zadanie — jak się pani zapewne domyśla — wywierać wpływ na nasze poczynania swoją

czujną obecnością, zniechęcić nas do podważania wyroków... No i nie pomogło.

— Tym bardziej jestem panom wdzięczna i przykro mi, że za moją sprawę musieliście nadstawić głowy.

— To nie tylko pani sprawa — powiedział Radca poważnie, niemal patetycznie, a może mi się tylko tak wydało. Pożegnał się i skręcił w Świętokrzyską. Ale już za chwilę się rozmyślił i dogonił mnie gdzieś koło sklepu zoologicznego.

— Przepraszam — powiedział zdyszany. — Przypomniałem sobie, że jeszcze muszę do księgarni. A przy sposobności jeszcze coś. To już nie ma dla pani większego znaczenia, ale ciekawostka, warto wiedzieć. Wkrótce po tym, jak zapadła u nas ta korzystna, zresztą prawnie jedynie możliwa decyzja — choć przykro, że już nieużyteczna — otrzymaliśmy oficjalne podziękowanie z Najwyższej Instancji...

— Podziękowanie?! Za co? — zdumiałam się, spoglądając to na Radcę, to na kolorowe papużki z wystawy, przypominające kolorytem Marcepnakowo.

— Zaraz — Radca potarł czoło. — Jak to brzmiało? Mniej więcej tak, że składają wyrazy uznania za wnikliwe, pełne troski obywatelskiej i oparte na niezachwianym fundamencie ludowej praworządności rozpatrzenie i załatwienie sprawy obywatelki Borowieckiej...

— Kto? Najwyższa Instancja?... — nie uwierzyłam własnym uszom.

— Tak — potwierdził Radca. — Wilki potrafią mylić tropy, jako myśliwy wiem coś o tym.

Po tych słowach odszedł i już nie wrócił. Kiedy moje zdumienie przyćmiło się nieco w przypływie zrozumienia, które można by wyrazić udoskonaloną sentencją: Wszystko Co Ludzkie Jest Im Obce — naszło mnie zdziwienie nowe, czy raczej zaniepokojenie: dlaczego Radca tak mi zaufał, mnie, nie znanej mu prawie? On, z urzędu przywykły do wstrzemięźliwości w ujawnianiu własnych myśli, a w dodatku tak dalekich od Słuszności? Nie znajdowałam odpowiedzi. Zresztą nie dociekałam zbyt żarliwie, jako że nie miało to już praktycznego znaczenia. Wszystko było skończone i miałam wracać do Sosnowianki oczyszczonej z moich niedozwolonych praktyk pedagogicznych, gdzie czekał na mnie Kalikst, a i Ewelina — już pozbawiona wszelkich obowiązków — też postanowiła tam pobyć i odpocząć — po wszystkim. Najważniejsza była myśl o mojej Ewce, do której chciałam natychmiast wracać, żeby jej choć częściowo wynagrodzić jakoś popsute wakacje.

IX.

Cóż mi z tego wszystkiego pozostało — oprócz parunastu łózek polowych, prawie nowych, które będę próbowała sprzedać? Oprócz Królowej w Koronie i Serduszka z kory od Mańki? Przede wszystkim dużo, obficie — pustki, uciszenia, którego nie raz tak pragnęłam, kiedy wesołe brewerie dzieciarni nakładają się na groźne brewerie Władzy — i znajdowały we mnie tylko resztki cierpliwości, którą z trudem na sobie wymuszałam. Teraz ta pustka, przemierzana wszere i wzdłuż przez stropionego samotnością kurczaka salonowego — była nie do zniesienia, zwłaszcza w pierwszych dniach. Dojadaliśmy makarony i kasze, których spory zapas nam został, mięsa nie było, Nochal znikł gdzieś już dawno i nie dawał żadnego znaku życia. Brak cieleciny nadrabialiśmy drobiem z Rzęs, z Grobli. Później, z czasem, po kilku tygodniach, trochę pogodziłam się z opustoszałą Sosnowianką. Ewelina na parę dni wyjechała, przyjechał Kalikst i urządzaliśmy sobie czasem dalsze wyprawy, unikając schodzonych przez dzieci miejsc. Listonosz przestał nas odwiedzać, a nawet gdyby przyszedł, nie wywołałby popłochu żadną urzędową przesyłką. Było już przecież po wszystkim i Władza, utrudzona batalią, mogła wreszcie spocząć na laurach, lub podjąć inne, równie ważne zadania. Tak, byliśmy pokonani i jedyną pociechą było mi to, że nie oddałam bez oporu swoich pozycji, choć wszelkie, najoczywistsze racje musiały zginąć w paszczy Słuszności.

Więc — co mi z tego wszystkiego pozostało? Przede wszystkim ta oto historia — nazwijmy ją skromniej historyjką — którą teraz kończę utrwać — ku pamięci. To mój jedyny obowiązek związany z Aferą, który mi pozostał po spełnieniu — i niespełnieniu — wszystkich innych moich powinności. Ta właśnie dobiegająca kresu historyjka. Dopiero postawiwszy kropkę po jej ostatnim zdaniu, będę mogła sobie powiedzieć, że wywiązałam się z podjętego zadania, anonsowanego w dziale ogłoszeń „Głosu Stolicy”: „Pedagog przyjmie dzieci na wakacje”. Ze tak właśnie ją kończę, że miała całkiem odmienny przebieg od zamierzonego, to już załuga nie moja i nie mnie za to chwała.

Nie odwiedzał nas już w tym czasie prawie nikt, prócz zaprzyjaźnionej Gajówki. Raz jeden tylko, wkrótce po wyjeździe ostatnich dzieci, zjawił się zniecka pan Karolak, kierownik szkoły podstawowej w Zagórze. Tłumaczył się gęsto, że był na długim urlopie, że dopiero co wrócił i doszły go jakieś niepokojące słuchy o moich trudnościach z prowadzeniem kolonii. Nie znałam go, ale zapewniał o swoim szacunku dla Kaliksta (Kalikst był właśnie na spacerze) i z dumą powiedział, że dwie książki mego męża są w bibliotece szkolnej z dedykacją autora. Ubole-

wał, że jakieś przykre komplikacje, jak słyszałam, uniemożliwiły mi pracę wychowawczo-wakacyjną; szkoda że zawczasu nie porozumiałam się z nim, zanim zaczęły się ferie, bo ma praktykę i pomogłby uniknąć kłopotów...

Nie informowałam go bliżej, w czym rzecz i jakie moce maczały w tym palce i umywały zarazem ręce. Nie znałam go a zwiększona ostatnio siłą faktów podejrzliwość radziła mi nie dowierzać jego uczynności i dobrym intencjom. Być może krzywdę go, może czysta życzliwość wiodła jego kroki do Sosnowianki? Nie wiem, ale mogło to wyglądać na nieoficjalną kontrolę, na próbę sprawdzenia, czy dzieci zgodnie z decyzją władz odjechały do domów. Już tylko nasza Ewka była z nami, jeszcze bardziej niż my osamotniona, pozbawiona nagle i niespodziewanie wszystkich rówieśników, przyjaciółek, towarzyszy zabaw. To też najchętniej wyrwała się do Gajówki, gdzie spędzały wakacje wnuczki gajowych i gdzie — mimo nawału pracy — panowała zawsze pogodna atmosfera i — wynikająca po trosze z braku kontroli ze strony zaaferowanych dorosłych — urzekająca swoboda.

Tu, w Sosnowiance, mimo upływu czasu — już wybiegającego właściwie poza ramy tej opowieści — było bardzo pusto. Ewelina dawno pozbierała pozostawione przez dzieci drobiazgi: drewniaki Marioli, berecik Mańki. I ja od czasu do czasu znajdowałam coś po kątach, to za piecem, to pod szafą — zepsuta fuzijkę, czyjeś rajstopki i dużo, dużo kory sosnowej. Pewno w Warszawie zgłoszą się po to wszystko, prócz kory, rodzice, trzeba będzie pozabierać. *Finis Coloniae!* — zażartował pan Roman, ale to było nie tylko to — to był przede wszystkim koniec resztki złudzeń. Pani Marcysia dawno już wyjechała i w domu zabrakło najbardziej stabilnej podpory.

Czułam się trochę tak, jak artysta obdarzony owocą zanim zdołał wejść na scenę i zasłużyć. Postanowiłam więc spłacić ten kredyt — i to także było bodźcem do spisania tych wspomnień, które oby się stały choć cząstkowym, *ex post* wypracowanym uzasadnieniem zainteresowania, jakim raczyła darzyć mnie Władza. I jej, Władzy, trudno było tak nagle odstąpić od Sosnowianki, podobnie jak dla mnie ciężkie było rozstanie z dziećmi. Cóż, przywiązanie! Przywykła do nas, zaangażowała tyle urzędniczej subordynacji w służbę Słuszności, że nagle przerwanie tego procederu mogłoby się niekorzystnie odbić na jej Wysokim Samopoczuciu. Czymże innym tak na poczekaniu, bez rozważnych przygotowań zaspokoi tyle gotowości miejscowych Funkcjonariuszy, ich ochoczą pasję posłuszeństwa? Moje supozycje i niepokoje miały wkrótce znaleźć potwierdzenie. Z Małżyńca nadszedł nakaz wpłacenia podatku od kolonii. Prędko wydobylam odpo-

wiednią kwotę i wpłaciłam, nie czekając na upomnienie i grożące mi odsetki za zwłokę. Gdybym nie zrobiła tego, miałabym z pewnością materiał na aneks do tej opowieści, ale nie *happy end*. Wprawdzie takie kolonijne przedsięwzięcia są całkowicie zwolnione od podatków, ale pamiętna przestroga mecenasa i własne moje doświadczenia kazały mi nie oglądać się na racje, ale wreszcie uznać nadrzędną Słuszność. Wakacyjna nauka nie poszła w las.

A my całymi dniami wędrowaliśmy po lasach, tych odleglejszych, mniej nam znanych. Było tam wilgotniej, paprotniej i grzybów więcej. Zbieraliśmy i suszyli potem w Sosnowiance, a te zatrudnienia pomagały mi bardzo. W tych dalekich lasach stare carskie okopy sąsiadowały z nowymi — polskimi, rosyjskimi, niemieckimi. Były tylko doszczętnie zarosłymi zagłębieniami, urozmaiceniem krajobrazu, wyschłymi prałożyskami wojen. Nazwy miejscowe, jak się dowiedziałam, datowały niejako te niezróżnicowane ślady różnych dziejów: jedno takie miejsce zwano — już nie znając genety nazwy — Pałatki, zapewne od moskiewskiego obozowiska wojskowego sprzed ponad pół wieku, inne — Doły, co mogło się wiązać z tamtejszymi bezimiennymi egzekucjami w latach wojny, tej ostatniej. Nasza Ewka rzadko towarzyszyła nam w tych wyprawach, wołała hasać z dziećmi w Gajówce. Potem tylko, po powrotach, późnymi popołudniami, lubiła pomagać przy czyszczeniu zebranych grzybów i nawlekaniu do suszenia. Rosły nawet pod samym domem. Jeszcze Mariolka przed wyjazdem zdążyła znaleźć w sosnowiańskim lesie dwie dorodne kanie, ale ich tłumne pojawienie się nastąpiło dopiero teraz. Wokoło domu, w dołku, koło szopy, wzdłuż ogrodzenia — wyrosły piękne, wysokie, płowo- i buro-centkowane parasole. Potrzeba do tego tylko tłuszczu i soli — można i odrobinę mąki dodać — i zdejmuje się z patelni pyszne niby-sznycle, bardziej przypominające w smaku kurczę niż grzyb. Kań było dużo, za dużo na nasze doraźne potrzeby, a z każdym dniem wyrastało ich więcej. Toteż kiedy odwiedzili nas od dawna zapraszani Rupeccy z Rzęs, mogliśmy się im odwdziżyć za ich gospodarskie, wiejskie poczęstunki — przyjęciem leśnym. Obrumienione kanie smakowały im bardzo, bo w ich nie tak odległych stronach była to potrawa prawie nie znana.

— Nic nie gorsze od kury! — uprzejmie chwalił Rupecki. — Tyle, że jajek nie znosi, ale za to i karmić nie trzeba, las karmi!

— Ale państwa nie wykarmi... — powiedziała Rupecka, która wiedziała o wszystkich naszych niepowodzeniach. — A skąd brać? My to co innego — póki nam ziemi nie odbiorą, zawsze

sobie sami wyhodujemy życie i biedy nie będzie, ale tu? Jak nawet prawo unieważnili?...

— Nie mów, Hela — zaproponował Rupecki. — Jest prawo, tylko że takie jak w wojsku. „Na praaawo patrz!” mówią i patrzy się. A to prawo, to jest ten, co od rozkazywania, ten ważny. Dziś popatrzyś na Prawo, to ci powie to i to. Jutro całkiem co inszego. I to jest ichnie prawo, baczność i szlus!

Rozpaliliśmy na intencję gości ogień w kominku, chwalili, że ładnie, cug dobry, wszystek dym w komin idzie, ani-ani na pokój, tyle, że dużo drwa idzie, a ciepła tyle, ile ognia, nie tak jak w piecu... Ewka przyniosła z szopy nowy zapas żywiczych szczap, żeby gościom dogodzić, w blasku kominka loczki iskrzyły jej się przesłicznie od kropel deszczu; padało coraz gęściej. Rupeccy narzekali, że przy zbiorach trzeba po kolana lgnąć w błocie i rozlewiskach, łowić ogórki jak jakie zielone ryby na dnie tego mokradła.

Odwozłam ich do Rzęs, a droga za Zagórzem, która biegła między rozległymi łąkami, teraz wyglądała jak wąska grobla na szerokich wodach.

Więc nawet przyjmowaliśmy gości! Kto inny na moim miejscu starałby się chyba jak najszybciej spakować manatki i wyjechać z miejsca poniesionej dopiero co klęski, nie wdychać dłużej tego opustoszenia. I ja bardzo pragnęłam odmienić scenę, ale zostałam wbrew sobie, na przekór: chciałam tym zamaniifestować, że m i m o w s z y s t k o jestem tu u siebie w domu, z którego nic i nikt nie jest w stanie mnie wykurzyć. Więc po trosze demonstrowałam swoją obecnością — na pokaz Uszom i Oczom — rzekomy spokój nie chcąc, aby mój wyjazd był poczytany za objaw popłochu. Może bym się tak nie zawzięła, gdyby nie ów nakaz podatkowy, który potraktowałam jako przypomnienie mi, że Władza czuwa i że jest nadal obecna w Sosnowiance, gotowa podeptać w każdej chwili dywan swoimi brudnymi butami.

Wkrótce nastąpił kolejny akt, przypominający mi, że nie jestem tak niezawisła, jak może mi się wydaje. Otrzymałam urzędowe pismo z Kolegium Karno-Orzekającego, zawiadamiające mnie, że w dniu tym a tym odbyła się przeciwko mnie rozprawa! Najwidoczniej w trybie zaocznym, choć nigdy nie byłam wzywana, i nie powiadomiona o jej terminie. „Sprawa przeciwko obywatelce została umorzona na mocy Amnestii”.

Czyż mogłam się była spodziewać, że zostanę objęta dobroczynnym działaniem Amnestii? Wzięta z całym bagażem grzechów moich pod jej matczyne skrzydła? Co mi zarzucano, o co oskarżano — do dziś nie wiem. Może o to, że przetrzymałam

dzieci nieco dłużej, niż mi Naczelnik Jelitko zezwolił? A może o cokolwiek innego, rozbłyśniętego w głowach Funkcjonariuszy, rodmuchujących jeszcze zapalczywie ostatnią, dogasającą już iskierkę sosnowiańskiej Afery? Nie dociec mi tego, nie mnie to wiedzieć, niedostępne maluczkim są zrządzenia Wymiaru niesprawiedliwości.

Ten nieoczekiwany akt skłonił mnie do dalszego przedłużenia pobytu w Sosnowiance, w błogim nieróbstwie, pod zezowatym okiem kaprała Bałdygi. Miałam nadzieję, że nikt nie będzie usiłował legitymować mojej Ewki, aby sprawdzić, czy jest moim dzieckiem rodzonym, czy też — odpłatnym, jak się zrećnie wyraził był o moich wychowankach jeden z Funkcjonariuszy. Tak bardzo zapałam się w miejscu, tak gwałtownie zapuściłam korzenie pod wpływem nowej korespondencji, że brałam pod uwagę nawet możliwość pozostania dłużej niż pozwalają na to ferie szkolne. Ewka uczy się bardzo dobrze, pierwsze dni szkoły nie bywają przeładowane nauką, więc kilkudniowe opóźnienie nie powinno jej zaszkodzić. Mimo przykrej pustki, która nie przestawała straszyć z każdego kąta, chcieliśmy się jeszcze nacieszyć — może to złe słowo — więc chcieliśmy jeszcze naoddychać Sosnowianką, bośmy ją postanowili sprzedać. To była bardzo ciężka decyzja, ale jedyna, którą można było i należało podjąć. Kalikst długo dławił ją w sobie, zanim któregoś dnia udało mu się ją wykrztusić i sformułować. Kilkanaście lat budował ten domek, wyposażał go ze mną żmudnie w realizację naszych marzeń; już wywózka mebli po włamaniach była jakby początkiem likwidacji. Teraz trzeba będzie doprowadzić to do końca, żeby przeżyć. A poza tym moja klęska miała jeszcze jeden aspekt: oto w oczach sąsiadów i kaprała Bałdygi et Co. Sosnowianka stała się czymś, co pozwala sobie dmuchać w kaszę, obiektem bezbronnym, zdany na łaskę i niełaskę kapryśków Władzy. Teraz już nie uchroni się od żadnych napaści, nawet miejscowych, zaściankowych, teraz jest już Kaczym Kuprem.

Właściwie wracało się do Sosnowianki tylko czasem na obiad i zawsze na noc. Całymi dniami jeździliśmy i włóczyliśmy się po dalszej okolicy, odwiedzaliśmy piękne, stare kościoły zagubione i dobrze zasiedziałe w swoich zapadłych stronach. Piątego sierpnia, w rocznicę śmierci Janusza Korczaka i jego dzieci w komorze gazowej — to już 35 lat, urodziłam się, kiedy one zginęły — pojechaliśmy do Treblinki; to straszne miejsce leży nie tak daleko od nas. Nie mieliśmy już żadnych obowiązków wobec dzieci żywych, chcieliśmy zawieźć kwiaty dzieciom zamordowanym i Staremu Doktorowi, wielkiemu patronowi moich mizernych prób i usiłowań pedagogicznych. Zastaliśmy tylko tłumy kamieni, pochody głazów, milczące, martwe zbiegowisko. Ani

jednego człowieka, jak w księżycowym kraterze, nawet dozorca i zarazem przewodnik po tym mauzoleum miał chyba wychodne, bo nie zastaliśmy nikogo przy wejściu, ani gdziekolwiek indziej. Było cicho na tym terenie zatłoczonym kamieniami. Wetknęliśmy kwiaty do znalezionej słoika, który napełniłam rdzawą wodą deszczową zaczerpniętą z pustych blaszanych mis na znicze. Wstrząsający wyraz tego obszaru-pomnika zwielokrotnił się — przez to bezludzie, brak żywej duszy. Kamienie, połupane na kształt nieforemnych, wyniosłych figur — zastępowały tu teraz wszystkich nieobecnych: i tych, którzy ulecieli stąd z dymem krematorium, i tych, którzy nie przyszli.

Wokoło był las — gęsty, rosnący na ludzkich popiołach. Niektóre drzewa nie wydawały się starsze od tutejszych śmierci, niektóre, rosłjsze — musiały za młodu być jej świadkami. Za zakrętem zobaczyłam warszawę i fiata — puste. Ich pasażerowie buszowali w pobliżu po tym lesie, zbierając z zielonego cementarzystka dorodne grzyby: przybyli na miejsce szczególnie urodzajne dla maślaków i borowików, jałowe dla zanikającej pamięci.

Krażyliśmy w tej kamiennej ciszy parę godzin, jakbyśmy podświadomie czuli się umówieni z kimkolwiek, kto tu dziś zechce przyjść, ale nie przyszedł nikt.

Do Rzęs i Grobli już nie jeździłam; zakupy się skończyły, a gospodarze byli bardzo zajęci żniwami i załamywaniem rąk nad coraz bardziej wzbierającą powodzią. Raz tylko wstąpiliśmy do Rzęs i okazało się, że nie ma już malowniczej łąki w dolince, że na jej miejscu toczy fale wielkie rozlewisko Ciekotki. Wróciła Ewelina i razem próbowaliśmy przemierzać ten pusty czas, odwiedzając Gajówkę, albo jeżdżąc i włączając się po dalszych okolicach i pilnie zamykając furtkę Sosnowianki na klucz. Huszawki wyglądały już od dawna jak nieruchomi wisielcy na szubienicach; Kalikst pozdejmował je i schował na strychu. Staraliśmy się nie wracać w rozmowach do przykrych dla nas wszystkich tematów, obowiązywała milcząca umowa, że wspominać nam wolno tylko to, co wspominać warto. Więc przede wszystkim dzieci, ich szczęśliwie uchowaną aż do końca beztróskę, ich całkowitą niewiedzę o Złych Czarnoksiężnikach. Ale nie tylko dzieci zasługiwały na dobrą pamięć. Także Grodecki i Radca z Resortu Zdrowotności — dwaj, którzy mieli odwagę podjąć się niewdzięcznej roli sprawiedliwych. Grodecki — rozumiem, jest Kimś, nie ryzykował kariery, za wysoko by sięgać do niego, za krótkie są ręce Funkcjonariuszy. Ale Radca? Skąd czerpał siły i ryzykowną niezłomność w obronie prawa? Nie umiałam sobie jeszcze wtedy odpowiedzieć na to intrygujące pytanie. Dziś, kiedy już wiem, że Radca wraz z rodziną wyjechał wkrótce

potem na miesiąc do Neapolu, aby pozostać tam już na zawsze — znam już źródło jego niezawisłych sądów i nieustraszonych decyzji. Italia! Kraina Garibaldiego! Zawsze bywała siedzibą wybitnych osobowości.

Wieczory w Sosnowiance stały się pełne nieustannego szumu i plusku: zaczęły się ciągłe ulewy i deszcz chlostał szyby i bębnił po dachu. Aby zagłuszyć to dobijanie się niepogody do naszej sosnowiańskiej przytulności, włączałam telewizor zaraz po położeniu Ewki do snu. Zaczynał się telewizyjny Wieczór z Dziennikiem jak zawsze ruchomym esem-floresem, białymi zawijasami obracającymi się wokół osi — wizualnym sygnałem dziennika — co nazwano już dawno Owijaniem Wiadomości w Bawełnę.

Tego dnia na ekran wkroczyła cesarska para z Iranu, entuzjastycznie witana na okęckim lotnisku. A jednocześnie tylnymi drzwiami od kuchni wkroczył dawno nie widziany Nochal, pokapując deszczówką, z workiem mięsa i sakramentalnym „Szanowanie pani!”, które dobiegło do mnie razem z falą bimbrowatych woni.

— Nie trzeba mi, panie Nochal, ja jeszcze mam co jeść, a dzieciaków już nie ma.

— Jakto — nie ma?

— Władza zakazała. Nie ma i już nie będzie.

Pokiwał głową i miałam wrażenie, że chce splunąć, z czego zrezygnował spojrzawszy na czystą podłogę.

— O! — dotknął mokrym palcem do telewizora. — Królowie, monarchowie się do nich zjeżdżają, a dzieciątka im szkodzą? Herody!

— Widać szkodzą.

W telewizorze zagrzmiało powitanie Gości w wykonaniu wojskowej gwardii honorowej: „Czołem Wasza Cesarska Mość!”. Chwała Bogu nie pomylili się. Może zresztą nie była to „Mość”, ale „Wysokość”, co trudno było ustalić, bo zasady militarnej dykcji nawet trzysylabowy wyraz zmieniają w jednozgłoskowy nieartykułowany okrzyk — z dawna przygotowany okrzyk monarchistyczny. Szachinszach Iranu z małżonką ustąpili miejsca na ekranie rodzimym Osobistościom w kolejnym punkcie serwisu informacyjnego.

— Żeby aby Śpiąca Królowna nie zjechała do nich — zauważył Nochal z troską — bo jak by ją obudziły takim rykiem, to by konwulsji dostała...

— Upił się pan ździebko, panie Nochal — powiedziała Ewelina. — I sam pan nie wie, co plecie.

— Upił się upił — sprostował Nochal. — Popił sobie, ale za własne pieniądze. A co? Miałem się powiesić? Sznurka tera

pani nigdzie za żaden pieniądz nie dostanie, a wesoło mi nie jest, bo mi gliny dwie zadnie ćwiartki cielaka rąbły. Na nich robię! To i przez to tyli czas nie byłem.

— Niech pan poczeka — powiedziałam. — Zostałam panu winna sto dwadzieścia za poprzednie mięso, z tego któregoś-tam czwartku, pamięta pan?

Poszłam do kuchni po pieniądze. Przez okienko w ścianie zobaczyłam, jak zarzucił swój worek na plecy i wpatrzony w telewizor wyprężył się chwiejnie na baczność i wyskandował:

— Czołem, Kurwa Wasza Mać!

Irena BOROWIECKA

Nowości wydawnicze

BIBLIOTEKI « KULTURY »

TOM 285 — KAZIMIERZ BRANDYS

SERIA « BEZ CENZURY »

NIERZECZYWISTOŚĆ

NOWA POWIEŚĆ WYBITNEGO PISARZA.

Str. 128.

Cena F. 25,00.



TOM 286 — WŁADYSŁAW GNOMACKI

TOWARZYSZ SZMACIAK

SATYRA WIERSZEM NA APARAT PARTYJNY I UB.

Str. 72.

Cena F. 20,00.

Życie osobiste *

(OBSZERNE FRAGMENTY)

Po ostatnim semestrze na dziennikarce przywiozłem z powrotem do Łodzi puchową koldrę, która mi wiernie towarzyszyła przez cztery lata tułaczki po zimnych, sublokatorskich pokojach na Pradze, Grochowie, Ochocie i stałem się intelektualistą. Do południa leżałem na tapczanie i czytałem wszystkie książki zagranicznych autorów, jakie się tylko pojawiły — w księgarniach, a popołudnia jak reszta miejscowych intelektualistów, przesiadywałem w „Honoratce”, gdzie schodziły się również adeptki rozmaitych dziedzin sztuk plastycznych, muzycznych i teatralno-filmowych, oraz początkujące kurewki ze średnim wykształceniem, które też miały artystyczne aspiracje i artystom lub intelektualistom dawały za darmo.

Po Łodzi chodziło wtedy jeszcze trochę samotnych żydowskich Mohikanów: kulawy inwalida wojenny, który udawał, że naprawia zegarki, a czasem naprawdę naprawiał, czapnik, który handlował walutą, kamasznik, którego nigdy nie było w warsztacie, naprawiacz wiecznych piór, którymi już się nie posługiwano, akordeonista Sergiej, który rzeczywiście grywał na zabawach w spółdzielniach i na weselach, łysiejący lowelas Lolek, który szwendał się po Piotrkowskiej z aparatem fotograficznym i podrywał panny, udając, że jest fotografem. Dostawali paczki od krewnych z zagranicy i zasilki inwalidzkie od Jointu za pośrednictwem Żydowskiej Komisji Pomocy Społecznej, która w ten sposób zasilala w dewizy niezbyt zdrowe również państwo ludowe. Z samych amerykańskich ciuchów, które szły w komisach

* Pomimo łudzącego podobieństwa, nie należy postaci z tej powieści utożsamiać z autentycznymi osobami, a narratora z Autorem (H.G.).

jak woda, można się było utrzymać, zwłaszcza, że żon ani dzieci nie mieli. Żenić się było już dla nich za późno, a poza tym nie mieli z kim. Wyjeżdżać — dokąd? Co za kariera czekała za granicą czapnika, kamasznika, naprawiacza piór i ulicznego pseudo-fotografa, zwłaszcza w przedemerytalnym wieku. Komu tam sprzedawałoby swoje amerykańskie ciuchy, albo dolary? Byli przy tym rozpieszczeni przez wędrujące z miasta do miasta kurwy, które znajdowały cichą przystań w ich kawalerskich mieszkaniach i wymieniały między sobą mohikańskie adresy w Łodzi, Szczecinie, Wrocławiu. W Warszawie taki adres był na wagę złota. Serdeczna zażyłość łączyła owe wędrowne ptaki i starzejących się żydowskich Mohikanów, bo mało kto bywa tak samotny jak kurwa lub Żyd, który pozostał w Polsce. Nadejdzie na przykład święto i gdzie ma pójść na Wigilię kurwa? A gdzie ma się skryć w Wielki Tydzień? A co ma wtedy począć z sobą polski Żyd, ostatni ze swego ludu bezdzielny Mohikanin? Siadają więc sobie razem koło tapczanu i jedzą na Boże Narodzenie czulent, a macebran na Wielkanoc — pożywne żydowskie potrawy, nie mówiąc o takich seksualnych przysmakach, jak nadziewana szyjka, pierożki z mięsem i kurze pypki na Wszystkich Świętych czy Boże Ciało. Taka sama przyszłość czekała i mnie, najmłodszego z łódzkich Mohikanów. Wiedziałem o tym, ale nie zgłaszałem się do pracy w żadnej redakcji, bo w ciągu czterech lat studiów zdążyłem się na tyle zapoznać z naszym dziennikarstwem, że wolałem raczej zestarzeć się jako niepotrzebny nikomu Żyd, niż jako kurwa.

Zapisałem się za to na Studium Nauczycielskie, żeby mnie nie capnęli do wojska i z nowiutką legitymacją zgłosiłem się natychmiast do Żydowskiej Komisji Pomocy Społecznej po zapomogę studencką. Po szwancparadzie przed komisją wojskową, przed którą zaslaniałem skromnie swą nagość także studencką legitymacją, przestałem bywać na zajęciach Studium Nauczycielskiego, podobnie jak wielu innych chłopców, którzy nie garnęli się ani do „zaszczytnej służby wojskowej”, ani do niemniej „zaszczytnej” zawodu nauczycielskiego. Pozostało mi jednak comiesięczne stypendium z ŻKPS, które bardzo mi było potrzebne, bo pieniądze, które mama i Uszer zostawiali mi na książeczkę oszczędnościowej, stopniały już w ciągu pierwszej zimy wraz z ostatnimi śniegami.

W połowie miesiąca, gdy wyczerpywało się moje żydowskie stypendium, wzywałem na ratunek Sałatę, który od lat kupował u nas stare buty i ubrania, zbędne garnki i inne nadużyte sprzęty domowe. Kupował nie za gotówkę, lecz za jabłka na zimę, na zasadzie starodawnego handlu wymiennego: towar za towar.

Sałata mieszkał w Łodzi, ale pozostawał w bliskim kontakcie z wsią, z której pochodził, gdzie jabłek było zawsze więcej niż handel państwowy mógł przejąć, przewieźć, zmagazynować, przetworzyć. W rezultacie gospodarze karmili jabłkami świnie, a w mieście jabłka drożały. Uszer brał od Sałaty jabłka całymi skrzyniami i wymoszczone wiórami składał w piwnicy. Jedliśmy je całą zimę w postaci naturalnej, albo weków, szarlotek i jabłecznego wina — w zamian za stare garnki, ubrania, buty, które inaczej wylądowałyby na śmietniku.

Ja w mojej kawalerce nie miałem piwnicy i w przeciwieństwie do Uszera i mamy bardzo potrzebowałem gotówki. Sprzedawałem mu więc nie tylko stare koszule i spodnie, ale rękawiczki, powłoczki i prześcieradła, których mama nie mogła udźwignąć za granicę, drabinę do malowania mieszkania, którego nigdy nie malowałem, wiadro do zmywania podłogi, której nigdy nie zmywałem, obrus, który mi wcale nie był potrzebny na stole, kapę, bez której mój tapczan i tak wyglądał pociągająco, makatę zupełnie zbędną nad tapczanem, tasak, którym nie miałem co siekać, miednicę, w której się nie musiałem podmywać, mając prysznic, szczotkę do włosów, których nie musiałem szczotkować, brzytwę, którą nie umiałem się golić, podartą teczkę, którą Sałata umiał zreperować, kłódkę, do której umiał dopasować klucz, sweter, który mogła scerować jego żona i zdartą miotłę, która tylko jemu mogła się przydać. Sałata nie był wysoki, ale mocno zbudowany. Pobierał jakąś rentę inwalidzką, ale żwawo chodził po schodach z ciężkim nieraz workiem na plecach. Latem i zimą nosił tę samą czapkę z daszkiem w przedwojennym stylu i chłopskie buty z cholewami. Na jesieni wkładał do tego trzyćwiertniową kurtkę z wojskowego sukna, na watolinie i z barankowym kołnierzem, w której przypominał bardzo mojego ojca, pachciarza z Radoszyny.

Sałata nie tylko spełniał żydowską funkcję, ale i umiał handlować jak Żyd. Znał się na każdym towarze. Spodnie oglądał pod światło, czy bardzo przetarte w siedzeniu i badał kanty mankietów. Sprawdzał grubość prześcieradła — nie z brzegu, ale po środku, gdzie się najbardziej przeciera: kupca nie oszukasz. Przypalał zapałką włókno wyciągnięte z marynarki — czy wełna. Opukiwał podeszwy pantofli, obmacywał przyszwyy, noski, futrówkę. Sprawdzał trwałość koronek u serwet, sprężystość widelców i ostrość noży, sprawność osi nożyczek. Opukiwał pamiątkowe malowidła, przywiezione przez mamę z Zakopanego i Krynicy, podśmiewując się z kapeluszy malowanych górali oraz ich garbatych, żydowskich nosów.

Sałata rzucał rzeczy na stos, na środek pokoju, a ja zapisywałem cenę. Dwa prześcieradła — piętnaście złotych, obrus pięć, koszula z przetartym kołnierzem — dziesięć, tasak — dwa pięć-

dziesiąt. Za spodnie przetarte w kroku mogłem zjeść w „Simie” na Placu Wolności rumsztyk albo sztufadę, ewentualnie karpia po żydowsku lub sandacza po polsku i popić małym piwem. Za krynickiego górala — jajecznicę w barze mlecznym, za tasak małe kakao, za blaszany grzebień z pogiętymi zębami bułkę z masłem lub duże mleko, za niedobitą niemiecką filiżankę ze złotymi girlandami — knedle i zupę grzybową, za rdzewiejącą miednicę — puszkę pożywej konserwy o egzotycznej nazwie „Sielź atłanticzeskaja”.

— Co tam jeszcze? — rozgląda się Sałata. — Spinki do mankietów, przyćmione, trzeba doczyścić, krawat wyświecony pod brodą, parasol też przeredzony, przecieka, żona będzie musiała podcerować... Razem za dychę.

Nie targujemy się. Ja podliczam na papierze, a Sałata w pa-mięci. Wreszcie Sałata podnosi mój sweter z „Galluksu”, trzyma go za rękaw dwoma palcami, że niby nie warto się dla czegoś takiego fatygować, rzuca na stos i proponuje za wszystko razem sto dwadzieścia złotych.

— Pan chyba żartuje, panie Sałata! — zaoponowałem. Ja zapłaciłem za ten sweter pięćset złotych, nosiłem go tylko parę miesięcy... Przecież to wypadnie zaledwie dwadzieścia pięć złotych za sweter!

— A ile byś pan chciał za porozciągany gałgan?

Nasz targ zawsze dochodził do stu dwudziestu złotych. Był to widocznie limit obrotów Sałaty. I za każdym razem była taka jedna rzecz, przy której nie mogliśmy się zgodzić. Przy swetrze upierałem się dłużej niż zwykle, bo sam go sobie kupiłem, już po wyjeździe Uszera i mamy, kosztem wielu wyrzeczeń. Miał ładny, jasnoszary kolor, wycięty był w klasyczny serek według zagranicznego wzoru i wyglądał jak z importu. Pech chciał, że po pierwszym deszczu rozciągnął się nie do poznania.

— Niech pan pakuje do worka to, co jest za dziewięćdziesiąt pięć złotych, a swetra na razie nie sprzedam.

— Ale tak to miałbyś pan całe sto dwadzieścia, jak zawsze.

— Tym razem nie potrzebuję aż tyle.

— Aaa, to tak! To ja tu na pańskie zawołanie przez pół świata drałuję, w deszcz, śnieg i błoto i jak góral jakiś zasuwam po stromych schodach i siedzę tu cenny czas życia marnując, a pan mi po tym wszystkim powiadasz, że nie potrzebujesz pan moich pieniędzy!...

— Ależ ja tylko mówię, że nie chcę sprzedać swetra...

— Jak tak, to ja nic nie biorę i cały handel na nic! — zawołał obrażony Sałata, nacisnął czapkę na czoło i ruszył do drzwi.

Zrozumiałem wtedy, że Sałata zawsze sobie z góry upatrywał taką rzecz, którą kupował za bezcen i dlatego z nonszalancją płacił za pozostałe drobiazgi nie targując się i przepłacał za wiele rzeczy, których nawet on nie potrzebował. Jego polityka handlowa polegała też na tym, że nigdy nie odmawiał kupna, wszystko jedno co mu oferowano. W ten sposób mylił czujność kontrahenta, który myśląc, że ma do czynienia z frajerem, bardzo sobie handel z Sałatą cenił. Wyszło szydło z worka, Sałata się zdemaszkował, ale co miałem zrobić? On mógł się beze mnie obejść, a ja bez niego nie. Poza tym nie mogłem przecież nosić swetra, w którym zmieściłoby się dwóch takich jak ja. Pobiegłem za Sałatą i zawróciłem go ze schodów.

— W porządku, w handlu nie ma gniewu — powiedział.

Sałata mieszkał na Obrońców Stalingradu w ciemnej oficynie o grubych murach z przełomu wieku. Obrońcy Stalingradu długo mogliby się tam bronić. Do mieszkania prowadziły potężnie okute drzwi. Kiedy się je otwierało, ukazywały się drugie drzwi i becłka z kapustą pomiędzy pierwszymi a drugimi drzwiami. Przychodziłem tam za każdym razem, gdy potrzebny mi był Sałata, który oczywiście nie miał telefonu. Sałata i Sałacina gościnnie mnie zapraszali do środka i z nie ukrywaną dumą pokazywali, jaki pożytek mają z moich obrusów, firanek i kap. Wołali syna, który w kuchni odrabiał lekcje, żebym zobaczył jak przystojnie wygląda w mojej przenicowanej marynarce i odświeżonym krawacie, kazali mi obejrzeć zrećnie załataną teczkę, która mu z pewnością wystarczy do matury, a może i, jak Bóg da, na studia. Patrzyłem ze szczerym podziwem, ale najbardziej byłem zdumiony, gdy pewnego dnia, szukając dla siebie innego, tańszego swetra, zajrzałem do komisju na Traugutta i wziąłem do ręki ten sam sweter, który sprzedam Sałacie. Miał fachowo przyszytą metkę z mojej starej amerykańskiej marynarki „100 % WOOL” i cenę: trzysta pięćdziesiąt złotych. Nie był też na nikogo za szeroki, tak ładnie — do następnego deszczu — wsta-pił się w praniu.

Od tej pory miałem się na baczności, ale nie zawsze udawało mi się stwierdzić, o który towar Sałacie naprawdę chodzi. Jeśli zbyt długo do niego nie zaglądałem, to sam się zgłaszał, bez uprzedzenia, bo nie był przyzwyczajony do używania telefonu. Umiał mnie zastać w domu. Nawet potem, gdy częściej bywałem w Warszawie niż w Łodzi. I zawsze przynosił w worku trochę jabłek, które mi zostawiał bez względu na to, czy akurat miałem mu coś do sprzedania, czy nie.

Dzięki Sałacie zjadałem kilka posilniejszych obiadów albo kolacji na Placu Wolności, a w pozostałe dni chodziłem do kongregacyjnej koszernej stołówki, wspieranej przez Jointowskie do-

lary, gdzie za jedyne pięć złotych, jako „student”, miałem prawo do zupy i wołowiny w cieniutkich plasterkach, przystawki z siekanej wątróbki lub płuczek i isticie dietetycznego kompotu o niziutkiej zawartości cukru. Nie spotykałem tu łódzkich Mohikanów, których stać było na lepsze obiady, ale resztki repatriantów z Rosji, którzy nie mogli się nadziwić, że jeszcze nie wyjechałem i nie wybieram się w drogę.

— Młody chłopak jak ty?! — dziwili się bracia Amalrysowie, repatriowani z Wilna, gdzie podobnie jak nasi łódzcy Mohikanie spędzili około czterdziestu lat w stanie bezzennym. — Na co czekasz, jaką przyszłość masz w tym komunistycznym smrodzie? Chcesz tu wyłysieć i zostać kurwiarzem jak Sergiej i Lolek? Nie szkoda ci młodych lat? Nie szkoda ci żydowskiego życia? To po toś się uratował? Gdybyśmy my mieli teraz twoje lata, gdyby wcześniej nas stamtąd wypuścili!

Amalrysowie, wysocy, chudzi Litwacy, przywieźli z Wilna przedwojenny model „Opla”, który w Rosji się nazywał „Moskwiczem”, zrobili z niego taksówkę i jeździli na dwie zmiany dzień i noc, żeby jak najszybciej i jak najwięcej zarobić przed wyjazdem z Polski, gdzie jako repatrianci musieli odpokutować co najmniej dwa lata. W kongregacji podawano im, z przepisu lekarza, drób i cielęcinę, bo taka dieta przysługiwała repatriantom ze szczególnie niezdrową przeszłością.

— Chcesz zostać i przejść przez to samo co my?

— Tu przecież nie Rosja.

— Jeszcze nie, ale będzie. Nie za pięć to za dziesięć lat, nie za dziesięć to za dwadzieścia. Kwestia taktyki, kwestia czasu...

Thumaczyłem braciom Litwakom, że noszę w sobie trochę poezji i żałoby, że żałoba ta jest tutejsza i tutejsze są moje słowa, więc co ja z tym zrobię w jakichś dalekich krajach? Thumaczyłem, że mnie niewiele potrzeba, więc mogę i tutaj żyć.

— Oni bardzo nie lubią takich ambitnych, co mało potrzebują — ostrzegał mnie starszy Amalrys. Oni się takich boją i oni ci nie pozwolą. Wierz mi, ja żyję dłużej od ciebie na tym świecie. Nie pozwolą ci być ani Żydem ani Polakiem, ani poetą, ani w ogóle sobą. Poza tym, między nami mówiąc, co to znaczy, żeby Żyd był tutaj poetą? Po co ci to? Mało ci tego wszystkiego za życia? Chcesz jeszcze i po śmierci być prześladowany?

Zabrzmiało to dosyć przekonująco i zacząłem obmyślać sprzedanie kawalerki i kupienie dobrego motocykla. Mogła być czerwona czeska „Jawa”, by przejechać na niej Karpaty i Bałkany, potem statkiem przepłynąć kawałek morza i puścić się na pustynię, w depresję Morza Martwego, czy do Ejlatu. Wszędzie, gdzie kogoś potrzeba do ciężkiej, dobrze płatnej roboty. Popracuję,

zarobię, plecak na bagażnik i jadę dalej, wolny najmita, bandos z sezonu na sezon. W drodze będę, jak praojcowie, rozpinąć namiot pod niebem rozgwieżdżonym żydowskimi gwiazdami i będę modlił się do księżycy — własnymi wierszami. A jeśli to prawda, że poezja jest modlitwą, to nie ważne z jakiego języka są słowa, zwłaszcza nie ważne dla takiego kosmopolity jak księżyc.

Byłem już nawet umówiony z człowiekiem, który złożył u Słonia dziesięć tysięcy zadatku. Słoń miał znajomości w wydziale kwaterunkowym, a także — dzięki swej aryjskiej żonie — autentycznego szwagra z wysoką rangą w milicji. Na cynk od Słonia, że nie będzie trudności w urzędzie paszportowym, miałem natychmiast zameldować u siebie jego klienta jako sublokatora, a potem wyjechać, zostawiając go w mojej kawalerce z prysznicem i telefonem, ale pewnego dnia na obiedzie w kongregacyjnej stołówce znalazłem się przy jednym stole z Cyganami z teatru żydowskiego, którzy wędrowali sfatygowanym autobusem z miasta do miasta i odprawiali modlitwy i gusła na cmentarzach żydowskich wiodowni w Łodzi, Warszawie, Krakowie, Lublinie, Białymstoku.

— Wyjeżdżasz? — spytali mnie.

— Jeszcze nie wiem.

— A co robisz?

— Nic nie robię.

— To przyjdź do nas za kulisy.

— A wy nie jedziecie?

— My cały czas jedziemy...

— A dla kogo właściwie gracie?

— Dla siebie gramy.

Poszedłem za kulisy jeszcze tego samego wieczora. Kazali mi przymierzyć siedemnastowieczny strój, który mi pasował jak ulał. Zabrali mnie na scenę, skąpaną w nieziemskim blasku. Poza sceną zaś była noc, czarna kosmiczna przestrzeń, w której unosiły się westchnienia i duchy. Z żyjących nie było tam prawie nikogo, więc Uriel Acosta przemawiał wyłącznie do wieków. Podobnie Baruch Spinoza. A Dybuk rzeczywiście miotał się na pograniczu dwóch światów, bezskutecznie jak Glikl z Hameln, która od kilkuset lat domagała się sprawiedliwości i jak Bar-Kochba, który od osiemnastu wieków trwał ze wzniesionym mieczem i z żydowskim uporem wołał, że walka jeszcze nie jest skończona. A wykłedy Meir Ezofowicz, który rzekomo tak bardzo chciał się uwolnić od żydowskiego ciężaru i żydowskich okowów, teraz samotny bardziej niż kiedykolwiek, daremnie szukałby powrotu, zawieszony w pustce tych kresów, gdzie nikomu już więcej nie straszny Chmielnicki ani Krzywonos.

W kwietniu, miesiącu pamięci, wznowiono sztukę, w której

ja w ciemną, zimową noc okupacji dowlekam się do chłopskiej chaty, wychodzę na proscenium i opowiadam, co zostawiłem za sobą w wymordowanym żydowskim miasteczku i w czasie ucieczki przed śmiercią, która wciąż jeszcze za mną wołała „Haaaaaaalt”, a która dogoniła wszystkich prócz mnie. Leżą tam jeszcze przy drogach: mój ojciec, półtoraroczny brat, trzynastoletni wujek z długimi jedwabnymi pejsami, zaczytany na śmierć w boskich księgach, moje ciotki-panny i inne dziewczyny żydowskie na wydaniu, których wokół siebie nie widzę, koledzy, których nie mam, i wszyscy ci mali braciszki, o których Najnowszy Testament mówi w rozdziale o rzezi niewiniątek, że było ich półtora miliona... Tylko ja jeden dobiegłem do chłopskiej chaty, lecz nie wiem — czy z tego końca wsi, czy może z zupełnie innego, mieszkają jeszcze dobrzy ludzie na tej planecie.

Nie byłem aktorem i nie musiałem być. Nie grałem i nie musiałem grać. Samo to we mnie grało. Wychodziłem w stronę rampy, wyciągałem ręce w kierunku czarnej pustki, otwierałem szeroko oczy i usta — i opowiadałem. W pustce tej słyszałem jakieś istoty. W Białymstoku, Lublinie, Będzinie, a nawet w Legnicy i Wałbrzychu wynoszono czasem kobiety z sali. W Legnicy, Wrocławiu i Łodzi zapeśniało się ćwierć widowni. W żydowskim mieście Lublinie witało nas dwadzieścia rodzin, a w Białymstoku piętnaście. *Białystok majn hejm*, *Białystok majn trojm* — śpiewał jeden z naszych solistów. Co z ciebie zostało? Jakież martwe kamienne bloki i kamienny pomnik obcych żołnierzy otoczony pustką, gęstą nie do przebycia. We Włocławku, żydowskim mieście Włocławku, nie było ani jednego Żyda, ale widocznie miejscowe władze uważały, że i im się należy jakaś atrakcja. Może stęskniły się za odrobiną przeszłości, a może ojcowie miasta chcieli pokazać swym dzieciom prawdziwych Żydów. Żeby połączyć przyjemne z pożytecznym, wybrali sobie „Meira Ezołowicza”, który był lekturą obowiązkową w szkole. Działka szkolna ze zdumiewającą łatwością przefrunęła dystans tej pozornej zamierchłej przeszłości i w najautentyczniejszy sposób wołała z sali: „Żyd, Mosiek, Żyd!” — co bardzo ułatwiało nam wchodzenie w rolę. Czuliśmy się znowu w dawnej, żydowskiej Polsce. Było tu swojsko, znajomo, zupełnie tak, jakby nikogo nigdy nie wymordowano, nie zagazowano.

W Sokołowie Podlaskim na nasz widok ludziom wszystko się pomieszało. Przywieziono nas tam w śniegi i mrozy, wymalowano nam na piersiach sześcioramiennie gwiazdy, mężczyznom poprzyklejano pejsy i brody. Co rano przechodziliśmy tak przez miasto, które wyglądało raczej jak wieś, a wraz z nami szli Niemcy w zgrabnych białych kozuszkach i z myśliwskimi strzelbami. Potem wsiadaliśmy do furgonetek, które wiozły nas w stronę lasu, skąd

cały dzień słyhać było wystrzały. Sprowadzano tam także z okolicznych wsi mężczyzn w ich średniowiecznych baranicach i baraniczych czapach, z kijami i kołatkami, żeby naganiali Niemcom zwierzę na strzał. Niemcy nie mieli żadnych perwersyjnych zamiarów. Chodziło im jedynie o lisy i zające. Zające wpadły jednak pomiędzy stogi, a gdy Niemcy skierowali tam strzały, ze stogów zaczęli wybiegać Żydzi, którzy się w nich ukrywali, więc Niemcom się pomieszało, kto zając a kto Żyd i strzelali do jednych i drugich.

Był to jedynie film, ale gdy szliśmy ulicą, sokołowskie łobuziaki wołały za nami: „Żydy, Żydy, Niemcy was wystrzelają!”. Obrzucali nas śnieżnymi kulami. Dorośli mieszkańcy Sokołowa też mieli niewyraźne miny. Dobrze pamiętali te rzeczy i podobnie jak wtedy nie byli pewni, co nas naprawdę czekało. Niby film, ale kto to naprawdę wie? I jak to się robi te filmy?... Przecież Niemcy też filmowali. Wtedy też ludzie nie dowierzali i podobnie jak wtedy nastąpił wśród nich podział: widzieliśmy w ich twarzach podniecenie i szyderstwo, lęk i wyczekiwanie, oraz sporo współczucia. Poważny problem mieli też przebrani za Niemców rośli członkowie miejscowego Koła Myśliwskiego. W eleganckich kozuszkach, z bronią na ramieniu i u pasa, chodzili wyprostowani, sprężyści i nie potrafili ukryć pogardy, patrząc na nasze łachmany. Nie mogli również opanować władczego tonu, gdy do nas mówili, a przy wsiadaniu do furgonetek i wysiadaniu z nich najwyraźniej nam wydawali rozkazy, choć przecież i oni i my mieliśmy być tylko aktorami. Kobiety, które w tych stronach znakomicie gotują, ze szczerym współczuciem karmiły nas w miejscowej szkolnej stołówce smakowitymi pyzami, ogniataczami i pierogami. Podawały nam wszystko skwapliwie i z całego serca dokładały po raz drugi na talerz.

Zamieszanie wywołał także w Nowym Dworze, kiedy w pejsach, brodach i długich chałatach wysypaliśmy się z furgonetek, żeby odprawić tam nad rzeką modlitwę ze „święta trąbek” dla filmu o malarzu Gierymskim, który w swoim czasie takie sceny malował. Skąd brał się u malców w Sokołowie, Włocławku i Nowym Dworze taki instynktowny popęd do obrzucania wyzwiskami Żydów i to w tyle lat po zniknięciu ostatniego sokołowskiego, włocławskiego i nowodworskiego Żyda? Dlaczego nie sztychowali z dziwnych, dziewiętnastowiecznych cylindrów i tużurków ani ze szkopiastych niemieckich czapek? Nawet za Cyganami nie rzucali wyzwiskami.

Może dlatego że podobnie jak ja w czasie okupacji uczyli się u księdza religii, która jest tak skonstruowana, żeby ani Pan Jezus, ani Święty Piotr, ani żaden z porządnych apostołów nie wydawał się dzieciom Żydem — tylko Judasz. Konstrukcję tę

wymyślili zręczni i podstępni Grecy, którzy nazwali zdrajcę w swej opowieści Judaszem, ponieważ to hebrajskie imię, w oryginalnym „Jehuda”, znaczy Judea, a „Jehudi” znaczy Judejczyk i w ogóle Żyd. Starożytni Grecy, specje od wojen duchowych, w ten prosty sposób nie tylko wykradli swym żydowskim przeciwnikom ich własną broń ideologiczną, ale postarali się tym taniem chwyttem propagandowym, działając na ludzką podświadomość, splugawić jedno z najdumniejszych imion starożytności — Jehuda. Konsekwencje przeszły wszelkie oczekiwania autorów wynalazku. Słowo „judaizm” oznaczające bezinteresowną religię, która uczy prawości i sprawiedliwości nie dla Królestwa Niebieskiego, lecz wyłącznie dla zasady, brzmi teraz w uszach chrześcijanina jak filozofia Judasza. Opowieść o Żydzie-Judaszu zrobiła tak zawrotną karierę, bo po zrzuceniu owej Największej Zdrady na Żydów łatwo jest samemu zdradzać na lewo i prawo i czuć się nadal chrześcijaninem (któremu Pan Bóg prawie wszystko przebacza, niczego nie przebacząc Żydom). A już najłatwiej jest wtedy zdradzać Żydów. Najkonsekwentniejsza ze wszystkich, niemiecka nienawiść do Żydów, od średniowiecza do dziś, mogła wziąć się po prostu stąd, że Żyd po niemiecku brzmi „Jude”. Słowo to bardzo przypadło do gustu szmalcownikom w czasie okupacji — byli przekonani, że „Judasza” wydać nie grzech.

Polski język ma pod tym względem sporo własnych emocjonalnych pułapek. Oprócz „judasza” w drzwiach, który symbolizuje niefność, oraz nieprzyjemnych pochodnych słów, jak „judzić” i „podjudzać”, polskie dziecko słyszy dźwięk „Żyd” w słowach: brzydki, brzydota, obrzydzenie, obrzydzać, obrzydliwość. Nawet dorośli nie mogą uwolnić się od tych skojarzeń dźwiękowych, żeby nas nie urazić, nie mówili „Żyd”, tylko „Żydek”.

Wyłożyłem tę teorię staremu Chaimowi Nysencwajgowi, ale podważył ją na przykładzie języka słowackiego, gdzie, okazuje się, żadne brzydkie słowo nie kojarzy się z dźwiękiem „Żid”, a mimo to nikt z hitlerowskich sojuszników nie wykazał tyle inicjatywy i energii w zatracaniu Żydów, co niepodległe i ultrachrześcijańskie państwo Słowaków, które aż dopraszało się w Berlinie przyjęcia stu tysięcy swych żydowskich obywateli do Oświęcimia i Majdanka. Słowaccy antysemita byli tak ambitni, że chcieli koniecznie prześcignąć Niemców. *Najprišnejsie rasove zakony na Židov su slovenskie!* (Najsurowsze prawa rasowe przeciwko Żydom są słowackie), *270 paragrafov mame na Židov! Naše zakony vzorom pre celu Europu!* Tak pisały bratysławskie *Ludove noviny* z 21 września 1941 roku. Nysencwajg pokazał mi je w Żydowskim Instytucie Historycznym. Reichsführer Himmler nie wziął za złe tej chełpliwości swym słowackim

kolegom i udzielił owych stu tysięcy wiz wjazdowych do Majdanka i Oświęcimia. Ale nie za darmo! — zastrzegł się praktyczny Adolf Eichmann i zażądał po 500 marek od głowy tytułem „kosztów transportu”. Nie było to tanio jak na podróż w bydłym wagonie w tym czasie, gdy za 180 marek jeździło się z Wiednia do Rzymu i to w wagonie osobowym. Tiso, Vuka i Mach nie wzięli jednak Eichmannowi za złe takiego „żydowskiego” wyrachowania. Pieniądzy na zbyciu nie mieli, ale dla chcącego nie ma nic trudnego! Poszli po rozum do głowy i wyliczyli, że całą tę podróż mogą przecież zapłacić sami Żydzi. We wrześniu 1942 roku została podpisana między państwami umowa: *Medzištátna dohoda slovensko-nemecka, obsažená v protokolach slovensko-nemeckých vládnych výborov zo dňa 10-30 septembra 1942*. Dziesiątego października ministerstwo finansów wystosowało pismo nr 11.144/42-VI/16 do *Ustredneho hospodárskeho úradu do rúk p. predsedu Dr. Peskoviča* w Bratysławie, żądając wpłacenia do Słowackiego Banku Narodowego dwustu milionów koron na pokrycie kosztów związanych z wysiedleniem Żydów (*spojených s vystahovaním Židov*). W piśmie wyjaśnia się, że suma ta ma być uzyskana przede wszystkim z *vyťažku židovského majetku prepadeleho v prospech štátu* (przepadłego na rzecz państwa). Słowaccy Żydzi nigdy nie uchodzili za bogaczy, ale ich mienie musiało przeciętnie wynosić więcej niż 500 marek na głowę, więc na tej transakcji zarobiły oba państwa: zarówno pogańskie jak i ultrachrześcijańskie. A więc przyczyny ekonomiczne też nie były tu bez pewnego znaczenia. Wspólnie z Nysencwajgiem zastanawialiśmy się, czy to możliwe, aby wyłącznie chęć zarobku skłaniała Łotyszów i Litwinów do mordowania Żydów w warszawskim i białostockim getcie. — Prawie wszystko na świecie ma więcej niż jedną przyczynę. Często więcej niż można pojąć — orzekł Nysencwajg.

Jeździliśmy starym wojskowym autobusem, który dla wojska już się nie nadawał, bo przepuszczał do środka spaliny. Widniał na nim napis „Państwowy Teatr im. E. R. Kamińskiej”. Nie „Państwowy Teatr Żydowski” i nie „Estery Racheli Kamińskiej”, ale tylko „Państwowy” i tylko „E. R.” — żeby nie wywoływać zamieszania. W hotelach i urzędach, gdzie trzeba było podawać pełną nazwę instytucji, zapisywano nas jako „P.T.Ž.”. Recepcjoniści i inni urzędnicy, którzy u nikogo nie akceptowali takich skrótów w urzędowych papierach, u nas akceptowali. Istniało w naszej sprawie jakieś ciche porozumienie. Byliśmy żydowskim teatrem, ale na aryjskich papierach.

Z tego porozumienia wynikało nieporozumienie, bo pewnego dnia trafiliśmy do Poznania, miasta gdzie nawet przed wojną nie

było ani jednego Żyda. Nikt tam widocznie nie wiedział, co znaczy „E.R.” i „P.T.Ż.”, kiedy nas zamawiano. Żeby uniknąć większych nieporozumień, daliśmy im na wszelki wypadek sztukę argentyńską, choć o bardzo żydowskim tytule: „Drzewa umierają stojąc”. Sala była pełna po brzegi, rzecz dla nas niespotykana. I prawie wszystko rozumieli, bo to teatralny naród i z dialektami niemieckimi obeznany. I nadspodziewanie życzliwie nas przyjęli. Dwunastoletnie dziewczynki przybiegały za kulisy po autografy. Może myślały, że jesteśmy Argentyńczykami? Ale na zapleczu budynku zebrała się jakaś grupka i kiedyśmy wychodzili, zaczęli wołać: „Zostawcie nas w spokoju!”. Nie robili żadnych prawdziwych awantur i nie rzucali kamieniami, kiedyśmy odjeżdżali, tylko powtarzali raz po raz — „Zostawcie nas w spokoju!”.

— Kto im nie daje spokoju? My im nie dajemy spokoju? Nasz pozaziemski teatr? Przecież my od nich niczego nie chcemy i nie potrzebujemy. My gramy tylko dla siebie. Przyjechaliśmy, bo nam kazali, przez pomyłkę jako „P.T.Ż. imienia E.R.”, ale kto im nie daje spokoju?

— Nasza obecność... — powiedział Nysencwajg.

Trafiliśmy w ten sposób również do Bydgoszczy, a nawet na Ziemię Lubuską, do Zielonej Góry, jadąc długą trasą Wschód-Zachód, starożytnym żydowskim szlakiem, przy którym leżały takie etapy żydowskiej wędrówki, jak Kutno, Konin, Koło, Ostrów Wielkopolski, a także Rypin, z którego pochodził nasz elektryk Kwaterko. Kwaterko chodził po miasteczku, pukał do różnych drzwi, wypytywał, kiedyśmy tamtędy przejeżdżali, ale nie spotkał nikogo i nie dowiedział się o żadnym z dawnych mieszkańców Rypina. Podobnie było w Koninie, Ostrowie i Kole. Podobno straszne rzeczy się tam działy, zwłaszcza w Ostrowie, ale miejscowi ludzie wołają o tym nie wspominać. Są opisy, wspomnienia o tym, co działo się w Warszawie, Krakowie, czy Łodzi, są nawet fotografie i znane są najważniejsze fakty. Ale w Ostrowie czy Kole ludzie takich rzeczy nie umieli i do dziś nie umieją, więc nikt nie wie, co ukrywa i zacierają ich pamięć.

W Warszawie na Lesznie i na Muranowie też mieszkali nowi ludzie, a słynną ulicę Nalewki przemieniono w wydłużone podwórze, pozostały tu jednak ślady. Rozkopując ziemię pod szyny tramwajowe na zupełnie nowej ulicy Nowotki, natrafiono na stosy dziecięcych koralików. Dzieci z okolicznych ulic siedziały tam w piasku przez wiele dni i wygrzebywały. W starych piwnicach znajdowano zapisane hebrajszczyzną zwoje. Pergaminy zapisane były tylko po jednej stronie, więc chłopcy wykrawali z nich sobie białe kabury, pasy i getry à la zandarmeria WSW. Ślady pozostały również w rozmowach. Gdy ekspedientka w „Delikatesach” nie chciała uwzględnić skargi klienta na jakość pomidorów, mó-

wiąc „Nie chcesz pan, to pan nie jedz!”, człowiek ten odwrócił się do mnie i powiedział: „Panie, przed wojną jak zaszedłem do Żyda, to nie tylko dostałem co chciałem i jak chciałem, ale jeszcze w pas mi się kłaniał, do drzwi mnie odprowadzał i do tego jeszcze dał utargować złotego...”. Gdy inna ekspedientka ważyła szynkę razem z grubym i ciężkim papierem na szali i nie reagowała na uwagi, że każdemu kupującemu dziesięć deko szynki skrada w ten sposób całe deko, starszy pan za mną w kolejce powiedział: „A przed wojną narzekaliśmy, że Żydzi nas okradają...”.

Ludziom trudno widocznie było pogodzić się z nagłym i tak zupełnym zniknięciem Żydów. Niektórzy nadal wierzyli, że Żydzi ich okradają. Nauczycielka w szkole, do której chodziła dziesięcioletnia córka z mieszanego małżeństwa naszego brygadiera sceny, powiedziała dzieciom, że Polska jest biedna, bo Żydzi wywożą z niej złoto. W czasie okupacji zamknięto w małej dzielnicy Warszawy największą w dziejach ludzkości liczbę zakładników i przez dwa lata, przyciskając głodem, wyciśnięto z nich wszystkie uciulanie w ciągu wieków oszczędności pokoleń za kartofle, mąkę. Warszawa stała się w tym czasie najbogatszym miastem Europy, prawdziwym Eldorado, gdzie można było kupić za bezcen złoto, futra, złote zegarki, brylanty. Po sierpniowym powstaniu żydowskie złoto powędrowało z warszawskimi wygnańcami na wieś, gdzie z kolei chłopcy wyciskali je od nich za kaszę, kartofle i słońinę. Za te pieniądze chłopcy wykupili po wojnie liczne kamienice w miasteczkach, jakie przypadły w spadku nielicznym ocalałym Żydom. Kamienic było dużo a spadkobiercom spieszyło się, żeby jak najszybciej i jak najdalej uciec od tego dziedzictwa, więc można je było dostać za bezcen. A przecież stoją do dziś, całymi miasteczkami, setkami miasteczek. A i we większych miastach stoją do dziś kamienice, które wymurowano za uciulanie w ciągu wieków żydowskie grosze. W dawnych siedzibach kahałów mieszczą się Rady Narodowe i gospody ludowe, w ocalałych przez Jehowę synagogach (na przykład w Kazimierzu nad Wisłą) znajdują się rentowne kina. W zrównanym z ziemią warszawskim getcie też przecież zostały wszystkie żydowskie place. A oprócz warszawskiego było przecież jeszcze wielkie getto łódzkie, krakowskie, wileńskie, lwowskie i białostockie i wiele pomniejszych, złotodajnych gett, więc z pewnością nie przez Żydów Polska jest taka biedna. Ludzie po prostu przestali rozumieć, co się wokół nich dzieje, bo za wiele się działo. Jakże inaczej można by zrozumieć pewną zażywną panią z głębokiej prowincji, która przyjechała z wycieczką do Warszawy i na pytanie, co to za miasteczko, z którego przyjechała, odpowiedziała przewodnicząc z „Orbisu”, żonie mojego przyjaciela Artura, że „bardzo ładne

miasteczko, Żydów — ani ani!". Nysencwajg i ja nie przejmowaliśmy się takimi wypowiedziami, bo czymże były takie amatorskie polskie obsesje w porównaniu z fachową słowacko-niemiecką umową między państwami.

Zresztą jeszcze trudniej było o normalnych ludzi wśród Żydów. Przy warszawskiej kongregacji ukrywał się brudny Natan. „Ukrywał się”, bo mieszkał w bunkrze, w którym przetrwał wszystkie niemieckie akcje. Był brudny i zarośnięty jak w czasie okupacji i rozmawiał tylko ze swymi psami, których miał z pół tuzina. Żywił się razem z nimi odpadkami z kongregacyjnej kuchni, więc nie cierpiał głodu. Kongregacja, która oficjalnie zatrudniała go jako stróża, proponowała mu bardziej ludzkie pomieszczenie na strychu, ale Natan czuł się bezpiecznie tylko w bunkrze ze swymi psami.

Na każde nasze przedstawienie w Warszawie, wszystko jedno co i ile razy daną sztukę graliśmy, przychodził ogłuchły od bomb i prawie ociemniały Żyd z licznymi wojskowymi baretkami w kłapie marynarki i spał przez większość przedstawienia, a potem przychodził za kulisy, żeby nam podziękować, bo nie może żyć nie słysząc żydowskiej mowy.

Na obiady do kongregacji przychodziła stara kobieta w żółtych i pomarańczowych sukniach i pelerynach, które szyła sobie ze starych kap, zasłon, obrusów, firanek. Nosiła też kolorowe wstążki w szkolnym stylu, wplecione w długie siwe warkocze.

Także młodszym Żydom zaczynała już w tym czasie szajba odbijać. Na obiadach w kongregacji pojawił się student, który nie kończył żadnych studiów, tylko wciąż nowe zaczynał. Był duży i mocny, ale chodził ostrożnie z wysuniętą przed siebie głową jak ślepy, a minę miał taką, jakby sobie cały czas coś z trudem przypominał i nigdy tego wyrazu twarzy nie zmieniał. Przy każdym obiedzie opowiadał ze szczegółami o tym, co i w jaki sposób jadł w getcie warszawskim, będąc malcem na własnym utrzymaniu.

Gdy w naszych teatralnych podróżach nabawiłem się kataru kiszek, lekarz kazał mi jeść w jarskiej jadłodajni „Zdrowie”, gdzie przychodziła ładna, drobna dziewczyna o ciemnych, wełnistych włosach i oczach czarnych jak noc. Była już dobrze po dwudziestce, ale zawsze przychodziła sama. Siadała przy stole z nieznanymi ludźmi i skarżyła się na swoje zdrowie. „Jak to, pani, taka młoda?...” — dziwili się ludzie. Wtedy wyjaśniała, że to z powodu wojennych przeżyć i opowiadała o swych rozstrzelanych rodzicach. Nie zagazowanych, nie zagłodzonych, nie zathuczonych pałkami, nie zdeptanych w bydłowych wagonach, ani nie zjedzonych przez tyfus i wszy, ale właśnie — bohatersko i romantycznie — rozstrzelanych. I nie za to, że byli Żydami.

Zadna taka aluzja nie padła z jej ust. Za to, że „należeli do podziemia”...

Należeli, czy nie należeli, teraz z pewnością należą, myślałem sobie i nie wtrącałem do rozmowy. Mnie na razie jeszcze szajba nie odbijała, przynajmniej nie do tego stopnia. Podglądałem i podsłuchiwałem jak duch, ale niewiele mówiłem w stołówkach i kolejkach sklepowych. Nie musiałem, miałem od tego moje proscenium, a po zejściu ze sceny mogłem, jak większość aktorów, z powodzeniem uchodzić za normalnego.

W przeciwieństwie do innych rozbitków, życie miałem dość urozmaicone. W Legnicy, Świdnicy, czy Żarach przyjazd naszego teatru był najważniejszym wydarzeniem, zapowiadany wielkimi afiszami: JUŻ WKRÓTCE ZNOWU W ŻARACH PAŃSTWOWY TEATR im. E. R.... Dziewczyny zawnazę się szykowały, bo przyjeżdżali artyści. W Żarach wszyscy oczywiście wiedzieli, że jesteśmy teatrem żydowskim, ale żarańskie dziewczyny wielkiego wyboru nie miały i mówiły sobie: Żydzi nie Żydzi, aby artyści! Nasi artyści byli na ogół niemłodzi, ale i to dziewczynom nie przeszkadzało. Artysta im starszy tym bardziej doświadczony i opanowany — jest to jedno z praw sztuki, o którym wszystkie dziewczyny wiedziały. Dla wielu z nich nasze tandetne hotelowe pokoiki były egzotycznym luksusem, który mogły potem do końca życia wspominać. Powodzenie mieliśmy także w większych robotniczych miastach, a nawet w takiej niezbyt filosemickiej metropolii jak Katowice. Żydów kobiety mniej się krępały. I mniej się bały niż pijaków i zabijaków — górników.

Wydawano dla nas bankiety w klubach TSKŻ na wszystkich ważniejszych etapach naszych podróży, jak Łódź, Wrocław, Legnica, Wałbrzych, gdzie przyjeżdżaliśmy z każdą sztuką i dawaliśmy po dwa, a czasem i trzy przedstawienia, a także tam, gdzie zaglądaliśmy raz na rok i tylko na jeden wieczór, jak w Białymstoku, Lublinie, Krakowie. W Lublinie i Białymstoku przychodzili na nasze bankiety przedstawiciele miejscowych władz wraz z rodzinami, bo za mało było Żydów do obsadzenia stołu.

Stoły uginały się od szynki, kiełbas i wódki wyborowej i tylko wątróbka siekana przypominała, że znajdowaliśmy się w żydowskim klubie. Czasami zdarzała się ryba. Zresztą większość tego wszystkiego zjadała i wypijała nasza dzielna, chrześcijańska ekipa techniczna, bo żydowski zespół artystyczny miał sfatygowane przewody pokarmowe i poważne problemy krążenia. Maszynistom sekundował nasz brygadier sceny Flam, wielki jak Goliat wiejski Żyd spod Sokołowa, a ja i elektryk Kwaterko robiliśmy co się dało. Maszyniści za wiele wagi przywiązywali do chleba z masłem, który przykrywali pojedynczym plasterkiem szynki albo

kiełbasy. Nawet sałatkę jarzynową jedli z chlebem grubo posmarowanym, co zwalniało im tempo jedzenia. Kwaterko i ja łykaliśmy rolmopsy jak ostrygi, bez żadnego masła i chleba, plastry szynki zwijaliśmy w rolki i wrzucaliśmy w przętyk gołe talarki kiełbasy, najwyżej przeplatając sałatką jarzynową. Maszyniści wierzyli też w mit, że jeśli się je dużo chleba i masła, to można dużo wypić, ale wódka już po trzecim kieliszku im uderzała do głowy. O wiele więcej potrzeba było wódki, żeby wypełnić żyły wielkiemu Flamowi, a przeze mnie wódka po prostu przeciekała. I wtedy maszyniści przeżywali męki zazdrości, widząc jak Flam i ja nawzajem sobie dolewamy, albo po ułańsku szarżowali ponad swe siły, i, jak na wojnie, walili się pod stół. Wtedy ja z kolei im zazdrościłem, bo nie mogłem się upić, niezależnie od tego, ile wypilem. Gorzej widziałem, gorzej słyszałem, trochę trudniej mi było oddychać i może trochę niewygodnie chodzić, ale głowę miałem zupełnie trzeźwą. Czasem traciłem pewne hamulce i ulegałem niezbyt ładnej perukarce, ale dobrze wiedziałem co robię i robiłem to po wódce, bo mogłem potem udawać, że o niczym nie wiem. Nawet po największej wódce nie przestawałem obserwować siebie i innych — to była moja szajba. Zdesperowany piłem więcej niż ktokolwiek z Żydów i chrześcijan, zatrulałem sobie żołądek, a rano na czczo dostawałem torsji i w popłochu biegłem do baru mlecznego na tłustą jajecznicę.

Odwrotny problem miał mały, chudy alkoholik Zadrożny, który już po pierwszym kieliszku zaczynał długi monolog od słów: „*Farwus, farwus? Ich wajs nyszť farwus*”. Po wódce Zadrożny mówił wyłącznie po żydowsku. Mieszkał kiedyś w żydowskiej dzielnicy, a w czasie wojny tuż obok niej. Widział i wiedział więcej niż mógł opowiedzieć. Próbował więc przy pomocy alkoholu i z jakichś instynktownych pobudek — po żydowsku. Był cichy, łagodny, posłuszny, więc nikt nie miał do niego pretensji, że przy pracy był zawsze trochę pijany. Głowę nosił wtuloną w ramiona i miał ostrą, ascetyczną twarz z wąskim, długim nosem. Kiedy wszyscy maszyniści, kierowca, perukarz i garderobiani wkładali chałaty i brody, żeby w scenach zbiorowych reprezentować nieistniejący żydowski tłum. Zadrożny znajdował się na pierwszym planie. Wzięto go razem z nami również do owego filmu o zającach i jako jeden z osaczonych Żydów w przedśmiertnej żydowskiej modlitwie wraz z nami wołał: „Słuchaj Izraelu, Bóg twój jest Bogiem jedynym, tylko od Niego czekamy zmiłowania, tylko w sobie znajdziemy siłę!”. Wziął też udział w filmie o Gierymskim, gdzie zrobiono nawet zbliżenie jego świętej, alkoholickiej twarzy, do nieprzytomności rozmodlonej nad wodami Babilonu w Nowym Dworze. Zadrożny

nigdy nie był żonaty, a może był, ale bardzo krótko, z Żydówką, którą mu zamordowano. Nigdy o tym nie opowiadał, nawet w owym pijackim monologu, w którym jak refren powtarzało się pytanie: *Farwus, farwus?* I odpowiedź: *Ich wajs nyszť farwus*. Chrześcijanin Zadrożny miał swoją żydowską szajbę i właściwie był jednym z nas.

Byliśmy teatrem bez młodych na takiej samej zasadzie, jak kiedyś istniały teatry bez kobiet. Starożytni przebierali się za kobiety i widzowie im wierzyli. Tak samo i nam musieli wierzyć. Starsze kobiety przemalowywały się na amantki, a starsi mężczyźni mówili dyszkantami i robili naiwne miny. Młodość widać wtedy ze sceny wyraźniej, zabawniej i o wiele tragiczniej. A przecież o to właśnie chodzi w teatrze. Owszem, trudno było z tego rodzaju młodymi bohaterami się utożsamiać, ale przecież nie było też komu się utożsamiać, więc nie było problemu. Grając wyłącznie dla siebie, mogliśmy się obejść bez młodych aktorów, tak samo jak i bez widzów.

Ponieważ mężczyźni w zaawansowanym średnim wieku grywali młodzieńców, ja grywałem niemalże dzieci. Wśród kobiet moim odpowiednikiem była Bela Herszkowicz, dziewczyna lat około trzydziestu, o nieskazitelnej linii, marmurowo białej, kościstej twarzy i dużych, wypukłych oczach, słowem o najlepszej żydowskiej urodzie, jaką można sobie było dla teatru wymarzyć. Tyle że bez życia w oczach i głosie. Z tego pewno powodu nikt się z nią nie ożenił i nikt z nią nawet nie sypiał. Grywała małych chłopców i najmłodsze naiwne, ale nie mogła zagrać subretki, bo nie umiała się roześmiać jak trzeba, ani poruszyć w jakiś seksualniejszy sposób. Umiała dobrze umierać we wszelkich gettowych scenach. Znakomicie zrobiła to również w owym filmie z zającami i naganiaczami w Sokołowie Podlaskim. Dojrzała w Oświęcimiu między trzynastym a piętnastym rokiem życia i podobnie jak cztery miliony innych wyszła stamtąd bez życia.

Byliśmy nie tylko teatrem bez publiczności i bez młodzieży, ale i w ogóle bez aktorów. Tylko jeden na stu Żydów uratował się przed Hitlerem, więc również nie więcej niż jeden na stu żydowskich aktorów, a z tych aktorów, którzy się uratowali przed Hitlerem, połowę wymordował Stalin. Nie lubił on żydowskich aktorów, słusznie zakładając, że każdy z nich z wszystkimi wcieleniami to stu albo dwustu Żydów, z których, pod wpływem scenicznej magii, może zrodzić się, albo zmartwychwstać, ze sto tysięcy. Dlatego tych co się ostali po wojnie posyłał na pożarcie białym niedźwiedziom, a najbardziej upartych, jak Michoels, kazał rozłupywać łodem w tył głowy i jeszcze wgniatać w błoto kołami ciężarówki. Nie należy się przeto dziwić, że szczęśliwcy, którzy

jakoś się zamaskowali i umknęli mu zaraz po wojnie jako repatrianci, w dziesięć lat później skorzystali z pierwszego większego zamieszania w Polsce, żeby uciec dalej na Zachód. A tacy, co przetrwali łagry i repatriowali się pod koniec lat pięćdziesiątych, zostawali w naszym teatrze nie dłużej niż wymagały ich papiery i zdrowie. Leczyli się, podkarmiali, nadrabiali zaległości w modzie i uciekali dalej, wcale niepewni, czy Stalin nie żyje, a zwłaszcza, czy nie zmartwychwstanie w takim czy innym wcieleniu. Została z tej grupy tylko córka naszej dyrektorki. Miała już czterdzieści lat, jeśli nie liczyć podwójnie tych dwudziestu, które spędziła w łagrach. Dyrektorka niemal siłą ją zatrzymała i kazała jej grywać amantki. I jak ona je grała! Z jakim ogniem! Za wszystkie czasy! I jak przekonująco, chociaż nigdy przedtem nie była aktorką.

Mieliśmy zawodową i rasową aktorkę Rutę, znaną przedwojenną pięknoscą, która wyszła za Polaka-komunistę i uciekła z nim w trzydziestym dziewiątym roku do Rosji, gdzie wykończyła go NKWD, które nie znosiło polskich komunistów, a ona z dwojgiem dzieci przechowała się w kołchozie, gdzie nikt nie wiedział, że była Żydówką i do tego jeszcze aktorką. Została jej po tym szajba: nie mogła więcej grać. Brała gażę i przychodziła na próby, ale na próbach tylko markowała, a na generalnej próbie rozsypywała się i trzeba było dawać na premierę zastępstwo, bo kładła się do łóżka i przysyłała zaświadczenie od lekarza. O wyjazdach w teren i kołataniu się autobusem nie mogło być nawet mowy — lekarz jej nie pozwalał.

Mieliśmy jedną parę grających zawodowych aktorów, z przedwojennej Trupy Wileńskiej. Popłynęli oni pod koniec trzydziestego ósmego roku na występy do Argentyny, zostawiając w Wilnie swą trzyletnią córeczkę pod opieką babci. Występy miały szalone powodzenie i potrwały dłużej niż przewidywano. Kiedy mieli już wsiadać na statek, żeby wrócić, wybuchła wojna. Kiedy Wilno zostało zajęte przez Sowietów, pobiegli do sowieckiego konsulatu w Buenos Aires, żeby wydostać swoje dziecko. Tam zaproponowano im, żeby jako prawdziwi wilnianie przyjęli sowieckie obywatelstwo, to władze będą ich lepiej traktować. Kiedy to uczynili, zapytano ich, czy nie byłoby prościej, żeby jako obywatele powrócili „do kraju”, zamiast narażać swoje małe dziecko na trudy tak długiej morskiej podróży. Już mieli bilety na neutralny szwedzki statek, kiedy Wilno zajęli Niemcy. Chodzili teraz do sowieckiego konsulatu co tydzień, albo i dwa razy na tydzień. Występowali tam z recytacjami z okazji rocznicy rewolucji i urodzin Stalina, ale nikt im nie umiał powiedzieć, gdzie jest ich dziecko i czy w ogóle żyje. Tłumaczyli nawet co ważniejsze sowieckie sztuki na żydowski, adaptowali je i grali

we dwoje (bo nie mogli zebrać dla tych sztuk większego zespołu), ale i to niewiele pomogło. Kiedy tylko skończyła się wojna, wsiedli na pierwszy szwedzki frachtowiec, jaki płynął w tę stronę i przyплыnęli do Gdyni. Po roku poszukiwań przez Czerwony Krzyż okazało się, że dziecko żyje, jest w Moskwie u wujka, ale wyjechać stamtąd nie może, a im tam pojechać nie wolno. Jakto, a paszporty sowieckie, a obywatelstwo? Niestety. Postarali się nawet o zaświadczenie bezgranicznej lojalności z sowieckiego konsulatu w Buenos Aires. Wszystko jedno — *niełzja!* Więc co jeszcze zrobić? Wstąpić do partii? Czemu nie? Wstąpili, ale i to nie pomogło, jak długo żył Wielki Przyjaciel Dzieci. Nie wpuszczono ich nawet, gdy wreszcie umarł. Pewno dlatego, że leżał zabalsamowany w Mauzoleum, jak żywy. Dopiero kiedy go wreszcie zakopano i rozsypał się w grobie, wpuszczono ich na króciutką wizytę w pięćdziesiątym siódmym roku, kiedy ich córka już wyszła za mąż i urodziła dziecko. Repatriować się jak inni Żydzi, niestety, nie mogła, bo jej mąż był bardzo potrzebnym inżynierem i jako konstruktor ulicznych polewaczek znał w tym zakresie wszystkie tajemnice państwowe. Bardzo chcieli jak inni aktorzy wyjechać do Francji lub do Izraela, ale musieli zostać, żeby móc regularnie przysyłać do Moskwy paczki z żywnością i damską bielizną, oraz prowadzić co tydzień międzynarodowe rozmowy telefoniczne i czekać na następne pozwolenie na wizytę. Zresztą nawet gdyby nie kochali tak bardzo swej córki, nie mogliby z Polski wyjechać bez zezwolenia z moskiewskiego KGB. Z sowieckimi paszportami?

Nasza dyrektorka nie wyjeżdżała, bo w Warszawie znajdował się grób jej matki, Estery Rachel, która była również matką naszego teatru, podpisaną na naszym autobusie inicjałami „E. R.”. Jako córce, która się urodziła za kulisami, a wychowała na scenie i w teatralnym wozie z zaprzęgiem, nie wolno jej było porzucić tego dziedzictwa tylko dlatego że wymordowano publiczność i aktorów. Nie tylko nie rozwiązywała teatru, ale wcielała się we wszystkie znane role swej matki. Reprodukowała ze zdjęć i z pamięci wszystkie kostiumy swej matki, a że była od niej znacznie niższa, więc nosiła trzewiki wysokie jak starożytne koturny, a na głowę wkładała wysokie hiszpańskie mantyle. Dodała też sobie wzrostu przez kryzowe kołnierze i wzniesione jak skrzydła bufiaste rękawy, i patrząc na nią na scenie, wierzyliśmy, że gramy z samą E. R. Kontynuowała sztukę swojej matki także w rolach, których E. R. nie zdążyła zagrać. Grała je za nią. Najwspanialsza była w owej argentyńskiej sztuce pod tytułem „Drzewa umierają stojąc”, w głównej roli, która, jak sam tytuł wskazuje, była jej życiową rolą.

Urodziła się w teatrze i spędziła w nim blisko siedemdziesiąt lat, więc doświadczenia jej nie brakowało. Umiała obsadzać i ustawiać nas na scenie tak, że wyglądaliśmy jak prawdziwi aktorzy. Tylko odtąd-dotąd, nie dalej. Żeby się nie wydało. Wiedziała, co w każdym z nas tkwi i co każdy z nas miał do „opowiedzenia”. Dlatego właśnie, kiedy „opowiedziałem”, co się stało w moją „Noc zimową”, dzienniki napisały o mnie jako o ważnym „zjawisku teatralnym”, choć wyszedłem na scenę bez żadnego przygotowania technicznego. W „Śnie o Goldfadenie” kazała autentycznemu, sympatycznemu kabotynowi zagrać centralną rolę kabotyńca i nikt nigdy nie był lepszy w tej roli. A Hocmach, Żyda, który handluje powietrzem jak żongler, a wymija antysemitów jak akrobata i wymyka się z łap policjantów jak magik, kazała zagrać byłemu krawcowi z białoruskiego miasteczka, który przeszedł cały szlak bojowy od Wołgi do Berlina w za dużych butach Czerwonej Armii i wrócił stamtąd, również piechotą, ze zdobyczą maszyną do szycia na plecach. Cała Warszawa śmiała się z tego Hocmach. Wszyscy artyści przychodzili, żeby zobaczyć tę antysocrealistyczną sztukę, a najlepsi warszawscy aktorzy szli za kulisy, aby poznać osobiście tak znakomitego artystę i wychodzili zdziwieni, że „artysta” nie miał im zupełnie nic do powiedzenia o swojej sztuce.

Życie naszej dyrektorki bynajmniej nie było usłane laurami, bo jej teatr bez publiczności musiał się zmieścić w skromnym budżecie z kasy państwa, które przecież nie było żydowskie i pomimo, że odziedziczyło po trzech milionach Żydów setki miasteczek oraz żydowskie dzielnice wielkich miast i place, nie miało zamiaru dopłacać do tego, że wciąż jeszcze chcieliśmy być Żydami.

Mieliśmy we Wrocławiu ciasny ale własny budynek za pieniądze z żydowskich składek, zebrane zaraz po wojnie, gdy było jeszcze ze sto pięćdziesiąt tysięcy Żydów. Stał w podwórzu, ukryty jak synagoga przed oczami przechodniów. Własny budynek mieliśmy również w Łodzi, odremontowany ze spalonego przedwojennego teatru żydowskiego, za żydowskie pieniądze zebrane w kraju i za granicą. Ten stał z frontu, więc dla niepoznaki nazywał się „Nowy”. We Wrocławiu i w Łodzi nie musieliśmy więc płacić za salę, a podczas naszej nieobecności — której było o wiele więcej niż obecności — siedziały tam i grały miejscowe teatry, za co nie musiały nam płacić ni grosza, bo byliśmy teatrem „państwowym”. W Legnicy graliśmy w klubie żydowskim, więc i tam nie wydawaliśmy państwowych pieniędzy na salę. Natomiast w Warszawie naszą siedzibą był niedrogi w eksploatacji barak w ruinach byłego pałacu byłego Żyda, Kronenberga. W ruinach tych, w zapleczu naszego baraku sterczał komin, a z niego — korzystając z żywnych popiołów — wyrastało

drzewko. Ten komin i wyrastające z niego drzewko było widać z daleka nad frontonem naszego parterowego baraku. Był to nasz emblemat i najwidoczniejszy pomnik. Był znacznie widoczniejszy od pomnika getta, który wykonano we Francji, z najdroższego czarnego marmuru, bo Żydzi nie żałowali pieniędzy, lecz postawiono z dala od przelotowych ulic i szczelnie osłonięto ze wszystkich stron domami jak na większym podwórzu, żeby nie rzucił się w oczy.

Nasze drzewko z komina było widoczniejsze nawet od Oświęcimia, gdzie, jak głosi encyklopedia, „wymordowano cztery miliony ludzi różnych narodowości”, w kolejności alfabetycznej: Belgów, Czechów, Francuzów, Greków, Holendrów, Jugosłowian, Polaków, Rosjan, Rumunów, Węgrów i innych. Ani w encyklopedii, ani w samym Oświęcimiu nie ma ani słowa o tym, że prawie wszyscy oni byli Żydami i że tylko dlatego ich wymordowano. Za życia byli „parszywymi Żydami”, a po śmierci stali się natychmiast „Słowakami”, „Węgrami”, „Polakami”, nawet „Francuzami”. Najlepszy przykład tego, że po śmierci zawsze się ludzi trochę lepiej wspomina. I tego, jak łatwo można skorzystać z żydowskiego męczeństwa. Oświęcimscy Żydzi, którzy nie mieli prawa być Żydami za życia, nie mają go również po śmierci. Albo: ponieważ byli Żydami, nie mieli prawa ani żyć, ani umrzeć. Za życia trudno ich było ukryć, więc się ich ukrywa teraz, po śmierci. Całe cztery miliony! Komu tu szajba odbiła?

Niektóre państwa zorganizowały sobie w Oświęcimiu nawet własne wystawy. Jak na międzynarodowych targach mają tu swoje pawilony: Związek Socjalistycznych Republik Radzieckich, Czechosłowacka Republika Socjalistyczna, Węgierska Republika Ludowa, Socjalistyczna Federacyjna Republika Jugosławii, a nawet Niemiecka Republika Demokratyczna, bo a nuż niektórzy z wymordowanych w Oświęcimiu Żydów byli Niemcami! W pawilonie wystawowym Niemieckiej Republiki Demokratycznej wisi portret Bertolta Brechta. Wprawdzie spędził on wojnę w Stanach Zjednoczonych, ale głowę miał zawsze ogoloną jak w Oświęcimiu, był dosyć chudy i też nie lubiany przez hitlerowców. A poza tym skąd ma NRD brać portrety na taką wystawę?

W Oświęcimiu zamordowano trzysta czterdzieści tysięcy więźniów politycznych, przeważnie Polaków, ale co to jest dla naszego państwa paręset tysięcy więźniów politycznych? Więc w oświęcimskim państwowym muzeum dorzucono im jeszcze parę milionów polskich chasydów i milion żydowskich dzieci. Francuski pisarz Malraux obliczył, że w ruchu oporu było cztery tysiące Francuzów, a w gestapo czterdzieści tysięcy, ale mało kto o tym wspomina, bo ludzie wolą pamiętać cztery tysiące boha-

terów. Natomiast trudno im zapamiętać te cztery miliony oświęcimskich Żydów, którzy nigdzie się nie kwalifikują. Zwłaszcza milion dzieci, które nie stawiały żadnego oporu.

W Majdanku, dokąd zajrzeliśmy z okazji występów w Lublinie, nie było niczych pawilonów, ani prawie żadnych pamiątek, bo nie było tam nigdy „Belgów”, „Francuzów” ni „Greków”, tylko Żydzi z najbliższych okolic i ze Słowacji (po pięćset marek za przejazd na tamten świat). A przecież i tu można by wystawić spory niemiecki pawilon, wytapetowany chociażby listami od niemieckich cywilów, którzy w 1942 roku pisali: „Kochane SS, przyslijcie nam wózek i z parę kołderek dziecięcych na zimę, których przecież macie aż nadto w Konzentrationlager-Majdanek. Już wszyscy nasi sąsiedzi dostali. A może przysłalibyście nam też po parze bucików na dwa latka, cztery i pięć?”. Obok każdego z tych listów można by umieścić także postdatowane oświadczenia nadawców: „Myśmy o niczym nie wiedzieli. Myśmy się nawet nie domyślali”.

Ten znajomy z Francji, który odwiedził w Łodzi Sztarkmanów, opowiadał, że gdy przejeżdżał przez Niemcy dwóch młodych ludzi zadało mu „trudne” pytanie: Czy zabija się sześć milionów ludzi bez żadnego powodu? On oniemiał i nie wiedział, co odpowiedzieć. A tymczasem w Treblince można by wystawić pomnik ze stu tysięcy kilo złota, wytrzeszonego z ubrań i wyrwanego ze szczęk siedmiuset tysięcy żydowskich trupów, czyli po trzynaście deko od osoby (nie licząc zegarków, okularów, butów, wózków dziecięcych i kołderek). Dla najmniej inteligentnych można by umieścić na tym pomniku napis: „Nawet Żydów nie zabija się bez powodu”. Ale gdzie teraz szukać tego złota?

Do Treblinki też przywieziono kilkadziesiąt tysięcy Żydów z Austrii, Belgii, Czechosłowacji, Francji, Grecji, Jugosławii, Niemiec i ZSSR. Ale do Treblinki, gdzie z deszczem i śniegiem tyłu lat i zim wsiąkły w ziemię popioły całej mojej rodziny, nie chciałem jechać i nie wiem, kogo z moich krewnych nobilitowano na Belga, Francuza, Słowaka, czy Greka, aby nie wzbudzać dodatkowego zamieszania w pobliskim sokołowskim powiecie.



Spalony komin i drzewko, które wyrosło nad naszym teatrem, to był pomnik zbyt widoczny dla naszego państwa. Dlatego co roku przychodziła państwowa komisja, która uznawała nasz barak za niebezpieczny i skazywała go na rozbiórkę, a nasza dyrektorka musiała używać wszelkich legalnych i niepełnie legalnych chwytów, żeby sprawę odroczyć o jeszcze jeden rok.

Byliśmy teatrem bez publiczności i pomimo naszych niziutkich kosztów własnych, zbyt wielka byłaby dysproporcja pomiędzy dochodem z sali naszego teatru, a tym, co przynosiły inne teatry, gdyby nie zagraniczni Żydzi i Joint. Joint, jako zagraniczna i do tego burżuazyjna organizacja żydowska, nie mógł oficjalnie utrzymywać „państwowego” teatru w ludowo-socjalistycznym kraju, ale mógł przekazywać dolary do naprawę państwowego banku, na konto Żydowskiej Komisji Pomocy Społecznej, która podlegała bezpośrednio Towarzystwu Społeczno-Kulturalnemu Żydów w Polsce, a Towarzystwo to miało oczywiście prawo zamawiać w naszym państwowym teatrze przedstawienia i płacić za te wszystkie nie zajęte miejsca na widowni w Warszawie, Łodzi, Wrocławiu, Krakowie, Białymstoku, Lublinie. Za te same pieniądze dowożono na nasze przedstawienia do Legnicy i do Wrocławia Żydów, jacy jeszcze zostali w Strzegomiu, Strzelinie, Świdnicy i Dzierżoniowie. Tymi samymi pieniędzmi TSKŻ płacił za „generalne remonty” w naszym warszawskim baraku po każdej wizycie państwowej komisji. W ten sposób utrzymywaliśmy się w skromnym państwowym budżecie, a państwo, dzięki nam, ciułało drobne, ale bardzo potrzebne sobie dewizy, nie mówiąc już o tym, że równocześnie za te żydowskie pieniądze zapewniało się zatrudnienie nie tylko trzydziestu Żydom, z którymi państwo nie wiedziałoby co zrobić, ale i pięćdziesięciu podobnie niewykwalifikowanym Aryjczykom, którzy spełniali u nas funkcje maszynistów, bileterów, pracowników administracyjnych, portierów.

Na nasze przedstawienia jak na nabożeństwo przychodzili w Warszawie wszyscy Żydzi z zagranicznych wycieczek. Graliśmy im co tylko chcieli, na zamówienie, z dnia na dzień zmieniając repertuar, bo był to właściwie ich teatr, za ich pieniądze, a tylko starym żydowskim zwyczajem ukryty pod aryjską firmą jako „państwowy”. Również i nieżydowskich turystów „Orbis” do nas sprowadzał jako na niezawodną atrakcję dewizową, a władza zacierała ręce z zadowolenia widząc korzystne wrażenie, jakie robiła na sentymentalnych Europejczykach i Amerykanach przez „utrzymywanie” teatru wyłącznie dla uczczenia pamięci swych byłych żydowskich obywateli. Wszystkie te niezawodne pociągnięcia podpowiadała zresztą władzy nasza dyrektorka-graczką, karcianka-dyplomatką, nasz Talleyrand w spódnicy, która zawsze wiedziała co zrobić, żeby i państwowy wilk był syty i nasza owca cała.

Ale wilk też nie był frajer i pewnego dnia zaproponował, żeby dla zwiększenia rentowności przedstawień wprowadzić, jak w ONZ-cie, słuchawki i w ten sposób ściągnąć więcej widzów. Ludzie, którzy przychodzili na nasze przedstawienia, nie potrze-

bowali tłumaczenia, nawet jeśli nie rozumieli po żydowsku. Przychodzili tylko patrzeć i słuchać, patrzeć na obrazy przeszłości i słuchać jej głosów, a nie tłumaczenia nieistotnych już słów. Instalacja taka była potrzebna tylko naszej władzy, która nie dowierzała żadnym słowom. Zresztą, nie bez racji. Na przykład w jednej z naszych komedii gabe z prowincjonalnej gminy żydowskiej podchodził do samej rampy ze swoim dylematem i głośno rozważał: jechać — nie jechać... A widownia, która nagle okazywała się niezupełnie pusta, zgodnie odpowiadała mu: „Jechać!”, choć rzecz się działa w dziewiętnastym wieku i o zupełnie inną podróż chodziło. Nie, nasza władza nie mogła nikomu wierzyć. Dziwne, że w ogóle zgadzała się na wystawianie sztuk, a co dopiero żydowskich. Za radiofonizację naszego teatru zapłacili oczywiście, jak zwykle, zagraniczni Żydzi.

Władza zasadzała się na nas również przy pomocy zwyczajnych uszu i nie tylko w wydziale personalnym, który do tego służył, ale i w garderobach, gdzie niezbędny jej był ktoś rozumiejący po żydowsku. Naiwni Polacy myślą, że Żyd na Żyda nigdy nie donosi i że Żydowi jest lżej, kiedy w bezpiecie natrafia na Żyda. Nikt nie umie tak skutecznie donieść na Żyda jak inny Żyd, i nikt nie potrafi tak rozpracować Żyda jak żydowski ubek. Po to właśnie naszej władzy zawsze byli potrzebni żydowscy ubecy i żydowscy donosiciele.

Wszyscy wiedzieliśmy, kto to był, ale udawaliśmy, że nie wiemy, a i on wiedział, że wiemy i udawał, że nie wie. I musieliśmy być dla niego mili, żeby nie donosił więcej niż trzeba. Dbała o to szczególnie nasza dyrektorka i bardzo jej się narażał ten, kto nie był dość miły dla naszego donosiciela. Nie był to zresztą zły człowiek. Po prostu zapowiedziano mu, że nie wyjedzie, jeśli nie będzie donosił, a on spędził dziesięć lat w łagrach i bardzo chciał wyjechać. O tym też wszyscyśmy wiedzieli i on wiedział, że wiemy, więc była to gra w otwarte karty. Wytrawna karciarzka, nasza dyrektorka miała zresztą pod stołem zapasowego asa dla ewentualnej kontry. Tym asem był dobrze ustawiony polski ubek, mąż jednej z naszych czterdziestoletnich dziewczyn, którą po to tylko pielęgnowała w teatrze. Również dla niej każdy z nas musiał być miły.

Bardzo ważnym kolorem w tej grze była też oczywiście partia. Dyrektorka za Boga nie chciała do niej wstąpić. Żeby „dobrowolnie” wykonywać zlecenia jakichś ówków? Tak to przynajmniej mogła się z nimi spierać jako niezupełnie „uświadomiona”. Ponieważ jednak nie mogłaby się utrzymać w fotelu, gdyby nie miała z partią intymniejszych stosunków i nie znała na czas jej zamiarów, zapisała więc do niej swojego męża, a w zamian za podwyżki i dobre role zapewniła sobie partyjne głosy, które wy-

brały go do egzekutywy. Była to wprawdzie egzekutywa bardzo małej liczebnie organizacji partyjnej, ale stały dostęp do Dzielnicy i Komitetu Warszawskiego miała.

W partii siedział też Himelfarb, nasz jedyny żydowski pomocnik sceniczny i jedyny prawdziwy komunista, można powiedzieć — zawodowy. Zresztą za drobny i za słaby był do jakiegokolwiek innego zawodu, a do handlu miał za mało w głowie oleju. Mógł za kulisami roznosić rekwizyty i zabierać głos na zebraniach. Był to człowiek nieprzekupny, choć spędził w łagrach więcej lat niż nasz donosiciel. Szajba mu jednak w tych łagrach odbiła, bo nie tylko się nie załamał, ale wyszedł z nich wzmocniony w komunistycznych przekonaniach i wierności dla „sprawy”. Szajba odbiła mu do tego stopnia, że wydawało mu się, że jest znów w przedwojennej Polsce i uważał się za rzecznika wszystkich pracowników fizycznych i w ogóle mniej zarabiających, czy w taki lub inny sposób pokrzywdzonych i śmiało w pojedynkę występował przeciwko dyrekcji, zupełnie nie licząc się z opinią swych skorumpowanych towarzyszy. Chodził na skargę do wyższych instancji, które miały zupełnie inne kłopoty na głowie, a nawet wnosił sprawy do sądu. Protestował przeciwko wysokim zarobkom dyrektorki, która miała nie tylko pokazną pensję dyrektorską, ale i pół tysiąca od każdego występu, oraz honoraria i tantiemy za tłumaczenia, adaptacje, inscenizację i wszystkie pieniądze lekką rączką przegrywała w karty. Himelfarb weszły wszędzie nadużycia i malwersacje. Partia miała przez niego pełne ręce roboty i brakowało jej czasu na wtrącanie się w inne nasze sprawy. Tłumaczono mu, że teraz polityka partii polega na kierowaniu przy współpracy z dyrekcją zakładu, bez rozbijackiej roboty. Kogo innego dawno by za to z partii wykopano i dzielnica nie raz opieprzała Himelfarba za arogancję wobec partyjnego kolektywu oraz awanturniczy, burżuazyjny indywidualizm, ale dobrać się do niego krępowano się ze względu na jego staż w stalinowskich obozach i świeże jeszcze rehabilitacyjne papiery.

Stara o tym wszystkim dobrze wiedziała. Po to go przyjęła i po to go za kulisami trzymała. Dzięki temu mogła chodzić gdzie trzeba i wzdychać, jakie ciężkie życie ma z różnymi zwariowanymi facetami, których nie wiadomo czemu trzyma się w partii, a partia nie tylko nie mogła się na nią skarżyć, lecz jeszcze musiała się tłumaczyć. Himelfarb niczego się nie bał, bo po zmarnowaniu całego swego życia, czego jeszcze miałby się bać? Ale i stara niczego się nie bała. Umiała wyliczyć się z każdego grosza, bo wszystko zarabiała legalnie, nawet jeśli zachłannie i bez skrupułów, często kosztem reszty zespołu. Himelfarb nie wiedział, nie rozumiał, lub nie chciał zrozumieć, że były to jej

niezbędne fundusze manipulacyjne. Że przegrywała je z przedstawicielami ministerstwa kultury, urzędu do spraw wyznań, izby kontroli, prokuratury, banku dewizowego, państwowej agencji artystycznej, prasy, nie mówiąc o drobniejszych szczeblach władzy terenowej, które też trzeba było „przekonać”, aby nie uważały naszych występów za zbyt wielki kłopot.

Nasi artyści wiedzieli o tym wszystkim, albo się domyślali, a ekipa techniczna też nie narzekała na niskie uposażenia, bo dojadła i dopijała za darmo na naszych hucznych bankietach, sypiała w czystej pościeli hotelowej z dala od płaczących dzieci i narzekających żon, miała czas i miejsce na karty i dziewczyny, słowem wiodła artystyczne życie, które było zawsze ambicją każdego technicznego pracownika teatru. A jeśli któryś przywiózł z drogi żonie trypra w gościńcu, to najwyżej zrozumiał, że za artystyczne życie płaci się jakąś cenę.

Życie hotelowe było beztroskie, ale w długie miesiące zimowe, gdy drogi były oblodzone i zaśnieżone, siedzieliśmy w bazie, grając wyłącznie w naszym baraku i przygotowując sztuki na następny objazdowy sezon. Graliśmy raz albo dwa razy na tydzień (bo nawet za Jointowskie pieniądze nie można było udawać, że mamy publiczności na więcej przedstawień), ale próbować trzeba było codziennie lub co drugi dzień, więc trzeba było gdzieś mieszkać w Warszawie. Dla siebie i paru starszych rodzin dyrektorka wygrała mieszkania w karty, przegrywając z szefem wydziału kwaterunkowego i z dyrektorem, lub żoną dyrektora urzędu premiera, który dysponował specjalną pulą. W mieszkaniach z puli premiera mieściły się po dwie rodziny. Trochę mieszkań miał w swojej gestii również TSKŻ, po wyjeżdżających wciąż Żydach, ale musiał je przydzielać żydowskim repatriantom z Rosji, którzy nadjeżdżali całymi rodzinami, a nie takim pojedynczym przybłędem jak ja.

Moja kawalerka cztery metry na trzy, która w Łodzi była wielkim przywilejem, w Warszawie byłaby bezcennym skarbem. Nawet bez prysznica i bez telefonu. Inaczej potoczyłyby się moje losy, gdyby mama zostawiła mi kawalerkę w Warszawie, a nie w Łodzi. Odległość zaledwie stu trzydziestu kilometrów, a różnica jak między życiem a śmiercią. Z pewnością brzmi to nienormalnie, ale ja nie urodziłem się w normalnym miejscu, ani normalnym czasie i ani przez chwilę nie miałem normalnego życia.

Musiałem więc znowu, jak za studenckich czasów, tułać się po cudzych kątach. Wiele romantycznych nocy przespałem w garderobie, na twardych scenicznych sofach z różnych epok, pod peleryną Akosty, płaszczem Spinozy, chałatem Ezofowicza, zanim wychodziłem sobie pusty, mały pokoik, na nowiutkiej ulicy No-

wotki, w byłym sercu byłego getta, przy czteroosobowej robotniczej rodzinie spod Warszawy, która umiała zmieścić się w jednym pokoju z kuchnią: mniejsze dziecko spało z rodzicami, a większe na płóciennej rosyjskiej rozkładuszcze w kuchni. W wannie moczyła się zawsze bielizna, ale można było się kąpać, stojąc w niej i polewając się z węża prysznic.

Teatr umeblował mnie w kawiarniany stolik, dwa krzesła i mniej niż jednoosobową dziewiętnastowieczną kanapę, na której ani jednej nocy nie spędziłem sam, bo gdy tylko gasiłem światło i pościel nasiąkała ponętną wonią mojego młodego ciała, wślizgiwały mi się pod kódrę nienasycone, krwiożercze pluskwy, i to nie w pojedynkę ani parami, ale stadami, w zbiorowej orgii.

Kupiłem DDT, którego woni nie mogłem z siebie zmyć, choć godzinami tkwiłem w wannie z rozmoconą bielizną ku irytacji moich gospodarzy, którym odcinałem dostęp do ubikacji. W rezultacie odstraszałem od siebie tym zapachem dziewczyny i kolegów w garderobie, ale nie owe namiętne robaki.

Pewnej nocy zasadziłem się. Zgasilem światło, przeciągnąłem się, nawet ziewnąłem, zamknąłem oczy i udaję, że śpię. Wnet poczułem je swoim wyrobionym nosem i usłyszałem — uszami wyobraźni — ich leciutkie posuwiste stąpanie. A gdy poczułem pierwsze pieszczołtliwe łaskotanie na skórze, pstryk i pełne światło na scenę! I cóż się okazało? To wcale nie były zwyczajne, teatralne pluskwy z mojej dziewiętnastowiecznej kanapy, które pewno dawno wytrułem pudrem DDT, ale uparte pluskwy warszawskiego getta, które cudem przetrwały dwa lata głodu w getcie, przy tak niskim poziomie cukru w krwi jego mieszkańców, a tak wysokim poziomie tyfusu, uchowały się przed Niemcami w czasie wielkiej lipcowej akcji 1942 i następnej małej, styczniowej, kryjąc się w podłogach i ścianach, a potem w czasie kwietniowego powstania zeszyły do piwnic i bunkrów, ratując się przed płomieniami. Tam siedziały w ukryciu do wyzwolenia przez Armię Czerwoną, ale cwane i doświadczone nie ujawniły się dopóki nie zabudowano na nowo byłej żydowskiej dzielnicy, nie założono ciepłych nowoczesnych instalacji i ulubionych przez nie gniazdek elektrycznych w ścianach. W gniazdach tych, zakamuflowane, czekały na robotnicze rodziny, do których krwi były przyzwyczajone, ale można sobie wyobrazić ten przypływ wzruszenia i nostalgii, gdy po tylu latach poczuły znowu rzadkość naszych czasów, rarytas, prawdziwą żydowską krew! Pijane były ze szczęścia.

Kupiłem butlę azotoksu, załaziłem gniazdko i wszystkie szpary. Smród się zrobił w pokoju okropny i musiałem otworzyć okno, żeby się nie udusić. A za oknem trzaskający mróz i pokój szybko wietrzył z azotoksu. Pluskwy wtedy przestawały się go bać i

przychodziły z sąsiedniego pokoju, sąsiedniego mieszkania, sąsiedniego domu — z całej dzielnicy nadciągały, kiedy się dowiedziały, że w skromnym sublokatorskim pokoiku, w niepozornym nowym budownictwie, starannie osłaniającym przed oczami przechodniów pomnik getta, ukrywa się jeszcze Żyd. I do tego młody. Spryskiwałem wszystkie szczeliny i nie otwierałem okna, starając się jak najmniej oddychać — kto kogo przetrzyma? Po godzinie jednak miałem wizję Treblinki i komory gazowej, więc wstawałem z zawrotem głowy i chwiejnym krokiem podchodziłem do okna, żeby wytknąć głowę na mróz. Dostałem od tego gorączki, zapalenia gardła i zatok, nie mówiąc o czyrakach na łydkach i pod pachami z gronkowców, które przechodziły do mnie z brudnej bielizny w wannie podczas długich codziennych kąpieli i pomyslnie się rozwijały, korzystając z conocnego studzenia w oknie mej krwi.

Zrozumiałem, że nie dam rady i wróciłem do teatralnej garderoby, czekając aż się zwolni pokój na Grochowie — bardzo daleko od getta — gdzie koleżanka mojej kuzynki Eli miała osiemdziesięcioletnią babcię, była właścicielką kamieniczki, w której pozostawiono jej dwupokojowe mieszkanie, gdy jeszcze żył jej mąż, rejent. Kiedy umarł, babcia zaczęła drugi pokój wynajmować. Dotychczasowy sublokator, trzydziesto-ośmioletni architekt z biura projektów, doczekał się przydziału w spółdzielni lokatorskiej, po dziesięciu latach wyprowadzał się i żenił.

Babcia ucieszyła się, że będzie miała znowu młodego sublokatora i, choć przedwojenna rejentowa, wcale nie była antysemitką. Nie wchodziła, kiedy się zamykałem w pokoju, najwyższej coś mówiła przez zamknięte drzwi, słuchała sobie radia i popijała wódkę z sokiem malinowym — przeciwko przeziębieniu i jako środek na sen. Może niedosłyszała, a może ją nie obchodziło, czy ktoś tam wkradał się ze mną czasem do środka na czubkach palców, a potem leżał ze mną na dużym żelaznym łóżku, starając się zbytnio nie sapać i nie drażnić starych sprężyn.

Na brak tolerancji ze strony rejentowej nie mogłem narzekać, ale była skąpa i nie naprawiała pieca w łazience. Musiałem sobie grzać wodę w czajniku i w lodowatej, nigdy nie ogrzewanej łazience, mieszałem wrzątek z zimną wodą, czerpałem tę mieszankę kubkiem i polewiałem się na stojąco w zardzewiałej przedwojennej wannie. Rejentowa nie ogrzewała również pokoi, jeśli nie było co najmniej z piętnastu stopni mrozu. Leżała prawie cały dzień pod pierzyną, do kuchni przychodziła w watowanym szlafroku i baranim serdaku, wełnianej chuście i filcowych bamboszach, a do tego popijała wódkę z sokiem malinowym i sok

malinowy z herbatą, więc jej nigdy zimno nie było, a ja musiałem w rękawiczkach przewracać stronicie książki, czy kartki roli.

I całe szczęście, że nie ogrzewała mieszkania, bo w moim pokoju duży przedwojenny piec kaflowy miał pęknięcie nad drzwiczkami, którego rejentowa przez skąpstwo nie naprawiała. Pewnego wieczora, gdy mróz doszedł do dwudziestu stopni, przytulne ciepło mnie powitało w pokoju, a nagrany kaflowy piec łąsił się do mnie jak kot. Nastawiłem sobie radiową muzykę i usiadłem przy nim z listami Sobieskiego do Marysieńki, żeby jak człowiek, bez szalika i bez rękawiczek, podelektować się zapałem miłosnym tego wielkiego pana, który tak bardzo cenił swą miłość i wolność, że gotów był raczej wyemigrować, niż zostać królem. Po niecałej godzinie tej lektury poczułem pulsowanie w skroniach. Położyłem się na łóżku, ale nie mijało. Pomyślałem sobie, że coś jest nie w porządku z pojemnością mojego mózgu, jeśli czytanie takiego racjonalisty jak Boy-Zeleński rozsada mi głowę. Odłożyłem książkę, ale poczułem również palpitację w sercu. Zdziwiło mnie to jeszcze bardziej. Listy Sobieskiego do Marysieńki były erotyczne, ale nie do tego stopnia. Postanowiłem napić się wody. Gdy wstałem, moje tętno waliło jak młotem, a nogi ugiwały się pode mną jak po wódcę. Przytrzymując się ściany, dotarłem do łazienki i natychmiast wsadziłem głowę pod kran. Poczułem równocześnie ulgę i chłód posadzki, na której usiadłem nie wiadomo kiedy, ani dlaczego. Podniosłem się, żeby wyjść, ale nie mogłem się utrzymać na nogach, drzwi łazienki same mnie przepuściły i obudziłem się na podłodze w przedpokoju. Klęczała przy mnie rejentowa, która podtykała mi pod nos butlę amoniaku i z wielką żałością w głosie zawodziła: „Mój Boże, taki kwiat, taki kwiat! Cóż to ci się stało?”

Otworzyłem na oścież okno i drzwiczki pieca i zabroniłem w nim palić, póki nie będzie zreperowany. Przerazona rejentowa przyrzekła, że tym razem wezwie zduna. Zdun jednak przez parę dni nie mógł przyjść, bo miał inną robotę. Potem na dworze trochę zelało, a gdy mrozy chwyciły znowu, staruszcze się zapomniało. Wracam z przedstawienia „Nocy zimowej”, a w moim pokoju ciepłutko jak w uchu i piękny seledynowy piec z pęknięciem na mordzie świeżo zamazany gliną znów się do mnie łąsi jak kot. Położyłem się więc do łóżka bez elastycznych przeciwreumatycznych kalesson z NRD z długimi nogawkami i bez podkoszulki od tego kompletu — w samej tylko piżamie, luksusowo jak jakiś mandaryn. Obudziłem się jednak o wiele wcześniej niż zwykle i nie mogę ruszyć ręką ni nogą, głowa ciąży mi, jakbym miał ciężką grypę, a co dziwniejsze, mój „wachmistrz” (tak Sobieski zwał swego tęgiego penisa), który w nocy zawsze

czuwał nade mną na bacność, a rano zwykle witał mnie dziarsko, wypreżony na całą długość, tym razem leżał mi u nogi, jak struty pies lub zwiędły kwiat... Spojrzałem na piec, zobaczyłem szyderczo uśmiechniętą ryse w jego glinianej łacie i z przerażeniem poderwałem się z łóżka. Opanowując mdłości, wspiałem się na krzesło, szarpnąłem zamarnięty lufcik i pod podmuchem świeżego powietrza zwałim się na podłogę.

Czułem się bezsilny wobec sprzeciwu żywołów, które dawały mi do zrozumienia, że nie ma dla mnie miejsca w tym mieście. Przy pomocy czadu i azotoksu te pamiętliwe żywioły wyganiały mnie na zimne ulice, gdzie wiatr niósł jeszcze *requiem* po czterystu tysiącach bezdomnych i stukot czterystu tysięcy par nóg, które stąd nie tak dawno wcale odeszły w największym masowym pochodzie do nieba, oraz płacz ich dzieci, zwłaszcza tych nie narodzonych, których dybuki straszyły naszymi głosami ze sceny, zawieszanej, tak samo jak ja, na pograniczu co najmniej dwóch światów. Wszystko to wyraźnie mi przypominało, że znalazłem się tu wyłącznie przez pomyłkę paru gestapowców i esesmannów, niedopatrzenie jakiegoś wartownika i szmalcownika. Że powinienem się w tej chwili unosić wśród duchów, które się mnie domagały, wyciągając ręce ze wszystkich szczelin, ponieważ moje właściwe miejsce było w pociągu, który owego wrześniowego dnia odjechał do Trebłinki z jedną połową mojej rodziny i w leśnej ziemiance, w której w piękny kwietniowy poranek wyciągnięto drugą połowę. Moje miejsce było również obok rostej, dwudziestoletniej ciotki Itki, którą Łotysze wyciągnęli z sąsiedka, gdy ja patrzyłem na to spod strzechy obory w Głębozcycy. A także w żółtej bryczce „komisji sanitarnej”, która mnie nie znalazła w Wólce u chłopa, bo mnie wsadził w kartoflisko pod lasem. Raz moje miejsce było także w Alei Szucha, gdzie doprowadzano groźnych wrogów Trzeciej Rzeszy i obrzezanych chłopców, którzy zgubili się na ulicy swoim matkom z aryjskimi papierami, oraz w ruinach getta, opodal dzisiejszej ulicy Nowotki, gdzie ich zastrzeliano. Byłem wyjątkiem, który nie zaprzeczał reguły, lecz ją tylko potwierdzał. Przez pomyłkę się tutaj błąkałem. Podobnie jak nasz teatr, który w godle miał martwy komin. Nawet nasz widmowy stary autobus z małymi oknami i monogramem „E. R.” stał się instrumentem owych żywiołów i zupełnie jak niemiecka duszogubka przepuszczał do środka spaliny, przez co musieliśmy jeździć z otwartymi oknami, nawet późną jesienią w deszcze i wiatr, a potem mówiliśmy ze sceny jeszcze bardziej nieswoimi, zachrypniętymi głosami dybuków. Nic dziwnego, że swym widokiem niepokoiłiśmy i straszyliśmy ludzi. Poderwana w tramwaju studentka psychologii, z którą umówiłem się specjalnie na rogu Królewskiej i Mazowieckiej, żeby musiała zobaczyć

gabloty naszego teatru, widząc mnie na fotosie, odskoczyła, jakby ujrzała ducha i uciekła bez pożegnania.

Tego wieczora znowu zastałem mój pokój nagrany. Zgasilem światło, żeby nie patrzeć na piec, ani w twarz mojego ducha w czarnej szybie okna i rozebrałem się do noga. Nastawiłem „Szarotkę”, która towarzyszyła mi we wszystkich dalszych podróżach. Spojrzała z ciemności melancholijnie swym wiernym, zielonym okiem i zanuciła mi: *Si-bo-ne to kraina za morzem być może tak się zwie, Si-bo-ne to dziewczyna o oczach jak gwiazdy dwie...* Przymknąłem oczy, a ona nadal szeptem mnie zapewniała, że *si-bon, si-bon...* I ja byłem tego samego zdania. Po raz pierwszy w moim pozornie niedługim życiu. I po raz pierwszy zasnąłem zupełnie spokojny i szczęśliwy.

A rano obudziłem się i zupełnie nic się nie stało. Nawet „wachmistrz” stał wyprostowany jak trzeba i salutując na mój widok, zrobił porozumiewawcze oko. Okazało się, że tym razem zdun osobiście zreperował piec.

Artur był artylerzystą, który przeszedł z Pierwszą Armią od Lenino do Berlina. Potem w ciągu dziesięciu lat służby pokojowej dosłużył się stopnia majora, ale w 1956 roku, w czasie akcji „O” (odżydzania), został odkomenderowany na uniwersytet jako student. Przychodził na nasze zajęcia w mundurze ze swym kolegą podpułkownikiem, bo mundury pomagały im w kolokwiałach i na egzaminach. Po zaliczeniu w ciągu dwóch lat czteroletnich studiów na dziennikarce Artur szybko zdjął mundur i zaczął ganiać za dziewczynami w modnym garniturku jako redaktor modnego tygodnika filmowego, bardzo zadowolony z takiego obrotu swej kariery, bo dziewczyny nie lubiły więcej oficerów, a za to przepadały za wszystkim, co miało coś wspólnego z filmem.

Pewnego pięknego, czerwcowego popołudnia Artur złapał mnie na Nowym Świecie za klapy, wołając: „Mam!”. Okazało się, że jego kolega podpułkownik został po studiach dziennikarskich redaktorem „Skrzydlatej Polski” i miał ładną sekretarkę, która z kolei serdecznie się przyjaźniła z jedynym w polskim lotnictwie oficerem płci żeńskiej, w randze porucznika, który będąc, podobnie jak ja, nietypowym zjawiskiem, też nie mógł sobie znaleźć miejsca na ziemi, a szczególnie mieszkania.

Porucznik ładnie wyglądał w głęboko wciętym w talii stalowym mundurze ze srebrnymi gwiazdkami i skrzydełkami, w furazerce ze skrzydlatym orłem, fantazyjnie przesuniętej na bakier na koronie lśniących jasnobłond włosów, a i nogi, choć muskułarne, dobrze się prezentowały spod ciasno opiętej lotniczej spódnicy, niosąc porucznika na oficerskich półślupkach jak na spręży-

nach. Porucznik miał już ze trzydzieści lat, ale to wcale nie jest spóźniony wiek u oficera. Zrywał się do lotu, ale wszystko wskazywało na to, że był na dobre uziemiony. Lotnictwo nie dowierzało mu, bo był trochę inny poniżej pasa (z analogicznego powodu artyleria nie dowierzała Arturowi). Porucznik miał swą dumę kobiecą: nie chcecie mnie, to nie! Ale nie dał się odkomenderować na dziennikarkę, ani tym podobne bzdury, tylko na rzecz zasadniczą — medycynę. I to z całkowitym utrzymaniem na jedynej Wojskowej Akademii Medycznej w Łodzi. Akademia miała nadzieję, że nie zda egzaminu wstępnego, ale nic nie pomogło, porucznik zdał jako jeden z najlepszych. Dobrze, dobrze, powiedział dowództwo, ale Akademia jest skoszarowana, a porucznik-blondynka nie myśli chyba spać z dwudziestoma chłopami na sali i brać natrysków wraz z całą kompanią? Tu nie Warszawa i nie lotnictwo, my osobnych kwater na mieście dla naszych studentów nie mamy! — rozkładał ręce dowódca, który za Boga nie chciał mieć takiego kłopotu, jak „płeć odmienna w służbie wewnętrznej”, czego nawet w regulaminach nie było. A popierały go wszystkie pozostałe szarże, dla których wojsko było jedynym schronieniem przed skomplikowanym światem dwóch płci. Lotnictwo się chciało popisać przed partią i prasą, że mają kobietę-pilota, a teraz nie wiedzą co z tym fantem zrobić i nam podrzucają! — argumentowali politycy, którzy zdawali sobie sprawę, że kobieta-student medycyny dla prasy nic nie znaczy.

Porucznik miał tylko jedno wyjście: znaleźć sobie na mieście cywilne mieszkanie. Ja miałem takie mieszkanie w Łodzi (z indywidualnym natryskiem), a ona miała niekrępujący wojskowy pokoik w Warszawie na Ochocie. Mój teatr żydowski był tylko w Warszawie, a jej Wojskowa Akademia Medyczna tylko w Łodzi. Taka okazja zdarzała się raz na sto lat.

Pokoik w wojskowym bloku na Ochocie miał trzy metry na trzy. Kuchnia i łazienka były wspólne, bo drugi, większy pokój zajmowała rozwiedziona i bezdzietna kapitanowa, ale nie nastrecało to kłopotu, bo kapitanowej cały dzień, a czasem i całą noc nie było w domu. Był to nowoczesny budynek, bez żadnych pieców. Centralne ogrzewanie, ciepła woda z elektrociepłowni, żadnej bielizny w wannie i ani śladu pluskiew na ścianach. W pokoiku stało jednoosobowe hotelowe łóżko, stolik, dwa krzesła i dwudrzwiowa szafa. Zaakceptowałem je w zamian za moją łódzką serwantkę i tapczan, zwany przez filmowców „pracownią”. W ten sposób unikaliliśmy nawet międzymiastowej przeprowadzki.

Byłoby to jednak zbyt proste. Zwłaszcza że mieliśmy do czynienia z wojskiem. Zamiana pomiędzy oficerem a cywilem? Kwatermistrzostwo jeszcze o czymś takim nie słyszało. Nic z tego!

Zaproponowałem więc *status quo*, z tym że ja zamieszkać jako sublokator na Ochocie, a ona jako sublokatorka u mnie w Łodzi. Ale i na to się nie zgodzili. Nie można zameldować w wojskowym mieszkaniu nikogo, kto nie należy do bliskiej rodziny, jak ojciec — matka, syn — córka, siostra — brat, oraz mąż — żona...

Porucznik i ja nie należeliśmy do ludzi, którzy łatwo się cofają przed trudnościami, a przeprowadzenie takiej okazji nie dawałoby nam spokojnie spać do końca życia. Udaliśmy się do radcy prawnego, jej przyjaciela, który się znał na sprawach mieszkaniowych.

Spotkaliśmy się w „Niespodziance” na Placu Konstytucji. Radca był w dobrym humorze i postawił nam pół litra mietówki. Wypiliśmy raz i drugi i radca poradził nam to, co samo się nasuwało na myśl: małżeństwo. I czemu nie? Przecież są małżeństwa nie tylko z miłości i zawsze były. Dla pieniędzy, dla kariery — czemu nie? Ludzie sobie pomagają wzajemnie jak mogą. Małżeństw dla pieniędzy było już niewiele, bo niewiele było pieniędzy, a inna kariera też była w naszych czasach rzeczą niepewną. Jedna z koleżanek na pierwszym roku dziennikarki wyszła za dyplomatę i od lat siedziała z nim w ciemnej, północnej Korei. Kolega po trzecim roku ożenił się z córką samego przewodniczącego Rady Państwa, a ten wkrótce potem przestał być przewodniczącym Rady Państwa. A inni, którzy przedtem tak ostentacyjnie żenili się z Żydówkami, teraz przed własnymi dziećmi ukrywali pochodzenie ich matek. Wiele mogłyby na ten temat powiedzieć również owe jędrne polskie dziewczyny, które jeszcze dziesięć lat temu wrywały sobie z objęć nielicznych na rykowiskach Żydów, a teraz się okazały żonami facetów odsuniętych na bok przez akcję „O”, oraz matkami dzieci o skażonych na zawsze nazwiskach. Człowiek po prostu za późno się dowiadywał, co jest naprawdę karierą, a co nie. Natomiast mieszkanie, to był prawdziwy i niezawodny kapitał. Owszem, trzeba było umieć potem, w tak uzyskanym mieszkaniu, z tą drugą osobą wytrzymać, ale u nas nawet to nie wchodziło w rachubę, bo mieliśmy po ślubie zamieszkać w osobnych mieszkaniach, a nawet w osobnych miastach, oraz, przynajmniej do czasu rozvodu, w ogóle z sobą nie sypiać (takie przynajmniej ja powziąłem postanowienie).

Kalkulacja naszego radcy prawnego była czysta i oczywista. Pobieramy się. Ja, rozkazem komendanta miasta stołecznego dostaję zezwolenie na zameldowanie się w wojskowym mieszkanku — mej żony. Moja żona na podstawie świadectwa ślubu natychmiast melduje się w Łodzi, na moim seksualnym tapczanie z prysznicem i telefonem. Po pewnym czasie, najlepiej po roku, pod wpływem tej separacji jedna lub druga strona może

wnieść sprawę o rozwód i z łatwością go uzyskać, polubownie, bez orzeczenia o winie i każda ze stron pozostaje w wybranym przez siebie mieszkaniu.

Nasi mówcy udają, że wierzą w to co mówią, a słuchacze, że wierzą w to co słyszą. Żeby nie było „wątpliwości”, słuchacze przerywają przemówienia oklaskami i anemicznymi okrzykami ze strategicznych punktów sali. Nikomu nie przeszkadza już to, że wszyscy wiedzą, że nikt nie wierzy w ani jedno słowo. Mówca wie, że mu nikt nie wierzy i wszyscy wiedzą, że on wie, że wszyscy wiedzą. Wie on jednak również, że każdy na jego miejscu mówiłby to samo, więc wcale się nie krępuje, a słuchacze, którzy też to wiedzą, nie krępują się, klaszcząc. Nikt nikogo się nie krępuje. Prasa nie wierzy w to co pisze, bo taka głupia przecież nie jest, a czytelnicy nie wierzą w to co czytają. I prasa o tym wie i czytelnicy wiedzą, że ona wie, więc nikt się niczemu nie dziwi. To samo jest z radiem i telewizją, wystawami, filmami, książkami, uczniami i nauczycielami. A udawanie już nikogo nie męczy, bo wszyscy się przyzwyczaili. Zwłaszcza, że nie trzeba nawet zbytnio się starać, wiedząc, że i tak każdy wie. Wymagano tylko tyle, żeby przedstawienie trwało, żeby samo przed sobą się nie wydało. Ponieważ na przedstawieniu wystarczy jeden mały chichot, jedno otrzeźwiający słowo i cała iluzja na nic, więc odpowiednie organa czuwały, żeby nikt nie przestawał udawać, ale w gruncie rzeczy można było żyć i mało kto naprawdę narzekał. Intelktualiści najwyżej dowcipkowali w kawiarniach i byli zadowoleni z ubawu. Więc czemu ja miałbym się przejmować? Powtarzałem sobie przed lustrem: To nie mój ślub, nie moja narzeczona i w ogóle nie ja tylko zwyczajna rola, jaką los kazał mi zagrać na jeszcze jednej z wielu maskarad, w jakich ludzie tu codziennie uczestniczyli.

Umówiliśmy się nikomu nie opowiadać o naszym małżeństwie i że porucznik, aby nie wzbudzać sensacji, przyjdzie do ślubu w sukience. Przyszedeł w asyście sekretarki ze „Skrzydlatej Polski”, obie w zwiewnych, kwiecistych sukienkach. Z rozsypanym jasnoblonde włosom mój porucznik wydawał się niższy, przystępniejszy, a nawet młodszy. Rzęsy miał trochę mocniej podmalowane, a przy głęboko wyciętym dekolcie falował mu autentyczny biust. Obie z zainteresowaniem mi się przyglądały, ale ja zachowywałem kamienną twarz.

Stanęliśmy przed siwiejącą urzędniczką, która miała ciężki łańcuch na szyi, symbol władzy. I słuchaliśmy tak, jak słuchało się władzy: nie wierząc w ani jedno słowo. I prawie nie słuchając. Szarosiwe włosy naszej urzędniczki były gładko zaczesane i upięte w tyle głowy z dostojnością staroświeckiej elegancji.

Miała zdrową cerę człowieka, który prowadzi racjonalny tryb życia, a zmarszczki nie tylko jej nie szpeciły, ale uwydatniały szlachetność rysów jej twarzy. Miała też dobrotliwe spojrzenie człowieka, który wiele w życiu widział i niczemu się nie dziwił. Nie zdziwiła się, że moja narzeczona była o siedem lat ode mnie starsza. Przyjęła nasze daty urodzenia z uśmiechem i kiwnięciem głowy, jakim wyraża się uznanie dla czyjegoś dobrego smaku.

Jednakże nasza starsza pani nie była z kamienia i nie potrafiła ukryć pewnego wzruszenia, słysząc, że panna młoda jest porucznikiem lotnictwa, a jeszcze bardziej, gdy okazało się, że pan młody jest zabytkiem z teatru żydowskiego. Obdarzyła nas ciepłym, matczynym spojrzeniem, a jej twarz rozjaśniła się tak, jak rozjaśniają się twarze ludzi w rzadkich chwilach, kiedy im się zdaje, że spełniają się ich ideały. W tej chwili można było z jej twarzy wyczytać całą jej nieskomplikowaną przeszłość: życie ideowej dziewczyny, która całkowicie uwierzyła lekturze Orzeszkowej, Konopnickiej, Janusza Korczaka i Ludwika Krzywickiego, i poświęciła swe najlepsze lata emancypowaniu kobiet, Żydów, chłopstwa i proletariatu, uświadamianiu z trybuny, socjalistycznej albo ludowej. Komunistycznej — nie, bo nie miała w oczach owego fanatycznego blasku, oznaczającego gotowość do poświęcania dla ideałów życia — nie swojego jednak, ale cudzego. Do takiej jak ona każdy Żyd mógł przyjść w czasie okupacji po pomoc, bez żadnej obawy. I z pewnością wielu przychodziło. Teraz zaś jako niepotrzebny i niewygodny zbytek przeszłości, odsunięto ją od istotnych placówek i jak dekorację wystawiono w urzędzie stanu cywilnego, gdzie pociechą dla niej mogło być tylko matrymonialne zrównywanie ludzi — bez względu na pochodzenie społeczne, rasę, narodowość, czy nawet wiek. Ja i porucznik byliśmy więc w jej oczach sierotami, które podały sobie ręce w nieprzychylnym, przesadami rządzonym świecie. Fakt, że nie mieliśmy najmniejszego nawet orszaku krewnych, znajomych, przyjaciół i że na świadka musieliśmy sobie kupić woźnego, też wymownie wskazywał, jak samotna musiała być para, w której — wbrew całemu światu — panna młoda śmiała być lotnikiem, a pan młody upartym Żydem. Słyszałem szczerą i serdeczną nutę w głosie starszej pani, gdy po udzieleniu ślubu składała nam swoje osobiste życzenia. Wiedziałem, że nie udawała i było mi naprawdę wstyd. Zdawało mi się, że widziałem również wzruszenie w twarzy porucznika, którego musiałem dla rytuału musnąć przynajmniej czubkiem nosa w policzek, a w oczach pięknej sekretarki „Skrzydlatej Polski” świeciły zupełnie autentyczne łzy.

Kiedy mój porucznik poszedł dopełnić formalności i wymel-

dować się z wojskowego pokoiku na Ochocie, powiedziano mi to, czego nie powiedział nam w swoim czasie radca prawny, a mianowicie, że opuszczając wojskowe mieszkanie, należy zabrać z sobą również wszystkich współlokatorów, a zatem wymeldowując się, wymeldować również i — męża. Drobnym przepisem, który widocznie uszedł uwadze naszego radcy. Nawet gdybym natychmiast uzyskał rozwód, to nie mógłbym pozostać w mieszkaniu jak nasza rozwiedziona kapitanowa. Prawo chroniło tylko rozwiedzione kobiety, nie pozwalając na usuwanie ich z mieszkań, nawet wojskowych, a nie przejmowało się wcale losem rozwiedzionych mężczyzn.

Na cios ten byłem zupełnie nie przygotowany. Mieszkania w Warszawie nie miałem, jak przedtem, miałem natomiast żonę, z którą nigdy nie spałem, a z którą teraz nawet pod karą śmierci nie poszedłbym do łóżka. I w dodatku musiałem być dla niej uprzejmy, bo nabyła praw do mojej łódzkiej kawalerki i mogła nie zechcieć się stamtąd wyprowadzić, a także przysporzyć mi trudności w uzyskaniu rozwodu.

Moja żona — porucznik miała jednak swój honor i oficerskie słowo. Przynęła uczynić wszystko, żeby mnie nie wyrzucono z wojskowego kubiku i słowa dotrzymała. Napisała odwołanie do komendanta miasta, do dowódcy okręgu, do głównego kwartiermistrza. Kiedy odwołania pisemne nie pomogły, poszła tam osobiście. Wszędzie słuchano jej uważnie i z dużym zainteresowaniem, zadając szczegółowe pytania. Potem kazano jej czekać kilka dni i posyłano dalej, trybem służbowym: raport za raportem, stopień za stopniem, rozkaz za rozkazem, tryb za trybem. W ten sposób dostała aż do sztabu generalnego, ale niestety, w trybach tych nie było dostatecznego luzu, który pozwoliłby na maleńki wyjątek dla mało zauważalnego aktora z prawie nie istniejącego żydowskiego teatru.

Porucznik miał uparte serce i dotarł do samego ministra obrony, który wprawdzie nie przyjął jej osobiście, ale przyjął pismo, a odpowiedzi udzielił przez wiceministra, co było i tak dużym wyróżnieniem. Wiceminister, szczupły, młody generał o chłopięco niewinnej twarzy, respektowany, bo wszyscy wiedzieli, że był znacznie zdolniejszy od ministra, powiedział, że niestety nie może zrobić wyjątku w przepisach Głównego Kwartiermistrzostwa ludowego WP, które i tak ma za mało mieszkań dla swych oficerów, lecz poradził zwrócić się do pionu cywilnego, który przydzielał mieszkania różnym ludziom w Warszawie ze specjalnej puli premiera.

Porucznik i ja spotykaliśmy się codziennie po godzinach urzędowych w samym środku stolicy, pod rozłożystym Pałacem Kul-

tury, który wraz ze swym największym w Europie pustym placem, zwanym w zimie „Syberią”, zajmował pokaźną część mieszkalnej dawniej powierzchni miasta. Siadaliśmy na kamiennej ławce pod wątlymi jeszcze drzewkami socjalizmu, sztucznie zasadzonymi wokół sztucznego pałacu, i omawialiśmy kolejne plany operacyjne na podstawie raportów z przebiegu dotychczasowych działań.

Niestety, pula premiera też okazała się pusta. Oznaczało to, że władza nie widziała potrzeby skorzystania ze swej elastyczności, rezerwując ją sobie dla kogoś przydatniejszego niż takie okazy jak mój porucznik i ja. Musiałem wrócić do teatralnej garderoby pod płaszcz wyklętego Barucha Spinozy, a kiedy rozpoczął się nowy sezon, widziano na naszej widowni majorów, pułkowników, a nawet generałów, i każde moje wejście na scenę, nawet w najdrobniejszej roli, witane było szmerkiem na sali, budząc zazdrość i rozdrażnienie moich starszych, lepiej obsadzanych kolegów. Dyrektorka zaczęła mi się przyglądać z drwiącym zainteresowaniem, a biuro personalne kazało mi wypełnić nową ankietę, gdzie była wyraźna duża rubryka na stan cywilny i drobno drukowane ostrzeżenie, że pięć lat więzienia grozi za wstawienie nieprawdziwych informacji. Nie mogłem napisać „kawaler”, ponieważ wziąłem ślub, ale żony też *de facto* nie miałem, a nawet i nie *de jure*, skoro małżeństwo nie zostało „skonsumowane”. Nie byłem też jeszcze rozwiedzionym, ani wdowcem, ale uważałem, że miałem prawo do ogólnej i wymijającej odpowiedzi, pisząc w rubryce stanu cywilnego: „wolny”. Przy czym nie mogłem się powstrzymać, żeby nie mruknąć pod nosem po żydowsku: „Taka wolność na moich wrogów”.

Moja kuzynka Ela też nagle zadzwoniła do teatru, pytając, czy już tak dużo zarabiam, że nie zgłaszam się do niej nawet po pożyczki. Ela była wnuczką Jankla z Makówca, żydowskiego dziedzica, rodzzonego brata mojej babki z Nowej Wsi. Jej matka i mój ojciec byli najbliższymi kuzynami, oboje zamożni z domu, ale ambitni i skłócenii ze swymi rodzicami, oboje popełnili megalians. Jej matka pozwoliła się uwieść Biunkowi, który był zwyczajnym, nieoświeconym handlarzem bydła i chłopem jak byk, a mój ojciec też sam sobie wyswatał urodziwą córkę ambitnego, lecz biednego jak bóznicza mysz, chasyda z Dobrego. Nasi dziadkowie przeprosili się z naszymi rodzicami, kiedy zostali dziadkami. Żydowski dziedzic z Makówca przyjechał na mój *pidien ha-ben*, czyli wykupienie pierworodnego. Było to huczne przyjęcie, na którym moi krewni popisywali się, kto rzuci więcej złota na tacę dla synagogi, na pamiątkę starożytnego zwyczaju wykupywania pierworodnego od służby, czy może nawet od ofiary w jerozolimskiej Świątyni. Mój dziadek z Nowej Wsi był dosyć

zamożny, a i ojciec, choć na własnym dorobku, też biedakiem nie był, ale obaj razem nie mogli rzucić na tacę tyle co ich bliski krewny i powinowaty z Makówca, który był do tego najhojniejszym człowiekiem w okolicy. Co to była za żałoba, kiedy krzepki i zaledwie pięćdziesięcioletni dziedzic z Makówca umarł nagle w 1941 roku na raka! Wszyscy mówili, że nieszczęście, a okazało się, że bardzo szczęśliwie. Wszyscy mówili, że przedwcześnie, a okazało się, że w samą porę i że Jankiel z Makówca był od początku do końca wybrańcem. Niewielu Żydom udało się wówczas umrzeć na raka, jak ludziom. W ogóle nie wiadomo, czy rak to naprawdę nieszczęście i czy trzeba koniecznie coś wynaleźć, żeby przestał być nieuleczalną chorobą. Są gorsze rzeczy, na które nie ma lekarstwa.

Moja rówieśniczka Ela przyjrzała mi się tak samo jak przedtem dyrektorka i personalna, ale nie zadawała pytań, tylko nastawiła amerykańską płytę z piosenką w wykonaniu duetu Barry Sisters. Była to przedwojenna żydowska piosenka z sentymentalnym refrenem: *Unter der chype wel'n mir szejn, di klermurim wel'n szpil'n azoj szejn* (Będziemy pod baldachimem stać, a klezmerzy będą nam przepięknie grać).

Nie, nie powinienem był tego zrobić ani sobie, ani pokoleń, które pod baldachimem stawały. Ani tym, którym nie pozwolono pod nim stanąć. Moim czterem ciotkom na wydaniu, ani pamięci ojca, w którego imieniu stałem pod baldachimem z mamą, kiedy ślub brała z Uszerem. Ani Jankłowi z Makówca, który tak szczerze uczcił moje narodziny. Pętałem się teraz po świecie jako półżywy-półmartwy, półkawaler i półżonaty. Z teatrem bez widowni, po drogach pomiędzy wymarłymi miastami. Grałem na niby, żyłem na niby, nawet się ożeniłem na niby. I w dodatku skazy na trzeźwość nie mogłem się nawet upić.

— Kobieta, która tak długo nie mogła wyjść za męża, ma niewiele powodów do rozwodu — tłumaczył adwokat. — W tym oficerskim mundurze musiała uchodzić za dziwaczkę lub budzić jeszcze gorsze podejrzenia. Teraz ma męża, którego wszystkie kobiety mogą jej pozazdrościć. Męża który jej nie przeszkadza, nie dokucza, nie zamęcza, nie zanudza, nie ma żadnych wymagań...

— Więc ona może tak pokręcić zeznania, żebym nie dostał rozwodu?

— Owszem, może. Dlatego w sądzie, nawet w pozornie prostej sprawie, nie można obejść się bez adwokata.

— Więc co ma pan zamiar zrobić?

Przekonać ją, że w swoim własnym interesie powinna wziąć rozwód. I to jak najprędzej.

Przekonał ją w bardzo prosty sposób, że małżeństwo jej, aczkolwiek niewątpliwie interesujące, było jednak bardzo już niesezonowe i mogło jej przynieść znacznie więcej kłopotu niż pożytku. Kazał jej wyobrazić sobie, jakim kuriozum musiało ono być dla jej dowódców? Jak oni mogli to przyjąć? „Słyszeliście, pułkowniku, co ta nasza chluba ludowego lotnictwa znowu wymyśliła? Wysłała za męża za Żyda! I to nie za kogoś z KC, ani nawet z handlu zagranicznego, ale za aktorzyne! I w dodatku nie za takiego, żeby można było udawać, że się nie wie, ale ostentacyjnie, prosto z żydowskiego teatru!... A potem jeszcze bezwstydnie biega po sztabach i chce dla niego oficerskiego mieszkania! Tak to jest, jak się dopuszcza do wojska ekstrawaganckie baby!”

— Po co to pani? Czekają panią studia na Wojskowej Akademii Medycznej, czy za mało będzie pani miała kłopotów i bez tego? Potrzebne pani jeszcze doczepione żydowskie nazwisko? — pytał retorycznie adwokat. — On musi być Żydem, bo nie ma na to rady, ale po co pani tego rodzaju awantura? Niech mi pani wierzy, ja tu jestem bardziej pani adwokatem niż jego...

Zgodnie z opinią adwokata, nasz rozwód zrobił o wiele lepsze wrażenie w sztabie generalnym i na innych szczeblach dowodzenia niż nasz ślub. Jeszcze tej samej jesieni przydzielono mojemu porucznikowi służbowy pokój w Łodzi, w pobliżu WAM-u, a ja odzyskałem moją łódzką kawalerkę i znalazłem się znów w punkcie wyjścia.

Jednakże Ziemia, zataczając swe kopernikowskie kręgi, nie powraca na to samo miejsce. Czekala mnie nowa niespodzianka. Kiedy udało się wysłać pierwszego Rosjanina poza kulę ziemską, ucieszyłem się, że nareszcie skończą się wszystkie nasze utrapienia z Północą, Południem, Wschodem i Zachodem. Że wszyscy nareszcie pojmą, jak śmieszne są nasze ziemskie granice i obiorą właśnie ów wspólny i jedyny kierunek prawdziwie ludzkiej ekspansji: w górę! (Myślałem też sobie w duchu, że może przy tej okazji zapomną nawet o Żydach). Nic podobnego. W parę miesięcy po tym krótkim wlocie postawili mur graniczny przez środek Berlina (według pomysłu Adolfa Hitlera) a zza węgła jeszcze bardziej niż przedtem wychyliła się bardzo przyziemna, tradycyjna wojna światowa.

Tymczasem mama i Uszer sprzedali wreszcie w Izraelu naszego „Bechsteina”. Co nie było rzeczą łatwą, bo „Bechstein” to za wielki fortepian dla tak małego kraju jak Izrael i nie mieścił się w niczym mieszkaniu, a sal koncertowych też nie może być wiele w tak drobnym kraju jak Izrael. „Bechstein” więc poszedł

za bezcen, a Uszer i mama musieli pójść do fizycznej pracy: Uszer do wyrobu serów w piwnicy po kostki w wodzie, a mama przy maszynie do szycia w trudnym izraelskim klimacie. Od tej pracy, przejmowania się i jądania tanich serów, które przynosił Uszer, odezwały się wapniowe kamienie w drugiej, nie operowanej dotąd jeszcze nerce mamy. Skłoniło ich to do pisania długich listów do rodzonej siostry Uszera w Ameryce i wreszcie po spłaceniu wszystkich długów dostali bilety i wizy. Dowiedział się o tym Chruszczow, stary antysemita, który miał dobry wywiad we wszystkich krajach i wysłał na Kubę atomowe rakiety, gotów zbombardować nimi Nowy Jork i inne żydowskie miasta, wiedząc że ja jestem w Polsce i że mnie ma w swoich łapach. Natomiast nie zdawał sobie z tego sprawy naiwny Amerykanin Kennedy, gdy ogłosił blokadę Kuby. W ten sposób powstał kryzys kubański z obu supermocarstwami nos w nos i rakietą w raketę, oraz mną i mamą po przeciwnych stronach, przy czym nikt się nie liczył z naszymi uczuciami.

Warszawę ogarnęło radosne podniecenie. Ludzie ochoczo stawali w długich kolejkach po mąkę, kaszę, cukier i sól i trwali w nich całymi dniami, prowadząc ożywione i wesołe rozmowy. Podobne kolejki stały przed kioskami po zapalki i papierosy. Zniknęły z półek sklepowych wszystkie konserwy mięsne i rybne, oraz konfitury i dzemy. Apetyczny swąd się ulatniał z kuchennych okien i wisiał w podwórzach. Skrzętnie i gospodarnie przetwarzano słoninę i masło, suszono jabłka i gruszki, jak na długą i ciężką zimę. Gromadzono także zapasy wódki i spirytusu, wykupywano z aptek jodynę i aspirynę.

A przy tym wszystkim, co najdziwniejsze, żadnych kłótni ani popychania w kolejkach, a nawet żadnych wymyślań pod adresem lub ze strony sprzedawczyń, duch zupełnego porozumienia i zgody. Pełno ludzi w kawiarniach, choć brak było w nich kawy i cukru. I nikt nie narzekał, popijając kolejny wywar z tych samych fusów z kosteczką cukru pokrojoną na czworo. W knajpach nie można było się dopchać do baru, ale nikt nikomu nie mówił złego słowa, nikt nikogo nie zaprawiał w zęby i nie podawał w wątpliwość cnoty niczyjej matki. Przeciwnie, wszyscy sobie nawzajem ustępowali, ustawiali się bokiem, żeby jeszcze kogoś dopuścić do źródła, wyręczali się wzajemnie, podając z ręki do ręki kieliszki, widelce, talerze ponad głowami. „Podajcie ludzcie bliźniemu!” „Nie żałujcie!” „Nie często się zdarza taka okazja!”

Pełno też było ludzi w kościołach, od rana do wieczora, jak w największe święto. I wychodzili stamtąd z rozradowanymi oczami.

Przed „Bristolem” chłopak z dziewczyną podeszli do kiosku i zapytali o zapalki. Zapalki już były wyprzedane, kioskarcz wyjął z kieszeni swoje i pozwolił im przypalić papierosa.

— Kiedy już się do cholery zacznie ta wojna! — zawołał wesoło chłopak.

— Ludzie, czy wy naprawdę wojny się nie boicie?! — zawołałem.

Chłopak się roześmiał, roześmiała się dziewczyna, kioskarcz zrobił do mnie porozumiewawcze oko w przekonaniu, że ja żartuję.

Wszyscy się cieszyli i wyglądało na to, że tylko ja się bałem. Że tylko na mnie działało w ciągu tylu lat codzienne straszenie zagładą. Jakbym tylko ja słuchał radia i czytał gazety i tylko mnie miała się propaganda, a innych nie.

— Czy to możliwe, że masowa propaganda nie działa? — spytałem Chaima Nysencwajga.

— Propaganda z pewnością działa, ale nie zawsze tak, jak chcą ci, co ją robią. Tak długo straszyli aż ludzie uwierzyli, ale w to, że to oni się boją.

Nasze wyjazdy w teren zostały wstrzymane. Nasz kierowca i paru maszynistów dostali karty powołania. Artyleria przypomniała sobie o Arturze i kazała mu czekać na rozkazy. Ja wyjechałem do Łodzi, zamknąłem się na „Zimowej” i słuchałem radia. Słuchałem do późna w nocy, po polsku, rosyjsku, angielsku, po czesku, żydowsku, niemiecku. Kiedy się rano budziłem, natychmiast włączałem radio i w ogóle nie chciało mi się wstać.

Wszyscy w Warszawie i w Łodzi byli przekonani, że tym razem już musi do czegoś dojść, że nawet Ameryka nie przepuści tak znakomitej okazji i że nastąpi wreszcie upragnione „zesraśja Kola”. Tak sądził również doświadczony artylerzysta Artur i stary Nysencwajg, który z bliska widział obie dotychczasowe wojny światowe.

Dla mnie jednak wojna była z góry przegrana, niezależnie od sytuacji i rozwoju wypadków na froncie, czy przebiegu nieuniknionego powstania. Ja byłem na specjalnej liście u Chruszczowa i jego speców, którzy wiedzieli, że żydowski chłopiec jak ja nie zechce strzelać do swej matki po drugiej stronie oceanu, a może nawet powita macą i solą pierwszego z brzegu żydowskiego żołnierza amerykańskiej armii, która wkroczy do Łodzi. Byłem też pewno na liście sztabu generalnego, który musiał dojść do wniosku, że pod pozorem tricku mieszkaniowego ożeniłem się z porucznikiem lotnictwa, żeby wykopulować tajemnice

wojskowe, po czym się natychmiast rozwiodłem. Sztab generalny ma zawsze z góry przygotowaną listę takich, których można obwinąć za ewentualne niepowodzenia na wojnie. Każdy sztab generalny, a ja doskonale pasowałem na taką listę. Można było bez trudu przewidzieć, że całe polskie wojsko przy pierwszej okazji ochoczo pomaszeruje wprost do amerykańskiej niewoli, radośnie wymachując podniesionymi rękami, ale na to nie było rady. Natomiast na mnie była rada: zdrada. Nawet gdybym nie miał matki w Ameryce i w ogóle nikogo na Zachodzie, a za to wszystkich w partii, czy w alejach zasłużonych na partyjnych cmentarzach, też musiałbym rzucać się gołą pierśią na karabiny maszynowe lub z granatem w zębach pod czołgi, śmiało biegać przez najgęstsze pola minowe i zgłaszać się na ochotnika do każdego samobójczego wypadku, żeby wykazać, że nie jestem zdrajcą-Dreyfusem, ani żydowskim tchórzem. Od czasu gdy wymyślono zdrajcę-Judasza, Żydów zdradzano wszędzie — w Rzymie, w Hiszpanii, w Niemczech, na Ukrainie. W Tulczynie szlachta schroniła się w zamku, a Żydzi wyszli na mury, broniąc siebie i miasta. Szlachta jednak Żydom „nie dowierzała” i postanowiła wpuścić Krzywonosą w nocy do miasta, za co Krzywonos przoryzł wypuścić szlachtę bez szwanku. Krzywonos wszedł do miasta i wyrznął najpierw Żydów, a potem szlachtę, ale szlachta pozostała szlachtą, Krzywonos bohaterem, a Żydzi — zdrajcami. W Słowacji ultrachrześcijański sanhedryn: Tiso, Tuka, Mach i „prekseda” Moravek z ręką na Ewangelii wydali na śmierć sto tysięcy Żydów i jeszcze zapłacili Eichmannowi pięćdziesiąt milionów za „transport”, ale w „socjalistycznej” armii czechosłowackiej nie słowackiego chrześcijanina się podejrzewa o zdradę, lecz Żyda. W czasie wojny zdradzono sześć milionów Żydów, a teraz zdradza się pozostałych, w partii, w ONZ-cie, gdzie tylko się da. Ale nie daj Boże, jeśli kogoś zdradzi Żyd. I jak to brzydko, kiedy Żyd zwany tchórzem naprawdę stchórzy. Albo jeśli wśród dziesięciu enkawudzystów i ubeków jeden jest Żyd. Kto zrozumie tę starożytną grecką logikę? We Francji, w Anglii i w Ameryce Żydom dano już wszystkie prawa, ale i tam Żyd, w przeciwieństwie do wszystkich innych, nie ma prawa być zdrajcą, tchórzem, czy zwykłym skurwysynem. Ba, nie ma do tego prawa nawet w Izraelu. Zdrada szalała w każdej warszawskiej knajpie i każdej łódzkiej kawiarni, malowała się na rozradowanych twarzach przed sklepami i w zatłoczonych tramwajach, ale było bardziej niż pewne, że przyjdą po mnie i przede wszystkim *mnie* posła — w najlepszym wypadku — do białych nie-dźwiedzi.

Mama oczywiście będzie interweniowała przez neutralne państwa i czerwony krzyż. Może narobi takiego skandalu, że nie

będą mogli mnie skazać na zdradę (nie za, ale *na* zdradę) i przesuną mnie z listy zdrajców na listę zakładników. Może nawet będę mógł dostawać paczki z amerykańskimi konserwami i ciepłą bielizną przez Szwecję. A może wymienią mnie po jakimś czasie za prawdziwego zwiadowcę lub szpiega, albo bardzo potrzebnego w danej chwili Kremłowi przywódcę jakiejś kompartii. A jak nie to jak Iwan Denisowicz przeczekać na bezludnej Północy, gdzie są największe szanse przeżycia, bo nikt tam nie będzie rzucał bomb atomowych. Tam doczekam wyzwoleńczego desantu i jak Uszera po Mauthausen otoczą mnie troskliwą opieką. Będą mnie ważyli i z niedowierzaniem kręcili głowami. Będą mnie dokarmiali, stopniowo, skondensowanym mlekiem i sproszkowanymi jajkami, a neutralne szwedzkie pielęgniarki będą mnie codziennie masowały ze łzami w oczach i wyrzutami sumienia z powodu swej neutralności. A po paru miesiącach dostanę w nocy pierwszej polucji, na znak że znowu żyję i wtedy żadna pielęgniarka, nawet najbardziej neutralna, nie będzie miała serca mi odmówić.

Codziennie goliłem się, ubierałem, po czym kładłem się z powrotem na tapczan i czekałem. Byłem w połowie golenia, kiedy rozległ się krótki dzwonek. W drzwiach stał przystojniak w porządnym flauszowym płaszczu i drogim borsalinowym kapeluszu z komisem. Pokazał mi swą okrągłą blaszkę, którą nosił w kondonierce u pasa, po czym zdjął kapelusz, usiadł przy stole i poczekał aż skończę golenie.

W tramwaju on pokazał swój miesięczny abonament, ja zapłaciłem za jednorazowy bilet i jechaliśmy jak dwaj koledzy. Na sąsiednim pomoście mocno podпиты robotnik w waciakach i czapce-uszance wyśpiewywał w marszowym rytmie:

*„Cekaem ciężki, ciężki weź
i wszystkich komunistów zmieć!...”*

Ludzie uśmiechali się, a mój towarzysz uśmiechał się jak i inni ludzie w tramwaju.

Wysiedliśmy na Roosevelta, gdzie mieścił się główny komisarjat. Mój towarzysz w milczeniu wskazał mnie sierżantowi, sierżant kiwnął głową i podniósł klapę przy swoim biurku. Mój towarzysz przepuścił mnie uprzejmie przodem. Podeszliśmy do zamkniętych drzwi. Mój towarzysz bez słowa pchnął mnie i drzwi bez oporu się otworzyły, po czym natychmiast się za mną zamknęły.

Życie utajone to stan, który w niesprzyjających warunkach jest czasem jedynym sposobem przetrwania i jako taki dobrze

znany jest mikroorganizmom, kolibrom, jeżom, nietoperzom, ślimakom, chomikom, wiewiórkom ziemnym i Żydom. Niektóre ptaki migrują tysiące kilometrów, unikając takich możliwości, warunków otoczenia, inne, nie mając takich możliwości, dostosowują się, zapadając w stan odrętwienia, hibernacji, śpiączki, czyli właśnie życia utajonego przy ograniczonej przemianie materii, zwolnionym biciu serca, oszczędnej pracy mózgu, słowem minimalnym zużyciu energii na absolutnie niezbędne czynności fizjologiczne. Nawet tak wątłe formy istnienia jak motyle i komary potrafią przetrwać surową zimę w ów utajony sposób. W życie utajone zapadają zwierzęta na skwarnych pustyniach i lodowych polach Arktyki. W zabójczych dla normalnego życia okolicznościach temperatura ciała arktycznej wiewiórki ziemnej spada do zera, a czasem o stopień lub dwa poniżej, a czynności elektryczne jej mózgu ulegają redukcji o 90 %. Wystarczają jej wtedy trzy oddechy na minutę i jest w tym stanie odporna nawet na radioaktywność, ale jest to waziutkie miejsce pomiędzy życiem a śmiercią i wiele arktycznych wiewiórek już się z tego stanu nie budzi. Umiejętność życia utajonego bywa bardzo potrzebna również człowiekowi, który już wielu trudnych rzeczy się nauczył. Żydzi ćwiczyli to przez wiele wieków jako jedyny sposób przetrwania i ze względny powodem. Po jakimś czasie jednak, zadufani w sobie, zapomnieli o czujności niezbędnej, aby znalazłszy się w owym najwęższym miejscu pomiędzy życiem a śmiercią, zdołać się w porę obudzić. Sześć milionów się nie obudziło i jest to z pewnością przestroga dla Polaków oraz innych narodów, które od dłuższego czasu z konieczności znajdują się w stanie życia utajonego. Istnieje pewien stan kompromisowy, w który zapadają wiewiórki ziemne niearktyczne. Redukują one swe funkcje tylko połowicznie, zachowując utajoną sprawność na wypadek, gdy trzeba wymknąć się z zasięgu drapieżnika.

Leżeliśmy jeden przy drugim, szeregiem, na boku, a jak było dość miejsca, to na wznak. Ciała nie była ogrzewana, ale zimno nam w niej nigdy nie było, bo leżeliśmy zwartym szeregiem, a w nocy doładowywano nam tyłu pijaczków i innych zakłócieli spokoju, że było ciepło jak w łaźni. Rano dawano nam dużą pajdę ciemnego chleba przez cały bochen, cienko potartą smalcem lub marmoladą oraz pół litra czarnego wywaru zwanego kawą zbożową. W południe dostawaliśmy znów pajdę chleba, lecz suchą, i pół litra zalewajki, barszczu lub kapuśniaku. Wieczorem były kartofle z jakimś ciemnym sosem i rozgotowanymi buraczkami, zwanymi przez moich współtowarzyszy „periodem”.

Smaku tego jedzenia nie poznałem, ponieważ nie jadłem. Chciałem przekonać się, jak długo potrafię przetrwać życiem utajonym. Dotychczas wytrzymałem bez jedzenia i picia tylko

jeden dzień w roku, Jom Kipur, zbiorową rocznicę śmierci wszystkich tych, których dat śmierci nie znałem (z pewnością wielu zmarło w ten właśnie dzień, bo barbarzyńcy szczególnie lubili zabijać Żydów w to najważniejsze z żydowskich świąt). Znałem więc satysfakcję, jaką daje człowiekowi dobrowolne wstrzymanie się od pożywienia, to poczucie pewności siebie, niezależności, prawdziwej wolności. A co może być cenniejsze, zwłaszcza w więzieniu?

Nie ogłaszałem, broń Boże, głodówki. Przyjmowałem moje porcje i przekazywałem je moim zgłodniałym współlokatorom, usprawiedliwiając to brakiem apetytu.

— Za co cię wpierdolili? — pytali moi współlokatorzy.

— Nie wiem — odpowiadałem, nie wiedząc, że tak właśnie odpowiada człowiek doświadczony w kolizji z prawem.

— A skąd cię wzięli?

— Z domu.

— Fiuuu! To grubsza sprawa — komentowali z respektem moi doświadczeni koledzy, wskazując oczami faceta w bryczesach, który leżał pod skórzanym płaszczem i spał, albo udawał, że śpi. Kapusia i tak wszyscy od razu rozpoznawali, więc nie uważał nawet za konieczne rozstawać się na czas służby w celi ze swymi służbowymi butami i płaszczem. Wiedział też, że nikt nie będzie z nim rozmawiał, więc spał, albo udawał że śpi. Czasem zapalał papierosa za państwowe pieniądze i nikogo nie częstował. Nikt go też nigdy o papierosa nie poprosił, a mówiło się tylko o rzeczach, które dla nikogo nie były tajemnicą. Najmłodszy, szesnastoletni, przechwalali się, opowiadając o rozpracowanych przez siebie kioskach i sklepach monopolowych, oraz o karcercach i laniu, jakie brali w najsłynniejszych państwowych instytucjach na Pomorzu i Ziemi Lubelskiej. Wymieniali doświadczenia, wynikające z osobistych znajomości z najsłynniejszymi naczelnikami i siepaczami. Sypali znanymi nazwiskami, przezwiskami i pseudonimami i wszyscy chętnie wtrącali się do rozmowy (wszyscy z wyjątkiem kapusia), bo prawie wszyscy wszystkich znali i czuli się jak u siebie w domu.

Więzienie było ich domem, ich życiem, ich zawodem. Rozmawiali o warunkach w różnych więzieniach i o charakterach różnych klawiszy, tak jak ludzie w tramwajach i autobusach rozmawiali o przełożonych i zakładach pracy. Różnica była naprawdę niewielka, bo w systemie, w którym nie kradnie tylko Kopernik na pomniku (bo ma w obu rękach kulę ziemską), ten kto by nie kradł, byłby nie tylko frajerem, ale i ofiarą. Wszyscy oszukują i równocześnie są oszukiwani, wszyscy kradną i równocześnie są okradani. A kradnie u B, B kradnie u C, C kradnie u A

i w ten sposób cykl się harmonijnie zamyka. Państwo okrada obywateli, obywatele okradają państwo i wszyscy są kwita, dzięki temu mechanizmowi równowagi.

Mechanizm ten wprowadza do naszego państwowizmu także pewien element humanistyczny, stwarzając margines dla indywidualnej inicjatywy, pomysłowości, obrotności, odwagi. Jeden kradnie lepiej, drugi gorzej, jeden więcej, a drugi mniej, każdy kradnie jak może. Mechanizm ten wprowadza więc do państwowizmu również pewien element sprawiedliwości, zachowując naturalne różnice pomiędzy jednostkami.

W systemie tym, oprócz państwa, tylko pospolici kryminaliści mieli śmiałość kraść oficjalnie, z podniesionym czołem. Wy różniali się także tym, że załatwiali swe porachunki przy pomocy zwyczajnych ostrych noży, a nie tępym, którymi legalnie i oficjalnie mordowało państwo i którymi również jego lojalni obywatele nawzajem się wykańczali. W zakładach pracy agonía mordowanych trwała całymi latami — jak w zwolnionym filmie, ku uciesze sadystów.

Kryminaliści, gdy tracili cierpliwość do życia, połykali żyletki, pomysłowe kotwiczkę ze sprężystego drutu, które po przełknięciu się rozwierały, pałaki od kibla, trzonki łyżek. Natomiast prawdziwi niewolnicy, ci niby na woli, również i samobójstwo popełniali w zwolnionym tempie, nieśmiało, przy pomocy alkoholu. Więźniowie łykali żyletki w młodości, gdy człowiek jest niecierpliwy, a robotnicy zaczynali zalewać się na śmierć po trzydziestce, kiedy człowiek zaczyna sobie zdawać sprawę ze swej niewoli.

Kryminaliści nie kochali więzienia, tak samo jak pozostali obywatele nie kochali swych zakładów pracy. Kryminaliści mieli jednak przynajmniej gdzie uciekać i wyrwali się wszelkimi sposobami, a wypuszczeni, pili i weselili się, gdyż każdy dzień poza więzieniem był dla nich prawdziwych świętem między jednym wyrokiem a drugim, cennym urlopem na wagę ukradzionego złota. Kryminaliści mieli poza więzieniem wolność, a robotnicy, proletariát, nie mieli nic i jako przodująca klasa w każdą niedzielę i święto zalewali się od samego rana, na umór, bo tak dostawali w dupę w dni powszednie, że i w największe święto życie im było niemiłe. Mieszczuchy, owszem wymyć i najedzeni, snuli się po ulicach od rana i nie wiedzieli co z sobą zrobić (rzędy taksówek czekały na nich przed bramą fotografa). Tylko kryminaliści umieli świętować i cieszyć się życiem.

Mój sąsiad wyrzył sobie paznokciem w ścianie tablicę pamiątkową: „Tu siedział Tosiek Doliniarz, 12. X. 1962 —” wolne miejsce było pozostawione na datę końcową.

— Nie siedziałeś jeszcze? Nie martw się, tu można żyć! —

zapewniał mnie Tosiek Doliniarz. Popatrz na mnie: dwa latka w kiblu i cały rok na woli! Trzy latka w pierdlu i znów pół roku urlopu. Teraz będzie najwyżej piątka i znów na świeże powietrze, a każdy dzień, bracie, na woli pachnie wtedy jak francuska woda kolońska. Prawda, że żyć tu się trzeba nauczyć, ale jak raz poznasz ten fach, to żaden frajer ci nie zaszura, a i klawisz cię uszanuje jako fachowca. Aby tylko o polityce nie mówić, bo polityka — tu wskazał oczami na kapusia — to, bracie, murowany grób...

Polityką nie zajmowaliśmy się. Wszyscy wiedzieli, że na woli jest większy ruch i że frajerzy chodzą od rana do wieczora pijani, a kioski i sklepy monopolowe są tak puściutkie, że nie ma czego rozbijać. Przy tym psy (milicjanci) zrobiły się takie uprzejme, że jak nie muszą, to nie gryzą (nie biją). Nasze klawisze też nikomu nie dokuczały. Złościli się trochę tylko w nocy, kiedy pijacy stawiali im opór w drzwiach, a klęli zwłaszcza, kiedy musieli nas siłą ugniatać, żeby móc domknąć drzwi napchanej celi. W nocy starałem się szczególnie mało oddychać. Ponieważ nie jadłem i nie piłem, więc nie miałem problemów ze wstrzymaniem stolca i pęcherza, nie musiałem się rozpaczliwie przepychać do kibla, nie męczyło mnie zatwardzenie ani zgaga — czułem się niemal panem swego losu.

Jedyna rzecz, która wpędzała mnie w przygnębienie i nad którą nie miałem żadnej kontroli, to były mendy, którym nigdzie się tak dobrze nie powodziło, jak w naszym nie mytym, a za to bardzo gęstym męskim towarzystwie. Wypasały się jak antylopy na afrykańskich sawannach, a raczej w buszu. Grasowały na naszych genitaliach, swobodnie skacząc z genitalii na genitalia. Lecz w przeciwieństwie do antylop, które opuszczały wyjedzone pastwiska, dając glebie jakiś wypoczynek, uparte mendy nigdy nie opuszczały raz zdobytego terenu, tylko wgryzały się weń i rozmnażały. Jeśli zaś za bardzo się w tych idyllicznych warunkach rozmnożyły, to słabsze, wyrugowane przez współplemieńców z najpożywniejszych pastwisk, emigrowały pod nasze znacznie mniej urodzajne pachy, a nawet wgryzały się w nasze skaliste brwi.

Tropienie ich i wydrapywanie było rzeczą pasjonującą, ale daremną, bo nawet gdyby ktoś zdołał je wszystkie w ten sposób wytępić — co jeszcze nikomu się nie udało — to nie powstrzyma przecież następnej inwazji, gdy niezawodnym węchem wiedzione, jak roztropnością leninowskiej partii, przypełzną pod ochroną nocy z genitalii najbliższego sąsiada. Staraliśmy się przyzwyczaić do ciągłego swędzenia i ignorować te biesiady i orgie, jakie mendy urządzały sobie co noc w naszej małej, pod sufit załado-

wanej celi, gdzie obzerały się, spółkowały i rozmnażały jak w wymarzonej inkubatorze, a rano wychodziły na miasto z wypuszczanymi do domów pijaczynami i przenosiły się na ich żony oraz konkubiny, które szybko przekazywały je dalej, ponieważ był to okres ożywionych kontaktów w społeczeństwie. A że nasza cela nie była jedyną tego rodzaju państwową wylegarnią, więc i szara maść — jedyne skuteczny środek — zaczęła być artykułem nie mniej poszukiwanym niż mąka, kasza i cukier.

Mendy nie pozwoliły mi dosyć głęboko zapaść w stan hibernacji, budziły we mnie frustrację, zwaną więzienną tęsknotą, słowem sprawiały, że chciałem wyjść, a uczucie to, jak wiadomo, jest główną karą, na jakiej więzienie polega.

Pewnego rana po śniadaniu, którego nie jadłem, kazano mi włożyć pantofle i zabrać płaszcz. W dyżurce sierżant oddał mi pasek i sznurowadła.

— Można wiedzieć dokąd? — grzecznie spytałem.

— Na Sikawę.

— Na długo?

— To zależy...

— A można wiedzieć za co?

— Za różne rzeczy...

— Ale na przykład?...

Sierżant zajął w papiery.

— Jesteście winni państwu mandat, grzywnę za niezapłacenie mandatu, grzywnę za dwukrotne niestawienie się przed Kolegium Orzekającym, za koszty proceduralne przewodu... I tak dalej.

Nie pamiętałem żadnego nie zapłaconego mandatu, ani wezwania przed Kolegium Orzekające, ale wyraziłem gotowość natychmiastowego uiszczenia całej sumy po podjęciu jej z książeczki oszczędnościowej, dodając, że chętnie uczynię to pod konwojem.

— Konwój ma ważniejsze sprawy — powiedział sierżant i kazał mnie wyprowadzić.

Był rześki jesienny poranek, ani ciepło ani zimno, nie słonecznie i nie bardzo pochmurno. Świeże powietrze przyprawiało mnie o głodowy zawrót głowy. Wprowadzono mnie do dużej suki, w której siedziało już kilku innych aresztantów i dwóch konwojentów z automatami. Podjechaliśmy najpierw pod więzienie na Sztetlinga, gdzie wysiadła większość pasażerów. Potem stanęliśmy przed żelazną bramą na Kopernika, gdzie wysiadła reszta, a z nią jeden konwojent. Na Sikawę jechałem tylko ja.

Sikawa to był obóz pracy, do którego zaraz po wojnie wsadzano łódzkich Volksdeutschów i kolonistów niemieckich z Gałkówka — do rehabilitacji. Spędziła tam pół roku również nasza niemiecka gosposia. Sikawa miała złą opinię. Uskarżali się na nią nawet przyzwyczajeni do twardego życia faceci, z którymi przeleżałem ostatnie kilka dni i nocy w areszcie na Wysokiej. Pomyślałem sobie jednak, że skoro wiozą mnie na Sikawę, a nie do Warszawy, albo wręcz w stronę granicy, to chyba nie wiedzą, co ze mną na razie zrobić i po prostu grają na zwłokę. A dlaczego nie wiedzą i dlaczego grają na zwłokę? Bo może nastąpiła jakaś zwłoka tam wyżej, nad naszymi głowami. Nie u Pana Boga, oczywiście, bo on już dawno przestał się zajmować naszymi sprawami, ale w sytuacji międzynarodowej, której wszyscy podlegamy. A jeśli tak, to dlaczego nie miałbym skorzystać z tej zwłoki? Dlaczego nie poświętować sobie jak Tosiek Doliniarz i jego epikurejscy kumple na woli, gdzie każda noc bez mend może być wartości złota. Dlaczego nie powiedzieć konwojentowi: obywatelu władzo, przecież obaj nie jesteśmy dzisiejsi i dobrze wiemy, że sprawiedliwość tu nie jest sprawiedliwością, porządek nie jest porządkiem, a nawet władza nie jest prawdziwą władzą. Że wszystko to udawanie. Obaj jesteśmy już na tyle dorośli, żeby wiedzieć, że jedyne co naprawdę jest, to nasze życie. Jakie jest takie jest, ale jest. A przy tym nie na zawsze. I nie na długo. I nigdy się nie powtórzy. Więc czemu mamy je sobie wzajemnie utrudniać, zamiast ułatwiać? Czyż cywilizacja nasza, jakkolwiek początkująca jeszcze i prymitywna, nie dała nam takiego niezawodnego wynalazku jak korupcja? A w naszych warunkach, obywatelu władzo, korupcja to nie grzech, lecz katalizator, czyli cudowny środek, dar Opatrzności dla maluczkich, takich jak my, i jedyne wyjście z wielu sytuacji, nieznosnych dla obu stron...

Oczywiście dzieliła nas spora przepaść. On był lojalnym w gruncie rzeczy pacholkiem z pałką w ręku, a ja Żydem, perfidnym świadkiem historii, który jest równocześnie dowodem (dlatego nas nie lubią i dlatego tu jeszcze jestem). Tego oczywiście nie miałem zamiaru mu mówić. Powiedziałem tylko:

— Obywatelu władzo, po co macie marnować tyle benzyny i swego cennego czasu, jadąc aż na Sikawę? Jestem winien kilkaset zetów, to pojedźmy do tego Kolegium Oficjum, zapłacę im co do grosza, a drugie tyle przekażę panu i pańskiemu koledze w sfoferce za drobne komplikacje-manipulacje. Dla sierżanta pokwitowanie pan dostanie z Kolegium, skarb państwa się zasili w trochę gotówki, nie licząc buraków, których nie będzie trzeba na Sikawie dla mnie gotować i wszyscy będą zadowoleni. Wiesz pan jak jest!...

Konwojent zapukał w szybkę szoferki. Nie bałem się, że mnie oskarżą, bo wiedziałem, że jeśli mają mnie naprawdę wsadzić, to i tak mnie wsadzą, a Żydowi jest wszystko jedno, czy siedzi za zdradę z korupcją, czy bez.

Kolegium Orzekające DRN Łódź-Północ miało problem ze znalezieniem moich papierów i w ogóle nikt nie pamiętał tu takiej sprawy. Zaczęli wydzwaniać w różne strony, a ja i konwojent popatrzyliśmy na siebie z porozumiewawczym uśmiechem:

— Ot biurokracja!...

A jednak wyrok się znalazł. Nie było go wprawdzie w Kolegium, ale gdzieś musiał być, jeśli sierżant z Wysokiej miał o tym napisane w papierach. A zatem nie było powodu, żeby nie przyjąć odpowiedniej grzywny.

Wypiłem w najbliższym barze mlecznym dwa duże mleka i od razu opuścił mnie łupiący, głodowy ból głowy.. Szary jesienny dzień wydawał mi się teraz piękny, a gruźlicze łódzkie powietrze pachniało mi jak woda kolońska. Wszedłem do następnego baru mlecznego, gdzie wchłonąłem dwa jajka w szklance, podwójną porcję fasolki „jaś”, a na deser jeszcze naleśniki z serem, ku zdziwieniu kucharek, które nie przypuszczały, że ich jedzenie może do tego stopnia komukolwiek smakować.

Nigdy jeszcze tak nie ceniłem mojego prysznicza i nigdy przedtem nie sprawiała mi takiej przyjemności szara maść. Kto mówi, że nie można żyć! — zawołałem do swego odbicia w lustrze.

Chciałem tak samo wołać do ludzi na ulicach, ale nie śmiałem, bo ich nastrój był znów zupełnie przeciwny niż mój. Znikł entuzjazm i nikt nie szturmował już sklepów. Nikt nie śmiał się w knajpach i nie śpiewał w tramwajach. Pijanych na ulicach było tak samo dużo, a może jeszcze więcej, ale nie obejmowali się, nie całowali i nie ustępowali nikomu z drogi. Twarze ich były znówu ponure.

Okazało się, że gruby Nikita w ostatniej chwili podwinął ogon i kazał rozmontować rakiety. A długi John nawet nie kopnął go w zadek, choć przecież mógł wiedzieć, że drugi raz mu się taka okazja nie zdarzy. Radio chwaliło rozwagę wielkich mężów stanu, którzy nadludzkim wysiłkiem odwrócili śmiertelne niebezpieczeństwo, jakie zagrażało ludzkości i zawrócili świat znad skrajnej przepaści. Ale wokół mnie nikt się z tego nie cieszył. Przeciwnie, uważano, że teraz niebezpieczeństwo było już beznadziejnie śmiertelne, ponieważ, jak się okazało, nikt nie miał odwagi powstrzymać świata, który od dłuższego czasu staczał się nieuchronnie w przepaść. Kościoły zapełniły się znówu, ale każdy się modlił po cichu i wyłącznie dla siebie, a pierwszego

listopada rozbłysły świece na wszystkich cmentarzach na znak powszechnej żałoby. Żałoby po pogrzebanej nadziei. W każdym razie nigdy jeszcze nie było takiej pożogi świec.

Zaraz po Zaduszkach zjawił się u mnie w progu Sałata.

— Coś tutaj śmierdzi... Czy czasem nie znowu gaz?...

— Nie, nie! — roześmiałem się. — To tylko szara maść.

— No i co? Czy teraz już pan wyjedziesz?

Nie odpowiedziałem.

— W każdym razie, jak pan będziesz wyjeżdżał, to ja wezmę ten tapczan. Sprężyny trzeba będzie gdzieśgdzie powymieniać — wskazał wyraźny dół wygnieciony po środku „pracowni”. A na mieszkanie też kupca przyprowadzę. Co robić, wojna nie wojna, my handlujemy dalej! Inaczej człowiek by tutaj zdechł, jak nie z głodu to z nudów...

— Sałata urwał, westchnął, klepnął się obu rękami po kolanach.

— A swoją drogą taka okazja to już chyba się nie powtórzy, co?

Siedzieliśmy w szarym świetle jesiennego popołudnia i spoglądaliśmy w okno, gdzie wiatr zmiatał pożółkłe liście.

Henryk GRYNBERG

TOM 283 — WITOLD GOMBROWICZ

„DZIEŁA ZEBRANE”

Tom XI

WSPOMNIENIA POLSKIE

WĘDRÓWKI PO ARGENTYNIE

Teksty znalezione w pośmiertnych papierach Autora.

Str. 256.

Cena F. 55,00.

Archiwum polityczne

Widziane z Brukseli

MIĘDZY ROZUMEM A BRZEGIEM PUCHARU

„Jechać czy nie jechać?!“ Szalenie dużo Hamletów obrodziło latoś, w przeddzień otwarcia finału piłkarskiego pucharu świata w Argentynie. Faktycznie, sytuacja drażliwa i nieprzyjemna. Po-zornie, odpowiedź jest jasna: nie jechać, nie będziemy przez kopanie piłki przynosić satysfakcji i uznania przebrzydtemu reżymowi junty gen. Videli, psa łańcuchowego imperializmu. W 1936 roku, przypominają sędziwi mędracy, świat cywilizowany wziął udział w olimpiadzie, zorganizowanej przez Hitlera w Berlinie i wiadomo co z tego wynikło. W Argentynie ludzie cywilizowani też nie powinni bywać: według najskromniejszych sprawozdań sporządzonych np. przez Cyrusa Vance'a, amerykańskiego sekretarza stanu, człowieka umiarkowanego i poważnego, obecny reżym argentyński jest odpowiedzialny za zamordowanie co najmniej 6.000 osób, za uwięzienie ponad 15.000 oraz za bliżej nie-określoną liczbę osób zaginionych w tajemniczych okolicznościach. Gen. Videla i jego koledzy z wojska zaprowadzili rządy bezprawia i terroru, gdzie jeżeli ktoś dzwoni o 5-tej rano, to jest to na pewno policja a nie mleczarz i gdzie tortura stała się powszechnym środkiem perswazji politycznej i sposobem sprawowania władzy.

Kiedy w 1966 roku powierzono Argentynie organizację finału piłkarskiego Pucharu świata chodziło po prostu o sprawiedliwość dziejową. Argentyna była najbardziej rozmiłowanym i zwariowanym futbolowym krajem na świecie. Buenos Aires zaś jedynym miastem dysponującym wówczas siedmiu boiskami o wy-porności ponad 50.000 widzów każde. Nikt nie mógł wtedy przewidzieć, że w marcu 1976 roku zamach stanu przekaze władzę w ręce Videli. Nawet zresztą w tym momencie nie było jeszcze powodu do kwestionowania wyboru Argentyny, zamach stanu

przeszedł bowiem bezkrwawo, reżym pani Izabeli Peron był tak skorumpowany i sparaliżowany, że przyście wojskowych nawet komunistom wydało się wybawieniem. Kiedy prawdziwe, przypominające maskę pośmiertną, oblicze Videli ujawniło się światu, na jakiegokolwiek hasło bojkotu było już za późno. Było zresztą nie tylko za późno. Hasło bojkotu, moralnie przepiękne, nie miało sensu nie tylko dlatego, że nie było czasu, ale i dlatego, że było nierealne, a w polityce nie ma nic gorszego niż nierealne pomysły i wynikające z nich nieskuteczne akcje. Stąd na pytanie „jechać czy nie jechać?“ odpowiadam bez wahania: „jechać, ale znając dokładnie adres i cel pobytu“.

A więc uwaga: gwizdek, piłka w akcji, już gramy.

PIERWSZA POŁOWA: 5-0

1-0: hemofilia

Trzeba zachowywać się poważnie. Jeżeli demokratyczni sportowcy mieliby być wyłącznie na boiskach państw, których rządy nie mają rąk mniej lub bardziej umaczanych w krwi bratniej i cudzej, to nastąpiłoby coś w rodzaju sportowej hemofilii. Krzyżowałyby się, jak na dworze hiszpańskim, tylko kilkanaście drużyn, w rezultacie nasz sport by umarł. Ok. 130 państw jest na liście torturujących, większość z nich ma videlów czy aminów na czele. W tych warunkach bojkot sportowy byłby ze szkodą dla państw demokratycznych. Niektóre ich społeczeństwa i tak już stoją u progu degeneracji, proces ten zostały przyspieszony, gdyby sport ustał z braku przeciwnika: kubańskich bokserów, czechosłowackich hokeistów, NRD-owskich pływaków, argentyńskich futbolistów, biegaczy z Kenii, maratończyków z Abisynii, nie mówiąc już o wszech naukach sportowcach z ZSSR.

2-0: absurd

Sport jest najmniej szkodliwym terenem kontaktu demokracji i dyktatury. Oczywiście, bywanie przedstawicieli rozmaitych Dymnów w towarzystwie angielskich dżentelmenów przynosi tym pierwszym określone korzyści propagandowe i znamiona pewnego uszlachetnienia, ale nie przesadzajmy. Jeżeli bowiem chcielibyśmy zachowywać się konsekwentnie i absolutnie moralnie to należałoby zlikwidować wszelkie kategorie kontaktów Wschód-Zachód, z wyjątkiem dyplomacji i wojny, która jest, jak wiadomo, polityką uprawianą innymi środkami. Zaproszenie Mazowsza na festiwal folkloru w Bretanii powinno też podlegać zasadom bojkotu, z punktu widzenia hamletowskich savanaroli nie powinno bowiem być różnicy jakościowej między tańceniem oberka a kopaniem piłki. Idąc po tej linii rozumowania najbardziej strate-

gicznym, moralnie niedopuszczalnym, czynnikiem umacniania dyktatury jest sprzedawanie zboża Rosji. Amerykańskie zboże pozwala bowiem Rosji rozładować i napięcia na rynku i niezadowolone narodu, a zarazem kierować ogromne środki na zbrojenia, w skrócie — pozwala na umocnienie krwawej dyktatury, a nic nie jest moralnie bardziej obrzydliwe niż umacnianie krwawych dyktatur...

3-0: racja stanu

Hasło bojkotu było nierealne, albowiem nie odpowiadało racji stanu wszystkich rządów świata. Nawet rząd holenderski, najmniej chyba dziś nieczuły na demokrację i moralność, nie zaważał się przed poparciem udziału swej drużyny w pucharze argentyńskim. Argentyna to nie Uganda, to duże państwo, bardzo popularne w Trzecim, i nie tylko w Trzecim Świecie. 26 głosami na 32 Argentyna została właśnie wybrana do Komisji... Praw człowieka ONZ w Genewie i nikt nie umarł ze śmiechu.

ZSSR utrzymuje najzupełniej poprawne stosunki z p. Videlą. Nic dziwnego, Argentyna jest jednym z najważniejszych dostawców zboża do ZSSR, stanowi poważną alternatywę do amerykańskiego monopolu na żywienie Rosji w okresach przejściowych ale stałych kryzysów rolnictwa sowieckiego. Czy w tych warunkach kilkanaście tysięcy zamordowanych czy torturowanych może stanowić istotną przeszkodę w graniu w piłkę? Śmieszne. Francja sprzedaje broń do Argentyny, nic dziwnego, że piłkarze pojechali (nie na długo, bo odpadli w pierwszej turze). Trzech windziarzy z hotelu „Meurisse” w Paryżu wyleciało z pracy za odmowę noszenia walizek delegacji argentyńskich wojskowych, przybyłych do Francji na militarny *shopping*. I słusznie.

Nawet komuniści poparli argentyński puchar. Zachodni komuniści poparli albowiem nie można bojkotować dyktatury w Argentynie, a bywać w Czechosłowacji czy Kambodży. Trudno by im było ponadto utrzymać selektywność w bojkocie: dwa lata po Argentynie jest olimpiada w Moskwie. Argentyńscy komuniści też byli przeciwko bojkotowi Videli i dlatego, bo tak sobie życzył ZSSR i dlatego, że Videla (wszystko jest związane) traktuje i torturuje pragmatycznych komunistów mniej okrutnie niż np. peronistów.

4-0: circenses

Kto z państwa (z tych co lubią futbol, oczywiście), nie oglądał transmisji z Argentyny, niech rzuci telewizorem. Telewizorów rzuconych nie widzę. I słusznie. Biura i fabryki pełne są obecnie snujących się, jakby oszołomionych osobników, wydajność pracy poważnie spadła, wzrosła natomiast liczba wypadków przy pracy spowodowanych przyćmieniem uwagi. Powód ten sam

wszędzie: niewyspanie z powodu oglądania meczów po północy. Znam osoby, które wzięły urlop na czas finału, znam innych, którzy wynajęli drugi telewizor, aby mieć święty spokój ze strony domowników, mniej chorych na futbol.

Według najskromniejszych obliczeń, liczba widzów przekroczy 1,5 miliarda dorosłych i poważnych ludzi. Czy jest na świecie odpowiedzialny polityk zdolny do przeciwstawienia się tej gorączce? Prezydent Giscard d'Estaing osobiście na lotnisku żegnał piłkarzy, szef kompartii Marchais osobiście wypowiedział się przeciwko bojkotowi. Gdyby Giscard narzucił bojkot to przegrałby wybory w 1981 roku, nie mówiąc już o szansach Marchais.

5-0: złoto

Piłka nożna to normalny zawód i na Wschodzie i na Zachodzie, tam nieoficjalnie, tu oficjalnie. Przynosi ogromne dochody, wymaga ogromnych inwestycji, zakłada ogromny wysiłek. Rozgrywki do pucharu rozpoczęły się 4 lata temu na 5 kontynentach z udziałem 106 państw. To największa i najdłuższa impreza sportowa świata. Puchar, dzieło rzeźbiarza Silvio Gazzaniga, waży tylko 5 kg złota i ma tylko 36 cm. wysokości, ale obroty z tym pucharem związane przekraczają te wymiary.

Piłkarze francuscy, należący do najbiedniejszych, otrzymali po 4.000 dolarów za udział w pierwszej turze (o drugiej, i słusznie, nie było mowy) nie licząc po 10.000 dolarów na łebka za reklamowanie butów, gaci itd. Holendrzy otrzymają po 900 dol. za każde zwycięstwo w meczu i po 15.000 dol. za zdobycie pucharu. Szkoci dostali po 10.000 dol. wyłączenie za udział w finale, nie licząc premii za sukcesy (nie będzie). Oczywiście Niemcy zachodni mają się lepiej od innych współnorynkowców. Każdy futbolista z NRF dostanie po 30.000 dolarów za zdobycie pucharu, a po 25.000 za drugie lub trzecie miejsce, nie licząc naturalnie sporych wpływów za reklamowanie artykułów sportowych. Iran naftowy ma gest: jego piłkarze otrzymują po 4.500 dol. za... remis, za zwycięstwo w meczu dostaliby po 7.500 dol., a za przejście do II-giej tury (fantazja) po 12.500 dolarów na głowę albo raczej na nogę piłkarza. Najlepiej powodzi się piłkarzom łaćwińsko-amerykańskim. Tam jest to już nie tylko zawód, ale religia (bez ascezy naturalnie). Każdy piłkarz argentyński otrzymywał po 3.300 dol. miesięcznie przez cały czas przygotowań, a w razie zdobycia pucharu każdy dostanie po 24.000 dolarów USA. Wszyscy, mam nadzieję, rozumieją, że te sumy dochodzą do normalnie pobieranej pensji, które w wypadku gwiazdorów przekraczają 100.000 dolarów rocznie. Nie wiem jak opłacani są piłkarze polscy czy wschodni w ogóle. Biorąc nawet pod uwagę warunki miejscowe, a przede wszystkim konieczność ukrywania normalnego zawodowstwa (etaty w MO czy w wojsku itp.), bodźce materialne powinny także być odpowiednie do wysiłku. Kariera za-

wodowego futbolisty wyklucza w zasadzie wyuczenie się normalnego zawodu, jest krótka i wobec tego materialnie intensywna.

Ponieważ nie zajmuję się sporządzaniem doniesień dla urzędu podatkowego, a rozmyślaniami, wniosek mój jest jasny: domaganie się aby zawodowi piłkarze rezygnowali z kopania piłki w imię wyrafinowanych względów moralnych jest niepoważne i nie może być skuteczne. Jedyny polski autentyczny tenista Wojciech Fibak nie mógł grać w dawisowej reprezentacji PRL przeciw Francji. A dlaczego? Dlatego, że w tym samym czasie wypadł w USA finał wielkiego turnieju dubla, gdzie Fibak grał w parze z Holendrem Okkerem. Z powodu nieobecności Fibaka Polska przegrała z Francją, ale Fibak nie zerwał kontraktu, nie zepsuł interesu, który wiązały z jego udziałem w finale dubla wielkie firmy reklamowe, oraz Okker i sam Fibak. Nikt nie rozdzierał szat, wszyscy wielcy tenisisci rezygnują z pucharu Davisa na rzecz wysokopłatnych turniejów. Futbolisci jeżeli chodzi o interes to też tenisisci, tylko że grają nogą a nie ramieniem.

To samo dotyczy wielkich firm reklamowych, które ponoszą właściwie główny ciężar finansowania przygotowań do finału Pucharu i innych finałów. Pokazanie nazwy butów czy *dress'u* na ekranach telewizji w 120 krajach przed miliardem widzów ma kolosalne znaczenie handlowe. Pewna firma europejska dostarczyła piłek do rozgrywek finałowych, za co jeszcze dopłaciła. Ale się opłacało, bo od pierwszego meczu sprzedaje tych piłek 3.500... dziennie. Otóż firmy o kolosalnych budżetach reklamowych dysponują także poważnymi wpływami politycznymi. Kto zaś z finału pucharowego zamierza wyciągnąć grube zyski, nie poprze hasła bojkotu. Właśnie skończył się turniej tenisowy w Paryżu, wcale nie największy i nie najbogatszy na świecie. Kosztował 3,5 miliona franków fr. z czego 2,5 miliona poszły na premie i nagrody dla zawodników. Całość pokryły reklamy. Borg, Villas i Connors zarobili w 1977 roku ponad milion franków fr., ok. 200.000 dolarów. A ile zarobiły firmy, które to finansowały? To nie jest teren do uprawiania bojkotu.

DRUGA POŁOWA: 4-0

0-1: nie zawracać głowy

Sport był zawsze polityczny, od pierwszej olimpiady antycznej aż do aresztowania (za mówienie tego co myśli) Błażeja Wyszowskiego, działacza demokratycznego w Gdańsku, byłego medalisty wioślarskiego i wicemistrza świata, któremu srebrny medal nie zapewnił ochrony przed granatowymi mundurami MO. Nie teraz miejsce i czas na analizowanie zjawiska sport a polityka. Wystarczy powiedzieć, że Moskwa organizuje olimpiadę nie po to aby szerzyć hasło szlachetnego współzawodnictwa sportowego, a w celach propagandowego sprzedania ślicznej ma-

lowanki sowieckiej. Dla NRD zimny wychów mistrzów jest jedynym sposobem wdarcia się na salony eleganckiego świata, we wszystkich krajach totalitarnych sport pozwala legalnie się wyszumieć, pozwala legalnie wyładować antyreżymowe antypatie. Na wschodzie, co jest bardzo ważne, sport daje ponadto jedyną okazję legalnego manifestowania uczuć antysowieckich. Finał waterpolo na olimpiadzie w Melbourne w 1956 roku między Węgrami a Rosją był jedynym możliwym publicznym rewanzem za krwawą łaźnię Budapesztu. Finał hokejowych mistrzostw świata w 1969 roku w Pradze między Czechosłowacją a ZSSR stał się publicznym wyrazem nienawiści i rewanzu za inwazję sierpniową. Mecz piłkarski Honduras - San Salvador dał sygnał prawdziwej wojny. Mecz ping-pongowy Chiny - USA wprost przeciwnie, otworzył drzwi Pekinu przed Kissingerem i Nixonem.

Fakt, że finał pucharu piłkarskiego rozgrywany jest w Argentynie ma naturalnie także znaczenie polityczne. Argentyna zainwestowała w związku z finałem ok. 700 milionów dolarów. Jest to suma ogromna. Nawet jeżeli odliczyć wszystkie trwałe konstrukcje jak lotnisko, kolorowe TV, autostrady i boiska, to i tak deficyt będzie poważny. Członek junty, admirał Lacosta nie ukrywał prawdziwej natury tej inwestycji. „Chodzi, powiedział admirał, o operację polityczną. Znaczenie finału dla Argentyny nie da się określić jedynie w finansach”. Admirał ma rację. W tym przekonaniu rząd argentyński wynajął usługi wielkiej amerykańskiej firmy *public relations* Bronston Martelles, której diagnoza nie pozostawała wątpliwości: „Chodzi o ogromną operację polityczną, w podejściu do niej należy stosować kryteria polityczne. Szok drużyn ma charakter nacjonalistyczny, angażuje narody, państwa i rządy”.

Nie należy jednak upraszczać. Fakt, że finał pucharu ma także wymowę polityczną nie oznacza automatycznie, iż kopanie piłki w Argentynie pomaga Videli tak jak bojkot pucharu nie oznaczałyby automatycznie osłabienia dyktatury. Wszystko zależy od nas. Hitlerowi udało się zainkasować korzyści z olimpiady w 1936 roku w Berlinie nie dlatego, że on to tak chytrze zorganizował, a dlatego, że demokratyczny Zachód zachował się idiotycznie. Z każdej takiej imprezy można wysnuć fantastyczne korzyści, trzeba tylko chcieć...

0-2: nie dać się wyciszyć

Puchar finałowy czy olimpiada to największe witryny i sceny świata. 120 krajów ogląda imprezę. Piłkarze powinni kopać, dziennikarze pisać, ale mieć także oczy otwarte, powinni pytać nie tylko jak się kopie, ale także co słychać. Władze sowieckie zażądały od amerykańskiej sieci NBC 100 milionów dolarów za nadajopol na nadawanie transmisji z olimpiady 1980 roku. Suma ta spadła do 25 milionów pod warunkiem, że kamery będą obsługiwane wyłącznie przez Rosjan. Inaczej mówiąc Rosjanie, choć

biedni, skłonni są zapłacić 75 milionów dolarów, za ograniczenie ruchów kamery TV do sytuacji przez nich wybranych. Rosjanie wiedzą bowiem co to jest wolna kamera telewizyjna. Pierwszy raz w 1972 roku Nixon pojechał do Moskwy bez własnej obsługi techniczno-telewizyjnej. I było nudno. W 1974 roku pojechał już z własnymi kamerami i wtedy ukazały się, nie wyłącznie i nie przede wszystkim ale *również* pierwsze prawdziwe wywiady z dydydentami.

W Argentynie może być podobnie. Wszystko zależy nie od Videli a od panów redaktorów. Nawet Monteneros ogłosili zawieszenie broni, aby ułatwić dziennikarzom oglądanie ruchów nie tylko piłki. Należy łamać barierę milczenia, Videla może wywalić jednego czy dwóch dziennikarzy, wszystkich nie wyrzuci, bo wtedy cały finał byłby na nic. Zanim finał w ogóle się zaczął (piszę te słowa w tydzień zaledwie po otwarciu rozgrywek) Videla ogłosił listę 3.500 więźniów politycznych, o których rodziny niczego nie wiedziały oraz listę 250 „zaginionych” przebywających w więzieniach ale żywych, o których rodziny jeszcze mniej wiedziały. Bez pucharu nie dowiedziałyby się prawdopodobnie nigdy.

0-3: wiedzieć co bojkotować

Nigdy w przeszłości świat nie mówił tyle o Argentynie, co teraz z okazji pucharu. O Argentynie i o piłce nożnej, ale także o obozach i torturach. Bojkot tymczasem objąłby i katów i ofiary. Nikt nie pamięta, że trzy państwa (jakie?!) zbojkotowały olimpiadę w Melbourne na znak protestu przeciwko pacyfikacji Węgier, wszyscy natomiast pamiętają dwóch czarnych Amerykanów, zwycięzców w biegu na 200 m. na Olimpiadzie w Meksyku, którzy na podium, w czasie hymnu podnieśli w górę czarne pięści. Dlaczego (na razie) nikt nie podniósł w Argentynie ani jednej czarnej nogi? W dniu otwarcia finału zarządono minutę milczenia, bo umarł właśnie dyrektor jakiegoś klubu hiszpańskiego. Pierwszy swój mecz Węgrzy grali w czarnych opaskach bo właśnie umarł w Budapeszcie Boscik, filar Wunderteamu z lat 50-tych. Byli to zapewne ludzie szalenie zastrzeżeni dla futbolu, ale co stanęło na przeszkodzie aby piłkarze francuscy (jak to zresztą ktoś proponował) wystąpili z czarną opaską na ramieniu na znak hołdu dla 22 Francuzów uwięzionych przez reżym Videli?

Jeżeli tak się nie stało, to nie jest to wina piłkarzy, tak zarządzili politycy. Nie należy przerzucać na futbolistów odpowiedzialności za stan moralny świata. To jest nieeleganckie i bardzo krótkowzroczne. Futbolisci nie powinni naprawiać świata...

Powinni to natomiast robić artyści i uczeni. Idzie np. kongres kancerologów w Argentynie i kongres genetyków w Moskwie. Z piłki nożnej i z obecności 200 piłkarzy Videla czy Breźniew więcej, pardon, prestiżu nie zyskają. Z obecności 5.000 uczonych, w tym wielu laureatów Nobla — na pewno tak. Różnica jest

zasadnicza. Za granie w futbol nikt jeszcze nie został rozstrzelany (choć niektórzy tak grali, że na to zasługiwali), i piłkarze jako tacy nie mają się o kogo upomnieć. Natomiast tysiące intelektualistów poszły do rozmaitych gułagów, utraciły wolność albo i życie za to, że myśleli samodzielnie, inaczej, to znaczy za to, co jest sensem i treścią wszystkich kongresów naukowych.

Bojkot naukowy jest tym bardziej realny i skuteczny, że 1) bije wprost, można bowiem grać w piłkę bez Belgii, ale nie można naprawdę iść naprzód w fizyce bez Amerykanów; 2) odbywa się bez presji tłumu, bez widzów, nie przed kamerami; 3) nie ma gorączki złota, uczeni mogą być nieprzekupni, nie żyją z pokazywania kalesonów z widocznym znakiem firmowym; 4) stratni będą bezpośrednio uczeni kraju gwałcącego prawa ludzkie, brak kontaktów zagranicznych nie może bowiem nie odbić się na ich własnym rozwoju, a uczeni, w ZSSR np., stanowią dość silną grupę nacisku, czego nie można powiedzieć o futbolistach; 5) trudno lokować kryteria moralne w nogach, można natomiast i należy łączyć takie kryteria z postawą uczonych i ich współpracą. Trudno w imię praw człowieka strzelać kornera, można natomiast i należy łączyć wymianę naukową z hasłami szacunku dla wolności. Inaczej mówiąc, kiedy Holandia gra w piłkę w Argentynie, jej zawodnicy nie powinni być traktowani jak wspólnicy Videli. Kiedy Deyna gra w Pradze nie należy go traktować jako wspólnika Breźniewa w inwazji i normalizacji. Grający w piłkę Holendrzy i Polacy mają taki sam stosunek odrazy i niesmaku wobec Videli i Breźniewa, nie można jednak od nich oczekiwania i domagać się czynnej postawy politycznej przy okazji meczu bokserskiego czy biegu na przełaj. Nie można więc — byłoby to wprost śmieszne — proponować piłkarzom, aby przy okazji meczu czy pucharu domagali się spotkania z uwięzionymi czy prześladowanymi piłkarzami.

Można natomiast i należy domagać się, aby lekarze udający się na kongres kancerologów spytali gdzie jest ich prawie stu kolegów, „zaginionych w niewyjaśnionych okolicznościach” w Argentynie. Można także i należy domagać się, aby prawdziwi uczeni udający się do Moskwy odwiedzali prof. Sacharowa, pytali o prof. Orłowa, brali udział w nielegalnych seminariach organizowanych przez żydowskich uczonych, wyrzuconych z laboratoriów za chęć wyjazdu z ZSSR.

I należy domagać się od uczonych aby — jeżeli na takie zachowanie ich nie stać — bojkotowali kongresy w ZSSR, Argentynie czy gdzie indziej. Żeby sami nie jechali, głośno o tym mówili i innych do tego namawiali. To byłaby właśnie okazja do bojkotu, moralnie uzasadnionego, praktycznie skutecznego. Zachowując się inaczej, siedząc cicho i tu i tam, zasłaniając oczy po końsku, chowając głowę w piasek po strusiemu, wołając „my naukowcy, nie politycy”, uczeni uprawiają najgorszą politykę, zachowują się nie tylko niegodnie ale i głupio, sprzeniewierzają się ich podwójnemu powołaniu: ludzi i uczonych. Nie skorzysta z tego ani ludzkość ani nauka. Ani oni sami.

0-4: skończyć z hipokryzją

Nie ma gola z lewa czy z prawa, nie ma karniaka postępowego i reakcyjnego, tak jak nie ma prawej czy lewej tortury, lewego czy prawego gułagu. A tymczasem zapytany o różnicę w jego stosunku wobec bojkotu imprez sportowych w ZSSR i w Argentynie, p. Lionel Jospin, jeden z przywódców francuskiej partii socjalistycznej oświadczył: „Sytuacja przeciwników reżymu jest znacznie bardziej niebezpieczna w Argentynie niż w ZSSR, to bowiem w Argentynie a nie w ZSSR znaleziono ciała przesyte kulami”. Taki balistyczny stosunek do niszczenia przeciwników politycznych polega na poważnym nieporozumieniu.

Jaka jest bowiem różnica między śmiercią od argentyńskiej kuli a zwariowaniem czy śmiercią chemiczną od trucizny w szpitalu psychiatrycznym KGB w Moskwie, nie mówiąc już o „przeszytych kulami ciałach” znaczących mur berliński? ZSSR odmówił grania na boisku w Santiago de Chile, bo mieścił się tam ongiś obóz więźniów politycznych. To ładnie z jego strony. Ale dlaczego wobec tego Zachód używa magistrali syberyjskiej, uważa ją za turystyczny dreszczowiec, chociaż ta linia kolejowa stanowiła, jak ją nazwał Sołżenicyn, prawdziwą aortę gułagu. Hamleci dławili się z oburzenia, że główne boisko pucharu piłki nożnej mieści się zaledwie o 800 m. od Szkoły Marynarki, która stanowiła centrum tortury. A gdyby było tych metrów nie 800 a 8.000? Dlaczego żaden Hamlet się nie zapytał jak daleko jest boisko na Łużnikach od Łubianki? Czyżby tym moralistom o podwójnym dnie chodziło wyłącznie o kilka kilometrów różnicy?

Franc Fischer był kiedyś w Adrii, kiedy przy stole obok jakiegoś sporego towarzystwa podejmowało pewnego niepozornego osobnika. „Co to za święto” zapytał Fischer. „Jak to, mistrz nie wie, to przecież Kusociński”, odpowiedział kelner. „A co on robi”, twardo brnął Fischer. „Jak to co robi? Biega”, padła odpowiedź. „No dobrze, biega, ale w którą stronę?”

Fischer był wieszczem! Trzeba rzeczywiście wiedzieć w którą stronę lub przeciw której stronie biegać.

Kto biega tylko przeciw Argentynie a nie przeciw ZSSR, kto biega w jedną stronę, a nie w obie, kto nie biega przeciw obu stronom, a próbuje w istocie obie.

BRUKSEL CZYK

Pisane 11 czerwca 1978

Niemcy a Polska

„Stosunki polsko-niemieckie, na które rzutuje ogrom krzywd doznanых przez Polskę od Niemców podczas ostatniej wojny, są utrudniane przez inny jeszcze czynnik. Mianowicie dla udowodnienia społeczeństwu, że ciągła gotowość zbrojna, kosztowny sojusz z ZSRR i utrzymywanie na naszym terytorium wielotysięcznej Armii Czerwonej są niezbędne dla bezpieczeństwa państwa polskiego — sterowana przez Moskwę propaganda partyjna wyolbrzymia niebezpieczeństwo rewizjonizmu niemieckiego i nie dopuszcza do wiadomości publicznej wielu faktów, świadczących o spontanicznym wytwarzaniu się w NRF poglądów i nastrojów umożliwiających daleko idące porozumienie.

Stwarza się paradoksalną sytuację ukrywania przed społeczeństwem polskim aktów ekspiacji ze strony społeczeństwa niemieckiego. Prowadzi to do ograniczania możliwości rozwoju przyjaznych wobec Polski nastawień w NRF i do rezygnacji z trwałej i głębokiej poprawy wzajemnych stosunków.

Możliwe pełne poinformowanie obu stron, swobodna wymiana ludzi i myśli stanowią jedyny sposób zamknięcia wielowiekowych sporów”.

Z Programu Polskiego Porozumienia Niepodległościowego ogłoszonego w maju 1976.

Stosunki z Niemcami, obecne i przyszłe, należą do najważniejszych i najdrażliwszych zagadnień naszego bytu narodowego i państwowego. Zbyt rzadko i nieśmiało podejmujemy wysiłek przemyślenia tego problemu od nowa, wysiłek oderwania się od sloganów, spojrzenia na stosunki polsko-niemieckie z perspektywy nie tylko tego, co było, ale przede wszystkim tego, co nas czeka.

Poniższy tekst stanowi wyraz przemyśleń licznego zespołu. Jest próbą ogólnego uporządkowania ciągle kontrowersyjnej problematyki. Z uwagi na doniosłość sprawy, ogłaszamy równocześnie, jako tekst „autorski” nr 19, wyrażający w postaci bardziej rozbudowanej i publicystycznej opinii mniejszego grona piszących. Oba teksty są zaproszeniem do samodzielnego zastanowienia się i dyskusji — skierowanym zarówno do Polaków jak i Niemców. (Tekst nr 19 nie dotarł do nas do chwili zamknięcia numeru).

Jeżeli wysuwanie przez nas postulatu niepodległości ma być aktem w pełni świadomym, pociąga za sobą obowiązek przemyślenia, jak zmieni się międzynarodowe położenie Polski z chwilą, kiedy odzyska ona niepodległość.

Jako kraj centralnie położony, największy i najsilniejszy, Polska jest obszarem krytycznym dla całego układu sił w Europie Środkowo-Wschodniej. Dla każdego kryzysu czy konfliktu międzynarodowego w tej części Europy decydujące będzie to, co stanie się na terytorium Polski. Również dlatego, że zmiana systemu rządzenia w Polsce otwiera możliwość zmian u jej sąsiadów.

Jedną z konsekwencji odzyskania przez Polskę niepodległości stanie się otworzenie nowych możliwości dla zjednoczenia Niemiec. Są tacy, którzy uważają to za argument przeciwko staraniu się o niepodległość. Nie zgadzamy się z nimi.

Trzeźwe spojrzenie na sprawę przyszłych stosunków polsko-niemieckich jest utrudniane przez naszą przeszłość i terażniejszość. Na bezpośredniej przeszłości ciąży ogrom zbrodni, dokonanych przez Trzecią Rzeszę na ludności Rzeczypospolitej Polskiej. Porozumienie albo przyjaźń między Polakami a Niemcami nie mogą się opierać na zapomnieniu o latach 1939-1945. Sądzymy, że w naszych myślach i postawach powinniśmy kłaść nacisk na przyszłość, nie na tragiczną przeszłość. Ale Niemcy muszą pamiętać że wymaga to od nas odwracania oczu od doznanych krzywd.

Nasza terażniejszość — to położenie przymusowego wasała ZSRR, państwa społecznie i administracyjnie zacofanego. Odcięcie od możliwości swobodnych, naturalnych procesów politycznych sprawia, że nasze kategorie myślenia politycznego stają się coraz bardziej archaiczne.

Nasz los polityczny skłania nas do wyolbrzymienia roli sąsiedztwa. „Obóz”, do którego należymy, wyznaczył nam Niemcy za „naturalnego” wroga i wieczysty straszak; natomiast drugi sąsiad, ZSRR, trzyma nas w paraliżującym uścisku Wielkiego Brata. Tymczasem we współczesnym świecie, przy dzisiejszej technice wojskowej i możliwościach technologicznych, nie sąsiedztwa, ale sojusze i układy decydują o zachowaniu samoistności państwowej: przykładem Izrael a z drugiej strony Kuba.

Polska granica zachodnia nie została *ostatecznie* uznana przez Niemcy. Istniejące układy obowiązują w myśl Bundestagu i orzeczenia Trybunału konstytucyjnego RFN, tylko istniejące państwo RFN, nie zaś przyszłe zjednoczone Niemcy. Być może gdyby nasze kraje nie należały do antagonistycznych bloków polityczno-wojskowych i gdyby granica polsko-niemiecka była tak łatwo przekraczalna, jak np. niemiecko-holenderska, nie doszłoby do takiej deklaracji i orzeczenia. Niemcy muszą sobie jednak zdać sprawę, że pozostawienie sprawy w zawieszaniu nastraja Polaków nieufnie i uniemożliwia wyzbycie się podejrzeń o ekspansjonizm. Polacy muszą sobie uświadomić, że w całej Europie poza „naszym” blokiem granice odgrywają rolę coraz mniejszą zarówno w życiu codziennym, jak w świadomości obywateli. Tak je łatwo przekraczać, że przestaje się je zauważać. W naszej części świata granice pozostają ogromnie ważne, bo są nieprzenikliwe. Porównajmy np. doniosłość przebiegu granicy między Polską a ZSRR — i granicy między Niemcami a Francją. A przecież Francuzi więcej wojowali z Niemcami o granice, niż my.

Sprawę stosunków polsko-niemieckich musimy stale przemysliwać na nowo, unikając właśnie takich przestarzałych formuł i nie poddając się propagandowym szablonom, chociaż nie zapominając zarazem o gorzkich naukach historii. Jeżeli tej sprawy śmiało i twórczo nie przemyslimy, pozostaniemy tylko biernym przedmiotem rozgrywek. Uważamy, że jeden aspekt tych stosunków powinien zostać poza ramami rozważań i dyskusji: niezależnie od tego, co sądzimy o sposobie wytyczania naszych granic w roku 1945 i o ówczesnej możliwości bardziej racjonalnego ich przeprowadzenia — obecne granice z Niemcami uznajemy za niezmiennie.

Wbrew temu, co nam wmawia propaganda, ZSRR nie jest gwarantem naszych granic, ale gwarantem określonego, narzuconego nam systemu politycznego. Zmiana tego systemu jest niemożliwa bez uwolnienia się od przymusowej opieki tego gwaranta. Jednakże z chwilą, kiedy rozluźnimy więzy kurateli — staniemy twarzą z Niemcami. Jest więc jasne, że na naszą determinację uniezależnienia się od ZSRR wpłynie fakt, czy RFN dość przekonująco wypowiadać się będzie za bezwzględnym uznaniem integralności terytorialnej Polski.

Ci wszyscy, którzy głoszą konieczność „sojuszu” z ZSRR, czyli w rzeczywistości podporządkowania się jego interesom państwowym i oficjalnej ideologii, jako obrony przed niemieckimi zakusami — muszą stawiać sprawę jasno: trwanie tego sojuszu w obecnej formie oznacza trwanie poddaństwa. Rozluźnienie sojuszu oznacza podjęcie ryzyka; od RFN zależy, jak niebezpieczne będzie to ryzyko w świadomości Polaków. Niemcy natomiast muszą zdawać sobie sprawę, że jeżeli Polska nie odzyska niezależności — szanse na uniezależnienie się NRD są bardzo znikome.

Zjednoczenie Niemiec jest zasadniczym dalekodystansowym celem obu obozów politycznych w Republice Federalnej. Nie można wątpić, że będą do tego celu dążyć Niemcy Wschodni, pozbawieni suwerenności i swobód obywatelskich. Fakt, że na temat zjednoczenia tak mało się dziś w RFN otwarcie pisze i głośno mówi, nie powinien nas wprowadzać w błąd. Nie świadczy to bynajmniej o zapomnieniu o celu — ale o panującym wśród tutejszych polityków przekonaniu, że wybrane pokojowe metody działania wymagają dyskrecji. My z kolei musimy pamiętać że w wieku XIX-tym przez całe dziesięciolecie głucho było o możliwościach wskrzeszenia zjednoczonej po rozbiorach Polski; również o tym, że Niemcy mają takie samo prawo do zjednoczenia, jak my do niepodległości.

Dla Niemców, przywykłych do podziału na niezależne lub pół-niezależne państwa oraz do tego, że ich granice państwowe nie pokrywają się z językowymi, „Zjednoczenie” może oznaczać

związek znacznie luźniejszy, niż oznaczało dla Polaków połączenie trzech zaborowych dzielnic w roku 1918.

Dwa wielkie obozy polityczne w RFN starają się dążyć do zjednoczenia odmiennymi drogami. SPD poprzez porozumienie z istniejącymi rządami — ZSRR i PRL oraz powolne zbliżanie ekonomiczne i społeczne obu państw Niemieckich; CDU/CSU poprzez stopniowe ograniczanie wpływów radzieckich w Europie. Żaden z obozów nie zdaje się przywiązywać wagi do nastawienia społeczeństwa polskiego. Przywódcy zachodnioniemieccy wiedzą, że PRL nie może prowadzić niezależnej polityki zagranicznej i są skłonni przyznawać Polakom rolę biernego przedmiotu międzynarodowych rozgrywek. Jest to stanowisko krótkowzroczne, bo dla przyszłości Niemców nie jest obojętne, czy Polska jest suwerenna, czy nie.

Powtarza się często slogan, że Polska ma bezwyjściowe położenie geopolityczne. Twierdzi się, że wciśnięci między dwa potężne państwa musimy, aby nie paść ofiarą obu na raz, utrzymać ścisły sojusz z jednym z nich — sojusz który wobec nierówności sił i naszej przymusowej sytuacji, staje się zależnością. Jednakże położenie geopolityczne nie jest niezmienne. Inne było dla nas w wieku XVI-tym, inne w wieku XVIII-tym, inne pięćdziesiąt lat temu — a inne jest dzisiaj, i należy to zauważyć.

Możemy dziś nasze położenie geopolityczne widzieć dwójako: 1) Jesteśmy otoczeni przez ZSRR i jego wasali. Paraliżuje to ewolucję w kierunku niepodległości i demokratycznego postępu. NRD, nasz „dobry sąsiad, wierny przyjaciel”, jak głosi propagandowe hasło, jest naszym przyjacielem z obowiązku — co nie znaczy, by czasem nie występowała z sugestiami rewizji granic (bo im Szczecin „potrzebny”). 2) Polska nie leży już między Rosją a Niemcami — ale między imperialnym ZSRR a integrującymi się zwolna państwami Zjednoczonej Europy, której częścią składową jest RFN.

RFN nie jest, przy całej swojej potędze, jak dawne Niemcy, mocarstwem zdolnym do całkowicie samodzielnej polityki zagranicznej w wielkiej skali — a już zwłaszcza do polityki agresywnej. Próbując takiej polityki utraciłaby natychmiast nie tylko osłonę obronną Stanów Zjednoczonych, ale przede wszystkim poparcie wszystkich innych krajów wspólnoty Europejskiej. Związki ze Wspólnotą stają się z każdym rokiem coraz trudniejsze do rozluźnienia gospodarczo, politycznie, a nawet wojskowo. Jest też zgoła nieprawdopodobne, aby dla jakichś niepewnych zdobyczy terytorialnych RFN skłonna była wydać się na łaskę ZSRR.

Zjednoczenie Niemiec ma dwu zasadniczych przeciwników: ZSRR i sfery rządzące NRD. Dla ZSRR zjednoczenie oznaczałoby

skurczenie się obszaru imperium, dla obecnej ekipy rządzącej NRD — utratę władzy.

Na możliwość zjednoczenia patrzą również bez entuzjazmu inne kraje Wspólnoty Europejskiej. Obawiają się bowiem dalszego wzmocnienia gospodarczego i politycznego Niemiec, oraz ich chęci dominowania nad Wspólnotą. Można jednak przypuszczać, że im bardziej zintegrowana będzie zjednoczona Europa, tym mniejsze stawać się będą w jej ramach opory przeciwko zjednoczeniu Niemiec.

Opory Polaków przeciwko możliwości zjednoczenia Niemiec płyną z podobnych źródeł. Obawiamy się, że wzmocnione Niemcy zechcą wykorzystać swoją siłę dla wymuszania rewindykacji terytorialnych. Gdyby zjednoczenie miało się dokonać jednoznacznie w ramach Wspólnoty Europejskiej, gdyby obszar, stanowiący obecnie NRD, stał się częścią sfederowanej Europy, a nie tylko częścią RFN i wzmocnił całą Wspólnotę a nie tylko jedno państwo członkowskie — wówczas opory Polaków mogłyby osłabnąć. Zjednoczenie się Niemiec w ramach Wspólnoty Europejskiej sprawiłoby, że Polska uzyskałaby bezpośrednią styczność z Zachodem, z którym jest związana całą swoją tradycją i współczesnością kulturalną, możliwość współpracy ze Wspólnotą, wreszcie możliwość autentycznego wyboru sojuszków gospodarczych.

Polacy mogliby więc uznać, że zjednoczenie Niemiec leży w interesie polskim, pod dwoma warunkami:

- 1) bezwzględne uznanie naszej granicy zachodniej,
- 2) zasadnicza integracja Niemiec we Wspólnotę Europejską.

Natomiast niespełnienie tych warunków stanowi stały i koronny argument za sojuszem z Rosją, niezależnie od formy rządów w Polsce i Rosji.

Wykazując zrozumienie dla niemieckich aspiracji narodowych, a jednocześnie posiadając jasne poczucie własnych interesów, możemy ułatwić przyszłe kształtowanie się rzeczywiste dobrośąsiedzkich stosunków. Dla dobra przyszłości powinniśmy się zdobywać na wielkoduszne przewyższanie uprzedzeń i obaw.

Oficjalne stosunki polsko-niemieckie są dzisiaj w znacznym stopniu zdalnie kierowane przez Kreml. Na stosunki międzyrządowe wpływają również nasze potrzeby gospodarcze, które sprawiają, że RFN jest naszym największym kredytodawcą i europejskim partnerem handlowym.

Stosunki między społeczeństwami, środowiskami i jednostkami pozostają nadal w cieniu tragicznych przeżyć lat 1939-45. Nieoficjalne kontakty były w ciągu ostatnich trzydziestu lat znikome. Władze ZSRR i PRL, potrzebujące Niemiec w roli czynnika za-

straszającego, utrudniają próby pojednania podejmowane przez niektóre koła zachodniemieckie oraz polskie środowiska katolickie. Nie podaje się więc do wiadomości publicznej faktów takich, jak przyjazdy młodzieży niemieckiej do Polski w ramach „akcji pokuty”, licznych zbiórek na polskie cele i potrzeby, organizowanych w RFN głównie przez organizacje religijne, zainteresowania odczytami o okupacji, wygłaszanymi w RFN przez polskich intelektualistów, przede wszystkim katolickich, ogłaszania tam licznych przekładów z literatury polskiej, itd. Natomiast na komendę rozdmuchuje się antyniemieckie nastroje, wyolbrzymia informacje o zachodniemieckich organizacjach prawicowych i wydawnictwach neohitlerowskich.

Szczególnie dla nas bolesna, wstydliva i niestety powszechnie przemilczana jest sprawa wielu tysięcy Mazurów i Opolan, którzy, oparłszy się przez setki lat germanizacji, zostali sztucznie zgermanizowani przez głupotę władz komunistycznych. Większość tych ludzi nie zna niemieckiego i emigruje nie z pobudek narodowych, ale w poszukiwaniu swobody i łatwiejszego życia.

Nastroje i postawy w RFN są rozmaite, ale mają tę zaletę, że są autentyczne, przez nikogo z góry nie planowane i nie dyrygowane. Powinniśmy jak najszerzej współpracować z tymi, którzy nam sprzyjają, którzy rozumieją nasze problemy, którzy uświadamiają niemieckim rodakom historyczne tło naszych dzisiejszych stosunków.

Słusznie dopominając się o to, by młodzież niemiecka zdawała sobie sprawę z podłoża i rozmiaru hitlerowskich zbrodni, musimy pamiętać i o tym, że młodzież polska jest przez reżym wychowywana w nieznajomości naszej własnej najnowszej historii. Mamy słuszne pretensje, że kilkunastoletni Niemcy nie wiedzą, co to Oświęcim — ale nasze dzieci nie mają możliwości dowiedzenia się o zbrodniach stalinizmu, a nawet o tym, co stało się na polskim wybrzeżu przed niespełna ośmiu laty.

Zadośćuczynienie za zbrodnie niemieckie ostatniej wojny nie jest możliwe. Jakikolwiek wymiar kary może mieć tylko charakter symbolu: żadna kara nie wyrówna straty milionów ludzkich istnień. Należy jednak pamiętać i o tym, że RFN jest pierwszym w historii państwem, które — chociaż powolnie i nieraz opieszale — karze własnych obywateli za przestępstwa, popełnione parędziesiąt lat temu na obywatelach innych państw. Natomiast w NRD odpowiedzialność za zbrodnie wojenne została złożona ogólnikowo na instytucje i organizacje hitlerowskie: nikt za nie osobiście nie jest sądzony. Zaś w ZSRR, który spowodował około 20 % polskich strat ludnościowych podczas ostatniej wojny (tj. około miliona dwustu tysięcy zgonów), nikt nigdy nie wspominał nawet o odpowiedzialności karnej.

Na przykładzie stosunków polsko-radzieckich wiemy, ile jest warta obowiązująca w NRD przyjaźń do PRL. Przyjazne gesty, dyrygowane przez władze obu krajów, pokrywają wzajemną nieufność a nawet wrogość. Wiele wskazuje na to, że właśnie NRD jest potencjalnie ośrodkiem najbardziej antypolskich tendencji w Niemczech. Rozgoryczeni, poniżani, zmuszani co dzień do fałszu mieszkańcy NRD mogą się w przyszłości stać największą przeszkodą w ułożeniu dobrosąsiedzkich stosunków między obu narodami.

Pamięć o zbrodniach niemieckich ułatwia dziś wielu Polakom godzenie się z sowieckim jarzmem. Ludzie, którzy pamiętają hitlerowski terror — a zwłaszcza ci, którzy nie zetknęli się z sowieckim — są często skłonni, dla osłonięcia wstydliwego faktu braku suwerenności Polski, wysuwać argument, że ZSRR „uwolnił” nas od Niemców i broni przed ich „zakusami”. Jest to rozumowanie fałszywe. Zbrodnie ludobójstwa, dokonywane na narodzie polskim przez ZSRR w latach 1939-41, nie stały się dla Polaków argumentem za kolaboracją z Niemcami. Tak samo ludobójstwo niemieckie nie może być argumentem za wiernopoddaczością wobec ZSRR.

Autentyczna, nie manipulowana, obustronna poprawa stosunków polsko-niemieckich na płaszczyźnie międzypolitycznej i międzyludzkiej jest jednym z najważniejszych zadań, jakie stoją przed nami w ostatniej ćwierci XX-go wieku. Nie możemy sobie pozwolić na postawę: Niemiec — wieczny wróg. Żaden mądry naród nie kieruje się w polityce zasadą kultywowania wrogów.

Od rozsądku, dobrej woli i poczucia odpowiedzialności Niemców z jednej strony a odwagi twórczego politycznego myślenia Polaków z drugiej zależy wyjście z obecnego impasu, zależą przyszłe losy obu naszych narodów.

ZESPÓŁ PROBLEMOWY POLSKIEGO
POROZUMIENIA NIEPODLEGŁOŚCIOWEGO

Korespondencja z Rzymu

Przepowiednia Lenina

W drugiej połowie 1923 roku Lenin otrzymał niespodziewanie bilet wizytowy katolickiego kapłana węgierskiego Wiktora Bede, który przybył po cywilnemu do Moskwy i prosił o spotkanie.

Lenin pamiętał go dobrze z kilkakrotnego pobytu w Paryżu, gdzie, jak później wspominał Bede, łączyły ich „częste i serdeczne kontakty osobiste, wynikające ze wspólnie uprawianego zawodu dziennikarskiego”. Bede, współpracownik *Osservatore Romano* w latach 1920-27, opisał swe rozmowy na Kremlu na łamach dziennika watykańskiego w artykule pt. „Myśli Lenina o katolicyzmie (Wspomnienia osobiste)¹”. Wspomnienia ukazały się siedem miesięcy po śmierci Lenina (21 stycznia 1924 roku). Autor tych wspomnień uzasadniał opóźnienie publikacji powołaniem się na ogłoszony testament Lenina, co zwróciło uwagę opinii światowej na „osobliwą postać słynnego twórcy rosyjskiego komunizmu”. Bardziej prawdopodobne wydaje się jednak że artykuł przeleżał się w redakcji z innych powodów. Zawarta w tych wspomnieniach sensacyjna przepowiednia Lenina odpowiadała ówczesnym interesom dyplomacji watykańskiej. Moskiewski dziennik węgierskiego księdza ukazał się, mianowicie, w okresie przygotowań do spotkania w Berlinie nuncjusza Pacelliego (późniejszego papieża Piusa XII-go) z ambasadorem Litwinowem, późniejszym komisarzem d/s zagranicznych. W tym samym czasie, ponadto, Mussolini podjął kampanię antywatykańską i równocześnie rozpoczął kokietowanie Moskwy.

Lenin przyjął ks. Bede w swym prywatnym mieszkaniu na Kremlu. „Przysłał cię twój papież?” — zapytał na powitanie. Bede zaprzeczył. Zaznacza jednak w swej relacji, że Lenin, oprócz chęci zobaczenia starego znajomego, był zapewne zainteresowany rozmową z kapłanem przybyłym z Rzymu. W tym czasie Stolica Apostolska sondowała delikatnie rząd sowiecki w sprawie nawiązania oficjalnych stosunków. Już w 1919 roku interwencja u Lenina kardynała Gasparri, sekretarza Stanu papieża Benedykta XV, spowodowała uwolnienie katolickiego arcybiskupa Edwarda Roppa z Mohylewa². W roku 1922 nastąpił w Genewie pierwszy kontakt pomiędzy szefem delegacji sowieckiej, komisarzem d/s zagranicznych Cziczzerinem a pełnomocnikiem Watykanu i przyszłym kardynałem Pizzardo. Doprowadziło to do zgody Moskwy na przysłanie papieskiej misji pomocy dla głodującej ludności rosyjskiej. Kiedy Bede zjawił się u Lenina, misja papieska nadal działała na terenie Rosji i nie ucichło jeszcze echo

1. *Pensieri di Lenin sul cattolicesimo (Ricordi personali)*, *Osservatore Romano*, 23 sierpnia 1924 r. Artykuł, niepodpisany, poprzedza nota redakcyjna: „znany nam kapłan, współpracownik naszego pisma, przesłał nam swe wspomnienia, na których doniosłość nie ma potrzeby zwracać uwagi czytelników”.

2. Troszczył się o to również mons. Ratti wizytator apostolski w Warszawie. Kiedy jednak zwrócił się do Lenina o zezwolenie na przyjazd do Moskwy, motywując to tym, że europejska Rosja stanowi również obszar jego mandatu, otrzymał drastyczną odpowiedź. W Moskwie — pisał Lenin — musiałby pozostać w domu „avec une sentinelle à la porte, sans la possibilité de voir rien, ni personne”. Mons. Ratti, wkrótce po tej odmowie wybrany papieżem, niezrażony kontynuował zabiegi o nawiązanie stosunków z reżymem sowieckim.

procesu przeciwko 15 biskupom i kapłanom katolickim, wśród których znajdował się abp Cieplak, wikariusz i następca Roppa.

Ks. Bede stwierdza na wstępie że wyposażony w „doskonałe papiery”, uzyskane dzięki Leninowi, mógł go odwiedzić kilkakrotnie bez przeszkód, zwłaszcza że jego godność kapłańska była znana tylko „wszechwładnemu dyktatorowi”. Z artykułu przebija wielka sympatia dla dyktatora, którego „prostota i szczerść przypominały mi raczej dawnego przyjaciela i dziennikarza niż przywódcę najstraszniejszej rewolucji w dziejach”. W tych intymnych rozmowach w cztery oczy — pisze dalej — „odniosłem wrażenie, że człowiek przedstawiany powszechnie jako okrutny tyran był z kolei ofiarą własnej koncepcji społecznej; był, wbrew sobie samemu, popchnięty do masowych morderstw na skutek zwyczajnej racji stanu”. I dodaje: „mimo wszystko był to wciąż człowiek o łagodnym usposobieniu, taki jak go poznałem w Paryżu”. I tłumaczy tę „łagodność” i „urazy”, charakterystyczne, według niego, dla ludzi którzy wiele wycierpieli, latami przesładowań, deportacji na Sybirze, biedy i wygnania z ojczyzny. Rozgrzesza więc tyrana nie tylko nakazami „zwykłej racji stanu”, ale twierdząc, że „poczucie misji posunięte aż do politycznego mistycyzmu, tłumili w nim uczucia prywatne, pozostawiając wolne pole dla dyktatora przeznaczonego do zbawienia ludzkości poprzez rozciągnięcie na cały świat systemu sowieckiego, o którego dobroci był głęboko przeświadczony”.

„Cóż chcesz? — powiedział mi pewnego dnia — aczkolwiek to wszystko mnie brzydzi, musimy z konieczności stosować radykalne środki dla usunięcia z naszego narodu wszystkich wrogich elementów. Nie można przecież z nimi rozumnie postępować, tak jak nie rozumuje się ze zmiłą, która cię kąsa: zabija się ją. Wielu ludzi niestety, to ignoranci lub zepsuci, niezdolni do zrozumienia konieczności wyrzeczenia się swych nadmiernych dóbr na rzecz mas ludowych; dlatego więc narzuca się nieubłagane wywłaszczenie i zagłada tych, którzy nam się przeciwstawiają”.

W innej rozmowie tematem była przyszłość. „Widzisz, powiedział mi innym razem, ludzkość zmierza nieuchronnie do sowiezizmu... To tylko kwestia czasu. Za sto lat nie będzie innej formy rządów wśród krajów cywilizowanych. Sądzę jednak, że na ruinach obecnych instytucji ostanie się jeszcze i przeżyje hierarchia katolicka ponieważ następuje w niej systematyczne wychowanie tych, którzy są przeznaczeni do kierowania innych. Nie można urodzić się Biskupem czy Papieżem, tak jak dotąd rodził się Książę, Król czy Cesarz. Po to by stać się Wodzem czy Gubernatorem w Kościele katolickim trzeba dać dowód szczególnych zdolności. W tej właśnie mądrej budowie (ustroju, w oryginale: *sapiente costituzione*) tkwi wielka siła moralna katolicyzmu, który dzięki temu opiera się skutecznie od 2000 lat wszelkim burzom i to uczyni go niezwykłym również w przyszłości. Siła twego Kościoła jest wyłącznie moralna i nie przymusza. Ludzkość potrzebuje zarówno jednej, jak i drugiej siły.

Widzę więc — zakończył, podkreślając to zdanie mocnym głosem — widzę od dziś za sto lat jedyną formę rządów: sowietyzm i jedyną religię: katolicką. Twój ideał urzeczywistni się podobnie jak i mój... szkoda tylko że nas już wtedy nie będzie”.

Od przepowiedni Lenina nie upłynęło sto, lecz zaledwie 55 lat. Ze strony Watykanu ponawiane są nadal daremne próby ułożenia stosunków z Moskwą. Kontakty dyplomatyczne są dziś znacznie częstsze choć nie przynoszą poprawy położenia ukraińskich czy litewskich katolików. Mistyfikacyjny „dialog ekumeniczny” też nie przyniósł do tej pory żadnych wyników. Zapowiedź historycznego spotkania na ruinach starego świata zaczyna tymczasem sprawdzać się stopniowo na terenie włoskim w postaci tzw. kompromisu historycznego. Komuniści włoscy od Gramsciego (Lenina przełożonego na włoski) do Berlinguera z upartą konsekwencją zmierzają do pojednania z Kościołem i światem katolickim. Berlinguer w słynnym liście do bp. Bettazziego (zwanego „czerwonym biskupem”) wyciąga dłoń do porozumienia z Kościołem³. Stwierdza w nim, że partia nie jest ateistyczna, pozostawia swym członkom swobodny wybór ideologicznych przekonań i opowiada się za państwem laickim, to znaczy „nie teistycznym, nie ateistycznym i nie antyteistycznym”.

Ewentualna realizacja „kompromisu historycznego” stanowiłaby klęskę nie tyle Demokracji Chrześcijańskiej (doszłoby tam niewątpliwie do rozłamu), ile Kościoła. *Placet* Kościoła jest nieodzowny dla jawnych (nielicznych) i ukrytych (liczniejszych) zwolenników tego „kompromisu” w Demokracji Chrześcijańskiej. Stanowisko Kościoła nie jest jednolite. Ścierają się nie tyle doktrynalne orientacje, ile taktyczne wyrachowania (bo Berlinguer zreszcie odseparował marksizm od ateizmu).

Episkopat włoski, mimo pewnych prób i przejawów większej autonomii, uzależniony jest nadal od stanowiska Watykanu. Jezuici zajmują stanowisko wyczekujące, wywierają nacisk na komunistów w kierunku dalszej ewolucji i grają wyraźnie na podnoszenie ceny ewentualnego pojednania. Strategia komunistów zakłada w pierwszym rzędzie „dialog” i pojednanie z Kościołem, drugie z kolei po faszystowskim *Conciltazione*. Trafność przepowiedni Lenina rozstrzygnie się we Włoszech w najbliższych latach.

3. Patriarcha Wenecji, kardynał Luciani, komentując ten list, przytoczył wypowiedź niewymienionego po nazwisku członka polskiego episkopatu: „Mieście się na baczości, jest to, klasyczne posunięcie. Znamy je dobrze: komuniści czynią wszystko by złamać spójność episkopatu. Kiedy pojawia się drobna nawet szczelina wbijają klin i poszerzają tę szparę. Wy (tj. włoscy biskupi) jesteście teraz najbardziej wystawieni na sztych. Ktoś z was odstaje nieco od grupy, zaledwie powie coś o 'szacunku', choćby z zastrzeżeniami, dla partii komunistycznej? Natychmiast na łamach prasy pojawiają się zbieżne głosy sympatii 'postępowych katolików', 'socjalistycznych chrześcijan', czytelników prasy komunistycznej. Episkopat polski przeciwstawił tej taktyce żelazną zwartość. Na tym również polega nasza siła”.

Przyszłe Conclave

Na liście *best-seller'ów* w *New York Times*, znalazła się niedawno książka „The Final Conclave”, która ukazała się w lutym bież. roku. Autor, były jezuita i teolog, dr Malachi Martin, twierdzi, że „Watykan przewiduje w Europie w latach 80-tych rządy lewicowe i szuka dlatego możliwości egzystencji Kościoła również w warunkach socjalistycznych. Równocześnie jednak przetrza swój majątek do Ameryki Północnej”. Jego zdaniem „poważna frakcja w łonie Kościoła sprzyja wyborowi nowego Papieża, skłonnego do współpracy z komunistycznymi reżymami, zakładając, że jest to konieczny warunek przetrwania Kościoła w świecie w dużej mierze skomunizowanym”. Dr Martin stwierdza, że ta frakcja „postępowych” kardynałów pragnie by następcą Pawła VI-go opowiedział się za „polityką nie przeciwdziałania dojściu do władzy komunistycznych rządów na Zachodzie”. Nawet ci kardynałowie, którzy się przeciwstawiają komunizmowi, sądzą — według niego — że w celu przetrwania Kościoła „musi nauczyć się ułożenia stosunków z komunistami (*to learn to accommodate*). Przewidują oni, że we Francji i we Włoszech partie komunistyczne wejdą do rządów i są przekonani, że Ameryka Łacińska pójdzie w ślad Azji Południowej”. Amerykański teolog jest zdania, że Kościołowi „grozi zawarcie faktycznego sojuszu lub osi ze ZSSR, jedynym, imperialistycznym mocarstwem na świecie, które jest antychrześcijańskie, antysemitkie i antyamerykańskie. Tego typu sojusz okazałby się fałszywy i zębny dla chrześcijaństwa... połączony ze śmiertelnym niebezpieczeństwem zarówno dla demokracji jak i dla chrześcijaństwa”.

Takie są główne tezy *best-seller'a* amerykańskiego byłego jezuity. Doświadczony uczy, że należy ostrożnie i krytycznie podchodzić do sensacyjnych i zbyt uproszczonych ocen na temat spraw kościelnych, zwłaszcza jeśli wychodzą spod pióra autorów, którzy zrzucili habit. Zamiast więc „ostatecznym” (*final*), lepiej zająć się przyszłym *conclave*. W prasie międzynarodowej pojawiają się w ostatnim czasie alarmistyczne pogłoski na temat zdrowia Pawła VI-go. Coraz częściej zapada na gripę i zmęczenie wyraźnie daje mu się we znaki. Brak biuletynów lekarskich, odwoływanie generalnych audiencji, milczące zawieszanie *sine die* zwykłych audiencji — wszystko to przyczynia się do rosnącej dezorientacji i powstawania psychozy *conclave*. Paweł VI-ty ma 81 lat i wygląda na ten wiek. Na skutek dolegliwego artretyzmu kostnego w kolanie porusza się z trudnością. Otoczenie papieskie, choć stara się o oszczędzanie jego nadwyżęzonego zdrowia, nie zdradza jednak oznak niepokoju. Psychoza na temat *conclave* nie ma więc może doraźnych podstaw, nie wyklucza to jednak zainteresowania dla istniejących tendencji i kandydatur na sukcesję.

Wśród *papabili* najczęściej pojawiają się nazwiska włoskich

kardynałów: Felici, Baggio, Benelli, Pignedoli, Palazzini. Wśród nie-włoskich purpuratów: Ratzinger (Niemiec), Guyot (Francuz), Willebrands (Holender) i Pironio (Argentyńczyk, ale członek Kurii Rzymskiej). Najbardziej notowany na tej „giełdzie” jest kardynał Pericle Felici, 68 lat, były sekretarz Soboru, przewodniczący Komisji dla rewizji prawa kanonicznego. Uchodzi za umiarkowanego i faworyzowanego przez dużą część przyszłych wielkich elektorów z innych krajów. Inni *papabili* włoscy mają dużo mniejsze szanse i takie czy inne *handicap'y*. Benelli jest za młody, Pignedoli zbyt blisko związany z Papieżem. Pojawiła się ostatnio kandydatura *outsidera* w osobie arcybiskupa Ballestrero, rok temu mianowanego ordynariusza diecezji turyńskiej, b. generała Zakonu Karmelitów Bosych. Nie jest wprawdzie kardynałem, ale to bynajmniej nie wyklucza możliwości elekcji. Na najbliższym Konsystorzu *nota-bene* może otrzymać nominację papieską⁴. Spośród purpuratów nie włoskich najwięcej mówi się o kardynale Paul Guyot, abp. Tuluzy, jednym z najbardziej zrównoważonych (pomiędzy kierunkiem „postępowym” i „zachowawczym”) członków francuskiego episkopatu. Jego kandydatura mogłaby uzyskać konwergencję głosów afrykańskich oraz większości europejskiej i północno-amerykańskiej. Pozostałym, wymienionym wyżej kandydatom zagranicznym (łącznie z kard. Koenigiem z Wiednia, który znikł ostatnio z „listy” *papabili*) nie przypisuje się wielkich szans. Nie wydaje się zresztą by mogła przejść zdecydowanie jakakolwiek kandydatura nie włoska. Najprawdopodobniej, zgodnie z wiekową tradycją, wybór padnie ponownie na włoskiego purpurata. Nie ulega wątpliwości, że w przyszłym *conclave* duży wpływ będą mieć elektorzy z „trzeciego świata” (prawdę mówiąc wydają się oni nieraz bardziej „rzymscy” niż Europejczycy). Poprzez kilkakrotne nominacje nowych kardynałów Papież starał się utrzymać równowagę zarówno pomiędzy kontynentami jak i orientacjami, co oczywiście wywrze wpływ na wybór jego następcy. *Conclave* będzie miało charakter „otwarty”, to znaczy nie wykluczając niespodzianek, ale wykluczając gwałtowne zmiany w sensie apokaliptycznej wizji zarysowanej przez autora „The Final Conclave”. Hasło „odnowa w tradycji”, nadal aktualne, oznacza kontynuację soborowej adaptacji do wymogów świata współczesnego. Konieczność przystosowania się, natomiast, a nie opierania się napływającej fali komunizmu czy lewicowego radykalizmu, stanowi cechę osobowości Pawła VI-go i orientacji jaką nadał dyplomacji watykańskiej. Nie jest jednak wcale powiedziane, że w tym zakresie nie nastąpią zmiany, a nawet zwrot. Trudno podzielić drastyczny pogląd amerykańskiego autora, że „potężna frakcja” w Kościele opowiada się za egzystencjalnym przystosowaniem się do zakładanego z góry triumfu komunizmu. Sprawa jest złożona i nie powiem by przeważała orientacja kapitulacyjna. Wszystko

4. Kapelusze kardynałowski otrzyma zapewne również jeden z polskich biskupów; wchodzi w grę dwie kandydatury: Gulbinowicza i Stroby (prawdopodobnie ten drugi).

zresztą zależy od ewolucji stosunków międzynarodowych. Jeśli po przegranej komunistów we Francji nastąpi również odpływ głosów na rzecz komunistów we Włoszech (czego pierwsze symptomy już się pokazały), a sytuacja wewnętrzna w bloku sowieckim nie ulegnie zasadniczej poprawie — następcą Pawła VI-go (a kto wie czy jeszcze nie on sam) zahamuje obecną *aperturę* w kierunku instytucjonalnego przystosowania (bo o instytucje i aparaty chodzi, a nie o szczęście jednostek!) Kościoła do konieczności współżycia z komunizmem. Stolica Apostolska przestała stawić wyjątkowo na chadecję, spetryfikowaną i nie wykazującą zdolności do regeneracji. Oceniając pesymistycznie szanse odrodzenia się chadecji pobłogosławiła wysiłki tych (Moro), którzy dokonali „otwarcia” ku komunistom. Nie oznacza to jednak, że nie wykazuje również zainteresowania dla socjaldemokracji i „eurosocjalizmu”. Zasadnicze opcje nie są jeszcze dokonane. Amerykański autor sensacyjnej książki deformuje obraz, rozpisując się nadmiernie i dość powierzchownie o rzekomej stawce Kościoła na komunizm, podkładając w ten termin treść heterogeniczną: wszelkie ruchy lewicowe, łącznie z demokratycznymi partiami laickimi i socjalistycznymi (nieraz wyraźnie antykomunistycznymi).

Pozostaje pewna ciekawostka. Od 120 lat powtarza się osobliwy zbieg okoliczności, nazywany w Watykanie ironicznie „prawem rotacji”. Po papieżu o silnej, krzepkiej budowie ciała i „r” w nazwisku, następuje zawsze papież szczupły i bez „r” w rodowym nazwisku. Zaczęło się to w roku 1846 od Piusa IX-go (Ferretti). Jego następcą został watył kardynał Pecci. Po nim przyszła kolej na grubego Sarto i na wysmukłego Dalla Chiesa. Następnie po krępym Ratti (Pius XI-ty) przyszedł suchy jak szczapa Pacelli. Wreszcie po krępkim, okrągłym Janie XXIII-cim (Roncalli) wybrany został chudy Montini (Paweł VI-ty). Czy te wyjątkowe, od przeszło wieku trwające, zbieżności, znikną wraz z pontyfikatem Pawła VI-go? W przeciwnym razie, kto wśród *papabili* jest krępki i z „r” w nazwisku? Tylko jeden z nich, Ballestrero, odpowiada w pełni tym dwom wymogom. To prawda, jest mało znany poza Włochami, ale do następnego *conclave* może upłynąć jeszcze sporo czasu.

W obliczu roku 2000 — słyhać w środowiskach watykańskich — na czele Kościoła potrzebna jest „silna osobowość, czująca puls Kościoła współczesnego i która przywróci porządek”.

Na martwym punkcie

„Normalizacja oznacza długą i mozolną pracę” — powiedział abp Luigi Poggi w kazaniu w katedrze w Siedlcach, wzywając wiernych do modlitwy o „możliwość doprowadzenia do rozwiązania różnych problemów”. W tym samym wystąpieniu oświadczył: „mogę was zapewnić, że akcja Stolicy Apostolskiej jest zawsze zespolona z polskim episkopatem i *vice versa*”. Jak podaje

rzymski dziennik *Il Tempo*, dobrze zazwyczaj poinformowany w kulisach polityki watykańskiej, mons. Poggi chciał w ten sposób zdementować pogłoski o „rzekomych rozbieżnościach pomiędzy dyplomacją watykańską, bardziej pojednawczo nastawioną, a stanowiskiem episkopatu, nieprzyjdanym i obawiającym się wyeliminowania go z gry”.

Dwutygodniowy pobyt wysłannika Stolicy Apostolskiej w kraju nie przyniósł faktycznie żadnych postępów na drodze ku „normalizacji”. Zdaniem mons. Poggi, władze polskie nie są jeszcze gotowe do uznania prawnopublicznego statusu Kościoła, czego, jak wiadomo, domaga się episkopat. Jak donosi ten sam dziennik, wysłannik papieski „zdementował ponadto energicznie wiadomości, rozpowszechniane przez niektóre gazety zachodnie, o bliskim otwarciu przez Watykan stałej reprezentacji w Warszawie”. Według dziennika *Il Popolo*, organu Demokracji Chrześcijańskiej, ostatnia wizyta mons. Poggi zaprzecza zbyt pośpiesznym oczekiwaniom na przełamanie martwego punktu w rokowaniach. Z wypowiedzi kierownika watykańskiej „grupy roboczej do stałych kontaktów” z rządem PRL wynika nawet pośrednio, że doszło niespodziewanie do napięcia w stosunkach pomiędzy Kościołem a Państwem. Organ włoskiej chadecji wiąże to nie tylko z niezadowolonymi dotąd podstawowymi kwestiami, znajdującymi się na *liste de doléance* Kościoła (dostęp do środków masowego przekazu, akcja wychowawcza i nauczanie religii, wydawnictwa i prasa katolicka ograniczana w nakładach i poddawana ostrej cenzurze). Biorąc asumpt z artykułu Rakowskiego w *Polityce* (o czym podawałem w poprzedniej korespondencji), dziennik ten stwierdza, że „otwarcie do dialogu nie spotkało się z zaufaniem w środowiskach katolickich”. Jerzy Turowicz, naczelny redaktor *Tygodnika Powszechnego* miał zamiar zabrać głos w debacie, do której wzywał Rakowski. Dziennik informuje, że artykuł Turowicza, który „postulował stworzenie autentycznego pluralizmu kulturalnego zostali ocenzeni i nie ujrzała światła dziennego”. Organ włoskiej chadecji nie wyjaśnia czy skonfiskowany przez cenzurę artykuł Turowicza był przesłany do *Polityki* czy też doznał tego losu na łamach krakowskiego tygodnika katolickiego. Prawdopodobnie zaszedł ten drugi przypadek. „Podobnie jak zasadnicze postulaty episkopatu — podaje komentator organu Demokracji Chrześcijańskiej — również protesty Turowicza i jego przyjaciół przeciwko cenzurze nie odniosły żadnego skutku. Brak powodzenia ostatniej misji mons. Poggi należy więc widzieć — konkluduje *Il Popolo* — w szerszym kontekście politycznym, odmiennym dziś od tego jaki — wydawało się — powstał po spotkaniu Księdza Prymasa z Gierkiem i wizycie tegoż Gierka u Papieża.

Rozbudzanie fałszywych nadziei, opartych na nierozznaniu „kontekstu” dziś i wczoraj, musi oczywiście prowadzić do rozczarowań i opóźnionych refleksji.

Dominik MORAWSKI

WYWIAD „IL GIORNALE” Z K. KĄKOLEM

Wysłannik dziennika mediolańskiego *Il Giornale*, Mario Cervi, przeprowadził w Warszawie rozmowę z Kazimierzem Kąkolem (6 czerwca br.). Kąkol określił na wstępie normalizację stosunków między Kościołem i Państwem jako „pokojową koegzystencję”, twierdząc że proces został zapoczątkowany przemówieniem Jaroszewicza w grudniu 1973. Rozmowa kardynała Wyszyńskiego z Gierkiem w październiku ub. roku przeniosła normalizację na „wyższy poziom”: współpracy, współdziałania (w tekście włoskim *collaborazione*). Nie nastąpiło jeszcze formalne nawiązanie stosunków dyplomatycznych z Watykanem, ale postęp na tym odcinku jest duży. „Chwilowo wystarcza nam formuła stałych kontaktów, z komisjami w Warszawie i w Rzymie”. Spotkanie Wyszyński-Gierek oznaczało uznanie „narodowej roli” Kościoła przez Państwo i „obecnej rzeczywistości politycznej” przez Kościół. „Gierek chce potwierdzić bardzo jasno indywidualność narodu polskiego, w większości katolickiego... Kościół jest autentyczną siłą społeczną... Wskazania moralne i etyczne Kościoła są przez Państwo akceptowane... Gierek chce socjalizmu bliskiego każdemu Polakowi, stąd w naszym obecnym programie jest znacznie więcej elementów narodowych niż klasowych”. A co z żądaniami, które Kościół uważa za nieodzowny warunek normalizacji i współpracy? Kąkol odpowiada: „Kościół domaga się od nas zezwolenia na budowę większej ilości świątyń i szerszego dostępu do środków masowego przekazu. Wszystko to jest przedmiotem rozmów i narad. Każda ze stron ma swoje stanowisko, są wypadki w których nie możemy dojść do porozumienia. Kościół domaga się, Państwo odpowiada argumentami które wydają mu się uzasadnione. Weźmy przykład środków masowego przekazu. Państwo twierdzi, że środki masowego przekazu nie powinny służyć ani propagandzie religijnej, ani propagandzie antyreligijnej. W tym punkcie Państwo jest bardzo konsekwentne. Kiedy Peyrefitte zaatakował Pawła VI-go, prasa polska wzięła go w obronę, podkreślając, że nie wolno dopuszczać insynuacji wobec osoby o tak wysokim autorytecie moralnym. Kiedy kardynał Danielou umarł w dwuznacznym mieszkaniu i prasa francuska wszczęła w związku z tym raban, prasa polska przemilczała incydent aby uniknąć pogoni za sensacją. Kościół uskarża się na niedostateczne nakłady swych wydawnictw. Odpowiadamy na to, że istnieje 116 publikacji katolickich o łącznym nakładzie 850.000 egzemplarzy. Według nas to wystarczy. Cierpimy w Polsce na brak papieru, często wydawnictwa partyjne nie są w stanie zaspokoić wszystkich potrzeb”. Jaką rolę przypisuje się Kościołowi w systemie panującym w Polsce? „Rolę ważną, chcielibyśmy żeby była ona jeszcze większa: umocnić rodzinę, walczyć przeciw patologii społecznej, przeciw niemoralności i alkoholizmowi, łagodzić traumatyczne skutki migracji wewnętrznych i urbanizacji. Motywacje Kościoła i Państwa są różne, ale niektóre cele mogą się pokrywać”. Czy można być równocześnie marksistą-leninistą i człowiekiem wierzącym? „Nie, z pewnością nie. Ale urząd, którego jestem kierownikiem, robi wszystko co w jego mocy, by obywatele nie przeżywali konfliktów sumienia, by nie musieli wybierać między wiarą katolicką i przekonaniem politycznym”. Co pan minister sądzi o kardynale Wyszyńskim? „Wybitny patriota polski. We wszystkich swoich działaniach ma na oku dobro narodu polskiego. Oczywiście w wielu okolicznościach jego sposób postępowania różni się od naszego, ale nie o to chodzi, nie jest obowiązany godzić się z Państwem. Ważne jest, że działa w zgodzie z programem i zamysłami Kościoła. Nauczaliśmy się cenić to stanowisko kardynała”.

Amnesty International

Otrzymałem z Kraju szereg listów z pytaniami jak można zostać członkiem *Amnesty International* oraz z prośbą o bliższe informacje na temat tej organizacji. Korzystając z uprzejmości Redaktora *Kultury* ograniczam się tu z konieczności do najbardziej podstawowych informacji, mając nadzieję, iż któreś z wydawnictw emigracyjnych znajdzie miejsce w swoich planach wydawniczych na wydanie obszernej broszury zawierającej statut, historię i metody działania tej organizacji.

Członkiem *Amnesty International* może zostać każdy. Wystarczy w tym celu przesłać list do Sekretariatu Międzynarodowego A.I. na adres:

AMNESTY INTERNATIONAL, INTERNATIONAL SECRETARIAT,
10, SOUTHAMPTON STREET,
LONDON WC2E 7HF,
ENGLAND.

W zasadzie członkostwo uzależnione jest od opłacenia składki. Ponieważ jednak złoty polski nie jest walutą wymienną i nie można wysłać opłaty z Polski, osoby które nie mają możliwości przesłania opłaty przez swoich znajomych na Zachodzie, zwalniane są z obowiązku opłacania składek do czasu uregulowania tej kwestii. W liście zgłaszającym akces do A.I. należy jednak poinformować się czy Sekretariat nie postanowił czegoś w tej sprawie.

Istnieją dwa typy członkostwa, indywidualne i zbiorowe — poprzez sekcje narodowe. W Polsce jest już kilkudziesięciu członków indywidualnych zarejestrowanych przy Międzynarodowym Sekretariacie A.I. w Londynie. O ile mi wiadomo nie były jeszcze podejmowane żadne kroki w kierunku powołania polskiej sekcji *Amnesty International*. Władze P.R.L. nie uznają *Amnesty International*, tym niemniej jak dotychczas nie było w Polsce żadnych publicznych wystąpień przeciw tej organizacji.

Prasa wielu krajów takich jak np. Chile, NRD, ZSSR, Brazylia, Uganda, Czechosłowacja, Indonezja, potępia *Amnesty International*, nazywając ją w zależności od lokalnego kolorytu albo imperialistyczną albo komunistyczną mafią. W wielu innych krajach zwalcza się tę organizację przy pomocy bardziej dyskretnych środków, przemilczając jej działania przed społeczeństwem i prześladowając jej członków.

Na przełomie roku 1977/78 *Amnesty International* liczyła ponad 180 tysięcy członków z sześćdziesięciu krajów. Bezpośrednią opieką objętych było wówczas 4.500 więźniów z 76 krajów. Równocześnie w publikacjach *Amnesty* podkreśla się, że jest to zaledwie drobny ułamek tych, którzy winni być objęci opieką. Pisa-

no o dziesiątkach tysięcy więźniów w ZSSR, Indonezji, w Afryce i Ameryce Południowej. Z krajów takich jak Chiny czy Kambodża praktycznie rzecz biorąc nie ma żadnej informacji. Z innych krajów, takich jak np. Polska stosunkowo niedawno zaczęto przekazywać informacje o naruszeniach praw człowieka do *Amnesty International*.

Historia *Amnesty International* ma zaledwie 17 lat. Inicjatorem tej organizacji był brytyjski adwokat — Peter Benenson. W maju 1961 roku ogłosił on artykuł pt. „Zapomniani więźniowie”. Artykuł ten spotkał się z tak żywą reakcją czytelników, iż Benenson postanowił założyć organizację. W roku 1964 przyznano *Amnesty International* rolę doradczą przy Organizacji Narodów Zjednoczonych. W roku 1969 ten sam status przyznało jej UNESCO, a w roku 1977 otrzymała ona pokojową nagrodę Nobla.

Celem *Amnesty International* jest zapewnienie przestrzegania na całym świecie Powszechnej Deklaracji Praw Człowieka ONZ. Działania A.I. koncentrują się w szczególności wokół kwestii łamania postanowień czterech następujących artykułów Deklaracji:

- art. 5. Nikt nie może być poddawany torturom lub okrutnemu, nieludzkiemu albo upokarzającemu traktowaniu lub karom.
- art. 9. Nikt nie może być poddany samowolnemu aresztowaniu, zatrzymaniu i wygnaniu.
- art. 18. Każdy człowiek ma prawo do wolności myśli, sumienia i religii: prawo to obejmuje również wolność zmiany religii lub wyznania oraz wolność indywidualnego lub zbiorowego uzewnętrzniania swych przekonań religijnych i wyznaniowych zarówno publicznie jak i prywatnie, przez nauczanie oraz wykonywanie praktyk religijnych i przestrzeganie kultu.
- art. 19. Każdy ma prawo do wolności przekonań i wypowiedzi; prawo to obejmuje wolność wyznawania niczym nie skrupowanych przekonań oraz wolność poszukiwania, otrzymywania i przekazywania informacji i idei wszelkimi środkami, bez względu na granice.

Główny nurt działania *Amnesty International* to obrona konkretnych osób, skazanych lub więzionych bez sądu za czyny nie będące przestępstwami w świetle Powszechnej Deklaracji Praw Człowieka ONZ. A.I. zwraca również uwagę na fakty masowego naruszania przepisów Deklaracji przez rządy poszczególnych krajów, podejmuje akcje przeciwko stosowaniu tortur i kary śmierci.

Amnesty International jest organizacją apolityczną, bierze w obronę więźniów sumienia (*Prisoners of Conscience*) niezależnie od tego jaki reżym dopuszcza się gwałtu i w imię jakich celów politycznych. Na mocy tego statutu A.I. broni wszystkich prześladowanych, którzy nie stosowali i nie wzywali do stosowania przemocy. Ograniczenie to nie oznacza negacji prawa do samo-

obrony, stanowi ono świadome ograniczenie zakresu działania organizacji.

Metody pracy *Amnesty International* ograniczone są do różnych form moralnego nacisku. Organizacja gromadzi informacje na temat przypadków naruszania praw człowieka w różnych krajach. Sprawdzone informacje rozpowszechnia w postaci raportów, artykułów prasowych, przez organizowanie konferencji prasowych, itp. Kierownictwo A.I. w Londynie, jak również kierownictwa sekcji krajowych, w dramatycznych przypadkach zwracają się bezpośrednio do rządów odnośnych państw. W przypadkach takich organizuje się również doraźne kampanie (*urgent actions*). (Akcja taka była np. zorganizowana przez sekcję szwedzką w obronie uwięzionych w ubiegłym roku członków i współpracowników KOR'u. Do rządu P.R.L. przesłano telegram z apelem o uwolnienie uwięzionych, zbierano podpisy pod listami protestacyjnymi, wysłano do władz polskich kilka tysięcy pocztówek z indywidualnymi protestami, a wreszcie w prasie szwedzkiej ukazało się z inicjatywy członków A.I. kilka artykułów zarówno o samym fakcie uwięzienia członków KOR'u jak i o sytuacji w Polsce).

Inną formą pracy A.I. są tzw. kampanie miesięczne, które koncentrują zmasowaną akcję członków Amnesty na trzech wybranych sprawach więźniów z różnych systemów politycznych. (W kwietniu br. akcja taka dotyczyła trzech następujących więźniów: Władimira Gusenko z Bułgarii, Ahmeda Fuada Negm z Egiptu oraz pani Nurtjahja Murad z Indonezji).

Główny ciężar pracy spoczywa na grupach roboczych. Są to grupy liczące 10-15 osób, którym przydziela się pod opiekę trzech więźniów z różnych systemów politycznych. Na mocy statutu nie mogą to być więźniowie z własnego kraju, a grupy robocze zobowiązane są do bezstronnego działania na rzecz przydzielonych im więźniów. Sama praca polega tu na gromadzeniu i rozpowszechnianiu informacji o tych więźniach, na udzielaniu pomocy materialnej i moralnej, na systematycznym pilnowaniu aby więźniowie ci nie zostali zapomniani. Praca ta wymaga niestychanej inicjatywy, pomysłowości i cierpliwości. Wiele rządów stwarza skuteczne bariery uniemożliwiające nawiązanie kontaktu zarówno z samym więźniem jak i z jego rodziną. W krajach takich jak ZSSR czy Chile kontakt z cudzoziemcem stanowić może dodatkowe zagrożenie, a pomoc ekonomiczna zza granicy może być okazją do pomówienia o szpiegostwo.

Szukając różnych możliwości pomocy konkretnemu więźniowi niezbędna jest gruntowna wiedza na temat systemu prawa, przepisów celnych, regulaminów więziennych, a wreszcie typów frustracji władzy w jego kraju. Dochodzi tu często do pewnych kolizji moralnych ponieważ zgodnie ze statutem A.I. w działaniach na rzecz więźniów w miarę możliwości należy respektować lokalne przepisy prawa. Wymaga to nieraz mozolnych namysłów w wyborze środków aby ominąć prawa legalizujące bezprawie.

Również apolityczność *Amnesty International* prowadzi nieraz

do pewnych konfliktów moralnych. Apolityczność organizacji nie oznacza bynajmniej apolityczności jej poszczególnych członków. Wielu, jeśli nie większość, jest również członkami różnych organizacji politycznych i niejednemu trudno oddzielić działalność polityczną od działalności społecznej w ramach *Amnesty*. Sama definicja apolityczności *Amnesty International* nastęrcza wiele kłopotów. Działalność A.I. jest bowiem działalnością polityczną w arystotelesowym rozumieniu tego pojęcia. Idzie tu raczej o bezpartyjność, o pewną etykę polityczną, której żąda się w jednokowym stopniu od wszystkich. *Amnesty International* wielokrotnie stawiano zarzuty stronnictwośći. Zarzuty te z pewnością bezpodstawne jeśli idzie o całą organizację, nie pozbawione są jednak podstaw w odniesieniu do pewnych osób a nawet grup. (W Polsce np. istnieje niebezpieczeństwo nadmiernego koncentrowania się na sprawach nadużyć władzy w Europie Wschodniej). Poza tym A.I. jako organizacja nie powinna uczestniczyć w aktualnych sporach politycznych niezależnie od tego jak słuszne wydawałyby nam się po temu powody. Pozostając apolityczną ujawnia wspólnoty, których często nie podejrzewamy. Właśnie przez swą apolityczność A.I. dopomaga w przejściu od odruchów samoobrony, od rozpamiętywania osobiście doznanych krzywd do obrony wartości ponadlokalnych.

Andrzej KORASZEWSKI

ZAPRENUMERUJ

ZESZYTY HISTORYCZNE

Jedyny, niezależny kwartalnik poświęcony najnowszej historii Polski.

Dziś, kiedy średnie i młode pokolenie nie tylko w Polsce ale i na Zachodzie, coraz mniej wie o historii swego narodu, albo nieświadomie ulega jej fałszowaniu w Kraju lub równie szkodliwym mitom patriotycznym na Zachodzie — istnienie tego wydawnictwa jest niewątpliwie koniecznością. Niestety — choć nie brak nam komplementów czy słów uznania — brakuje ciągle dostatecznej ilości prenumeratorów, aby nie tylko utrzymać ale i rozbudować *ZESZYTY HISTORYCZNE*.

Przy rosnących kosztach druku i stosunkowo niskiej cenie tylko kilkuset nowych prenumeratorów może być prawdziwą pomocą.

Roczna prenumerata wynosi F. 140 (dol. USA 30) a dla prenumeratorów *KULTURY* F. 120 (dol. USA 25), az 4 zeszyty, zawierające każdy 240 stron.

Sprawy i troski

Polonia 78

W dniach 7-9 listopada 1975 roku odbyła się w Waszyngtonie konferencja przedstawicieli zorganizowanej Polonii z kilkunastu krajów. Było to spotkanie delegatów na zjazd „Polonia 75”, którego głównym promotorem i organizatorem był Zarząd Główny Kongresu Polonii Kanadyjskiej. Wielu oczekiwało, iż konferencja ta wyłoni nową nadrzędną organizację, organ naczelny światowej Polonii. Zresztą takie projekty wpłynęły w różnej formie podczas obrad, a inne stanowią przedmiot poufnych dyskusji jeszcze przed konferencją.

Delegacja Polonii Amerykańskiej, z prezesem A. Mazewskim na czele, zajęła wówczas wyraźne i zdecydowane stanowisko przeciwko powoływaniu jakiegokolwiek nowego organu i to przesądziło sprawę na tym spotkaniu. Omawiano jednak wiele innych zagadnień i jakkolwiek nie podjęto żadnych zasadniczych uchwał, to jednak zatwierdzono deklarację ideową, stanowiącą bazę dla dalszej akcji. Wypowiedziano się za zwołaniem następnej konferencji w terminie nie później jak trzyletnim, polecając to zadanie Kongresowi Polonii Kanadyjskiej. Zgodnie z tym Komisja Organizacyjna KPK zwołała i przygotowała konferencję „Polonia 78 — Polonia Jutra”, która odbyła się w Toronto w dniach 25-28 maja 1978 roku.

Przed przystąpieniem do omówienia jej przebiegu pragnę stwierdzić, że została doskonale przygotowana; nadano jej też należyty „oprawę”. Zarząd Miejski proklamował na okres od 23 do 28 maja *Tydzień Polski*. Na pięknym placu przed gmachem ratusza odbywały się występy taneczne i wokalne zespołów polonijnych z różnych środowisk. Jedno z wielkich okien wystawowych domu towarowego Simpsons, położonego opodal ratusza i hotelu w którym toczyły się obrady, wypełniły polskie stroje ludowe. Nieoceniona p. Blanka Rosenthal przysłała z Miami wystawę „Perspektywa Polska”, którą umieszczono w rotundzie Rady Miejskiej. Z okazji tej wystawy Zarząd Miejski podejmował delegatów zjazu lampką wina.

Przygotowano reprezentacyjną wystawę dzieł polskich artystów zamieszkałych w Kanadzie i w USA, w której wzięło udział 30 malarzy, rzeźbiarzy, tkaczy i grafików. Wydano też katalog, w którym każdy artysta reprezentowany jest jedną reprodukcją. Urządzono wystawę prac autorów i naukowców polskich publikowanych w Kanadzie względnie w którymś z innych krajów poza Polską, a dotyczących Kanady i Polonii, w tym wszystkich publikacji okolicznościowych, organizacyjnych, czasopism i ulotek. Ponadto zaprezentowano fotografie oraz rysunki projektów prac polskich architektów w Kanadzie. Odbyły się też wystawy obrazujące: akcję wojska polskiego w dwóch wojnach światowych, harcerstwo polskie w Kanadzie, „Kościół w życiu Polonii”, dalej Credit Union parafii św. Stanisława — św. Kazimierza, wystawy prac dzieci szkół polonijnych i filatelistyczną, a wreszcie, niezależnie od tego, wystawę obrazującą działalność OO. Oblatów polskich w Kanadzie.

Jak więc z tego niepełnego zestawienia wynika „oprawa” konferencji była różnorodna i interesująca. Nie pozostało to oczywiście bez wrażenia i wywarło wpływ na atmosferę spotkania.

Obrady toczyły się w wielkim nowoczesnym hotelu Sheraton, w którym zarezerwowano również pokoje dla większości delegatów. Obiad piątkowy dla delegatów i zaproszonych gości wydała prowincja Ontario, a przemawiał jej premier William Davis, który przybył w towarzystwie dwóch członków gabinetu. W sobotę mówcą na obiedzie był Norman Cafik, federalny minister odpowiedzialny za program wielokulturowości, podczas gdy na bankiecie wieczorem głównym mówcą był Klement Zabłocki, przewodniczący komisji spraw zagranicznych Izby Reprezentantów. Na ten bankiet przybył z Ottawy ambasador USA w Kanadzie, Thomas Enders. Zabłocki zapewniał, że walka o prawa człowieka będzie prowadzona — jest to bowiem sprawa zasadnicza. Stwierdził, że w PRL nie przestrzega się tych praw, nie dotrzymuje postanowień konferencji w Helsinkach. Ostre i zdecydowane przemówienie Zabłockiego, wygłoszone w obecności ambasadora Endersa wywarło silne wrażenie na ponad 1.500 uczestników tego uroczystego bankietu.

Obrady rozpoczęły się we czwartek, 25 maja o godzinie 8-jej wieczorem. Na sali było zebranych około tysiąca osób. W pierwszym rzędzie zajęli miejsca członkowie komitetu organizacyjnego i władz największych organizacji oraz trzej biskupi: Szczepan Wesoły, Władysław Fierla i Mateusz. Jedno z frontowych miejsc było puste — przeznaczone dla przedstawiciela Polaków w ZSSR — jak to wyjaśnił przewodniczący konferencji, p. Korey-Krzeczowski. Po odśpiewaniu hymnów państwowych inwokację wygłosili z trybuny wyżej wymienieni duchowni.

Pierwszy programowy referat został wygłoszony przez pana W. Gertlera, prezesa KPK i członka komitetu organizacyjnego. Przedstawił on problematykę konferencji na bardzo szerokim tle; omawiał jej wielorakie aspekty, wskazywał na sytuację międzynarodową i polską, mówił o zagadnieniach aktualnych i o obo-

wiązkach na przyszłość; dowodził, iż konferencja ma historyczne znaczenie i że delegaci nie mogą zawieść pokładanych w nich nadziei. Postulaty formułował dyskretnie, ale wyraźnie, nie stawiając jednak kropki nad i, jeśli chodzi o formę organizacji, którą konferencja winna wyłonić.

Następnym mówcą był p. A. Mazewski, prezes Kongresu Polonii Amerykańskiej; był on bardziej zwięzły i jeszcze bardziej wyraźny. Mówił po polsku, zresztą bardzo dobrze i swobodnie. Obrady toczyły się wyłącznie w języku polskim, co ma bardzo zasadniczą wymowę, świadcząc mianowicie o tym, że przeważali delegaci ze środowiska emigrantów powojennych, urodzeni i wychowani w Polsce. P. Mazewski był umiarkowany i wielce pojednawczy. Zaznaczył, że raczej celowe jest obradować nad sprawami, które łączą niż nad tymi, które dzielą. W formie zdecydowanej powiedział: „musimy tu dziś stwierdzić, że wiele dróg prowadzi do wspólnego celu, którym jest odzyskanie dla Polski pełnej wolności i niepodległości w jej historycznie uzasadnionych granicach, zapewniających narodowi polskiemu bezpieczeństwo i pełne możliwości rozwoju. Możemy te drogi porównywać, możemy je omawiać, ale nie możemy ostatecznego o nich wydać orzeczenia”. Mówił, że środowiska polonijne żyją w różnych krajach w odmiennych warunkach i stąd też działają odmiennie, przestrzegał więc przed osobistymi atakami na działaczy, z którymi się nie zgadzamy. Podkreślając zdecydowanie negatywny stosunek do komunizmu, do narzuconego Polsce systemu, wypowiedział się przeciwko wszelkim towarzyskim kontaktom z „przedstawicielami komunistycznej dyktatury”, natomiast uznał, iż „nawet w dziedzinie politycznej i ideologicznej konfrontacja z wrogiem jest wskazana, aby bliżej poznać jego siły, jego możliwości działania i jego zamiary. Jest to szczególnie ważne przy obecnym łamaniu praw ludzkich w Polsce. Najprostszą, elementarną strategią nam powiada, że nikt nigdy nie wygrał bitwy czy wojny odwracając się plecami do nieprzyjaciela”. Kończąc, prez. Mazewski wyraził głębokie uznanie Kardynałowi Wyszyńskiemu i członkom organizacji walczących o prawa ludzkie i obywatelskie.

Exposé Mazewskiego jeszcze raz sprecyzowało zasadnicze stanowisko Kongresu Polonii Amerykańskiej, a więc niezależność i samodzielność organizacji krajowych, odmiennosc dróg, sprzeciw wobec jakiegokolwiek centralizacji obowiązujących dyrektyw działania. Wyraźniej aniżeli dawniej wypowiedział się prez. Mazewski za konfrontacją z wrogiem, a więc za podejmowaniem rozmów, dyskusji z przedstawicielami PRL, gdyż „komunistyczni możnowładcy nie widzą najmniejszej potrzeby odpowiadania na jakiegokolwiek komunikaty czy oświadczenia prasowe, ale w bezpośredniej konfrontacji musieliby odpowiadać na wiele zarzutów i musieliby się liczyć ze zdaniem Polaków, zamieszkających w wolnym świecie. W tej chwili zajmujemy tylko stanowisko obronne”.

Referat programowy wygłosił w imieniu Komitetu Organizacyjnego p. Jerzy Grodecki, stwierdzając iż obecna konferencja ma charakter roboczy, a wobec tego nie będzie prowadzić dys-

kusji na temat czy należy powołać jakieś nowe ciało, ale zajmie się jego zorganizowaniem. Chodzi jedynie o to, jaki ta organizacja ma mieć charakter i ostateczny kształt.

Na zjazd nadesłali słowa powitania i serdeczne życzenia: ks. kard. Wyszyński, przedstawiciele różnych organizacji i zrzeszeń, w tym krajowe, walczące o poszanowanie praw ludzkich i obywatelskich.

Przemówienia powitalne reprezentantów delegacji z krajów uczestniczących oraz wielkich organizacji polonijnych wykazały wielką rozpiętość poglądów i tylko w jednym panowała zgodność — w całkowicie negatywnym ustosunkowaniu się do panującego w Polsce systemu komunistycznego, do polskiej rzeczywistości.

Sytuacja w Polsce i ustosunkowanie się do zagadnień krajowych były przedmiotem obrad jednej z komisji pod przewodnictwem p. Kazimierza Łukomskiego, wiceprezesa KPA. Skupiała ona największą ilość delegatów, obserwatorów i gości. Obrady jej trwały najdłużej — toczyły się przez kilkanaście godzin, a później znalazły się na posiedzeniu plenarnym. Wygłoszono kilka referatów, które były przedmiotem dyskusji, a później na ścisłym zebraniu członków komisji i ekspertów opracowano wnioski przedłożone później na plenum.

Najbardziej realistyczny a zarazem aktualny był referat p. Jana Tomasza Grossa z Yale University w New Haven, który ograniczył się do przedstawienia rozwoju sytuacji w Polsce w latach 1976-78. P. Waław Soroka z University of Wisconsin w Stevens Point na bardzo szerokim tle przedstawił problem wymiany kulturalnej z Polską w perspektywie zadań Polonii. Dyskusja wykazała, że narażił się niektórym, mówiąc że w walce szablę trzeba obecnie zastąpić inną bronią — kulturą. Referat p. Jerzego Lerskiego sformułował postulaty akcji politycznej na rzecz zmiany systemu rządzenia w Polsce. Nie miejsce tutaj na streszczenie wszystkich referatów, które stanowiły niejako materiał do uchwał, planów, projektów itp.

Istotne jest, że zasadniczy postulat — żywsze zaangażowanie w sprawy krajowe — został przez wszystkich, absolutnie wszystkich delegatów uznany i przyjęty. Powstanie opozycji w kraju, opozycji działającej jawnie, publikującej wiele czasopism, wytworzyło odpowiednią atmosferę i wpłynęło na przebieg obrad oraz na ich wyniki. Słowa podziwu i uznania kierowano pod adresem ks. Prymasa i całego Episkopatu polskiego, pod adresem KOR-u oraz innych grup opozycyjnych; wskazywano na konieczność prowadzenia jak najszerzej walki o wolność słowa, o prawa ludzkie i wysuwano różne projekty; podkreślano znaczenie i rolę polskiej sekcji rozgłośni Wolna Europa, domagając się jej utrzymania i apelując o umożliwienie, by stała się ona jednocześnie rzecznikiem polskiej myśli politycznej. Nie było rozbieżności jeśli chodzi o akcję propagandową i informacyjną zmierzającą do przeciwdziałania i zwalczania ośrodków komunistycznych, do głoszenia prawdy o sytuacji w Polsce i o różnych polskich sprawach, jak również o poszczególnych ośrodkach po-

lonijnych. Mówiono o publikacji biuletynów, specjalnego czasopisma, a wreszcie o wydaniu rocznika — rodzaju encyklopedii.

Mniejszości polskiej w ZSSR poświęcony był jeden referat, a zawarte w nim propozycje wywołały ożywioną dyskusję. Sowieckie oficjalne dane statystyczne nie obrazują prawdziwego stanu ludności polskiej, świadczą natomiast o pewnym procesie kurczenia się tego stanu. Przyjmuje się, że na całym obszarze ZSSR znajduje się ogółem około 2 miliony Polaków. Mniejszość polska jest na każdym odcinku dyskryminowana i to nawet bardziej od innych mniejszości. Należy więc, to znaczy Polacy na świecie powinni podjąć szeroką akcję na rzecz tej mniejszości. Sugerowano utworzenie fundacji im. św. Andrzeja, której zadaniem byłoby materialne wsparcie grupy polskiej w ZSSR. Na kanclerza tej fundacji zaproponowano ks. Bpa Rubina, a na zastępcę przewodniczącego Światowej Rady Polonii. Postulowano wszczęcie na terenie międzynarodowym akcji w obronie praw mniejszości polskiej, wskazując na jej dyskryminację, na nieposzanowanie praw ludzkich, na gwałcenie postanowień traktatów międzynarodowych itp.

Wysunięto wiele słusznych i uzasadnionych wniosków, które znalazły pełne poparcie, ale sęk w tym, że nie znaleziono środków na ich realizację. Mówiono o niezbędności funduszu stałego, który winien powstać z ustalonych składek, opodatkowania itp. — ale do jego utworzenia nie doszło. Delegacja amerykańska nie zgodziła się nawet na uchwalenie bardzo skromnego jednorocznego budżetu, gdyż oznaczałoby to obowiązek finansowania proponowanego biura — sekretariatu Rady Koordynacyjnej. Delegacja amerykańska stanęła na pozycji dobrowolności i ta zasada została ostatecznie przez plenum przyjęta. Przez następne dwa lata zatem prace prowadzone będą w oparciu o dobrowolne datki i przez ten czas zostaną przygotowane podstawy nowej fundacji.

Na zorganizowanie zjazdu młodzieżowego p. Blanka Rosenthal zadeklarowała Dol. 25.000, a na sali, w czasie końcowej sesji zebrano na sekretariat Dol. 15.000.

Apelowano o zwiększenie pomocy dla ośrodków opozycyjnych w Kraju, przede wszystkim o pomoc w wydawaniu różnych pism i skoordynowanie tych wysiłków. Wskazano, że w każdym niemal kraju działają komitety zbiorowe, że celowe jest skoncentrowanie akcji w Funduszu Obrony Wolności Słowa i Praw Ludzkich, który powstał w Londynie.

Proponowano powołanie międzynarodowego trybunału dla rozpatrzenia zbrodni katyńskiej i skazania winnych, proklamacji Roku Katyńskiego w 40-tą rocznicę tej zbrodni.

Przewodniczący delegacji australijskiej złożył deklarację lojalności wobec rządu londyńskiego i prezydenta Ostrowskiego, swojego lwowskiego ziomka; niektórzy mówcy głosili, że Polska będzie prawdziwie wolna dopiero wtedy, gdy w jej granicach znajdować się będą Lwów i Wilno oraz oczywiście Wrocław i Szczecin. Nie przeszkadzano mówcom w ich wypowiedziach, ale

przewodniczący komisji, p. Łukomski, odmówił przyjęcia wniosku, że zjazd uznaje legalizm londyński.

Konferencja w Toronto oznacza niewątpliwie krok naprzód w kierunku zorganizowania jakiejś światowej organizacji zrzeszeń polonijnych. Wysiłki zwolenników tej koncepcji nie zostały jednak uwieńczone pełnym powodzeniem, gdyż powstała tylko Rada Koordynacyjna z trójosobowym prezydium, w którym obowiązuje jednodzielność przy podejmowaniu uchwał, a któremu brak jest podstawa finansowych. Nie zgodzono się bowiem na zabezpieczenie stałych dochodów z ustalonych opłat czy składek. Na czele Rady stanął Władysław Gertler, prezes Kongresu Polonii Kanadyjskiej. W skład zarządu mają wejść trzej członkowie: przedstawiciel Kongresu Polonii Kanadyjskiej, Kongresu Polonii Amerykańskiej i Zjednoczenia Polskiego w Wielkiej Brytanii.

Większość delegatów wyrażała zadowolenie z przebiegu konferencji. Zdaniem ich przyjęte uchwały stanowią dostateczną podstawę do rozwinięcia akcji. Są przekonani, że powoli i systematycznie usuwają się będzie pewne trudności i opory. Z uznaniem podkreślano dążność do wyrównania różnic i wskazywano na jednolite stanowisko wobec spraw dotyczących Polski, a więc wobec obrony wolności słowa i praw ludzkich.

Benedykt HEYDENKORN

STAN ILOŚCIOWY SKUPISK POLSKICH

W odpowiedzi na kwestionariusz Komitetu Organizacyjnego Konferencji „Polonia 78” organizacje w niżej wymienionych krajach nadesłały swoje odpowiedzi. Uzyskany materiał będzie niewątpliwie przedmiotem rozważań. Tutaj ograniczamy się jedynie do podania danych, dotyczących liczebności grup polskich.

Prawie wszyscy narzekają na trudność ustalenia dokładnej ilości Polaków, względnie osób polskiego pochodzenia. Wskazywałem na to kilkakrotnie, a ostatnio omawiając stan w Wielkiej Brytanii z okazji recenzji pracy Sheili Patterson, jak również najnowsze dane statystyczne w Kanadzie. Wszystko zatem wskazuje, że obraz ilościowy skupisk polskich jest niedokładny. Dane pochodzą z różnych lat, co jeszcze bardziej utrudnia określenie stanu rzeczywistego. Wszystkie więc liczby należy traktować wyłącznie jako orientacyjne.

Argentyna: według spisu ludności z 1961 roku zarejestrowano 108.000 Polaków; była to trzecia pod względem liczebności grupa mniejszości narodowej. W oparciu o obliczenia szacunkowe polskich organizacji po wojnie przybyło do Argentyny mniej więcej 12.000 imigrantów. Liczba naturalizowanych i urodzonych w tym kraju waha się w granicach do 45.000. Oblicza się, że w organizacjach polskich zrzeszonych jest nie więcej jak 3.500 osób. Około 50% Polaków posługuje się językiem polskim i zna go. Czynne są tylko dwie polskie parafie i ogółem jest jedynie 16 polskich księży.

Australia: spis ludności z 1971 roku zarejestrował 59.700 osób urodzonych w Polsce; podobnie jak w Wielkiej Brytanii spis nie uwzględnił oddzielnie ich dzieci, urodzonych już w Australii. Brak więc jest danych dotyczących drugiego pokolenia. Szacunkowe obliczenia organizacji polonij-

nych prawie że podwajają dane oficjalne, utrzymując że w Australii jest ponad 100.000 Polaków i osób polskiego pochodzenia.

Austria: spis ludności zarejestrował 30.000 osób polskiego pochodzenia. Organizacja polonijna utrzymuje, że dane te nie są ścisłe, ale nie podaje własnych. Natomiast informuje, że 12.000 osób posługuje się językiem polskim.

Dania: spis ludności nie uwzględnia narodowości mieszkańców, ale rejestruje ich przynależność państwową. W Danii mieszka 1.800 obywateli PRL. Organizacje polonijne podają, że po roku 1940 przybyło do Danii około 4.000 Polaków, naturalizowało się 3.500 i że Polaków pochodzenia żydowskiego jest 2.800. Ogółem więc jest w Danii 12.100 Polaków, względnie osób polskiego pochodzenia.

Republika Federalna Niemiec: Organizacje polonijne utrzymują, że na terenie RFN znajduje się jeszcze około 180.000 Polaków z okresu wielkiej emigracji do Rzeszy Niemieckiej. Przepuszczalnie ilość osób znających język polski jest nieznaczna. Szacuje się, że po zakończeniu wojny w RFN osiedliło się około 40.000 osób, a w ostatnich kilku latach, w ramach akcji łączenia rodzin, przybyło około 10.000. Czy to są jednak Polacy?

Wielka Brytania: spis ludności z 1971 roku podaje 110.925 osób pochodzenia polskiego, szacunek polonijny — 120-160.000. Należy tutaj uwzględnić analizę Sheili Patterson (*Kultura* nr 3/366 — marzec br., str. 127-131).

Oficjalne dane amerykańskie i kanadyjskie były wielokrotnie na łamach *Kultury* analizowane, a więc nie będziemy do nich wracać w tej krótkiej notatce.

Dowiadujemy się m.in., z odpowiedzi na wspomniany kwestionariusz, że spis ludności z 1976 roku w Szwecji zarejestrował 14.461 Polaków, czego 47 % posiadało już obywatelstwo szwedzkie. Brak całkowicie oficjalnych danych dotyczących ilości Polaków, czy osób pochodzenia polskiego w Szwajcarii, Włoszech, Południowej Afryce i Nowej Zelandii. Organizacje polonijne podają następujące informacje: Szwajcaria — 1.500 do 1.800 osób, Włochy — 1.200, Południowa Afryka — 500, Nowa Zelandia — 3.500.

B. HEYDENKORN

ODPOWIEDZI NA ANKIETĘ „KULTURY”

Na ankietę „Młodość polska na Zachodzie”, ogłoszoną w numerze 11/362 *Kultury* wpłynęło 337 odpowiedzi, w tym z Afryki Południowej — 2, z Argentyny — 1, z Australii — 44, z Belgii — 5, z Danii — 3, z Francji — 15, z Holandii — 4, z Kanady — 60, z Niemiec — 13, z Norwegii — 1, z Nowej Zelandii — 1, ze Stanów Zjednoczonych — 107, ze Szwajcarii — 3, ze Szwecji — 12, z Wielkiej Brytanii — 65 i z Włoch — 1.

Opracowania Ankiety, które będzie zamieszczone w *Kulturze*, podjęła się Danuta Mostwin.

Pragniemy podziękować Harcerstwu i zamorskiej prasie polonijnej, które Ankiety propagowały, a nawet jak *Dziennik Związkowy* i *Gwiazda Polarna* ze Stanów Zjednoczonych i *Głos Polski* z Kanady przedrukowały pełny jej tekst, czy jak *Tygodnik Polski* w Melbourne, który Ankiety szeroko popularyzował.

Redakcja KULTURY

Kraj

Niezależna prasa w Kraju

DRUGI NUMER „PULSU”

Ukazał się nr 2 nieregularnego kwartalnika literackiego *Puls*, redagowanego przez Jacka Bierezina, Tomasza Filipezaka, Witolda Sułkowskiego, Tadeusza Walendowskiego. Stale współpracują z *Pulsem*: Stanisław Barańczak, Michał Bogucki, Tadeusz Korzeniewski, Bartosz Pietrzak, Bolesław Sulik, Leszek Szaruga.

Numer zawiera:

- 2 Aleksander GALICZ: *Wiersze w przekładach Wiktora Woroszyńskiego, Stanisława Barańczaka i Jacka Bierezina.*
- 11 Jacek WOŹNIAKOWSKI: *Prawa człowieka a kultura.*
- 23 Jacek BIEREZIN: *Wiersze.*
- 25 Adam MICHNIK: *Poeta epoki paskiewiczowskiej.*
- 51 WARSZAWA — *NOC Z 30 NA 31 GRUDNIA 1977 ROKU.*
- 56 Zdzisław JASKUŁA: *Wiersze.*
- 62 Jacek BOCHEŃSKI: *Prospekt (fragment powieści o Tyberiuszu).*
- 69 Stanisław BARAŃCZAK: *Fasada i tyły.*
- 76 Tadeusz KORZENIEWSKI: *Prima aprilis.*
- 88 Lech DYMARSKI: *Wiersze.*
- 96 Leszek SZARUGA: *Pudło.*
- 126 JASKUŁA: *ZAPISKI, REPORTAŻE, LISTY, FELIETONY, WYWIADY, ESEJE.*
- 127 PRZEGLĄD KULTURALNY I NIEKULTURALNY:
 - Eugene Ionesco: *Wywiad dla tygodnika „Newsweek”.* □ Milan Kundera: *Komedia ludzka i literatura zaangażowana.* • „Spotkania”, Biblioteka „Agory”, Witamy „Zapis” — W.S. • Jacek Bierezin: *Etatowa awangarda.* • *Piękni dwudziestolenni* — opr. Zofia Przybyła.
 - spin: *Tytuły polskiej prasy codziennej.*
- 155 RECENZJE:
 - Leszek SZARUGA: *Reguły gry w ogonku po złoto.*
 - Marian KLECHA: *Dialog wrony i skowronka.*
- 162 KRONIKA.
- 171 POCZTA LITERACKA.
- 172 FELIETONY:
 - KISIEL: *Jedność czy podzielność.*
 - Tan. Tal.: *Bądź to, bądź to i bądź tu mądry.*

ŻYŁA: *Niezależny organ Jacka Bierezina.*

Głupstwo rządowe i głupstwo antyrządowe.

184 *Z ostatniej chwili.*

Wybór rysunków z poufnych dokumentów Głównego Urzędu Kontroli Prasy, Publikacji i Widowisk... — między stronami 126 i 127.

W edycji bibliofilskiej:

Bartosz PIETRZAK: *Fotografia* (między stronami 75 i 76).

— Tadeusz Konwicki.

— Zdzisław Jaskuła.

— Janusz Szpotański.

„ROBOTNIK”

Pierwszy numer *Robotnika* ukazał się we wrześniu 1977 roku. Wydawany jest przez grupę ludzi związanych z akcją pomocy robotnikom represjonowanym po strajkach w czerwcu 1976 roku (Na bazie tej akcji powstał we wrześniu 1976 roku Komitet Obrony Robotników). Potrzeba wydawania pisma robotniczego wydawała się, po ponad rocznych doświadczeniach pracy w środowisku robotniczym, oczywista. Kontakty z robotnikami wykazały ich dużą potrzebę wiedzy, przy jednoczesnej dużej dezinformacji i ogromnej atomizacji całego środowiska. Pismo będące źródłem informacji i wiedzy miało szanse stać się czynnikiem integrującym środowiska robotnicze. *Robotnik* jest więc ukierunkowany głównie na popieranie wszelkich samoobronnych działań robotniczych, szczególnie na „popieranie niezależnych przedstawicielstw robotniczych, które powinny zastąpić martwą instytucję związków zawodowych” — z deklaracji wstępnej w 1-szym numerze.

Pismo jest dwutygodnikiem. Ze względu na charakter kolportażu ma małą objętość 4-5 stron maszynopisu. Powielane jest ręcznie w 3-4 miastach. (W Warszawie techniką tzw. sito-druku, co pozwoliło znacznie zmniejszyć jego wymiary bez zmniejszania zawartości). Nakład można ocenić na ponad 10 tysięcy egzemplarzy.

Około jednej strony w każdym numerze zajmują informacje bieżące. Są to wiadomości o strajkach w Polsce (Pabianice, Nowa Huta, Gdańsk), o strajkach górników w Rumunii i Boliwii, o zwycięskim strajku tramwajarzy w Jugosławii. Często pojawiają się informacje o działalności ruchu opozycyjnego w Polsce i innych krajach „obozu sowieckiego”. (Problemom ZSSR, NRD i Rumunii poświęcony był w całości numer 6). Inny typ informacji to wiadomości o represjach szczególnie w środowisku robotniczym lub w stosunku do ludzi związanych z *Robotnikami*.

W wielu numerach pisma znajdują się krótkie reportaże z różnych fabryk. Reportaż z warszawskiej fabryki im. gen. Świerczewskiego opowiada o wyborach do władz związków zawodowych, gdzie robotnicy przeforsowali swoich kandydatów wbrew groźbom działaczy PZPR. Inne reportaże mówią o zmuszaniu robotników do pracy w niedzielę (kopalnia węgla w Gliwicach), czy w godzinach nadliczbowych (fabryka „Radoskór” w Radomiu). Problemowi nadgodzin poświęcono również kilka komentarzy i artykułów. Reportaż z Odlewni w Grudziądzu zbudowany jest na kontrastowym opisie dwóch ludzi: robotnika o ponad 20-letnim stażu pracy, wyrzuconego dyscyplinarnie za udział w strajku i jego związkowego *boss'a*, posła na Sejm i działacza partyjnego, współorganizatora akcji represyjnej po czerwcowych strajkach w 1976 roku.

Inne reportaże to „Migawki wyborcze”. Pokazują bezsens fikcyjnych wyborów do Rad Narodowych, „Oszczędności na mięsie i na naszym zdro-

wiu”, oszustwa przy produkcji wyrobów mięsnych, czy wreszcie sprawozdanie z Sakrosongu, festiwalu kultury pod egidą Kościoła.

Absurdalne decyzje i działania władz, nonsensy w prasie oficjalnej omawiane są w stałej rubryce „Budujemy socjalizm”.

W 10-tym numerze zamieszczony jest fragment poematu satyrycznego „Towarzysz Szmaciak”*. Utwór ten, wydany w całości przez Niezależną Oficynę Wydawniczą, powstał w związku z wypadkami czerwcowymi 1976.

Ważny dział pisma stanowi stała rubryka „Złamany paragraf” — poradnik prawny o sposobach obrony przed zwolnieniem z pracy, postępowaniu po zwolnieniu czy też o zachowaniu się podczas wezwania na przesłuchanie przez policję.

Złamaniu prawa i brutalnej działalności policji poświęcony jest wywiad (nr 14) z przedstawicielami Biura Interwencyjnego przy Komitecie Samoobrony Społecznej „KOR”.

Wiele miejsca zajmują w *Robotniku* problemy bezpieczeństwa pracy. W poszczególnych tekstach publikowane są dane o wypadkach przy pracy, chorobach zawodowych, o miejscach pracy szczególnie uciążliwych i niebezpiecznych. (Dane takie, zgodnie z opublikowaną przez KSS „KOR” „czarną księgą cenzury” w prasie oficjalnej nie mogą być publikowane.

W artykułach o charakterze problemowym *Robotnik* porusza sprawy związane z rozwojem ruchu robotniczego, sytuacją gospodarczą i polityczną. Artykuły „Przedstawicielstwa robotnicze — podwyżka cen” i „Czy można zapewnić mięso bez demokracji” poświęcone są omówieniu szans powstania niezależnych reprezentacji robotniczych i konieczności udziału społeczeństwa w decyzjach gospodarczych i politycznych. Przykład hiszpańskich *comisiones obreras* i ich rola w procesie demokratyzacji Hiszpanii jest pokazany w tekście „Komisje robotnicze w Hiszpanii”. Artykuł „Socjalistyczna równość w praktyce” zajmuje się sprawą swoistego „przypisania do ziemi” dzieci pochodzenia chłopskiego. O paradoksalnym systemie centralnego planowania mówi reportaż z jednej z fabryk włókienniczych — „Bluzki na miarę planu”. Trzyczęściowy cykl „Dlaczego nie ma mięsa” — omawia przyczyny katastrofalnej sytuacji w rolnictwie. O niespełnieniu podstawowych postulatów ruchu robotniczego (8-godzinny dzień pracy, niezależne związki zawodowe) mówi artykuł w nr. 14-tym pt. „Pierwszy Maja”.

W nr. 15-tym artykułem o wybitnym działaczu Polskiej Partii Socjalistycznej — Kazimierzu Pużaku (zmarł w więzieniu w okresie stalinowskim), rozpoczyna się cykl omawiania wybitnych postaci historycznych.

W tym samym numerze znajduje się pełny tekst Deklaracji Komitetu Założycielskiego Wolnych Związków Zawodowych Wybrzeża — trzeciej już (po Radomiu i Śląsku) inicjatywie tworzenia niezależnych przedstawicielstw robotniczych.

Robotnik jest przeznaczony głównie dla robotników i przede wszystkim przez nich jest czytany. Trudno jest oszacować ilość czytelników, ale jest ona niewątpliwie dość duża. Pismo czytane jest również przez inżynierów. Wydaje się, że ma ono szansę stać się pewnego rodzaju pomostem między robotnikami a kadrami techniczną (inżynierami, majstrami). Obecnie istnieje znaczna nieufność, niekiedy nawet rodzaj nienawiści między różnymi grupami pracowników (drastycznym tego przykładem były wypadki czerwcowe 1976 i udział kadry technicznej w antyrobotniczych represjach). Sam *Robotnik* nie zmienia tradycyjnego (od ponad trzydziestu lat) układu stosunków w zakładach pracy, jednak jego inspirujący charakter, w połączeniu z działalnością polityczną wśród robotników, pełni dzisiaj ważną rolę.

Pismo jest redagowane przez komitet redakcyjny w imieniu którego podpisują go — od 1-szego numeru: — Jan Lityński (programista, członek

* Tom 286 Biblioteki „Kultury”, Paryż, 1978, cena F. 20.

KSS — „KOR”), Wojciech Onyszkiewicz (historyk, członek „KOR”) — obydwa z Warszawy; Józef Śreniowski z Łodzi (socjolog, członek „KOR”); od 2-go numeru: Bogdan Borusewicz z Sopotu (historyk, członek „KOR”); Leopold Gierek z Radomia (robotnik, współzałożyciel radomskiej komórki Robotnika); Józef Ruszar z Krakowa (polonista, były członek krakowskiego SKS); Władysław Sulecki z Gliwic (górnik). Od numeru 5-tego: Edmund Zadrożyński z Grudziądza (robotnik).

(Przedruk z krajowego *Biuletynu Informacyjnego*)

„ORGAN”

Nieregularne pismo satyryczne. Miejsce wydania, adres i skład redakcji nie ujawnione. Z zawartości pisma wynika, że jest redagowane przez uczestników Ruchu Obrony Praw Człowieka i Obywatela w Polsce. Objętość około 10 stron formatu a-4. Pierwszy numer ukazał się z datą 22 stycznia 1978 roku.

Pismo ukazuje się w zasadzie raz na miesiąc i kolportowane jest na terenie całej Polski. Wysokość nakładu nie ujawniona. Technika wydawnicza — powielanie z matryc woskowych i hektograficznych.

Pismo ma charakter satyry polityczno-społecznej. W sposób ostry, lub bardzo ostry, atakuje władze PRL (w szczególności osobiście przywódców PZPR — E. Gierka), ZSRR i system neokolonialnej zależności Polski od Związku Radzieckiego. Do stałych rubryk należą: „Konkurencja donosi” — cytaty z *Trybuny Ludu* i innych pism oficjalnych; „Spód obcasa” — „wyczyny” MO i SB; „Kto da jeszcze” — wykaz kredytów zagranicznych, udzielanych władzom PRL, a które będą musieli spłacać obywatele; KONKURS JEDNEGO PYTANIA: — Co wynalazł towarzysz Edward Gierek?

Pismo zaopatrzone jest w motto: „Śmiejmy się, bo nie wiadomo, czy ustrój (PRL) przetrwa jeszcze trzy miesiące”.

(Przedruk z krajowego *Biuletynu Informacyjnego*)

„SPOTKANIA”

Ukazały się w formie książkowej dwa pierwsze numery nieocenzurowanego pisma *Spotkania* (Niezależne Pismo Młodych Katolików).

„Profil naszych *Spotkań* jest konsekwencją przyjęcia przez nas katolickich ideałów. U podstaw podjętej przez nas inicjatywy wydawniczej leży z jednej strony potrzeba uruchomienia w środowisku katolickim niezależnego forum, którego zadaniem byłoby kształtowanie postawy świadomego katolika, z drugiej zaś przekonanie, że *Spotkania* staną się jeszcze jednym głosem w podejmowanej ostatnio społecznej dyskusji. Zdajemy sobie jednak sprawę z konieczności konfrontowania różnych nurtów politycznych i światopoglądowych składających się na niezależną opinię w kraju. Konieczność ta podyktowana jest nie tylko zagrożeniem płynącym ze strony totalitarnej władzy wobec wszelkiej niezależnej myśli, ale przede wszystkim dążeniem do wzajemnego zrozumienia i współpracy wszystkich tych nurtów. Fakt istnienia ponadnarodowych i ponadwyznaniowych problemów każe nam widzieć i łączyć nasze sprawy ze sprawami wszystkich walczących o demokrację narodów — z szerokim kontekstem światowym” (*Spotkania* Nr 1, Od redakcji).

Pismo nasze, jak i inne niecenzurowane wydawnictwa w PRL, jest wydawane w bardzo trudnych warunkach, dzięki bezinteresownemu poświęceniu i odwadze wielu ludzi, redagujących, powielających i kolportujących nasz periodyk. By mogło ono ukazywać się regularnie i zwiększać zasięg swojego oddziaływania, potrzebne jest posiadanie pewnego funduszu na zakup aparatury i materiałów do powielania, papieru; w każdej chwili grozi także konfiskata przez Służbę Bezpieczeństwa bazy technicznej i sparaliżowanie działalności pisma.

Zamówienia oraz wpłaty na fundusz *Spotkań* należy kierować na adres: SPOTKANIA c/o C.C.P.W., 26, PONT STREET, LONDON SW 1X OAB.
Cena egzemplarza 30 F. lub £ 3.00, \$ 7.50, DM 15.00.

Ferment w PAX'ie

Starania kierownictwa PAX-u o uzyskanie statusu trzeciego stronnictwa w PRL zawiodły. Jest jednakże faktem, iż zasięg i rozmach działania PAX-u przewyższa w Kraju nie tylko SD, ale nawet ZSL. PAX skupia środowiska ideowe różnej proveniencji, wywodzące się głównie z dawnego ONR, ale także grup konserwatywnych. Jednakże zasadnicze znaczenie ma dopływ do PAX-u młodzieży katolickiej o niezależnym stylu myślenia, szukającej w tym ugrupowaniu szans na działanie w miarę wolne od wpływu oficjalnej ideologii reżymowej.

W ciągu ostatnich dwóch lat nastąpił w łonie PAX-u wyraźny rozłam między starą kadrą kierowniczą, ze względów oportunistycznych stojącą na gruncie lojalności wobec reżymu, a nurtem młodzieżowym, domagającym się miejsca dla własnej ideologii, w której elementy chrześcijańsko-demokratyczne ulegają coraz większej erozji pod wpływem nastrojów niepodległościowych i liberalno-demokratycznych. Wiąże się to m.in. z nieuleczalną chorobą szefa PAX-u, Bolesława Piaseckiego, którego zgon oczekiwany jest w najbliższym czasie. Piasecki, według powszechnej opinii, w swoich poglądach i stylu sprawowania władzy człowiek przepojony duchem faszyzmu, stracił już kontrolę nad działalnością Stowarzyszenia, a co więcej trzymany jest przez grupę kierującą PAX-em w kompletnej izolacji od istotnych problemów Stowarzyszenia.

Momentem zwrotnym w układzie sił wewnątrz PAX-u był nowy podział administracyjny PRL na 49 województw, który pociągnął za sobą konieczność uformowania 49 nowych organizacji wojewódzkich PAX-u. Zabrakło ludzi, którzy byłiby całkowicie zgodni z ideą wiernej służby wobec PZPR, a mogliby stanąć na czele wszystkich nowych zarządów wojewódzkich. Jak się okazało na przełomie roku 1977/78 około 10 ośrodków wojewódzkich PAX-u znalazło się pod wpływem *sui generis* „frondy” ideologicznej, która w duchu demokratyczno-liberalno-narodowym zaczęła się domagać miejsca w oficjalnej strukturze PAX-u.

Dały się jednocześnie odczuć silne tendencje demokratyczne i liberalne wśród młodej kadry działaczy PAX-u. Ośrodkiem ich stał się tzw. COSK — Centralny Ośrodek Szkolenia Kadr, kierowany przez p. Jana Króla. Władze Stowarzyszenia usiłowały jak najbrutalniej stłumić te tendencje (idąc za wskazaniem KC PZPR). Nieskuteczność tych usiłowań pociągnęła

za sobą decyzję rozwiązania COSK-u i zawieszenia w swych funkcjach p. Jana Króla.

Pozostała jednak sprawa „frondy ideologicznej” w województwach, a zwłaszcza dwóch ośrodków: Leszna Wielkopolskiego (kierownik: Romuald Szeremietiew) i Siedlec (kierownik: Tadeusz Stański). W obu tych ośrodkach tendencje narodowo-patriotyczne i demokratyczno-liberalne nabrały szczególnej mocy. Znajdujący się w zasięgu siedleckiego zarządu wojewódzkiego PAX-u ośrodek szkoleniowy w Halinie pod Wyszkowem stał się centrum zgromadzeń i dyskusji niezależnie myślącej, patriotycznej młodzieży PAX-u. W pewnym momencie groził formalny rozłam w łonie Stowarzyszenia. Podjęta przez „górze” zdecydowana akcja doprowadziła do usunięcia Szeremietiewa i Stańskiego ze stanowisk szefów zarządów wojewódzkich z jednoczesnym przeniesieniem ich do centrali PAX-u w Warszawie.

W chwili obecnej dalsza sytuacja w łonie Stowarzyszenia zależy od następstwa po Bolesławie Piaseckim. Przewiduje się, iż stanowisko Przewodniczącego PAX-u obejmie po śmierci Piaseckiego jedyny działacz mogący liczyć na akceptację KC PZPR — p. Reiff.

(Korespondencja z Kraju)

BIBLIOTEKA « KULTURY »

TOM 280 — CZESŁAW MIŁOŚZ

ZIEMIA ULRO

Przedmowa ks. Józefa Sadzika

Str. 224.

Cena F.50,00

TOM 281 — WIKTOR WOROSZYLSKI

SERIA « BEZ CENZURY »

LITERATURA

Str. 180.

Cena F. 45,00.

Sąsiedzi

W sowieckiej prasie

Różne są sposoby pisania historii sowieckiej. Najlepszym wykorzystanym przez A. Sołżenicyna — jest opracowanie procesów. Każdy proces ma swoje oblicze, wyraża ekonomiczną, wewnętrznopolityczną i międzynarodową sytuację kraju w chwili procesu, charakter Wodza i jego otoczenia. W takiej historii Związku sowieckiego (trzeba ją jeszcze napisać) maj 1978 roku będzie miał swoje miejsce. W maju, między 15 a 18, sądzono w Moskwie doktora nauk fizycznych, członka korespondenta Armiańskiej Akademii Nauk, założyciela Moskiewskiej Grupy Nadzoru nad Wykonywaniem Uchwał w Helsinkach, Jurija Orłowa. Aresztowany w lutym 1977 roku, Orłow przesiedział ponad rok w sekretnym lefortowskim więzieniu. W czasie śledztwa pierwsze oskarżenie brzmiało „oszczerstwa na państwo sowieckie”. Jednakowoż za oszczerstwo sąd może skazać nie więcej jak na trzy lata, więc oskarżono Orłowa o „antysowiecką agitację i propagandę”, pociągając za sobą karę od 6 miesięcy do 6 lat więzienia i zsyłkę od 2 do 5 lat.

Żona oskarżonego, Irina Orłowa i dwóch jego synów byli jedynymi, nie należącymi do organów, widzami na sali sądu. Sala była całkowicie wypełniona pracownikami KGB i nikomu z „postrońnych” nie pozwolono wejść. Irinę Orłową i jej synów przed wejściem do sali zrewidowano rozbierając do naga, by nie mogli przenieść magnetofonu, a nawet ołówka i papieru. Wychodząc po pierwszym dniu rozprawy Irina Orłowa oświadczyła, że sąd jest cyrkiem, choć co prawda, nie zabawnym dla oskarżonego. Przewodnicząca sądu odmówiła powołania świadków podanych przez oskarżonego i wysłuchania jakichkolwiek jego próśb. Za to zostali wezwani wszyscy „świadkowie” oskarżenia. Nie licząc się z wydatkami, państwo przywiozło z łagru w Mordowii dwóch więźniów, którzy oświadczyli, że „warunki życia w łagrach są normalne”, „zeki śpią w wielkich i czystych barakach”, w łagrze „znajduje się sklep, w którym sprzedawane są różne produkty”

— jednym słowem wszyscy ludzie sowieccy chętnie by tak żyli, jak sowieccy skazańcy.

Jurij Orłow nie przyznał się do winy. I sąd wymierzył mu najwyższy wymiar kary z art. 70 — 7 lat łagru z obostrzonym reżymem i 5 lat zsyłki. W prasie sowieckiej jednakowoż ograniczono się tylko do krótkiej wzmianki o tym procesie.

W tym samym czasie w Tyflisie odbył się proces poety i tłumacza Zviada Hamsahurdija i muzykologa Mieraba Kostawy. Ich również oskarżono o „propagandę i agitację antysowiecką”. Według wiadomości prasowych, oskarżeni przyznali się do winy. Pisze o nich szeroko prasa gruzińska, a Zviada Hamsahurdija — syna jednego z najwybitniejszych pisarzy gruzińskich XX-go wieku, Konstantina Hamsahurdija — „demaskuje” *Litieraturnaja Gazieta* (24. 5. 1978). Ponadto Zviada Hamsahurdija zmusza się do wystąpień w telewizji tyfliskiej. A więc normalny sowiecki cyrk.

O Orłowie — milczenie. Ma się rozumieć tłumaczy się do zachowaniem oskarżonego, jego odmową uczestniczenia w tym cyрку. Ale nie tylko tym. Francuski dziennikarz napisał, że jeśli Jurij Orłow popełnił niedopuszczalne przestępstwo i prowadził antysowiecką agitację i propagandę, to „należy natychmiast oskarżyć moskiewski miejski sąd o okazanie Orłowowi obiektywnej pomocy”. Z punktu widzenia francuskiego dziennikarza postępowanie moskiewskiego sądu jest jaskrawym przykładem agitacji antysowieckiej. Na pierwszy rzut oka jest to ścisłe. Bezczelne, wyzywające zachowanie sądu, szydercze aluzje dobranego audytorium w stosunku do Orłowa, ordynarne, chamskie zachowanie się milicji przed gmachem sądu gdzie zebrani byli Moskiewiczanie i zagraniczni korespondenci, robiło wrażenie, że to wszystko robi się, aby prowadzić „agitację antysowiecką”. Ale w tym wypadku cała historia władzy sowieckiej to jedna antysowiecka propaganda.

Proces Jurija Orłowa został zorganizowany dla Zachodu, był wyzwaniem Zachodu, kolejnym sprawdzeniem jego możliwości, jego polityki, kolejnym manewrem obliczonym na rozłam w kołach zachodnich działaczy politycznych i państwowych. Na koniec proces Jurija Orłowa był zdecydowanym ostrzeżeniem Zachodu, by wreszcie zrozumiał treść i znaczenie tak zwanych uchwał helsińskich. To znaczy, by zrozumiał, że Związek Sowiecki otrzymał wszystko co chciał, a teraz już czas przestać o tym mówić. Tym bardziej, że prawa człowieka w ZSSR są — jak wiadomo — znacznie lepiej przestrzegane, niż na Zachodzie. I nie wyklucone, że wkrótce w Moskwie zostanie stworzony autentyczny Komitet Obrony Praw Człowieka, na wzór stworzonego już przez wiernego sojusznika Moskwy Idi Amin Dada. Wódz Ugandy włączył do swojego Komitetu przedstawicieli Ministerstwa Sprawiedliwości, Obrony i różnorodnych odmian ugandyckiej policji.

Proces Jurija Orłowa, o którym milczano w Moskwie, wywołał

na Zachodzie duże wrażenie. Wywołał nawet niejakie niezadowolone. Ale praktycznym jego rezultatem były (jeśli nie liczyć spoliczkowania przez Andrzeja Sacharowa i jego żonę, przed salą sądową, przedstawicieli porządku publicznego; za tę przyjemność zapłacili 90 rubli): czasowa odmowa rządu brytyjskiego podpisania protokołu o sowiecko-angielskiej współpracy sportowej, protest Senatu amerykańskiego, odmowa 19-tu fizyków amerykańskich uczestniczenia w konferencji w Moskwie, potępienie wyroku przez fizyków francuskich.

Nie należy nie doceniać tych przejawów oburzenia opinii społecznej Zachodu. Ale nie należy też ich przeceniać, gdyż w czasie trwania procesu Japonia, USA i ZSSR doszły do porozumienia w sprawie eksploatacji zapasów naturalnego gazu w Jakutii, co ma kosztować nie mniej niż 4 miliardy dolarów, a amerykański minister rolnictwa, Bob Bergland jeździł po Związku Sowieckim, gdzie — jak opowiadał — przez cały czas mu powtarzano: będziemy mówili o Afryce, Kubie i prawach człowieka. W ubiegłym roku Związek Sowiecki zakupił w USA 15 milionów ton zboża. W tym roku zakupi na pewno nie mniej, mimo procesu (a proces Jurija Orłowa jest dopiero pierwszym z zaplanowanego cyklu).

Po raz pierwszy w historii państwo pretendujące do rządu nad światem nie jest w stanie zaspokoić elementarnych potrzeb mieszkańców metropolii i zmuszone jest zwracać się o pomoc do swoich przeciwników. Po raz pierwszy w historii przeciwnicy tej pomocy udzielają. Związek Sowiecki kupuje za granicą około 15 % zużywanego corocznie ziarna, ale te 15 % są różnicą między chronicznymi brakami produktów, a głodem.

W maju br. w *Litieraturnoj Gaziacie* (19. 5. 1978) został zamieszczony ogromny artykuł „Musztarda w podarunku. Uwagi pisarza o paradoksach lady sklepowej”. Mówi się w nim o „przestojach” w sprzedaży cebuli, kawy, musztardy, maszyn do szycia itd., itp. Autor artykułu znajduje na wszystko wyjaśnienie: wszystkie braki są świadectwem rozwoju. I z każdym rokiem jest coraz lepiej. Poprzednio na samochody czekano latami — obecnie wszystkiego tylko kilka lat, nie można kupić dobrych mebli, bo istnieje gigantyczne budownictwo mieszkaniowe, brakuje telewizorów, lodówek i dywanów, bo pracujący zarabiają tak dobrze, że rozchwytają je tak samo jak gorące pierożki.

A jednak cebuli czy np. musztardy nie ma na rynku z powodu „nieumiejętności handlowania”. W rzeczywistości jest wszystko tylko albo „nie dowieźli”, albo „nie zawieźli gdzie trzeba”, „gnoił na składach”. W jakimś stopniu te uspokajające wyjaśnienia są prawdziwe, jeśli je rozumieć jako odzwierciedlenie wad scentralizowanej do obłędu planowej gospodarki. Najbardziej przekonującym przykładem niemożności tej gospodarki wyżywienia kraju są trudności z zaopatrzeniem wojska. Żołnierze sowieccy jedzą najgorzej ze wszystkich żołnierzy w Europie, nie mówiąc już o Ameryce. W powieści Władimira Rybakowa „Brzemień”, czy w opowiadaniach o armii Władimira Wojnowicza, jest przed-

stawione na wóół głodowe życie żołnierzy sowieckich, przy czym jadło jest rozdzielane według ściśle hierarchicznego systemu. Bez pomocy zachodniej brak wyżywienia zaczęliby odczuwać oficerowie sowieccy, a żołnierze zaczęliby głodować.

Chroniczne kłopoty ekonomiczne przeżywane przez Związek Sowiecki, to — jak dawno i raz na zawsze powiedziano — „trudności rozwojowe”. Narodowe trudności — to przeżytki przeszłości, które socjalizm powinien usunąć. W maju gazeta tyfliska *Zaria Wostoka* zamieściła nieogłoszony w centralnej prasie tekst wystąpienia sekretarza KC KPZS, Iwana Kapitonowa, który zjawił się w stolicy Gruzji ze zdumiewającą misją. Przyjechał, żeby uspokoić Gruzynów i oświadczyć, że Moskwa nie odpowie pozytywnie na „bardzo liczne prośby” Abhazców, by wyjść z Republiki Gruzjińskiej i wejść do Republiki Rosyjskiej. Dokładnie nie wiadomo ilu z 50 tysięcy Abhazców chciało wyjść spod jarzma gruzińskiego i przejść pod opiekę Moskwy. Zresztą można nawet zrozumieć chęć Abhazców, którzy woleliby mieć Gospodarza nie w sąsiednim Tyflisie, ale w dalekiej Moskwie, jeśli by oświadczenie Kapitonowa w stolicy Gruzji nie było groźbą pod adresem gruzińskich nacjonalistów: w wypadku podobnych wystąpień, jakie miały miejsce w związku z prośbą odebrania językowi gruzińskiemu praw języka państwowego, my — to jest Moskwa — możemy łatwo zaspokoić prośby Abhazców i amputować Gruzję, zabierając jej piękną wypoczynkową, autonomiczną republikę nad brzegiem morza.

O tym, że podróż Kapitonowa była ostrzeżeniem świadczy fakt, że o drugim, znacznie ostrzejszym konflikcie narodowo-pogranicznym na Kaukazie sowiecka prasa nie pisze ani słowa. Abhazy i Gruzini to narody spokrewnione, nie mające tradycji walki domowej. Inaczej układały się stosunki między muzułmanami — Azerbejdżanami i Ormianami. Niejedną książkę można by wypełnić epizodami krwawych pogromów, których ofiarami byli Ormianie. W 1924 roku, szkicując administracyjną mapę podbitego przez Czerwoną Armię Kaukazu, Moskwa oddała Azerbejdżanowi okręg Nachiczewański, wydzielając go z Ormiańskiej Republiki. Okręg Nachiczewański, zamieszkały w znacznym stopniu przez muzułmanów, nie graniczy z Azerbejdżanem.

W ostatnim czasie w Armenii podnoszą się coraz głośniejsze protesty przeciwko prześladowaniu Ormian w okręgu Nachiczewańskim, wraz z domaganiem się, by zwrócono go Armenii. Protestujących sądzi się za nacjonalizm i zsyła do łagrów.

Są i inne konflikty. W maju wyszła w USA książka sowieckiego historyka Aleksandra Niekricza, który dwa lata temu został zmuszony do emigracji. Książka jest poświęcona deportacji w latach 1943-1944 narodów północnego Kaukazu i Krymu do Kazachstanu i na Syberię. Historyk zatytułował swoją książkę, napisaną w oparciu o archiwa sowieckie, „Ukarane narody”. W książce, ukończony w kwietniu 1976 roku, Niekricz opowiada o nieznanych epizodach walki Czezeńców i Ingusów o swoje prawa już po zezwoleniu na powrót na rodzinną ziemię, po rehabilitacji.

Po powrocie Ingusów na ziemię ojczystą, który miał miejsce w 1955 roku, powstały zrozumiałe tarcia między nimi, a tymi którzy zajęli ich ziemię i mieszkali w ich domach. Część byłej Republiki Czezeno-Inguskiej, po jej wznowieniu, została oddana Republice Osetyńskiej. W 1958 roku w mieście Groznoj awantura między młodymi ludźmi, zakończona zabiciem Rosjanina, przekształciła się w bunt Rosjan przeciwko Czezeńcom i Ingusom. A. Niekricz cytuje tekst rękopiśmiennej ulotki, kolportowanej w czasie zamieszek: „Towarzysze, bracia, narodzie rosyjski! Bierzcie przykład z narodów Jordanii i Iraku, stańcie do walki za sprawę rosyjską! Domagajcie się wygnania Czezeńców i Ingusów! Czytajcie i podawajcie dalej. Jeśli się z tym nie zgadzacie — podrzyjcie. Komitet Obrony Narodowej”. W lutym 1973 r. Ingusze zorganizowali demonstrację, domagając się powrotu do republiki Czezeno-Inguskiej odebranego jej terytorium. Demonstracja ta trwała w Groznym kilka dni. Demonstranci chodzili z portretami Lenina i Breżniewa, z plakatami przypominającymi słowa wodzów o internacjonalizmie i przyjaźni między narodami. W Groznym zjawił się przewodniczący Rady Ministrów RSFSR, Sołomiencew. Organizatorzy demonstracji zostali aresztowani. Potem stopniowo zabrano się do zwykłych uczestników.

W ostatnim rozdziale książki Niekricz mówi o rozmowach z Rosjanami, mieszkańcami Groznego. Czy wiecie — powiedziała mu kobieta, świadek demonstracji — co powiedział generał Jermołow o Czezeńcach? Powiedział, że tego narodu nie można wychować, można go tylko zniszczyć. I każdego roku — dodaje — wysadzają oni pomnik Jermołowa w Groznym.

Przywódcy sowieccy „rozwiązują” i problemy narodowościowe tradycyjnymi metodami. Przede wszystkim represjami, aresztowaniami nacjonalistów i osób podejrzanych o nacjonalizm. Potem rozdmuchiowaniem walk domowych: azerbejdżańsko-ormiańskich, osetyjsko-inguskich, gruzińsko-abhazkich itp. Ale również szeroko stosują metodę czysto sowiecką — kłamstwo, całkowitą negację istnienia problemów narodowościowych, utwierdzanie wszystkich narodów w miłości do starszego brata, pierwszego wśród równych.

Robi się, na przykład, w ten sposób: w Gruzji przygotowuje się dla telewizji moskiewskiej film — ekranizację powieści Lwa Tołstoja „Kaukaski więzień”. Jest to opowiadanie o dwóch oficerach rosyjskich wojujących na Kaukazie z przedkami tych Czezeńców i Ingusów, którzy w 1973 roku demonstrowali w Groznym. Oficerowie rosyjscy dostają się do niewoli. Jednemu z nich udaje się uciec. Gdy po długiej i trudnej drodze dociera do swoich, na spotkanie wyjeżdżają Kozacy, a ścigający go górale przestraszeni zavracają. Tak to się kończyło u Tołstoja. Ale telewizyjny film kończy się inaczej. Ucieka rosyjski oficer. Ścigają go górale. Jeden z nich podnosi karabin. Drugi — zatrzymuje jego rękę i krzyczy: „Dzielny Rosjanin!”. „Te słowa górale — podkreśla recenzent — to hołd dla odwagi rosyjskiego czło-

wieka". Nowy epizod — podkreśla recenzent — „zwiększa głębię tołstojewskiej filozofii”. Tołstoj nie podejrzewał nawet miłości podbitych górali do Rosji i nie był — ma się rozumieć — zdolny do nadania swej filozofii niezbędnej głębi; do przepastnych wyżyn — jak by powiedział A. Zinowiew.

Prasa sowiecka nie pisze o problemach narodowościowych ZSSR, ale „problem narodowościowy” nie schodzi ze stron sowieckich gazet i czasopism. Przyszły historyk powie kiedyś, że nieustanne wezwania do podtrzymania narodowo-wyzwoleńczych ruchów narodów Afryki, Azji, Ameryki Łacińskiej, Europy i innych kontynentów, wezwania które straciły jakikolwiek związek z rzeczywistością — bo narody, które popierano dzisiaj, jutro przekształcają się w reakcyjne; wczorajsza bohaterska walka dziś okazuje się narzędziem polityki imperialistycznej — odegrały wielką rolę w budzeniu się ruchów narodowościowych w Związku Radzieckim. Ulotka, którą podaje w swej książce A. Niekricz, doskonale ilustruje te tendencje — Rosjan wzywa się do brania przykładu z „narodów Jordanii i Iraku” w walce z muzułmanami-Inguszami. Autorzy tej ulotki wiedzieli o „narodach Jordanii i Iraku” tylko jedno: że za coś tam walczą.



Aleksander Sołżenicyn przerwał długie milczenie i ogłosił że ukaże się w języku rosyjskim pełne wydanie jego dzieł w 18-tu tomach. Pisarz w pierwszym rządzie opublikuje swoje znane już utwory, w tym powieści „Kraż pierwszy” i „Oddział chorych na raka”, a przede wszystkim w tomach X-XVIII wyda cztery węzły cyklu historycznego. Po raz pierwszy Sołżenicyn poinformował, że ten cykl będzie zatytułowany „Czerwone Koło”. Wejdą do niego: „Sierpień 1914”, „Październik 1916”, „Marzec 1917” i „Kwiecień 1917”.

„Sierpień 1914” został wydany w 1971, a potem autor dodał do niego rozdziały poświęcone Leninowi. W czerwcu 1978 roku *Zwiastun rosyjskiego ruchu chrześcijańskiego*, kwartalnik wychodzący w Paryżu, opublikował nowy rozdział „Sierpnia 1914”, nad którym — jak widać — autor nie przestaje pracować. Nowy rozdział będzie prawdopodobnie ostatnim w tym węźle. W podtytuł: Studium o monarsze. Rozdział poświęcony Mikołajowi II-mu. Na 100 stronicach toczy się wewnętrzny monolog Mikołaja Aleksandrowicza, początkowo następcy tronu, a później imperatora rosyjskiego, wspomnienia z lat młodości, młodości i wieku dojrzałego — do sierpnia 1914.

A. Sołżenicyn wykorzystuje ten sam chwyt — ironię, samodemaskację — który wykorzystywał już przy malowaniu portretu Stalina w „Krażu pierwszym” i Lenina w „Leninie w Zurychu”.

Przed nami lekkomyślny, słaby, niezdecydowany, pusty, nieśmiały człowiek, na którego barki zwalono zbyt wielki dla niego ciężar — rządzenie imperium. Zupełnie nie wie, nie rozumie co powinien robić, jak należy postępować. Drażni go tylko jedno —

dlaczego odrywa się go od spokojnego życia z ukochaną kobietą, cesarżową Alix, od polowań, przejażdżek morskich, jakimiś głupimi, niezrozumiałymi raportami, kłótniami ministrów, demonstracjami i wojnami. Pisarz nie dodaje niczego nowego do portretu Mikołaja II-go, znanego z dzienników, listów i wspomnień współczesnych. Zresztą ostatni imperator rosyjski nie był postacią skomplikowaną. Być może bardziej niż historycy i pisarze piszący o Rosji XX-go wieku, Sołżenicyn kładzie nacisk na fatalną rolę przyjaźni z Wilhelmem II-gim, na przebiegłość cesarza niemieckiego, oszukującego rosyjskiego cara, który wierzy bezgranicznie swemu niemieckiemu kuzynowi. Portret Mikołaja II-go, namalowany mistrzowską ręką, nabiera specjalnej siły w powieści obok portretu Lenina. Dwaj protagoniści, dwie kluczowe postacie rosyjskiej tragedii 1917 roku.

Kontrast między nimi nadaje „Sierpniowi 1914” wyjątkową wyrazistość.

Adam KRUCZEK

Apel historyków i naukowców ukraińskich

Podajemy do wiadomości Apel podpisany na Zjeździe historyków ukraińskich w dniach 29-31 maja 1978 roku w London, Ont. Kanada.

Ukraińscy historycy i przedstawiciele innych dyscyplin naukowych, działający na uniwersytetach Kanady, Stanów Zjednoczonych i Europy, apelują do Rady Najwyższej i rządu Ukraińskiej Radzieckiej Republiki Socjalistycznej w następujących sprawach:

1. Jesteśmy głęboko zaniepokojeni rozwojem polityki wewnętrznej w Republice Ukraińskiej, a szczególnie prześladowaniem ruchu obrony praw obywatelskich oraz forsowaniem rusyfikacji w szkolnictwie i w nauce. Jako obywatele państw wykonujących uchwały konferencji w Helsinkach i jako naukowcy, związani z Ukrainą pochodzeniem lub pracą badawczą, apelujemy by zgodnie z przepisami konstytucji URRS polityka represji i rusyfikacji poddana została rewizji.

2. Zwracamy uwagę ukraińskich instytucyj ustawodawczych i rządowych na liczne wypadki wandalizmu i niszczenia historycznych zabytków i pamiątek kultury ukraińskiej, polskiej, żydowskiej i tatarskiej. Oczekujemy, że ukraińskie czynniki rządowe zbadają działalność i postawę lokalnych organów administracji wszędzie tam, gdzie się takie zabytki znajdują (zwłaszcza na ziemiach zachodnio-ukraińskich i na Krymie) i przywrócą ład i porządek w tej dziedzinie zgodnie z Ustawą o ochronie zabytków i pamiątek historycznych.

3. Piętnując rusyfikację, wyrażamy jednocześnie zaniepokojenie wobec

obojętności rządu Ukrainy Radzieckiej w stosunku do spraw i potrzeb Ukraińców zamieszkałych w ZSSR poza granicami Republiki, jak też w stosunku do mniejszości narodowych na Ukrainie. Dotyczy to szczególnie mniejszości polskiej i żydowskiej. Jedni i drudzy pozbawieni są własnego szkolnictwa, prasy, prasy codziennej i teatrów. Jesteśmy również zdania, że najwyższy czas, by położyć kres bezprawiu wobec wysiedlonych przez Stalina Tatarów krymskich i by udzielić im pozwolenia do powrotu na Krym.

Marta Bohaczewska-Chomiak — Manhattanville College; *W. Burghardt* — University of Western Ontario; *Oleh Fedyshyn* — City University of New York; *Taras Hunczak* — Rutgers University, USA; *Marco Carynnyk* — University of Toronto; *M. Czernicka* — University of Saskatchewan; *Alan W. Fisher* — Michigan State University; *W. Mykytczuk* — N.Y.P.L.; *Luba Rendzey* — University of Toronto; *Iwan L. Rudnytsky* — University of Alberta; *Peter J. Potichnyj* — McMaster University; *Bohdan Osadczyk* — Ukrainyjski Wilnyj Uniwersytet; *H. Soucek* — University of Michigan; *Frank E. Sysyn* — Harvard University; *Roman Szporluk* — University of Michigan; *Wasył Veryha* — University of Toronto; *Oleh Wolowyna* — University of Western Ontario; *Peter Woroby* — University of Regina; *Bohdan Wynar* — Ukrainśke Istoryczne Towarystwo; *Lubomyr R. Wynar* — Kent State University; *J. R. Wynnycyk* — University of Waterloo.

Nacjonalistyczne wybryki

Prawie od półwiecza (dokładnie od 1 stycznia 1929) wychodzi w Brukseli rosyjski miesięcznik emigracyjny, *Wartownik* (*Czasowoj*), będący organem Związku Rosyjskiego Ruchu Narodowego. Czytuję go od dawna, nie stale, ale dostatecznie często, by być dobrze zorientowanym co do kierunku ideowo-politycznego. W telegraficznym skrócie: przy czasopiśmie skupiają się monarchiści, wierni starej, przedrewolucyjnej Rosji, którą przedstawiają w kolorach wyłącznie tęczy, wszelką krytykę piętnując, jako oszczerczą; są nieprzejednanymi wrogami komunizmu i władzy sowieckiej, a jednocześnie uważają, że bolszewizm to zjawisko, przyniesione z zewnątrz i nie mające nic wspólnego z czysto rosyjskimi tradycjami. Naród rosyjski jest ofiarą bolszewizmu, a nie jego współtwórcą. Fanatyczni zwolennicy całości imperium, nie dopuszczają myśli o jego rozbięciu, zdecydowanie potępiając dążenia niepodległościowe Ukraińców i Białorusinów, jako sztuczne. Wspaniałomyślnie zgadzają się jedynie na niepodległość Polski, Finlandii, Litwy... I tylko tyle.

Staram się ich zrozumieć. Chyba nie pomylę się, jeżeli powiem, że redaktorzy i główni współpracownicy to eks-kombatanci, członkowie Białego Ruchu z lat wojny domowej 1918-1920. Idealizują

ten Ruch, który stanowi najpiękniejsze wspomnienie ich młodości, niewątpliwie w wielu wypadkach heroicznej. Jakże, toż znakomita, tragiczna poetka, Marina Cwietajewa, gloryfikowała Białą Armię, której poświęciła tom świetnych wierszy pt. „W łabędzim obozie” (*W lebedinom stanie*). Oni także gloryfikują to wszystko, co w tamtych strasznych dniach utracili. Po ludzku należy im współczuć. Ale podzielać ich postawę polityczną, a zwłaszcza ich oceny przeszłości — nie podobna.

Spora część pierwszego, tegorocznego numeru *Wartownika* (styczeń-luty 1978) poświęcony jest znanej deklaracji pro-ukraińskiej, ogłoszonej w *Kulturze*. Jak wiadomo, pod deklaracją — obok kilku Polaków, Węgra i Czecha — podpisało się także sześcioro świeżych uchodźców, należących do tzw. „trzeciej fali” emigracyjnej, i właśnie ta okoliczność najbardziej oburzyła środowisko, do którego należy *Wartownik*. We wspomnianym numerze miesięcznika ukazały się dwa artykuły na ten temat (W. Bowzdzieja i Anatolija Michajłowskiego); łączą się z nimi pośrednio dwa dalsze artykuły Władimira Uspienskiego i E. Biełowa. Dostało się w nich najbardziej Rosjanom, którzy podpisali „Deklarację”, a przy okazji także Polakom. Kwartalnik rosyjski *Kontinent* został określony, jako czasopismo, które „wychodzi w Paryżu w języku rosyjskim, ale przestało być rosyjskim”. Nie zamierzam wtrącać się do tego rosyjskiego konfliktu; pomówmy o sprawach polskich i ukraińskich, bo to one spowodowały całą awanturę.

Zacznijmy od stwierdzenia, że wszyscy wymienieni autorzy grzeszą absolutną niezajomością historii. Niezajomość — to zarzut najmniej dotkliwy, bo jeżeli odwrotnie, jeżeli znają, to w takim razie świadomie ją fałszują. Do wyboru. Od razu przykład niezbity, bo obwarowany chronologią. E. Biełow napisał, że „poświęcenie Smoleńszczyzny (mowa o oblężeniu przez Polaków w latach 1609-1611 — J.Ł.) dało czas Mininowi i Pożarskiemu na zorganizowanie ich pospolitego ruszenia...”. Drodzy panowie, trawstując nieco gogolewskiego Gorodniczego, pozwalam sobie oświadczyć: „Rosja to wielki kraj, ale po co łamać krzesła?”. Przecież Smoleńsk poddał się Zygmuntovi III-mu na długo przed powstaniem owego *apatczienja* (pospolitego ruszenia).

Inny przykład. Tenże Biełow twierdzi, że Unia Lubelska została narzucona przez Polaków litewsko-ruskim delegatom, którzy nadaremnie „protestowali”. Wyglądało to zgoła inaczej. Opór stawili Litwini, natomiast Rusini (Ukraińcy) głosowali w większości za Unią. Szlachcie ruskiej chodziło bowiem o uzyskanie tych samych przywilejów stanowych, z jakich już korzystała szlachta polska. A że w późniejszych latach wszystko zaczęło się psuć, to inna melodia. A więc znowu ocena fałszywa.

Posłuchajmy teraz, co panowie „wartownicy” mają do powiedzenia na temat Ukrainy, bo cała rzecz kręci się dokoła wspomnianej „Deklaracji”, ogłoszonej w *Kulturze*, a następnie przedrukowanej w rozmaitych czasopismach, rosyjskich i ukraińskich. Poziom wypowiedzi jest różny. Z niektórymi w ogóle nie

można dyskutować, tak są prymitywne, albo nonsensowne. Władimir Uspienskijski posunął się tak daleko, że zakwestionował istnienie ukraińskiego języka. Cytuję: „Po dostaniu się pod polskie niewolnictwo, Haliczanie Rusini w ciągu pięciu z połową stuleci utracili niezależną mowę, która stała się jakimś polskim dialektem, utracili duchowe pokrewieństwo i etniczne oznaki przynależności do ruskiej rasy. Rusini są niskiego wzrostu i prawie bez zarostu. Wielowiekowa niewola spowodowała, że Rusini są pokorni i uniesieni...”.

Proszę, w Polsce panowało niewolnictwo („r a b s t w o”), zaś w Rosji całkowita wolność. Zwłaszcza od panowania Katarzyny Drugiej chłopci ukraińscy cieszyli się nieograniczoną swobodą. „Duchowe pokrewieństwo”. To może by p. Uspienskijski wyjaśnił, skąd się wzięły i dlaczego powstały dwa pogardliwe określenia: „chachoł” i „kacap”?

Że między mową Ukraińców naddniestrzańskich i naddnieprzańskich istnieje różnica, nie ulega najmniejszej wątpliwości. Ależ to zjawisko powszechne. Nie ma kraju, w którym nie istniałyby różnice idiomatyczne między poszczególnymi dzielnicami. Niechby p. Uspienskijski porozmawiał swego czasu np. z Kozakami Zabajkalskimi, a przekonają się, co by z takiego spotkania wynikło. Ale ukraiński język literacki jest jeden. Twierdzenie, że pisarze zachodnioukraińscy (od Iwana Franko do Bohdana Krawcewa, Swiatosława Hordyńskiego i najmłodszych) pisali w „jakimś polskim dialekcie” mogłoby świadczyć o dobrym humorze, gdyby nie było zwykłym nonsensem.

Ale nonsensowne interpretacje tak głęboko zakorzeniły się w niektórych rosyjskich umysłach, że o ich usunięciu nie ma co marzyć. Punkt wyjścia: naród ukraiński w ogóle nie istnieje, Rosja i Ukraina to odgałęzienia tego samego narodu: „zbliżyły je wspólna religia, historia i obyczajowość...”. Historia? Ukraina prawobrzeżna weszła w skład imperium rosyjskiego dopiero przy końcu XVIII-go wieku; Hałuczyna — w roku 1944. A co do obyczajowości... Między chłopem ukraińskim i rosyjskim różnice były zawsze i, mimo wszystko, nadal są olbrzymie. Kto temu zaprzecza, fałszuje rzeczywistość.

Tytuł artykułu W. Bowzdiewa mówi sam za siebie: „Komu i po co potrzebna jest niepodległa Ukraina?”. Okazuje się, że najmniej jest potrzebna Ukraińcom, jeśli nie liczyć garstki „halickich emigrantów-separatystów”. Natomiast w Kijowie, Charkowie, Połtawie, Chersoniu, Odessie niepodległości nikomu ani w głowie. Wszyscy są zakochani w „starszej siostrzycy” — Rosji. O licznych procesach tych działaczy i pisarzy, którzy pragną oderwać Ukrainę od imperium, p. Bowzdiew w ogóle nie słyszał. Że większość więźniów politycznych w mordwińskich łagrach stanowią ukraińscy niepodległościowcy, również nie wie, czy też wiedzieć nie chce. Ostatecznie, okazuje się, że państwo ukraińskie, odseparowane od Moskwy, potrzebne jest jedynie i wyłącznie „polskim rusofobom”. Można i tak, ale to żadna rewelacja. Teza

o „polskiej intrydze” ma za sobą prawie całe stulecie i, gdy się nie posiada innych argumentów, najlepiej powołać się na nią.

Jednak z największą furią wymienieni autorzy zaatakowali tych emigrantów rosyjskich z „trzeciej fali”, którzy podpisali proukraińską deklarację. Tu konieczny jest dłuższy cytat. P. Bowzdiew wymienił:

„pięciu głównych współpracowników czasopisma (*Kontinentu*), których *Kultura* nazwała najlepszymi przedstawicielami rosyjskiej emigracji, a mianowicie: Andrieja Amalrika, Władimira Bukowskiego, Natalię Gorbaniewską, Władimira Maksimowa i Wiktora Niekrasowa. Pozycja, zajęta przez tych osobników, mimowoli zmusza do przypomnienia dobrze znanej podoficerskiej wdowy*. Przyłączyli oni swoje głosy do oświadczenia wrogów Rosji, mających na celu własne, specyficzne i doskonale określone interesy, sprzeczne z dążeniami większości mieszkańców tych części Rosji, których losy pragną rozstrzygnąć. W ogóle linia polityczna tzw. „trzeciej fali emigracyjnej” wygląda bardziej niż dziwnie. W swej większości ci najnowsi emigranci wyraźnie i z zasady ustosunkowują się wrogo do historycznej Rosji. Często są bardziej wrogo ustosunkowani do Rosji przedrewolucyjnej, niż do ZSSR. Dość liczni spośród nich wolą utrzymanie w Rosji obecnego systemu, jedynie pod warunkiem dorobienia komunizmowi 'ludzkiej twarzy', plus rozbitcie rosyjskiego państwa...”.

A oto główny zarzut i zarazem tryumfalny argument: — Skoro ukraińscy emigranci stanowczo odrzucają możliwość przeprowadzenia na Ukrainie plebiscytu, wnioszek z tego, że się go boją, nie będąc pewni pomyślnego dla siebie wyniku. Interpretacja: znaczna większość ludności żadnej niepodległej Ukrainy nie chce, niepodległościowcy to przede wszystkim emigranci. Taka obawa przed plebiscytem rzeczywiście istnieje, ale współpracownik *Wartownika* przemilczał jej najważniejsze powody. Jak wiadomo, Ukraina jest od wielu lat intensywnie rusyfikowana. Mam na myśli w pierwszym rzędzie rusyfikację bezpośrednią, czyli po prostu ordynarną kolonizację, w wyniku której na obszarach niegdyś o zdecydowanej etnicznej przewadze ukraińskiej rosyjscy przybysze zaczynają stanowić większość. Ogarnęła ona zachodni Donbas, wschodnią charkowszczyznę, Krym, oraz duże miasta przemysłowe, w których element rosyjski stał się dominujący. Ci koloniści mieliby w przyszłości decydować o losach Ukrainy?! Gdybym był Ukraińcem, oświadczyłbym: — Plebiscyt? — proszę bardzo, ale uprzednio niech ci przybysze, rosyjskiej, czy jakiegokolwiek innej narodowości, którzy urodzili się poza granicami Ukrainy, albo nawet ci, których rodzice imigrowali po roku 1945, wyniosą się precz, albo zostaną pozbawieni prawa do wzięcia udziału w plebiscycie. Zgoda? To samo dotyczy nieszczęsnych krajów bałtyckich, niemiłosiernie rusyfikowanych przy użyciu takich samych barbarzyńskich metod.

Anatolij Michajłowski zachwycił się w swoim artykule („Oświadczenie w ukraińskiej sprawie”) historyczną „jednością”

* Chodzi o podoficerską wdowę z gogolewskiego „Rewizora”, która sama sobie wymierzyła różgi. Odtąd postać przysłowiowa.

rosyjskiego narodu: „Nie przypadkowo historia zna Ruś Kijowską i Ruś Nowogrodzką, Ruś Suzdalską i Ruś Południowo-Zachodnią, Ruś Karpacką, Białą Ruś i Ruś Czerwoną. A dla nich wszystkich jaskrawym światłem przewodnim stała się Święta Ruś...”

Jak na wybuch patriotycznego liryzmu całkiem nieźle. Warto jednak przypomnieć, że kiedy ta Święta Ruś przeniósła swoją stolicę z Suzdala do Moskwy i wyzwoliła się spod tatarskiego jarzma, rozpoczęła swoje polityczno-wojskowe dzieje od likwidacji Rusi Nowogrodzkiej. Iwan III zadowolili się zwycięstwem w polu, ucięciem nosów i uszu pojmanym jeńcom, oraz zniesieniem swobód republikańskich; jego znakomity wnuk, Iwan IV-ty Groźny, był o wiele bardziej konsekwentny: wszystkich niedobitków przesiedlił daleko na Wschód. Nowogród pozostał (powiedzmy, jego mury), ale Ruś Nowogrodzka przestała istnieć. Tak więc p. Michajłowski przyjął na siebie niewdzięczną rolę faceta, który rozprawia o stryczku w domu powieszonoego. Niekretnie pytanie: *pro Marfu Borieckuju i jeja płaczebnuju sud'bu wy, gaspada, słychali?*

Wysunięto wielce podchwytliwy argument: separatyzm narodowościowy wzmacnia system komunistyczny. Bo, słysząc np. o ukraińskich dążeniach niepodległościowych, naród rosyjski skupia się mocniej przy sowieckiej władzy, w obronie „jedynej i niepodzielnej”. Ach, to także żadna rewelacja. Lepiej być niewolnikiem i umożliwiać swoim panom władzę nie tylko nad Kijowem, ale także nad Warszawą, Pragą, Budapesztem, niż cieszyć się w ojczyźnie wolnością, w tej ojczyźnie etnicznych granicach. Lepiej być niewolnikiem, bo w przeciwnym razie co zrobić z takimi natchnionymi wierszami, jak „*Ot niepodwiżnawo Kitaja do potriasionnowo Kremļa*”, albo „*Abazdi — skazał Kazbieku siedowłasij Szat. — Pakariłsia czeławieku ty nie darom, brat*”. Jakiemu „czeławieku”? Naturalnie, rosyjskiemu — komuż innemu? Cóż to, nie znaczenie rosyjskiej poezji? Już przed stu pięćdziesięciu laty orzeczono, że „*stawianskija ruczji saljutsia w rus-skom morie*”. A tu jakieś ukraińskie strumienie wykręcają w przeciwnym kierunku, zaś bezczelne Polaczyszki im przyklaskują... Niesłychane.

Jest w tym wszystkim oczywiste nadużycie, w języku polskim o tyle niemożliwe, że przymiotnik „ruski” wyraźnie odróżniamy od „rosyjski”. Natomiast szowiniści z *Wartownika* celowo płaczą obydwa pojęcia i w tym wypadku starannie unikają kiedy indziej chętnie używanego słowa „*rassijskij*”. Ruś to już od dawna anachronizm. Gdy wraz z przeniesieniem stolicy do Petersburga carstwo moskiewskie zamieniło się w imperium rosyjskie, tamta nazwa zaczęła stawać się skamieliną zarówno na Północy, jak na Południu, mimo, że ta skamielina zjawiała się zawsze i, jak widzimy, zjawia się nadal w charakterze walnego argumentu. A tylko poezja coraz to wyłamywała z obowiązującego szyku. Przeklęta poezja nieustannie (zapewne w chwilach zapomnienia, albo zaćmienia umysłów) wprowadzała niepotrzebne zgrzyty.

Należałoby dokonać daleko idącej czystki tekstów. Jakim prawem Puszkina pisał „*ticha ukraińska noc*”?! Powinno być „*maiorusskaja*”! Lermontow w pięknym panegirycie na cześć księżny Szczerbatowej coś tam bredził o „*czwietuszczych stiepath Ukrainy...*”. To samo Aleksiej hrabia Tołstoj, który nietaktownie przypomniał, że Katarzyna II-ga „*prikriepiła Ukraincew k ziemi...*”. Jakich tam Ukraincew?! Znowu powinno być Małorosow, czyli chachłow! Ach, ci poeci! Już dawno powinna być wykonana mądra rada gribojedowskiego pułkownika Skałozuba: „*Czto by zło priesiecz, sabrat' wsie knigi by da zżecz!*”.

W artykule Michajłowskiemu natykamy się na przejrzystą insynuację. Autorzy pro-ukraińskiej deklaracji „świadomie zastępują walkę z międzynarodowym komunizmem” hasłami narodowego wyzwolenia. A zaraz po tym generalne rozgrzeszenie dla Rosjan, którzy nie ponoszą najmniejszej odpowiedzialności za bolszewizm. Bo „najliczniejszym narodem, gnębionym pod jarzmem komunistycznym w Związku Sowieckim był i nadal pozostaje naród rosyjski”.

Wniosek z tego jasny i niewątpliwy. Ustrój bolszewicki został narodowi rosyjskiemu narzucony przemocą. Przez kogo? Łatwej odpowiedzi nie brakuje. Przez garstkę Żydów, Łotyszów, Chińczyków i Polaków (Feliks Dzierżyński, Mienżyński...). To oni pokonali białych generałów, zepchnęli barona Wrangla do morza, rozstrzelali Kołczaka i uzurpowali sobie władzę nad Bogu ducha winnym narodem. Eks-kombatanci z lat 1918-1920 powinni jednak pamiętać, do kogo strzelali i kto do nich strzelał. Byłem wtedy dzieciakiem, ale widziałem te walki z bliska i dobrze je zapamiętałem.

Józef ŁOBODOWSKI

Kronika niemiecka

Fundusz Społeczny Oddziałów Wartowniczych (Mannheim), w ciągu 32 lat istnienia wydał na różne cele 3.894.300,00 marek. 26,9 % tej sumy przeznaczono na opiekę i pomoc dla b. wartowników; 24,6 % na pomoc uczącej się młodzieży; 25,4 % stanowią wydatki związane z wydawaniem pisma *Ostatnie Wiadomości*; 18,5 % (722 tys. marek) przeznaczono na nagrody, dotacje kulturalne, oświatę i sport. Wydatki administracyjne pochłonęły zaledwie 4,6 % podanej na wstępie sumy. Przykład skutecznej działalności, ale zupełnie niedostrzeganej przez polskie ośrodki emigracyjne. ■ Obroty RFN - ZSSR, które w 1977 roku wynosiły 11 mld. marek, stanowią zaledwie 2,2 % globalnych obrotów handlu zagranicznego Republiki Federalnej ■ W Warszawie odbyła się III-cia sesja rządowej komisji mieszanej do spraw

rozwoju współpracy gospodarczej, przemysłowej i technicznej PRL-RFN. Stronie zachodnioniemieckiej przewodniczył — minister Gospodarki, Otto hr. Lambsdorff. W ostatnich latach Republika Federalna stała się pierwszym partnerem handlowym PRL wśród krajów zachodnich. W latach 1970-1977 wymiana handlowa między obu krajami wzrosła 5-krotnie. Wzrost importu z RFN do Polski był bardziej dynamiczny niż eksportu polskich towarów do Niemiec Zachodnich. ■ W miejscowości Deidesheim (Nadrenia-Palatynat) obradowała jedenasta z kolei konferencja polsko-zachodnioniemiecka poświęcona sprawie podręczników szkolnych. Ambasador PRL w Republice Federalnej, Wacław Piątkowski, wyraził ubolewanie, że tylko w niewielu podręcznikach zachodnioniemieckich zostały uwzględnione zalecenia Instytutu im. Georga Eckerta w Brunzwicku. Istotnie niektóre rządy krajów, w których władzę sprawują chrześcijańscy demokraci, wysuwają zastrzeżenia przeciwko opracowanym wspólnie przez polskich i zachodnioniemieckich naukowców zaleceniom. Trudno się dziwić skoro w PRL-owskich podręcznikach szkolnych nie wspomina się o pakcie Ribbentrop-Mołotow, a wysiedlenie milionów Niemców z ziem na wschód od Odry i Nysy, określa się jako *transfer ludności niemieckiej*. Strona polska domaga się, żeby z niemieckich podręczników wyeliminowano akcenty „antykomunistyczne”, np. stwierdzenia o narzuceniu siłą Polsce systemu komunistycznego. Ale czy oczywista prawda można wyeliminować z nauki historii? W Polsce można. ■ Do RFN w 1977 roku przybyło 32.500 przesiedleńców z Polski. 64 % stanowili Niemcy zamieszkujący na Górnym Śląsku a 20 % w północnych województwach. Z podanej liczby przesiedleńców 37,01 % stanowią dzieci i młodzież w wieku poniżej 20 lat. 53,66 % ogółu przesiedleńców osiedliło się w Nadrenii-Westfalii. Na skutek trudności integracyjnych zaledwie 1,5 %, spośród przesiedleńców przybyłych w 1977 roku, powróciło do Polski. ■ Przedstawiciele zachodniobermberskiego wydawnictwa *Springer Verlag* — dyr. Guenter Holz i Horst Drescher, przekazali w darze dla *Centrum Zdrowia Dziecka* książki i czasopisma medyczne ogólnej wartości 180 tys. marek i zadeklarowali dalsze uzupełnianie zbiorów *Centrum*. ■ *Związek Polaków „Zgoda”*, założony w 1950 roku w Hamburgu z inspiracji *Polskiej Misji Wojskowej* (Berlin Zachodni), został ponownie zaatakowany przez prasę zachodnioniemiecką, zresztą słusznie, o prowadzenie działalności prokomunistycznej oraz werbowanie nowych członków spośród najnowszych przesiedleńców (pewien funkcjonariusz „*Zgody*”: „wstąpił do nas — będzie jeździł do Polski”). W związku z tymi zarzutami zarząd „*Zgody*” (z siedzibą w Bochum) wystąpił, na łamach własnego organu *Głos Polski*, z listem otwartym skierowanym do ministra Spraw Wewnętrznych RFN — prof. dr. Wernera Meihofera. W liście podkreślono m.in.: „Cele i zadania Związku (...) są realizowane przez nas, obywateli niemieckich pochodzenia polskiego z pełnym zachowaniem lojalności wobec naszego kraju — Republiki Federalnej Niemiec”. ■ Monachijski pedagog, dr Andreas Mehringer otrzymał tegoroczna nagrodę *Niemieckiego Towarzystwa im. Janusza Korczaka*. ■ W Bonn obradowało polsko-zachodnioniemieckie forum młodzieżowe, którego tematem była rola młodzieży w dalszym rozwoju stosunków między Polską i Republiką Federalną na podstawie układu z 1970 roku. Na czele 45-osobowej delegacji z PRL, składającej się wyłącznie z funkcjonariuszy *Federacji Socjalistycznych Związków Młodzieży Polskiej*, stał wiceprzewodniczący *Rady Głównej FSZMP* — Stanisław Gabrielski. Miesięcznik *Przemiany*, organ *Komitetu Głównego PPS w Niemczech*, pisze na ten temat: „Spotkania takie są na pewno potrzebne, ale jest pożądane aby ze strony polskiej brali w nich udział nie tylko funkcjonariusze komunistycznej organizacji młodzieżowej, lecz także delegaci młodzieży reprezentującej inne poglądy”. ■ Poczta Republiki Federalnej wypuściła znaczek z podobizną Janusza Korczaka dla uczczenia 100-letniej rocznicy jego urodzin. ■ W inauguracyjnym meczu *XI Piłkarskich Mistrzostw Świata* rozegranym

w Buenos Aires reprezentacja Polski zremisowała z Niemcami Zachodnimi 0:0. Dlaczego? Radio Erywań odpowiada: Ponieważ oba kraje w 1970 roku podpisały pakt o nieagresji. ■ W PRL przebywała na zaproszenie *Instytutu Podstawowych Problemów Marksizmu-Leninizmu KC PZPR* grupa naukowców z *Instytutu Badań i Studiów Marksistowskich* we Frankfurcie n/Menem, pod kierownictwem z-cy dyrektora *Instytutu* Heinza Junga. W czasie wizyty odbyło się seminarium naukowe na temat sytuacji klasy robotniczej w RFN i Polsce. ■ Wybory krajowe w Republice Federalnej: Absolutna większość *SPD* w Hamburgu i *CDU* w Dolnej Saksonii. Neonazistowska *NPĐ* uzyskała w Hamburgu zaledwie 0,3 % (1974 — 0,8 %), a w Dolnej Saksonii 0,4 % (1974 — 0,6 %). Prasa PRL-owska, strasząca stale czytelników widmem odradzania się neonazizmu, nie odnotowała tych liczb. ■ Zgodnie z coroczną tradycją, w ostatnią niedzielę maja odbyła się pielgrzymka mężczyzn i młodzieży męskiej, głównie z terenu diecezji katowickiej, do sanktuarium maryjnego w Piekarach Śląskich. W pielgrzymce wzięli udział m.in. ks. bp Paul Nordhues, sufragan z Padebornu, ks. bp Walter Kampe, sufragan z Limburga (RFN) oraz ks. bp Joachim Meisner z Erfurtu w NRD. Do Piekar przybyła też 100-osobowa grupa katolików z Westfalii. Zachodnioniemieccy pielgrzymi zostali przyjęci przez ks. bp. Herberta Bednorza i metropolitę krakowskiego ks. kard. Karola Wojtyłę. ■ Hans Koschnick, nadburmistrz Bremy, patronuje i popiera współpracę między ośrodkami naukowymi w PRL i Bremie. Szczególnie dotyczy to kontaktów w dziedzinie chirurgii dziecięcej, której inicjatorem jest ze strony Bremy, prof. dr Fritz Rehbein. Dzięki prof. Rehbeinowi 40 polskich chirurgów i pediatrów mogło przebywać na 1-3-miesięcznych stypendiach w zachodnioniemieckich klinikach. ■ Na zaproszenie Polskiej Rady Ekumenicznej odwiedził PRL zwierzchnik Kościoła ewangelickiego w Berlinie Zachodnim, ks. bp Martin Kruse. Duchowny ewangelicki przekazał na fundusz *Centrum Zdrowia Dziecka* kwotę 20 tys. marek, uzyskaną podczas zbiórek dokonywanych wśród wiernych. ■ W poprzedniej *KRONICE (Kultura nr 6/1978)* pisałem, że Liberalny Związek Studentów (*Liberale Hochschulverband*) w Kolonii, wraz z redakcją miesięcznika *Liberale Forum*, zaprotestował przeciwko pozbawieniu pracy młodego poety i naukowca poznańskiego, Stanisława Barańczaka. W liście, skierowanym do rektora Akademii Rolniczej w Krakowie, zaprotestowali oni również przeciwko szykanom, które spotkały relegowanego doktora, Ziemowita Pochitonowa i grupę studentów w Krakowie. W oświadczeniu KSS/KOR z 15 maja br. czytamy na ten temat: „20 kwietnia 1978 roku do rektora Akademii Rolniczej w Krakowie prof. dr. Tadeusza Wojtaszka udała się około 30-osobowa delegacja działaczy SKS z petycją podpisaną przez 402 studentów wyższych uczelni krakowskich, z rezolucjami uchwalonymi na różnych latach i wydziałach Uniwersytetu Jagiellońskiego (230 podpisów) oraz listem skierowanym do rektora Akademii Rolniczej przez studentów Uniwersytetu w Kolonii. Delegacji nie dopuszczono do rektora. Odczytano jego oświadczenie. Tekstu oświadczenia adresatom nie wydano. Odtworzony z pamięci przez uczestników delegacji brzmi: „Do osób które przysły do Rektora AR w Krakowie w sprawie Ziemowita Pochitonowa. Sprawa Ziemowita Pochitonowa została definitywnie zakończona. Zwróćcie się do swoich przyjaciół w RFN, którzy wstawiają się za Pochitonowem w imię człowieczeństwa (słowa te w tekście cytowano po niemiecku — przypis KSS/KOR). Żaden rektor w Polsce, a tym bardziej rektor Akademii Rolniczej, nie będzie przyjmował rad w kwestii człowieczeństwa od Niemców, którym długo nie zapomnimy naszych doświadczeń z ostatniej wojny”.

Kronika kulturalna

Dopiero z tej depezy, aż z Paryża...

Drogi Panie Redaktorze!

Oczy mam zrujnowane do szczytu. Trzaskam na maszynie do pisania na oślepie, ale nawet własnego tekstu nie mogę odczytać. Nowiny z polskich ośrodków dochodzą mnie hurtem — jeśli odwieździ mnie tu ktoś z rodaków.

Depeszą swą polecił mi Pan napisanie artykułu „z potwierdzeniem o Chciuku”. A cóż tam nowego napsocił znów swawolny Andrzejek, snadź bardzo ważnego?... Zaintrygowany, sięgnąłem po telefon, odezwał się daleki Melbourne i oto, niestety, potwierdzam:

Andrzej Chciuk zaskoczył nas swą nagłą śmiercią w swoim mieszkaniu na przedmieściu St. Kilda w Melbourne, dnia 15 maja 1978 roku. Chorego na cukrzycę zabił udar serca. Urodzony w roku 1920 w Drohobyczu, tak dobrze znanym nam z jego pięknej „Atlantydy”, przeżył lat 58, kończąc swe bogate, niezwykle pracowite życie, gdy właśnie sięgał szczytów literackiej twórczości.

Artykułu o nim nie mogę Panu posłać. Wzrok mam zaćmiony, nie znalazłbym chciukowych książek na swych półkach, nie mógłbym wyszukiwać w nich cytatów z jego barwnej, jędrnej, bogatej polszczyzny. W zamian posyłam więc tylko list dzisiejszy, oparty raczej na pamięci, nie raz zawodnej, a więc list może nie bez błędów faktycznych, których sprawdzić już nie umiałbym. Wspieram się jednak treścią pośpiesznie sprowadzonych taśm magnetofonu; są to dwa wspomnienia o Zmarłym w tutejszych pismach polonijnych; mianowicie, „Koniec wędrówki” pióra A. Gawrońskiego w *Tygodniku Polskim* w Melbourne z 3 czerwca 1978 r. oraz „Odszedł pisarz” pióra W. Romanowskiego w *Wiadomościach Polskich* w Sydney z 4 czerwca. Taśmy te, to jedyne dostępne mi źródła o życiu i twórczości Zmarłego. Reszta, to już tylko moje własne o nim wspomnienia i impresje.

Gimnazjum skończył Chciuk w Drohobyczu. Wojna zaskoczyła go we Lwowie, gdzie studiował prawo. Szlakiem tylu innych Polaków, 19-letni młodzieniec przekradł się na Węgry, a stamtąd do Francji. Tu zaciągnął się do polskiego Oddziału Rozpoznawczego 2 DSP Kawalerii Zmotoryzowanej. Gdy po upadku Francji wpadł w ręce niemieckie, wyskoczył z jenieckiego pociągu, unosząc z sobą (jak pisze Gawroński) okręcony wokół ciała sztandar swego pułku. Resztę wojny przeżył w szeregach francuskiej *Résistance*, ukrywany był przez dłuższy czas w Nohant, gdzie (znów powtarzam za Gawrońskim) uczył się, pisał, redagował podziemne pisma. Po wojnie przez pewien czas pracował w polskiej sekcji radia francuskiego i w polskiej YMCA, gdzie w latach 1944-1947 redagował pismo pt. „Razem”. W roku 1947 uzyskał dyplom po studiach na wydziale dziennikarskim paryskiej *Ecole des Hautes Etudes Sociales*. Podobno (czego Gawroński nie wspomina) krótko pracował w paryskim konsulacie PRL, co w tymże roku 1947 umożliwiło mu odwiedzenie Polski. Wrócił rozgoryczony sytuacją w ojczyźnie i właśnie ten krótki pobyt w niej przyczynił się po latach do powstania jego książki „Towarzysze z Bezpieczeństwa”. Sam opowiadał mi kiedyś o swej pracy kucharza na statku handlowym i ten okres posłużył Mu później jako tło do „Rejsu do Smithton”. W roku 1951, już żonaty i z dwojgiem dzieci, osiedlił się na stałe w Australii. Tu na życie zarabiał znów jako kucharz w różnych hotelach i restauracjach, a nawet w elitarnym ogromnym kompleksie *Wesley College* (gdzie raz korzystałem z jego gościny, serdecznej i szczodrej, bo gości swych zawsze ugaszczą nad zwykłą miarę). Pracę zmieniał dość często, by znaleźć jakąś dającą mu więcej wolnego czasu na pisarstwo, z którego żyć nie mógł, a bez którego żyć nie umiał. Było jego żywiołem.

„Dziennikarstwo jest cmentarzyskiem talentów”, co dawno już stwierdził Emil Zola. Dziennikarzenie się w wegetującej prasie emigracyjnej w Australii marnowało Chciukowi talent i czas, siły i zdrowie. Szczerze bolały go polskie problemy i troski, swary i kłótnie, drażniła tytułomania, głupota i prywatna („Dwie siostry, medalomania z megalomanią” — mawiał). A że nie miał daru syntezy zagadnień, wyłapywał i wyolbrzymiał szczegółiki i wyszydzał personalia, nieraz brutalnie, bezwiednie przyczyniając się do rozdmuchiwania owych swarów i kłótni, głupoty i prywaty, którym chciał zapobiec. Prasowe artykuły pisał pośpiesznie, jakby w zadyszce, nie sprawdzał ani wiarygodności faktów ani własnych tekstów. Pisał gorączkowo, nadrabiał fantazją i urzeczony zręcznym słówkiem czy błyskotliwym zdaniem, chichotał i niebacznie puszczał je do druku, poświęcając nawet czyjąś przyjaźń, bo był nieprzekupny i w swą własną prawdę wierzył święcie. Jego dziecięcą naiwność i łatwowierność wykorzystywali różni „społeczni” intryganci, napuszczając go na siebie wzajemnie. Pisał łatwo, szybko, dużo, barwnie i z humorem, w pośpiechu zostawiając to wszystko, co sam byłby wykreślił, gdyby czas mu pozwolił na sprawdzenie przed wysyłką do druku.

A że artykuły jego robiły ruch w interesie, drukowano je chętnie, czasopismom bowiem przysparzały czytelników, zawsze ciekawych co tam nowego Chciuk napisał. On zaś wykłócał się to z jednym to z drugim redaktorem spośród tutejszych dwu pism polskich, że wykreślono mu z tekstu to a tamto, zrywał z nimi, atakował redaktora w piśmie „konkurencyjnym” tzn. w tym drugim (lub na odwrót), a że urazy w sercu długo chować nie umiał i prasie był potrzebny, wkrótce znów się pojawiał na P.T. poczytnych łamach.

Sam siebie po takich ewenementach Andrzej określał jako „Wańka-wstańka”, bo stópki miał drobne, a tuszy był ogromnej. Kpił chętnie, a najłatwiej z siebie samego. Raz w małej mieścinie Deniliquin, gdzie kucharzył w hotelu, piliśmy sobie spokojnie w barze, gwarząc po polsku, co nie spodobało się jakiemuś podpitemu bywalcowi baru — krzyknął, że nas wyrzuci. Chciuk wstał ze stołka, zdjął swą kolosalną marynarkę (a bary miał jak szafa) i zadeklarował w nienagannym *slang*’u australijskim: „Spróbuj, samym brzuchem cię załukę”. Incydent skończył się wzajemnym postawieniem sobie piwek.

Wspominając swe czasy wojenne we Francji, Andrzej z przekąsem, acz nie bez dumy mówił o sobie „ułań Chciuk”. Gdy labourzystowski rząd federalny Australii przyznał mu stypendium w wysokości 7.000 dolarów australijskich na napisanie książki po angielsku (językiem tym władał świetnie). Chciuk począł pisać rzecz pt. „Andrew the Warrior” („Wojak Andrzej”). Nie porównany kpiarz, kawałami sypał jak z rękawa, można ich było słuchać do białego rana. Opowiadał żywo i barwnie, człek pękał ze śmiechu. On to — w pierwszych latach pobytu w Australii — założył w Melbourne kabaret satyryczno-literacki „Wesoła Kukabura” (współ z Andrzejem Gawrońskim, Tadeuszem Leżonim i śpiewaczką Ewą Laren). Występy utalentowanego zespołu rozśmieszały polską publiczność do łez, ściągały Polonię nawet z prowincji, wypełniając salę szczelnie. Szczególnym wzięciem cieszyły się aktualne dialogi Chciuka i Leżonia, którzy, niczym Szczepcio i Tońcio z „Lwowskiej Fali”, bałakiem obrabiali różne polonijne znakomitości. Frekwencja kabaretu spadła, gdy Chciuk wycofał się w „Wesołej Kukabury” (po jego odejściu nazwę zmieniono na „Perskie Oko”).

Tak chętnie kpiąc nawet z samego siebie, Chciuk nigdy nie zdołał zrozumieć, dlaczego rozmaici dostojnicy organizacji polonijnych żywią do niego dzikie pretensje o to czy tamto. „Brak cymbałowemu humoru — stwierdzał — na dziady zesła emigrancka sarmacja”.

Sredniego wzrostu grubas, który sam o sobie mówił „Apollo nie jestem”, cieszył się jednak niezwykłym powodzeniem wśród kobiet. Gdy w kilka lat po osiedleniu się w Australii pierwsza żona opuściła Andrzeja (co przeżył ciężko, dając temu wyraz w swej pierwszej książce pt. „Smutny uśmiech”) — po pewnym czasie ożenił się powtórnie z ładną, inteligentną Wandą z Poniatońskich — niestety, zmarła w roku 1962. Po ośmiu latach

samotności pojął trzecią żonę, piękną Barbarę Wilczyńską i, dumny z jej urody, znów wśród przyjaciół kpił z samego siebie: „Skąd mnie do takiej żony?!...”

A miał też Andrzej Chciuk niezwykle dobre serce, można go było do łez roztkliwić jakąś sprawą społeczną. Porywał się więc do pióra, by na gorąco ją opisać.

Zabawne było jego przed laty starcie ze śp. Romanem Gronowskim, gdy ten był redaktorem *Tygodnika Polskiego* w Melbourne. Chciuk, urażony odrzuceniem jakiegoś ostrzejszego artykułu, zaatakował Gronowskiego w sydneyjskich *Wiadomościach Polskich*, ten zaś we własnym *Tygodniku* odpowiedział ripostą w całej serii cotygodniowych artykułów pt. „Chciukiada”. Urażony, do żywego cięty Andrzej odgrażał się, że Gronowskiego — zachciuczy. Ale, jak to on, i ponieważ mimo wszystko obaj z Gronowskim lubili się i cenili wzajemnie — urazy ich wywietrzały i po pewnym czasie Chciuk znów pojawił się na łamach *Tygodnika*.

Na szczęście, dziennikarzy już coraz mniej i z większym umiarem, coraz więcej czasu poświęcając rzetelnej pracy literackiej.

Moja własna przyjaźń z Andrzejem przed laty była niezwykle bliska i serdeczna. W roku bodaj 1955, gdy przyjechałem do Melbourne z odczytem, Chciuk — nieznany mi jeszcze osobście — na dworcu powitał mnie olbrzymim bukietem kwiatów. Uważał mnie wówczas za literacką wielkość, nieświadom, że swą własną, niezwykłą pracowitością, a nade wszystko talentem — z czasem przewyższy nas wszystkich, piszących w Australii. Po odczycie przegadaliśmy z sobą pół nocy, piliśmy sporo, rozżalił się, że nie umie pisać „tak jak trzeba” i nie wierzył w to, by tak ważne pisma jak londyńskie *Wiadomości* lub paryska *Kultura* zechciały wydrukować coś spod chciukowego pióra. Nie wierzył w taką możliwość zupełnie i machnięciem ręki odganiał moje zapewnienia, że ma wielki talent. Toteż po powrocie z Melbourne napisałem do śp. Mieczysława Grydzewskiego, redaktora *Wiadomości*, że jest tu wśród nas w Australii niewątpliwie utalentowany Andrzej Chciuk, ale stremowany świetnością *Wiadomości*, i że gdyby tak redakcja pisma zechciała go zachęcić, to — itd. Grydzewski swym zwyczajem odpisał mi w trzech wierszach, że on z zasady do współpracy nikogo nigdy nie zaprasza, ale gdyby tak p. Chciuk zechciał przysłać coś godnego druku, to on oczywiście umieściłby w piśmie. Fotokopie listu Grydzewskiego posłałem Chciukowi, nadto „na gwiazdkę” darowałem mu całoroczną prenumeratę *Wiadomości*. Ostatecznie, Chciuk wyzbył się tremy i po pewnym czasie oznajmił mi z dumą, iż nazwisko jego pojawiło się w *Wiadomościach*.

Kilka lat później firma, w której pracowałem, posłała mnie na kilka tygodni do wspomnianej tu już miejsciny Deniliquin. Stałem tam w hotelu gdzie kucharzył Chciuk (*nota-bene* pod nazwiskiem „Sodell”, bo jego własne przekręcano — okropnie). Przywiozłem był z sobą teczkę z serią opowiadań w gwarze poniatońskiej pt. „My som my” (jedno z nich ogłoszono w *Wiadomościach*).

ciach, ale reszty p. red. Kosssowska nie chciała przyjąć, tłumacząc mi, że czytelnicy nie lubią gwary). Chciuk czytał to i zaśmiewał się, i dziwił się, że w Poznaniu mówi się „kafejka”: „Przecież tak mówią tylko Polacy w Paryżu!”. Zapewniłem go, że „kafejka” jest terminem poznańskim. On zaś ożywił się: „A wiesz co? To ja chyba też napiszę coś takiego, ale inaczej i we lwowskim bałaku!”. No i napisał. Nie jakieś tam niegodne druku „My som my”, ale wspaniałą swą „Atlantyde”.

Z biegiem lat moja przyjaźń z Andrzejem to chłódła, to znów żywszych nabierała kolorów. Po mojej wypowiedzi o testamentie śp. Romana Gromowskiego (ogłoszonej w *Kulturze*), Andrzej chciał abyśmy w Australii ogłosili w tej sprawie druk zbiorowy z podpisami nas obu i szeregu innych osób. Odpisałem, że do żadnych akcji zbiorowych z tego rodzaju sprawach przyłączać się nie mogę. Urażony Andrzej nigdy już do mnie nie napisał, czym nie bardzo się martwiłem, wiedząc z doświadczenia, że przy pierwszym spotkaniu znów zawołamy razem: „No to jak? Napijem się tej czary goryczy?”.

Żał mi więc, żał serdeczny, za późno na wyciągnięcie ręki, umarł nagle, grube, zapalczywe dziecko, porywcze ale o złotym sercu, dziecko oszołomione i bardzo, bardzo samotne w polonijnym nabzdyczonym stawku. Ubył mi jeszcze jeden człowiek bliski, zostawił po sobie pustkę, drętwiący smutek. Nie zobaczę go już nigdy. Już nigdy. Już nigdy.

Był wielkim przyjacielem *Kultury*. To on w roku 1969 przyczynił się do powstania *Koła Przyjaciół „Kultury” w Australii*. W piśmie tym debiutował w styczniu 1957 roku, ogłaszając odpowiedź swą na ankietę pt. „Literatura emigracyjna a kraj”.

W tymże roku 1957 *Kultura* wydaje mu pierwszą jego książkę, opowiadanie pt. „Smutny uśmiech”, jednocześnie przyznając mu *post datum* nagrodę za rok 1955 (którą dzielił z Leo Lipskim, autorem opowiadań pt. „Dzień i noc”). W roku 1961 ukazuje się jego pierwsza polska książka wydana w Australii, „Pamiętnik poetycki”, powstała z przedpłat a staraniem jego przyjaciół oraz *Wiadomości Polskich* w Sydney; jest to zbiór rymów różnej wagi gatunkowej, po którym sam Autor zarzekał się, iż wierszy nigdy już pisać nie będzie. W następnym, 1962 roku, znów nakładem *Kultury*, ukazuje się trzecia książka Chciuka pt. „Rejs do Smithton”, rzecz nie bez błędów natury żeglarskiej, ale kompozycyjnie zwarta i zapowiadająca dalszy rozwój talentu. Po kilku latach milczenia, w roku 1969 nakładem *Polskiej Fundacji Kulturalnej* w Londynie, ukazuje się czwarta (i moim zdaniem, najlepsza) książka Chciuka — o lwowskim „Księstwie Bałaku” z kraju lat dziecińczych — „Atlantyda”. Krytycy są urzeczni jej czarem i polszczyzną. Nawet śp. Marian Hemar, który niegdyś w londyńskich *Wiadomościach* strofował Chciuka za brak umiaru w doborze słów, zawoła w tychże *Wiadomościach*: „A cóż to za piękna książka!”... Słusznie więc w tymże roku uzyskała nagrodę *Wiadomości*. W następnym roku 1970, znów nakładem *P.F.K.*, wychodzi piąta książka Chciuka „Towarzysze z Bezpieczeństwa”

na temat terroru w PRL. Chciuk dzięki rządowej posadzie nauczyciela w gimnazjum, może rzucić zawód kucharza, finansowo powodzi mu się lepiej, żeni się z Barbarą Wilczyńską i oboje wyjeżdżają w podróż do Europy i na Bliski Wschód. Owocem tej wyprawy jest, wydana w roku 1972 przez *Kulturę*, szósta książka Chciuka pt. „Wizyta w Izraelu” (*nota-bene*, swe zainteresowanie losem Żydów, Chciuk już dawniej zaznaczył wydaniem broszury po angielsku pt. „Saving Jews in War-torn Poland” na temat niesienia pomocy Żydom podczas okupacji niemieckiej w Polsce). W tymże roku 1972, nakładem *P.F.K.*, ukazuje się siódma książka Chciuka pt. „Ziemia księżycowa”, będąca niejako przedłużeniem „Atlantydy”. I wreszcie w roku 1975, też nakładem *P.F.K.*, ósma i ostatnia z wydanych książek Chciuka pt. „Emigrancka opowieść”, która zyskała nagrodę *Związku Pisarzy Polskich na Obczyźnie*.

Książkę tę (jak słusznie stwierdził to Gawroński w *Tygodniku Polskim*) australijska Polonia przyjęła z furją. Uznano ją za paszkil, autor bowiem nie zadał sobie trudu, by retuszem pokryć znane tu sprawy, z prawdziwego i nieprawdziwego zdarzenia, ani też aby pozmieniać i zatuszować znane nazwiska, tak by ich nie rozpoznano (kilka nawet podał bez żadnej zmiany). Gawroński w swych wspomnieniach o Zmarłym pisze, że Chciuk opracował również drugi tom „Emigranckiej opowieści”. Ale na dwa i pół miesiąca przed jego śmiercią rozeszła się po Australii wiadomość, jakoby *Polska Fundacja Kulturalna* już wydała tę książkę, i że tym razem on napisał o Polonii jak najpochlebniej. Okazało się jednak, że był to żart na *prima Aprilis*, podobno puszczony w obieg przez samego Chciuka.

Swawolny Dyzio, *enfant terrible* tutejszej Polonii, Chciuk spłatał jej nowego, strasznego figla — swą niespodziewaną, nagłą śmiercią. Nie chciano go zrozumieć ani pomóc mu, gdy w rzadkich chwilach wolnych od pracy na chleb zdzierał siły i zdrowie, by pisać o tym co go w nas bolało. Na sprowadzanie piłkarzy z Polski, na fundowanie wieczystych dupereli znalazły się dziesiątki tysięcy dolarów. Ale by pomóc utalentowanemu, żywemu człowiekowi, a kogóż może to obchodzić?...

Jaki był Andrzej Chciuk prawdziwy, co ukrywał pod twarzą skorupą lekkomyślnego, porywczego kpiarza, jakim więc był człowiekiem — niech powie nam ostatni wiersz jego, napisany krótko przed zgonem. Wiersz to prosty i nieporadny, ale w obliczu tej śmierci nie wolno wymierzać go literackim szczytem. W obliczu tej śmierci wywołuje wzruszenie, żalem ściskając za gardło, żalem serdecznym, że odszedł człowiek, który — mimo pozorów — był rzadkiej dobroci i rzadkiej troski o innych. Wiersz ten — pt. „Modlitwa przy trumnie bliskiej osoby” — ogłoszono już w lokalnym *Tygodniku Polskim* w Melbourne, ale chyba warto aby, powtórzony dziś w *Kulturze*, by mógł być poznany w całym polskim świecie.

W Melbourne odgórne urzędasy naszej Polonii — nie umiały i nie chciały wybaczyć Chciukowi niczego i — jak dał temu

świadectwo W. Romanowski, pisząc o Zmarłym w sydneyjskich *Wiadomościach Polskich*:

„Nie pożegnano Go żadną uroczystą ceremonią pogrzebową, nie wygłoszono nad Jego trumną zgodnie z przyjętym zwyczajem przemówień podkreślających Jego zasługi dla piśmiennictwa polskiego. Wśród ogólnego milczenia trumna ze zwłokami śp. Andrzeja Chciuka osunęła się w zapadnię krematorium i pozostała po niej jedynie biało-czerwona flaga, jakby chcąc sobą zaświadczyć, że był dobrym patriotą i dobrym Polakiem.

Jest jednak dzieło Chciuka, które niech mówi samo za siebie. I jest pamięć o Nim, która przetrwa do końca z kolei naszych dni”.

Gdyby Andrzej-wojak wciąż żył, gdyby mógł stanąć nad własną trumną — mógłby zatrzeć pulchne rączki i zawołać z triumfem: „A widzicie!... Sami sobie daliście świadectwo na tym pogrzebie, że ja jednak miałem rację! Właśnie to wam wytykałem: drętwą obojętność w sprawach społecznych, mściwą prywatę i głupotę. Daliście jej dowód własnym milczeniem, niegodnym mężów stanu”.

Ale nie żyje Andrzej Chciuk, autor dzieł pięknych, laureat nagród literackich. Nie żyje, nie przywróci sobie lat zmarnowanych na walkę z miernotą i nijactwem.

A ja, Panie Redaktorze, niedoślepek, nieoczytany, ciemny jak tabaka w rogu, nic o tej śmierci nie wiedziałem. I dopiero z Pana depezy, aż z Paryża. Dziękuję serdecznie i dłoń zacną ściskam.

Zbigniew JASIŃSKI

MODLITWA PRZY TRUMNIE BLISKIEJ OSOBY

*Przyjmij tę duszę przed Twój Boży tron,
umieść w niebieskiej Swojej chwale
dając jej wieczny odpoczynek.*

*A tym, co tutaj pozostali
co w pustkę wtrącił ich ten oto zgon
i którzy płaczą z tej przyczyny —
zezwoł, by zgodnie z przykazaniem
Twym i ramieniem Twoim wsparci
przez pozostałe im tu jeszcze ziemskie dni
— ażeby lepsi, czystszy, Panie,
przeciw zasadzkom różnym czarcim
i ludzkim złościom stale ufnie szli
przez życia grząskość, małość, sprzeczki,
byśmy na Sądzie Ostatecznym
wszyscy u Ciebie zmartwychwstali
w miłości Twojej, w Twojej chwale:
i ten co odszedł, i ci co przeżyli,
zanim dopełnią swej tu miary
aby się w Tobie wtedy połączyli*

*w imię tej wszechobjemującej wiary.
O to Cię, Boże, dziś błagamy,
zechciej wystuchać naszych modlitw. Amen.*

*Człowiek ten nieraz szukał, grzeszył, błądził
jak każdy z nas śmiertelnych zwykłych ludzi,
lecz dziś już stoi na Twym Bożym sądzie
po życia walkach, łzach, burzach i trudzie:
więc, Miłosierny, przyjmij do swych wierzej
tego co w trumnie tutaj oto leży.
Jego skończone już wędrówki ziemskie
po chwilach pięknych, trudnych, i po klęskach
i kiedy stoi na progu wieczności
udziel mu łaski swej i bądź miłościw.
W swej wspaniałości i wielkiej dobroci
pamiętaj mu już tylko wszystko dobre
gdy wyszedł poza życia kruchy obręb.
— A tym, co tu swą śmiercią osierocił
którzy w miłości jego ku nim wzrosli
okaż pociechę w smutku, samotności.
Toteż prosimy społem Ciebie, Panie,
zanim staniemy przed Twoim obliczem,
zanim uczynki zważysz i obliczysz
nasze — dziś okaż nam Twe zmiłowanie.*

Andrzej CHCIUK

(*Tygodnik Polski* nr 20/1978, Melbourne, 3 czerwca 1978).

O twórczości muzycznej Romana Palestra

Zjawiskiem już stałym w polskiej kulturze ostatniego półtora stulecia jest fakt, że wiele jej elementów (często o pierwszoplanowym charakterze) i wartości powstaje za granicą, przeważnie jako twórczość emigracyjna. Jest bowiem rzeczą oczywistą, że nie każdy artysta tworzący poza granicami kraju do którego kultury należy jest emigrantem. Twórczość emigracyjna to ta, która w kraju ze względów politycznych uprawiana być nie może, a gdy powstaje za granicą dzieła jej nie mogą być zwykłymi drogami rozpowszechniane.

W tym też sensie, choć i w okresie międzywojennego dwudziestolecia nie brakowało polskich artystów stale osiadłych za

granicą, trudno tu mówić o sztuce powstałej na emigracji, gdyż miejsce zamieszkania autora nie miało wpływu na rozpowszechnienie jego dzieła w kraju i na jego należenie do polskiej kultury.

Po roku 1945 mamy więc do czynienia z nową falą twórczości emigracyjnej — falą rozszerzoną zakresem represyjności. Bo o ile w wieku XIX-tym niecenzuralnym — w rozumieniu władz zaborczych, głównie rosyjskich — mógł być w zasadzie jedynie utwór literacki lub teatralny a wyjątkowo raczej plastyczny, w „systemie socjalistycznym” działaniem cenzury objęta została także i muzyka. W początkowej fazie jej treść i styl kompozytorski, potem już tylko sam jej autor, jego poglądy i stosunek do tzw. „rzeczywistości”.

Te przydługie nieco uwagi i przypomnienie elementarnych oczywistości historycznych wydają się jednak niezbędne gdy mówimy o muzyce Romana Palestra, kompozytora który w końcu ubiegłego roku obchodził siedemdziesięciolecie urodzin a którego ostatnie, najistotniejsze chyba, trzydziestolecie twórczości należy jak najściślej do okresu emigracyjnego. Z pewnością też przyszli historycy polskiej muzyki obecnego stulecia wyróżnią jako zjawisko szczególnie twórczość kompozytorów — emigrantów, bo ich sytuacja mieć musiała zasadniczy wpływ tak na kształtowanie stylu twórczości jak, bardziej jeszcze, na recepcję ich kompozycji w Polsce i na Zachodzie.

Grupa polskich kompozytorów tworzących na emigracji, liczna stosunkowo w latach bezpośrednio powojennych, dziś znajduje się w stanie szczątkowym, ale też ci którzy pozostali reprezentują wartości najwyższe, a jednocześnie przez czynniki oficjalne PRL'u najdłużej zwalczane. Bo stosunek do kompozytorów działających po wojnie na Zachodzie nie był bynajmniej jednolity. Ci którzy przyjęli postawę ugodową lub też wyraźnie odżegnali się od przynależności do polskiej muzyki byli miło przyjmowani i nieraz kompozycje ich pojawiały się na festiwalowych estradach. Ci znów którzy zachowali postawę apolityczną ale do współpracy się nie kwapili otrzymali przywilej szczególny — kompozycje ich wydawać i wykonywać jest znacznie łatwiej po śmierci niż za życia autorów. I wreszcie postanowiono unicestwić, najlepiej uznać w ogóle za niebyłych, kompozytorów którzy emigrację wybrali z przesłanek politycznych, choćby „polityka” sprowadzała się tu jedynie do opozycji w stosunku do ograniczeń narzuconych kulturze.

Roman Palester należy właśnie do tej ostatniej kategorii polskich kompozytorów. Próżno by też dziś szukać jego nazwiska w nowszych wydaniach polskich encyklopedii muzycznych. Polscy muzycy twórczość jego znają jedynie z nielicznych partytur do-

cierających do kraju, z pewnej liczby dzieł wydanych w Polsce jeszcze w latach czterdziestych i z niewielu publikacji, które kompozytorowi i jego muzyce poświęcono.

Skromna liczba tych studiów wynika także z przesłanek cenzuralnych. Do niedawna bowiem w Polsce Palestra nie tylko nie wolno było wykonywać czy omawiać jego twórczości, ale nawet wymieniać w słowie pisanym jego nazwiska. Dopiero w ostatnich czasach w przepisach cenzury skasowano dotyczący go „zapis” co może pozwolić na zamieszczanie wzmianek w publikacjach specjalistycznych, choć chyba nie otworzy pola do ogłoszenia obszerniejszych prac na temat aktualnej lub też dawniejszej twórczości kompozytora.

Mimo zresztą wszystkich wymienionych szykan i ograniczeń świadomość wagi i znaczenia twórczości Palestra dla polskiej muzyki naszego stulecia jest powszechna w polskim środowisku artystycznym. Stąd też ponawiane w bardziej sprzyjających okolicznościach próby wprowadzenia na polskie estrady jego utworów czy też przemycanie publikacji omawiających jego twórczość. Do inicjatyw uwiecznionych powodzeniem zaliczyć należy wykonanie na jednej z pierwszych „Warszawskich Jesieni” monumentalnej „IV-tej Symfonii”, radiowe wykonanie w roku 1958 „Wariacji na orkiestrę”, podejmowane w ostatnich latach wykonania utworów kameralnych, a także studia publicystyczne wydane w kraju i za granicą.

W roku 1959 obszernie pisał o muzyce Palestra Bogusław Schäffer¹, główny (i jedyny na wielką skalę) teoretyk muzyki współczesnej w Polsce, uznając go za „najbardziej w trzydziestych latach awangardowo i technicznie zaawansowanego kompozytora”. A dodać należy, że Schäffer w stosunku do tego co nie jest awangardą ostatnich lat, a już w szczególności do muzyki polskiej, ma nastawienie ultra-krytyczne.

Innym ważnym wydarzeniem było opublikowanie przez *Ruch Muzyczny* „Rozmowy z Romanem Palestrem”² przeprowadzonej przez Tadeusza Kaczyńskiego, jednego z członków zespołu tego pisma z okazji jednej z jego zagranicznych podróży. Tekst ten w którym poruszono jedynie problemy ściśle muzyczne i który pewnie dzięki temu przeszedł przez sита cenzury stał się przedmiotem ostrych represji, które spadły na interlokutora kompozytora. Od utraty pracy ocalała go wówczas jedynie bezkompromisowa postawa Zygmunta Mycielskiego, naczelnego redaktora pisma, który biorąc na siebie odpowiedzialność za ukazanie się wywiadu zgłosił gotowość własnej dymisji.

1. Bogusław Schäffer, „Muzyka Romana Palestra”, *Kierunki*, 22. XI. 1959.
2. Tadeusz Kaczyński, „Rozmowa z Romanem Palestrem”, *Ruch Muzyczny*, 15. X. 1964.

Z publikacji poświęconych muzyce Romana Palestra jakie ukazały się za granicą wymienić należy artykuł Jerzego Gajka³, pianisty, wykonawcy utworów fortepianowych kompozytora oraz syntetyczne studium Bogusława Schäffera ogłoszone jako oddzielna broszura w języku angielskim⁴, studium poza treścią i jasnością wykładu odznaczające się znakomitością stylu i formy językowej.

Paradoksalnie fakt przynależenia do polskiej sztuki tworzonej na emigracji nie otwiera też najłagodniej mówiąc, dróg do muzycznych instytucji Zachodu. Źródłem tego stanu rzeczy i działającym w tym kierunku mechanizmom można by poświęcić dłuższe studium na które nie tu z pewnością miejsce, faktem jest jednak że znajomość muzyki Palestra nie wykracza na Zachodzie poza kręgi muzyczne. Ilość jej wykonań i nagrań jest z pewnością zbyt mała aby można tu było mówić o wejściu jej w obieg międzynarodowego życia muzycznego.

Propagatorami, przede wszystkim symfoniki, Romana Palestra stało się kolejno dwóch wybitnych dyrygentów: Franz André, zmarły przed kilku laty dyrektor Orkiestry Symfonicznej Radia Belgijskiego w Brukseli, a następnie Stanisław Skrowaczewski, wybitny polski dyrygent pracujący od blisko dwudziestu lat w Stanach Zjednoczonych.

Niestety jednak poza nim nikt ze znacznego grona polskich dyrygentów działających w różnych krajach Zachodniej Europy i Ameryki, czy też instrumentalistów odbywających długie zagraniczne podróże koncertowe nie przyczynił się dotąd szerzej do propagowania muzyki Palestra. Z pewnością decydującym motywem jest obawa (choć pewnie w wielkiej mierze przesadna) przed represjami jakie by mogły spaść na artystę ze strony władz PRL, choć te w stosunku do swych eksportowych gwiazd „rozślawiających imię kraju” zachowują z reguły powściągliwy umiar.

Tak więc muzyka Palestra czeka estradowego i scenicznego odkrycia. Na szczęście w sposobnej chwili nie powinno ono nastroczać trudności gdyż cały zachowany dorobek kompozytora (znaczna ilość wczesnych kompozycji zaginęła w czasie wojny) utrwalony został drukiem. Po części są to wydania zrealizowane w latach czterdziestych przez krakowskie Polskie Wydawnictwo Muzyczne⁵, pozostałe ukazały się nakładem mediolańskiej firmy

3. Jerzy Gajek, „Muzyka Romana Palestra”, *Kultura* Nr 10/228, 1966.

4. Bogusław Schäffer, „The Music of Roman Palester”.

5. Egzemplarze pozostające jeszcze na początku lat pięćdziesiątych w magazynach PWM'u i w księgarniach zostały w owym czasie zniszczone, są jednak partytury Palestra wydane przez to wydawnictwo dostępne w muzycznych bibliotekach, a nierzadko też w księgarniach antykwarycznych.

Suvini-Zerboni, oraz nowojorskiego wydawnictwa *Southern Music Publishers*.

Mimo wymienionych okoliczności powojenne losy muzyki Palestra wynikają chyba w znacznej mierze z jego własnego artystycznego temperamentu. Są bowiem autorzy dla których żywot estradowy czy sceniczny ich dzieła ma znaczenie kapitalne, inni znów, choć z pewnością nie tworzą dla siebie, koncentrują się na samoistnym w pewnym sensie rozwoju własnej sztuki. W wypadku Romana Palestra nie bez znaczenia był chyba fakt, że w ciągu ostatniego ćwierćwiecza pozostawał on w zawodowym sensie niezależny od swej muzyki mogąc wyłącznie niemal koncentrować się na twórczości, wybierać takie jej formy i postaci jakie dyktowały jedynie artystyczne przesłanki.

W sumie więc możemy dziś rozpatrywać dorobek kompozytorski Romana Palestra jako całość, która choć daleka jest z pewnością od zamknięcia, w stylistycznym sensie stanowi zjawisko o postaci nader skryzalizowanej, w której nie należy chyba oczekiwać radykalnych zmian orientacji.

Zresztą rozpatrywana jako całość muzyka ta nacechowana jest harmonijną i logiczną ewolucją stylu od pierwszych utworów aż po twórczość ostatnich lat.

Oczywiście ciągły charakter tej ewolucji nie oznacza braku zmian stylistycznych czy tym bardziej technicznych środków kompozycji. Rozpatrywana na tle polskiej muzyki lat trzydziestych (pierwszy utwór Palestra, „Sonatina na skrzypce i fortepian”, pochodzi z roku 1929) twórczość ta posiada cechy szczególne, zbieżne z nią i rozbieżne jednocześnie.

Zbieżność dotyczy najogólniejszej orientacji, polegającej na całkowitym odejściu od tradycji wiedeńskich i niemieckich, silnie oddziałujących na polską muzykę poprzedniego okresu i na szukaniu stylistycznych odniesień w muzyce Strawińskiego, Bousseła czy paryskiej „szkoły sześciu”. Rozbieżność polegała natomiast na odporności na fascynację stylem Karola Szymanowskiego, a zwłaszcza na jego folkloryzm. I ta właśnie ostatnia cecha sprawiła że młody Palester, jak niemal zresztą wszyscy polscy kompozytorzy jego pokolenia, nie zetknął się też bliżej z twórczością Beli Bartóka. W ówczesnym zafascynowaniu Paryżem i „dopędzaniem Zachodu” nikt nie przypuszczał, że w sąsiednim Budapeszcie dokonywać się mogły rzeczy niemniej dla przyszłości muzyki istotne, a wiele większe jako suma artystycznych dokonań pierwszej połowy naszego stulecia.

Podkreślić jednak należy, że dzieląc paryską orientację większości swych kolegów Palester wybrał drogę zdecydowanie samodzielnej. Sądzić można iż trafnie odkrył groźne

niebezpieczeństwa paryskich studiów a zwłaszcza głośnej szkoły Nadii Boulanger, przedziwnego ośrodka studiów „muzycznej kaligrafii” dającej adeptom złudzenie opanowania (i to mistrzowskiego) techniki komponowania.

W istocie była to umiejętność zręcznego obracania gładkich „galijskich” formułek ujętych w ramy neoklasycznych form bez możliwości wyjścia z tego zakłętego kręgu. Jedynym też z polskich uczniów Nadii Boulanger, który siłą wyjątkowego talentu zdołał wyjść z tego błędnego koła był Antoni Szałowski. W młodości stworzył kilka co najmniej dzieł dających pełnię wymiaru rzeczywistych wartości neoklasycyzmu a w ostatnim okresie twórczości, zachowując jednolitość stylu, utwory o tej samej co poprzednio urodzie dźwiękowej a o silnym i pogłębionym ładunku emocjonalnym.

Z natury rzeczy jednak twórczość neoklasyków, z samym Strawińskim na czele była bardzo nierówna, historyczną miarą każdego kompozytora jest to co stworzył najlepszego, resztę można pominąć.

Gdy chodzi zresztą o muzykę Palestra, nawet z wczesnego okresu, nie można by go zakwalifikować jako neoklasycznego. Podobnie jak w twórczości innych kompozytorów tego okresu np. Paula Hindemith'a mamy tu do czynienia ze swobodnymi przetworzeniami inspiracji przeszłości, często bardziej baroku niż klasycyzmu. I tu ujawnia się już najbardziej chyba istotna cecha muzyki Palestra — organiczność jego stylu, jednorodność tkanki dźwiękowej w wymiarze pionowym, harmonicznym, jak i w tematyce melodycznej. Cechy te realizowane jeszcze w kompozycjach stojących na skraju systemu tonalnego musiały w logiczny sposób prowadzić kompozytora ku technice dodekafonicznej, która też istotnie stała się zasadniczym środkiem realizacji jego dzieł okresu powojennego.

Wczesny okres działalności Palestra ujawnia też inną cechę, stałą w całej jego twórczości. Jest nią niezwykle szeroki, kompletny niemal, wachlarz form i gatunków.

W tym też sensie twórczość ta jest całkowicie wyjątkowym zjawiskiem w polskiej muzyce współczesnej, gdzie dominowały i dominują nadal raczej tendencje specjalizacyjne. Bo chociaż za główny jej nurt uznać by należało symfonię w najszerszym rozumieniu tego terminu, ważne miejsce zajmują również kompozycje kameralne, muzyka komponowana na instrumenty klawiszowe (fortepian i klawesyn), muzyka sceniczna różnych postaci, czy wreszcie także muzyka filmowa.

Symfonię należy postawić na czele twórczości Palestra nie tylko z tej przyczyny, że jak pisze Schäffer „jest on urodzonym symfonikiem”, ale w pierwszym rzędzie dlatego, że jak zdaje

się wykazywać analiza kolejnych partytur muzyka symfoniczna, zarówno w postaci utworów zatytułowanych „symfoniemi” (jest ich pięć w dotychczasowym dorobku kompozytora), jak i noszących inne nazwy, jest głównym terenem kształtowania stylu, retortą w której powstają zasadnicze jego elementy adoptowane i rozwijane potem w innych gatunkach.

Za najważniejsze z tych utworów uznać należy poza szczęśliwie zachowaną „Muzyką Symfoniczną” z roku 1930 „Drugą Symfonię” (1941-42), „Symfonię na Dwie Orkiestry Smyczkowe” (1949-50), „Czwartą Symfonię” (1950-51), „Wariacje na Orkiestrę” (1955) i wreszcie pochodzącą z ostatniego okresu „Piątą Symfonię” i „Metamorfozy” na orkiestrę.

Sama już chronologia tych utworów przekonuje, że mamy tu do czynienia z długą linią rozwojową realizującą ciągłość a jednocześnie „wielość w jedność”.

Bo oczywiście daleka droga prowadzi od pierwszych form symfoniki Palestra (zarówno tych ujętych w luźną formę „Muzyki” jak też rygorystyczny „symfonii” czy „wariacji”) do „Piątej Symfonii” czy „Metamorfoz” wprowadzających zdecydowanie nowe środki instrumentalnej kolorystyki połączonej z „otwartością formy” której „moduły” mogą być zestawiane w różnych układach i porządkach.

Między tymi zasadniczymi pozycjami palestrowej symfoniki możemy umieścić inne utwory przestrzeń tę niejako wypełniające jak koncerty instrumentalne: na fortepian i orkiestrę (1936), Concertino na saksofon i orkiestrę kameralną (1938), Koncert skrzypcowy (1939-41), Concertino na fortepian i orkiestrę (1943) czy concertino na klawesyn i zespół instrumentalny (utwór oparty na tematach szesnastowiecznych tańców polskich z tabulatury Jana z Lublina) jak również pochodzący z ostatnich lat „Koncert na altówkę i orkiestrę”.

W muzyce orkiestrowej ważne miejsce zajmują również utwory przeznaczone na orkiestrę kameralną jak „Wariacje” (1934) „Nokturn” na orkiestrę smyczkową (1947), „Sinfonietta” na orkiestrę kameralną (1948) czy „Serenada” na dwa flety i orkiestrę smyczkową (1946) „Piccolo Concerto” na orkiestrę (1958), jak również szereg utworów o mniejszym już znaczeniu.

Utwory te, jak można by rzec, drugiego nurtu zespołowego, cechują zwłaszcza wcześniejszą fazę twórczości kompozytora i najczęściej też dochodzą w nich do głosu echa stylizacji i neoklasycyzmu.

Z nurtem tym wiąże się też w pewnej mierze, choć raczej już nie w stylistycznym sensie, muzyka kameralno-instrumentalna i wokarno-instrumentalna. W tej zresztą dziedzinie Palester zaj-

muje w muzyce polskiej miejsce szczególne, uznać należy jego dorobek za główny wkład w odniesieniu do całokształtu polskiej muzyki kameralnej naszego stulecia.

Tworzą ją trzy kwartety smyczkowe (1930, 1936, 1942-44), Sonata na dwoje skrzypiec i fortepian (1938), Trio smyczkowe (1946), „Mała Serenada” na flet skrzypce i altówkę (1947), „Divertimento” na 9 instrumentów (1947), „Drugie Trio Smyczkowe” (1959) czy wreszcie ostatnie chronologicznie „Duety na Dwoje Skrzypiec”.

Obok tego, niejako klasycznego, czysto instrumentalnego nurtu kameralistyki ważne miejsce w twórczości Palestra zajmują też kameralne utwory wokально-instrumentalne.

Najważniejsze z nich to „Trzy Fragmenty z Jana Kochanowskiego” na sopran i zespół instrumentalny (1951, 1962), „Sonety do Orfeusza” na podobny zespół wykonawczy do tekstu Rilkego (1952), „Pieśni do tekstów Słowackiego” na baryton i zespół instrumentalny (1957), oraz jako jeden z ostatnich utworów „Trzy Wiersze Czesława Miłosza” na sopran i zespół kameralny.

Wreszcie stylistycznie także muzyka fortepianowa Romana Palestra wiąże się z jego muzyką kameralną. W przeciwieństwie do tradycji wirtuozowskiej, tak silnej w fortepianowej literaturze od czasów romantyzmu, fortepian jest tu traktowany jako nowy sposób, jako źródło kolorystyki, wielopłaszczyznowych układów dźwiękowych, czy efektów perkusyjnych. Palester kontynuuje tu proces rozpoczęty zaledwie w późnym okresie twórczości Beli Bartóka.

Stąd też jako szczególnie charakterystyczne dla stylu kompozytora wymienić należy utwory komponowane na dwa fortepiany jak „Muzyka” na dwa fortepiany i orkiestrę (1954-56) czy „Varianti” na dwa fortepiany (1963).

Oczywiście mamy tu także szereg utworów przeznaczonych dla jednego pianisty jak I-sza i II-ga Sonata, „Wariacje”, „Espressioni”, „Passacaglia”, w których kompozytor rozwija wspomniane poprzednio konstrukcje dźwiękowe. Ogólnie biorąc wspomniany styl Palestra transponuje jakby w inny wymiar właściwości jego stylu symfonicznego: kalejdoskopowość bogactwa zmiennych, olśniewających barw w połączeniu z organiczną logiką konstrukcji, często z pozoru traktowaną dosyć luźno. W ostatnim okresie te właściwości stylistyczne wzmoczone zostały stosowaniem „formy otwartej”, „aleatoryzmu” pozwalającym wykonawcy na modelowanie różnych postaci utworu (wedle „klucza” przewidzianego przez kompozytora) drogą różnego zestawiania elementów jego konstrukcji w wymiarze poziomym (czasowym) jak pionowym (harmoniczno-kontrapunktycznym).

I wreszcie omawiając muzykę Palestra nie możemy pominąć nurtu o twórczości dramatycznej i oratoryjnej. Ilość dzieł tego gatunku jest w całości dorobku kompozytora skromna przynajmniej w stosunku do jego muzyki symfonicznej czy kameralnej, jednak utworom tym przypisać należy miejsce szczególne. Są to „Requiem” na cztery głosy solowe, chór i orkiestrę (1946-1947), „Missa brevis” na zespół wokalny (1951), oraz „Śmierć Don Juana”, akcja muzyczna do tekstu Oskara V. Miłosza.

Do tego możemy dołączyć nieukończony dramat muzyczny „Żywe Kamienie” oraz jedyny w dorobku kompozytora balet „Pieśń o Ziemi” (1937) według scenariusza Leona Schillera, skomponowany dla zespołu baletowego Bronisławy Niżyńskiej i nagrodzony Złotym Medalem na Wystawie Światowej w Paryżu w roku 1937.

Muzyka sceniczna Palestra ma niewątpliwy związek z jego działalnością jako autora ilustracji muzycznych dla filmu i teatru, uprawianej ze szczególną intensywnością przed wojną i w pierwszych latach powojennych.

Szczytowym osiągnięciem Palestra w dziedzinie muzycznej dramaturgii jest bezsprzecznie „Śmierć Don Juana” wedle tekstu opartego na miłoszowskim moralitecie Miguel Mañara. Utwór ten przyniósł kompozytorowi I-szą Nagrodę na konkursie włoskiej sekcji Międzynarodowego Stowarzyszenia Muzyki Współczesnej (S.I.M.C.) w roku 1962, co miało mu zapewnić wykonanie przez zespół Opery w Bergamo. Ostatecznie jednak pierwsze wykonanie i radiowe nagranie dzieła zrealizowane zostało w Brukseli, nie doczekało się natomiast realizacji scenicznej. Jest zresztą oczywiste, że mogła być ona podjęta przez teatr muzyczny o awangardowym programie i twórczym charakterze*, a więc o cechach będących zaprzeczeniem tradycji włoskiego teatru muzycznego gdzie wprowadzenie nawet klasyki współczesności napotyka niezmiernie przeszkody.

„Śmierć Don Juana” jest twórczym nawiązaniem do odległych historycznie tradycji muzycznego teatru, do moralitetu oratoryjnego pierwszej połowy XVII-go stulecia, akcji muzyczno-dramatycznej w której czynniki, słowa, akcji i muzyki zachowując swą autonomię tworzą syntezę o idealnie wyważonych proporcjach. Dzieło to może więc być niemal równie pełnym w scenicznej realizacji jak w „rapsodycznej” formie estradowej czy radiowym „teatrze wyobraźni”.

* Zgodnie z planami repertuarowymi przedstawionymi na początku sezonu 1977/78 przez nowego dyrektora Opery Łódzkiej Bohdana Wodiczkę „Śmierć Don Juana” ma zostać wykonana na scenie tego teatru w sezonie następnym, w lutym 1979. Przewidziane jest również wystawienie baletu „Pieśń o Ziemi”.

Jak wynika z przedstawionego przeglądu problemów ogólna charakterystyka dorobku muzycznego Romana Palestra jest rzeczą szczególnie trudną. Jednakże mimo tak bogatego wachlarza uprawianych gatunków oraz oczywistej, a nawet bardzo zasadniczej, ewolucji stylistycznej mamy tu do czynienia z twórczością wykazującą trwałość jej zasadniczych wartości i ich harmonijny rozwój. Oczywiście styl Palestra od swych początków miał charakter złożony, oparty na syntetyzowaniu różnych technik i tendencji. Nie możemy też tego kompozytora zaklasyfikować w jednoznaczny sposób do żadnej z istniejących szkół, działających w tym czasie w Europie. A jednocześnie nie jest to w żadnym wypadku twórczość o charakterze eklektycznym. Podobnie jak Strawiński, który asymilując w późnym okresie swej kompozytorskiej działalności środki stworzone przez ówczesną awangardę przetwarzał je na materiał swego bardzo własnego stylu, Palester wzbogacając i przetwarzając środki swej kompozytorskiej wypowiedzi pozostaje niezmiennie sobą. Intelktualny konstruktywizm połączony z bogactwem i wielorakością muzycznej ekspresji oraz niezwykle bogatą wrażliwością i inwencją kolorystyczną nadają jego muzyce jej najistotniejszy sens.

Ostatnie dwudziestolecie, które w muzyce naszego kręgu kulturalnego upłynęło pod znakiem monopolu (lub wręcz kultu) dźwiękowej odkrywczosci połączonego zazwyczaj z niedowładem lub prymitywizmem formy nie dawało wielkich szans muzyce reprezentującej wręcz przeciwne wartości.

Dziś jednakże zaczyna zarysowywać się przełom. Jałowość nastawienia eksperymentatorsko-awangardowego jako postawy wyłączonej zdaje się docierać coraz bardziej do świadomości kompozytorów i kręgów odbiorców współczesnej muzyki. Spotkanie z nurtem równowagi i jego mało dziś znanym dorobkiem wydaje się nieuniknione.

Jak można sądzić, potrzeba „odkrycia” muzyki Romana Palestra i nadania jej rangi pierwszorzędного czynnika polskiego dorobku muzycznego naszego stulecia jest dziś w pełni zrozumiana i podzielana przez polskie środowisko muzyczne. Akcje w tym kierunku postulowali zresztą od dawna jego najwybitniejsi przedstawiciele.

Oczywiście, aby to zrealizować przezwyciężać nadal trzeba niemałe pozaartystyczne opory. Wiemy jednak że — jak wykazuje to choćby przykład losów pisarstwa Gombrowicza w Polsce — opozycja tego rodzaju zmuszona jest zawsze w końcu do kapitulacji wobec argumentów artystycznej oczywistości.

Adam SUTKOWSKI

Malewicz a Polska

W STULECIE URODZIN

Kazimierz Malewicz (1878-1935), urodzony i wychowany w czysto polskiej rodzinie na Ukrainie, odegrał rolę przewodnią w rosyjskiej awangardzie. Był jej wybitnym przedstawicielem i był nie tylko malarzem i twórcą „architektonów”: pozostawił także wielką spuściznę pisarską jako filozof sztuki. Jeśli pisał po rosyjsku, to zapewne myślał po polsku i nigdy o swej polskości nie zapomniał, podając narodowość polską w podaniu o wizę do Francji w 1926 roku w Konsulacie Francuskim w Leningradzie.

Gdy w początku 1927 roku, w marcu, udało się Malewiczowi odwiedzić Polskę, jego idee były już doskonale tutaj znane. Począwszy od 1922 roku Władysław Strzemiński po opuszczeniu Rosji przedstawił w czasopiśmie *Zwrotnica* zasady suprematyzmu i jego przeciwstawienie się konstruktywizmowi. Już w 1923 roku Strzemiński organizuje w Wilnie w towarzystwie Kajraksztisa, pierwszą w Polsce wystawę, na której były wystawione dzieła suprematyzmu. Rok później, w czasopiśmie *Blok*, wokół którego skupiała się awangarda polskiego konstruktywizmu, ukazało się tłumaczenie Malewicza „Nowe systemy w sztuce¹”, jak również liczne reprodukcje dzieł Malewicza. 1926 roku, w czasopiśmie *Praesens* były opublikowane po raz pierwszy fragmenty prac, które następnie ukazały się dzięki staraniom *Bauhaus*². Należy nadmienić, że w *Praesens* była wydrukowana również wersja francuska tych fragmentów — jeden z pierwszych tekstów Malewicza dostępny czytelnikowi francuskiemu. W 1926 roku Malewicz wysłał do Warszawy kilka „architektonów” na międzynarodową wystawę architektury, która miała miejsce w Zachęcie. Przybywając do Polski w 1927 roku Malewicz odnajduje podobny klimat, jaki znała awangarda rosyjska. Dookoła czasopisma *Dźwignia*, kierowanego przez Szczukę, zgrupowały się tendencje „produktywistyczne”, gdy tymczasem Strzemiński kontynuował refleksje na temat formy.

Pobyty i wystawa Malewicza w Warszawie od 8 do 28 marca 1927 roku, często przemilczane w porównaniu z jego pobytem w Niemczech, były pewnym wydarzeniem życia artystycznego w Polsce. Oddźwięk nie ograniczał się tylko do środowiska awangardy. Otóż jeśli przyjazd Malewicza był powitany przez entuzjastyczny artykuł Peipera „Malewicz w Polsce” w *Zwrotnicy*

1. Kazimierz Malewicz, „O sztuce”, *Blok*, 1924, Nr 3/4, Nr 8/9.

2. Kazimierz Malewicz, „Świat jako bezprzedmiotowość”, *Praesens*, 1926, Nr 1.

i spowodował polemikę ze Szczuką, potępiającym suprematyzm w artykule „Pozgonne Suprematyzmu”, ogłoszonym w *Dźwigni*, to również prasa codzienna zamieściła notatki³. Należy więc zgodzić opinie, wedle których Malewicz miał być traktowany jako „niebezpieczny bolszewik”. Otóż właśnie prasa położyła akcent na trudnościach, jakie napotykał Malewicz w ZSSR i na potępieniu przez Malewicza utylitarnych celów konstruktywizmu. Tak więc w *Tygodniku Ilustrowanym* krytyk Wacław Husarski napisał: „Działalność Malewicza, teoretyczna i praktyczna, wywarła wyraźny wpływ na rozwój sztuki współczesnej, zwłaszcza w dziedzinie dekoracji; wywołała natomiast niezadowolenie miarodajnych sfer sowieckich, którym nie dogadza ani zasada antyutyli-taryzmu, ani teoria bezprzedmiotowego piękna, dla szerokich mas najzupełniej niezrozumiała⁴”.

25 marca Malewicz wygłosił po polsku odczyt zatytułowany „Analiza współczesnych kierunków artystycznych”, w czasie którego przedstawił swoją działalność w Instytucie Kultury Artystycznej w Leningradzie i ataki jakich obiektem był suprematyzm ze strony zwolenników konstruktywizmu. Wystawa i odczyt Malewicza odbyły się na pierwszym piętrze Hotelu Polonia, w Polskim Klubie Artystycznym.

Aczkolwiek pobyt Malewicza w Polsce był stosunkowo krótki, miał jednak znaczenie, jak świadczy notatka w *Messenger polonais* z 5 kwietnia 1927 roku: „...Malewicz nawiązał kontakt z przedstawicielami polskiej sztuki, odwiedził liczne pracownie malarskie, szkoły artystyczne i wystawy. Przed swym wyjazdem został zorganizowany dla niego bankiet w Klubie Artystycznym w Hotelu Polonia, w którym wzięło udział sześćdziesięciu artystów i krytyków”.

Polska w okresie międzywojennym była jedynym krajem, w którym Suprematyzm i idea Malewicza nie pozostały bez konsekwencji w kręgu awangardy artystycznej. Otóż stało się to dzięki Strzemińskiemu, który poszedł dalej niż suprematyzm, tworząc nowy kierunek — tzw. „Unizm”, wypracowany już w latach 1924-1925. Polska awangarda również przyjęła i rozwinęła program pedagogiczny i wychowawczy ustalony przez Malewicza. Tak więc program nauczania Strzemińskiego w Kuluszkach był bezpośrednim odbiciem *Unovis* i Akademii Suprematycznej w Witebsku. Otwarcie Kolekcji Międzynarodowej Sztuki Nowoczesnej „A.R.” (artystów rewolucyjnych) w Łodzi w 1931 roku było też realizacją tendencji reprezentowanych przez Malewicza. Jeśli rezultaty działalności awangardy w Polsce były ograniczone, to jednak jej osiągnięcia przekroczyły granice kraju i stanowiły

3. *Zwrotnica*, 1927, Nr 11; *Dźwignia*, 1927, Nr 3/4; *Robotnik*, 1927, Nr 82; *Warszawianka*, 1927, Nr 8; *Sztuki piękne*, 1926-1927, str. 281; *Przegląd artystyczny*, 1927, Nr 3; *Messenger polonais*, 1927, Nr 55, Nr 67, Nr 79.

4. *Tygodnik Ilustrowany*, 1927, Nr 14.

jeden z momentów przewrotu artystycznego XX-go wieku, którego znaczenie dopiero teraz zaczyna być uznawane. Kazimierz Malewicz był jednym z twórców tego przewrotu „artysty wielkości niezmierniej — olbrzymia, decydującego o losach sztuki przez całe stulecia⁵”.

Xawery DERYNG

5. Władysław Strzemiński, „O sztuce rosyjskiej”, *Zwrotnica*, 1923, Nr 4.

BIBLIOTEKA « KULTURY »

TOM 282 — LESZEK KOŁAKOWSKI

GŁÓWNE NURTY MARKSIZMU

Powstanie — Rozwój — Rozkład

Tom II

Książka jest krytycznym przeglądem dziejów doktryny marksistowskiej z uwzględnieniem jej filozoficznych i politycznych źródeł. Tom II-gi jest poświęcony odmianom marksizmu, powstałym w Europie w epoce II-giej Międzynarodówki.

Str. 544.

Cena F.110,00.

Tom I-szy — zawierający 432 strony kosztuje F. 75,00.

Wołanie na puszczy

Mój przedostatni odjazd

Sposobię się już do powrotu — wysiedziałem się znów pół roku na Zachodzie a Warszawa po staremu czeka. Jeszcze może zostawię felieton do wrześniowego numeru *Kultury*, a potem ze względu na trudności „transportowe” rzecz nie będzie tak pewna. Ale co się człowiek nabawił to się nabawił — zabawa rzecz dla starych ludzi nader łąkoma, pisywanie pod koniec życia bez cenzury to rozrywka ogromnie atrakcyjna dla kogoś, kto przez 33 lata sygnował teksty zmienione i zafałszowane. Pisywanie do *Kultury* (paryskiej oczywiście, nie tej redagowanej w Warszawie przez nieszczęsnego Dominika Horodyńskiego), to moje prywatne hobby, poza tym specyficzna forma dialogu z władzami PRL, które praktycznie rzecz biorąc są jedynymi w kraju czytelnikami tego pisma. Za to na emigracji czyta je sporo Polaków, lecz ich reakcje niezbyt są dla mnie obliczalne i zrozumiałe, przy tym nader rozbieżne. Tak na przykład jedni atakowali mnie w listach i artykułach za rzekomo defetystyczny pesymizm (rzekomo, bo ja sądzę, że realistyczny pesymizm to raczej „honorny” bodziec do wzmoczenia wysiłków), inni zarzucali lekkomyślny humorek i błazenadę. Już sama owa rozbieżność zarzutów dowodzi, że „coś tu nie gra”, że czytelnicy tutejsi niezbyt mnie rozumieją. Wynika to — jak myślę — z faktu, że zagraniczni Polacy nie mają krajowej szkoły dialektycznej. Profesor Tatarkiewicz napisał kiedyś, że dialektyka to jedyna rozsądna część marksizmu, zresztą część mało oryginalna, boć wpadł na to jeszcze stary Heraklit. Czytanie dialektyczne uwzględniać winno całokształt postawy autora, formującej się przez lata wśród konfliktów i sprzeczności, czytać trzeba na tle przeszłości, wiedząc kto, kiedy, po czym i gdzie pisze, a także w jakim celu i w jakich okolicznościach. Polacy w kraju umieją swoją (!) prasę (!?) czytać dialektycznie, Polacy na emigracji mniej są wyćwiczeni. No cóż, każdemu według jego zasług...

Jeśli zaś chodzi o defetystyczny i przez to szkodliwy pesymizm,

to przykład jego znalazłem akurat w... paryskiej *Kulturze*, tyle że przez nikogo nie zauważony. Oto Michał Heller w „Szkicach do fizjologii współczesnego despotyzmu” (nr 5) pisze: „Jak embriion człowieka, powtarzający w swym dziewięciomiesięcznym rozwoju całą ewolucję rodzaju ludzkiego, literatura — i historia — „krajów socjalistycznych” powtórzyły historię sowieckiego państwa”. Jest to kompletna nieprawda, dowodząca skrajnej nieznajomości rzeczy, zwłaszcza spraw polskich. Jak można powiedzieć, że Polska, ze swym nietkniętym w zasadzie Kościołem katolickim, z plejadą katolickich pisarzy, z latami funkcjonującym *Tygodnikiem Powszechnym*, czy choćby z potężnym wydawniczo, milionowym PAX-em, Polska, gdzie nie było Slansky’ego a rodzimy Gomułka wykręcił się paroma ulgowymi latami Miedzyszyna, Polska gdzie nieprzerwanie, mimo usiłowań, trwa prywatne władanie ziemią, Polska, która miała przewroty 1956, 1968, 1970, która miała *Po prostu* i którą opuścić musiał marszałek Rokossowski, jak można — zapytuję — lekkomyślnie powiedzieć, że ta Polska „powtórzyła historię sowieckiego państwa?”. Toć bujda na resorach i bujda stokroć szkodliwsza, niż wszelkie moje hipotetyczne pesymizmy lub optymizmy. A znów w *Wiadomościach* londyńskich miły skądinąd p. Czesław Halski pisze (nr 1675), że po wojnie, w okresie socrealizmu „nawet Szymanowski był wyklęty i zaszczuty, bo jego muzyka wносиła zarazki zgnitego Zachodu”. Mam w oczach natłoczoną salę warszawskiej Romy, gdy wyfraczony Fitelberg prowadzi koncert Szymanowskiego a w łoży honorowej siedzą Bierut, Zawadzki, Sokorski, Iwaszkiewicz i oczywiście — młodzieńczo piękny — Andrzej Panufnik. Partyjni spryciarze w rodzaju Sokorskiego, Maklakiewicza czy Łobaczewskiej (jej olbrzymia księga o kompozytorze!) ze skóry wówczas wyleźli, aby wytłumaczyć, że Szymanowski to ojciec polskiego, ludowego i narodowego realizmu w muzyce, toteż grano go mnóstwo, nawet „religianckie” *Stabat Mater*. Po cóż więc pisać bujdy — aby uprawdopodobnić sowiecki schemat?! To jest właśnie szkodliwy defetyzm, wynikły z nieznajomości faktów i niewiary w życie, które bywa dialektyczne i nieoczekiwane przekreśla schematy.

Ale dość kłótni i polskich naszczekiwań, choć z wrodzoną mi skromnością sądzę, że wniosłem ostatnio do *Kultury* nieco różniczy zdań i zanikających w tym organie wewnętrznych dyskusji — nie tak to *illo tempore* w śp. *Buncie Młodych* bywało! Obecnie, wracając do Polski, chcę napisać parę gorzkawych słów o naszym kochanym Zachodzie: nieszczęśliwa bowiem miłość widzi sprawy bystro, a kto się czubi ten się lubi. W roku 1962, wyjeżdżając z Paryża napisałem był do *Kultury* pesymistyczny „Mój testament”, zakończony słowami „Zegnajcie bracia, ja ujeżdżaju”, po czym 9 lat nie wyjeżdżałem na Zachód. A jak będzie teraz? Może już nie przyjadę, a może przyjadę pojutrze — niczego nie sposób przewidzieć, bo Polska dzisiejsza to kraina irracjonalna, choć rządzona oficjalnie w imię racjonalizmu (znów dialektycznie krzepiący paradoks!). Licząc więc optymistycznie,

że to mój wyjazd przedostatni, chciałbym trochę popsioczyć na naszych braci z Zachodu, choć dzięki nim miewam w życiu liberalistyczne urlopy. Popsioczyć zawsze można, zwłaszcza gdy taktycznie rzecz jest nieszkodliwa, jako że nikt poza Rodakami tego nie przeczyta.

Raymond Aron wymyślił swój „Koniec wieku ideologii” i zaiste żadnej ideologii się tu w Zachodniej Europie nie dopatruję poza... marksizmem. Młody człowiek, mający potrzebę świeckiej (powtarzam: świeckiej) popularnie wyjaśniającej świat i jako tako podbudowanej filozoficznie ideologii, znajduje tutaj pod ręką tylko i wyłącznie marksizm. Ze marksizm wyjaśnia świat błędnie, że się praktycznie nie sprawdził, a moralnie zbankrutował stając się na Wschodzie narzędziem działania sił wstecznych, imperialistyczno-dyktatorskich, tego się nasz młody człowiek nigdy nie dowie, ma bowiem poznanie geograficznie i ustrojowo ograniczone, informuje go bądź dyletancka, bądź przez tzw. *lewicę* podgryziona prasa (obłudny *Le Monde*), a gdyby się dowiedział, jak jest naprawdę, byłoby już za późno, zresztą byłoby to dlań klęską i ideowym bankructwem. Wobec tego nasz lepszy, bo nie karierowiczowsko-pragmatyczny młody człowiek marksi-zuje, żyje swą ogólnikową „lewicowością” („lewica” i „prawica” to dziś zwyczajowe zbitki słowne, nic nie znaczące lub funkcjonujące przeciwieństwo do swego pierwotnego sensu), ograniczoną do jego świata. JEGO świat to świat nowoczesny, demokratyczny, zaopatrzony w środki masowej informacji i komunikacji, w prasę, w publiczną dyskusję, w możliwości międzynarodowej wymiany wartości. Ale istnieje też znacznie większy, miliardowy świat inny: Chiny, Związek Sowiecki, Wietnam, Kambodża, a także przyłączone do ich systemu Polska, Rumunia, Czechosłowacja, Bułgaria, Węgry, NRD, Albania, gdzie nie ma ani prasy, ani informacji, ani publicznej dyskusji. Ale nasz ideowy i postępowy, lepszy od swych rówieśników młody człowiek zachowuje się tak, jakby jego świat był światem jedynym, cisza płynąca z miliardowego Wschodu ani go nie peszy, ani nie daje mu niczego do myślenia. Brakiem wolności politycznych w Ameryce Południowej, owszem, zainteresuje się, tam wszakże dociera jego prasa — Wschodem żyjącym bez żadnej prasy nie zainteresuje się zgoła. Przeciwno mistrzostwom piłkarskim w Argentynie będzie protestował, na Olimpiadę w Moskwie przystanie bez namysłu. Dlaczego? Nie wiadomo: to jedna z wielkich zagadek psychologicznych naszych czasów!

Jaką świecką ideologię można by przeciwstawić pozornie uporządkowanemu metodologicznie, a do szlachetnych, odważnych czynów zachęcającemu marksizmowi? Pragmatyzm, postęp materialny, dobra organizacja życia? To przecież nie są żadne idee, tego owa spragniona idealizmu młodzież ma tu po uszy, przeciw temu filisterstwu właśnie się burzy. Patriotyzm, nacjonalizm, misja narodowa? To w powojennej Europie Zachodniej zbankrutowało jeśli chodzi o wielkie narody, tylko lilipucim Baskom czy groteskowym Szkotom roi się jeszcze heroiczną walkę o „nie-

podległość”. Ostatnie nacjonalistyczne krucjaty w Europie wiedli: obłąkany, sadystyczny prymityw — Hitler i obronna — bankrutujący pogrobowiec — Churchill. Potem już próżnia: nie udało się Dullesowi antykomunistyczna krucjata, podgryzła go w Europie „lewicowa” propaganda, reszty dokonał De Gaulle, niby w imię suwerenności, w istocie w imię bojaźliwej neutralności. A ludowi w to graj, ludowi zaopatrzonemu w kartkę wyborczą: dawni monarchowie, wodzowie i kapłani mieli koncepcje, ideologie, patriotyzm, misje narodowe, lud natomiast chce tylko jeść i mieć się dobrze, lud nie chce się bić, lud jest pragmatyczny, „dusza wojownika” zanikła w krajach demokracji i parlamentaryzmu, zanika też pojęcie honoru narodowego czy państwowego: było ono właściwością „klas rządzących”, boć „proletariusze nie mają ojczyzny”, jak z głupkowatą radością obwieszczał nieszczęsny Marks. W rezultacie panowie Mitterand i Rocard protestują w parlamencie przeciwko „imperialistycznej akcji francuskiej w Zairze”. Polityka w ramach egoizmu państwowego ale bez państwowego czy narodowego honoru, ciekawy zaiste wynalazek, uśmieć się z tego można tego (choć bez radości), zwłaszcza gdy się pomyśli o Wschodzie, gdzie lud nic nie ma do gadania i gdzie miliardowymi masami rządzą bez przeszkód kapłani, ideolodzy, szowinistyczni wodzowie. A to ci kino: wszystko odwrotnie niż się nazywa!

I w tej sytuacji sprawa polska — „słoń, a sprawa polska” — wielki, obojętny, pragmatyczny lub ideowo pomylony słoń i maleńka lecz jedyna, ciepła, ojczysta, nabrzmiała tradycyjnymi uczuciami sprawa polska. Hm. Wydaje mi się (a raczej jestem pewien), że „sprawa polska”, czy w ogóle sprawa niesuwerenności krajów Europy Środkowo-Wschodniej po drugiej wojnie światowej, absolutnie w świadomości przeciętnej Francuza nie istnieje, nie domyśla się on raczej że nam w ogóle czegoś brak, a jakieś tam „naruszanie praw człowieka” np. w Czechosłowacji uważa za odosobnione, „antysocjalistyczne” przegięcie. Co zaś do Polski specjalnie, to traktuje ją jako kraj tradycyjnie szlachecki i reakcyjny, który na nic sobie nie zasłużył a i tak ma za dobrze.

W ogóle historia Polski, zwłaszcza nowożytna, to najbardziej nieznaną z narodowych historii, bo też dla cudzoziemca trudna jest ona i egzotyczna jak diabli. Najpierw zbawienny dla Europy (tak uważa nie tylko p. Kissinger ale i wszyscy francuscy rusofile, a jest ich legion) Kongres Wiedeński podzielił Polskę na amen i na sto lat. Niestety niewdzięczni Polacy nie chcieli się z tym pogodzić a jakiś zwariowany Poeta modlił się nawet „o wojnę powszechną ludów” (za co go chwalimy, ale nie wszyscy, bo ludzie Zachodu uważają taką modlitwę za nader niehumanitarną: jakżby patriota modliłby się dziś w ten sposób, założywszy, że wojna powszechna będzie atomową i że zostanie po niej na świecie więcej trupów niż żywych — chyba Chińczyk by się na to zdecydował, ale to nie sztuka, jak się ma 900 milionów ludzi, a poza tym Chińczyk nie modliłby się do Boga). Ale, jak najnie spodziewanej w świecie, temu obłąkanemu polskiemu wierszo-

robowi się udało, bo wojna powszechna ludów („Wielka Wojna białych ludzi”) rzeczywiście wybuchła, trzech cesarzy całkiem niespodziewanie padło, wykorzystał to „proniemiecki” p. Piłsudski przy pomocy z drugiej strony „prorosyjskiego” p. Dmowskiego i oto powstała wolna Polska, nie licząc Czechosłowacji, Węgier, Jugosławii i innych niewdzięcznych wobec monarchii Habsburgów i Świętego Przymierza kraików. Powstała jednak nie na długo, zaledwie na 20 lat. Wprawdzie jeszcze ministrowi Beckowi udało się „dla honoru” wywołać drugą Wojnę Powszechną Ludów, ale Polska wyszła na tym jak najgorzej a honoru nikt nie zauważył, przeciwnie, naigrawać się zaczęto, że Polska walczyła tak krótko, zaś najgłośniej naigrawali się ci, co nie przyszli z pomocą a niezadługo popisać się mieli Pétainem, Lavalem i Darnandem*. Wysiłek polskiego Państwa Podziemnego też nie przydał się na nic, poza zburzeniem Warszawy. Obserwowałem niedawno międzynarodową konferencję naukową w Warszawie, poświęconą Ruchowi Oporu w okupowanej przez Hitlera Europie: pomimo heroicznych wysiłków polskiego uczestnika i historyka podziemia Władysława Bartoszewskiego wyszło, że prawdziwy opór to był tylko we Francji, a u nas mucha i lipa. Tak toczy się światek...

Cóż więc można polecić w naszej bezideowej, pragmatyczno-racjonalnej epoce? Rolę niesforne go ministra Becka, dla którego słoń o tyle tylko był ważny, o ile uznawał sprawę polską, przejęli dziś Izraelczycy i jakoś im to jak dotąd idzie, mimo naftowej potęgi Arabów. Dlaczego, w jaki sposób im idzie? Przez zanegowanie „realizmu” i „pragmatyzmu”, przez ideologiczną „wariackość” czyli powoływanie się na „legendy religijno-mesjanistyczne”, na kilkutyśiącletnie marzenia o Jerozolimie, snute przez „naród wybrany”, obdarzony misją i szczerym fanatyzmem. Tylko bowiem „nierealne”, ideologiczne legendy wyzwalają dynamizm narodów: Hitler namówił solidnych na pozór Niemców do bicia się z całym światem w imię zupełnie bezsensownej idei, wymordował bez potrzeby miliony ludzi a karierę zrobił, wbrew zamierzeniom, Stalinowi, który ze swojej strony też operował mitologią, zwaną dla odmiany marksizmem. Tylko bowiem ideologowie chcą dziś jeszcze walczyć o świat!

A nasza Polska? Nie bardzo wierzę w nowy cud. Mickiewicz ze swoją ideologiczną „wojną powszechną ludów” mógłby się dziś urodzić w Izraelu — w Polsce okrzyknięto by go za podżegacza wojennego czy za nowego Bora-Komorowskiego — tak, mój miły Korespondencie. Dzisiejsza Polska, skłopotana, odrętwiona, nowa i jeszcze nie skryształizowana społecznie, a przeczesywana od rana do nocy wszechobecną propagandą, nie ma ani historycznej świadomości ani heroicznego, wariackiego determinizmu. Dlatego chwałę wielkim głosem nielicznych zdeterminowanych: Michników i Czumów, Kuroniów i Ziejów. Ale ilu ich?

* Bestialski minister spraw wewnętrznych rządu Vichy, rozstrzelany po wojnie.

I co osiągną?! Boję się, że w istocie — nie ma sprawy. Bo i nie ma uniwersalizmu, tylko „słoń, a sprawa...”.

Wróćmy jednak jeszcze na chwilę do przegryzonej i osłabionej przez parlamentaryzm (nam by się przydał — im jest na nic) Europy Zachodniej. Potrzeba im dzisiaj twórczego fanatyzmu i ideologicznego absolutyzmu, lecz pseudohumanitarna ideologia „świeckiej lewicy” tudzież młodzieńcze tęsknoty marksistowskie podgryzły rzecz na długo. Pewien profesor tłumaczył mi, że zapładniającą i podniecającą (galwanizującą!) rolę odegrać by tu mogła idea zjednoczenia Europy, ucieleśniana ostatnio w zbliżających się wyborach do Parlamentu Europejskiego. Zgadzam się, idea jest piękna a przy tym i politycznie racjonalna, boć bez zjednoczenia szczątkowego, zachodniego półwyspu europejskiego ktoś mógłby wybrać jego kraiki po kolei i z osobna jak kury z koszyka (kto? — nie powiem). Dojdzie więc do zjednoczenia prędzej czy później, mimo oporów panów Debré czy Sanguinettiego, anachronicznych pogrobowców gaullistowskiego separatyzmu i neutralizmu oraz mimo wysiłków zachodnich komunistów, którzy przebrzmiały walką z resztkami swej burżuazji dawnego typu starając się odwracać uwagę od zagadnień światowej strategii. Ale koncepcja europejska mogłaby odegrać odrodzieńczą rolę tylko wtedy, gdyby napełnić ją treścią ideologiczną, gdyby Zjednoczonej Europie Zachodniej przyznać misję ogólnoswiatową, moralną i polityczną. Motorem dynamiki historycznej bywają ideologie lub nienawiści — na przykład rasizm to potężny bodziec dla skażonej grzechem pierworodnym ludzkości, czego zresztą starają się nie dostrzec przeróżni obłudnicy. Istnieje dziś olbrzymi rasizm żółty i dynamiczny rasizm czarny, nie wiadomo natomiast jak ma na to reagować Cywilizacja Człowieka Białego, czyli euroamerykańska, która po niewczasie, po zbrodniach Hitlera, bije się w cudze piersi i wstydzi własnego istnienia. Nie dawno dziennik *Figaro* (31. 5. br.) bardzo się cieszył i winszował sobie, iż przewidział, że hasło „Afryka dla Afrykanów” okaże się bez sensu a Afryka stanie się beczką prochu, jeśli Biali(?) czegoś sensownego i jednolitego w niej nie wymyślą. *Figaro* nie ma się co chwalić prorocत्वami wobec mnie lub kolegi Ungera: kto czytał moją pracę „Czy istnieje walka o świat”, ten wie, że na temat Afryki i unieszczęśliwiającej ten kontynent rzekomej „dekolonizacji” tudzież sprzedawania mu broni, przepowiedziałem tam wszystko, co się sprawdziło, tyle że na polskie prorocтва nikt nie zwraca uwagi, w ogóle z góry ich nie czytając. Rzecz w tym, że i ja i kolega Leopold Unger wychowaliśmy się w cieniu Wielkiego Brata, zaś Wielki Brat od czasów carów jeszcze jest zawodowym i wybitnym graczem w szachy. Otóż rasowy szachista, gdy mu ktoś przez nieuwagę lub brak namysłu podstawi wieżę do bicia, to — chce czy nie chce — musi ją zabić. Trudno i darmo, ale musi, bo on gra i wie na czym gra polega.

Co zrobić, by Zachód nie podstawał kolejnych figur do bicia? Hm. Niewątpliwie nie pomogą na to zmienne i przymilne tańce

pana Cartera, który oddał Panamę, marzy o oddaniu Rodezji i pozbyciu się Południowej Afryki, sprzedaje broń na Bliski Wschód, trzęsąc się przed Arabami, że mu zamkną dopływ ropy, a wtedy rozgniewani wyborcy amerykańscy nie wybiorą go po raz drugi. Jaka na to rada? Albo nabrać i zaskoczyć społeczeństwo amerykańskie, jak to podobno zrobił Roosevelt, prowokując wojnę z Japonią, albo też zgwałcić to społeczeństwo, zmuszając je do wyrzeczenia się np. pasji automobilowej, ewentualnie przesadzić wszystkich na rowery, co ironicznie proponował był kiedyś Białym Narodom rozsądny Szach Iranu. Oczywiście rad moich nikt nie usłucha, psie głosy nie idą pod niebiosy.

Tak więc, przed odjazdem na Wschód popsioczyło się trochę na naszych Zachodnich Przyjaciół. Bardzo jednak proszę Redaktora *Kultury*, aby zachował rzecz przy sobie: ogromnie się boję, że ludzie Zachodu, choć masochiści, mogą się jednak do mnie zrazić, a nie chciałbym tego, gdyż lubię spędzać u nich urlopy, za mojego życia jeszcze chyba tego wystarczy. Nie jestem optymistą i nie podzielam lekkomyślnego poglądu pewnego mojego przyjaciela, który zaczął wierzyć w upadek komunizmu od czasu, gdy do problemu tego wzięli się Żydzi. Osobiście, Panie Redaktorze, w mit o żydowskiej wszechmocy nigdy nie wierzyłem, skłonny za to jestem przychylić się do zdania innego mojego przyjaciela, który powiedział: „Amerykanie nas sprzedali, za to Rosjanie nie sprzedadzą nas nigdy!“. Między nami mówiąc, Panie Redaktorze, na tym Zachodzie rzeczywiście nie zrobiliśmy od dawna żadnego interesu, podczas gdy na Wschodzie jest naprawdę solidna, szachowa firma. Wobec czego, jako że głowa mi jeszcze miła, żegnajcie — ja ujeżdżaju!

KISIEL

WHO'S WHO IN SOCIALIST COUNTRIES

Biograficzna Encyklopedia
obejmująca 10.000 czołowych osobistości
w 16 krajach socjalistycznych.

Opracowana przez Borysa LEWICKIEGO
i Juliusza STROYNOWSKIEGO

Wydana w języku angielskim przez
K. G. Saur Publishing Inc., New York.
Verlag Dokumentation Saur AG, München.

Książki

Elegia na śmierć miasta

Z coraz nudniejszych ostatnio *Twórczości* wyłuskałam dwa opowiadania wydrukowane tam niepojętym kaprysem cenzury. *W pełni sił* — Adama Zagajewskiego¹ i *Gra na zwłokę* — Janusza Andermana² przypominają debiuty krakowskich *poètes maudits* sprzed blisko dwudziestu lat: Brusy, Czycza, Iredyńskiego, Stanucha. Zagajewski jest poetą i krytykiem krakowskim. Z nazwiskiem Andermana spotykam się po raz pierwszy.

Te dwa opowiadania różnią się od siebie we wszystkim, ale żywią się tą samą tkanką, tą samą realistyczną materią. *Gra na zwłokę* toczy się w Krakowie. *W pełni sił* toczy się w uniwersyteckim, niezbyt sporym mieście, którego atmosfera do złudzenia przypomina Kraków. Duszącemu wręcz zagęszczeniu realiów w *Grze na zwłokę*, odpowiada zawieszenie i wątpliwość akcji w prozie Zagajewskiego. Ale są to symptomy tej samej choroby: poczucia nierzeczywistości, fikcyjności istnienia, które — paradoksalnie — narastają w rzeczywistości opresyjnej i bezwyjściowej.

Bohater Zagajewskiego umiera zgodnie z tytułem, w pełni swych sił fizycznych. Ale to od lat żywy trup i ta, przypadkowa zresztą, śmierć przerywa tylko proces duchowego wiotczenia. Opowiadanie napisane jest w formie wymyślnego wywiadu, który narrator udziela kobiecie, redaktorce jakiegoś pisma. Jest poetą, ma na imię Ludwik, skończył przed laty biologię. Po studiach otrzymał pracę w biurze projektowym: „Powierzono mu marginesowe tam problemy biologiczne. Było to związane z duchem czasu, ochroną środowiska. Miał opiniować projekty, broń życia przed chemią, przed zatrutym oddechem fabryk. Już po dwóch miesiącach zorientował się, że wzięto go na etat tylko

1. *Twórczość* nr 5/77.

2. *Twórczość* nr 12/77.

z przyzwoitości, jego głos nie liczył się wcale. [...] Pierwszego dostawał pensję, ani wysoką ani niską, nic mu tu nie groziło, jeden magister biologii był potrzebny. Magister życia na etacie”.

Ludwik opowiada na przemian w pierwszej i trzeciej osobie; niezręcznie w pierwszej osobie mówić o własnej śmierci. Jego życiorys jest przesycony szarością, pozbawiony elementów dramatycznych, opowiedziany z klasycznym umiarem. W *pełni sił* nie jest spowiedzią kabotyna, sensem psychoanalitycznym, historyczną autoanalizą. Powściągliwość stylu, utajona w nim pasja i ironia odpowiadają znakomicie rytmowi życia Ludwika. Nic tu z namiętności i żółci Andermana. W *pełni sił* przywodzi na myśl lekkie ćmienie zęba, niewyraźny ból głowy nad okiem. *Gra na zwłokę* to rzucanie się w wysokiej gorączce.

Ironia Zagajewskiego jest przytłumiona, niechętna samej sobie. Jego Ludwik raz tylko przeżywa moment wzniosłości; oto przypadkowo spotkani koledzy ze szkoły zaciągają go do restauracji: „Powiedzieli mu ile zarabiają, jakie mieszkania dostali, jak żyją inni ich koledzy z klasy. Zarabiali więcej od niego, od dawna mieli własne mieszkania. Był oszołomiony lawiną wiadomości, natłokiem żon, dzieci, krwi i potu. Był zbyt wątpliwy, żeby sprostać temu nawałowi faktów. Czuł się nierzeczywisty, lekki jak balon wypełniony helem. Na szczęście nie wypytywali go o jego losy, zbyt wielką przyjemność sprawiało im opowiadanie o własnej sytuacji. Zazdrościł im, poczuł żal, litość dla samego siebie, że wciąż żyje jak student. Odprowadził ich na dworzec, nieszczęśliwy i skurczony. [...] Pociąg ruszał powoli, ktoś wskakiwał jeszcze w biegu. W ostatniej chwili przypomniał coś sobie. Ale ja, krzyknął, ja za was mówię”.

Ten krzyk brzmi wątpliwy, i w jego uszach i w naszych, ale wydaje się na miejscu w kraju, w którym od dawna pisarze „mówili” za społeczeństwo, bo nigdy nie starczało w nim demokracji, by społeczeństwo mogło mówić za siebie. Biografia Ludwika jest mało poetycka, bez ekscesów, bez punktów zwrotnych. W młodości najwięcej pasji włożył w pisanie wierszy i zakup wiecznego pióra. To pióro stało się jego znakiem tożsamości — i odrębności — w demokracji długopisów, w tłumie rozbijających się o mniej symboliczne wartości. Życie Ludwika jest zaprzeczeniem poezji, bycie poetą jest też zaprzeczeniem poezji, skoro — jak mu to wytykają gazety — „poetów są miliony”. Ludwik żyje w stanie zawieszenia i programowej bierności. W stanie zawieszenia — choć programowo ruchliwy — żyje także narrator Andermana. Obydwie egzystencje, bierna i chorobliwie aktywna, są fikcyjne. Podobnie jak egzystencje tych obok, którzy z tej fikcyjności nie zdają sobie sprawy: „Tamci, z którymi czasem się spotykał, ci poeci, teraz pili coraz częściej. Z klubu studenckiego przenieśli się do lokalu stowarzyszenia aktorów. [...] Wieczorem wszyscy byli pijani, lecz znali się nawzajem, było jak w rodzinie. Ten, który głośno mówił, nadal wykrzykiwał, że trzeba pisać ostro, ze szwungiem. Pracował teraz w redakcji

pisma, zajmującego się ochroną środowiska naturalnego. Napisał broszurę na ten temat. Wszyscy staliśmy się już dziwakami, pomyślał Ludwik. Ja milczę, tamten krzyczy”. I jeszcze jeden cytat: „Pomyślał pewnego razu, że ma do czynienia ze słowami, którym nic nie odpowiada, i z przeżyciami, których nie potrafi nazwać. Wyobraził sobie, że z tych dwóch niemożliwości wykuto nożyce, między którymi chwieje się jego odsłonięta szyja”.

W *pełni sił* jest opowieścią o wyobcowaniu nie z racji filozoficznego kaprysu, lecz z niechęci — i niemożności — do brania udziału w grze o z góry znaczonych kartach. Jest to opowiadanie o alienacji po polsku, choć bynajmniej nie twierdząc, że Polska i socjalizm mają patent na egzystencję zwichniętą. Może tylko tyle, że sama znałam wiele podobnych biografii. Siła opowiadania Zagajewskiego leży we wrażeniu typowości i nieuchronności życiorysu Ludwika. W *pełni sił* nie jest historią abnegacji z wyboru czy predyspozycji psychicznych. Wprost przeciwnie. Ludwik traktuje poważnie swoje studia (po których nie może otrzymać żadnej sensownej pracy), swoje wiersze (których druk jest zależny od fanaberii redaktorów kolejnych almanachów lub ich kłopotów z cenzurą), nawet swoją nikomu niepotrzebną pracę, przy której staje się wtórnym analfabetą. Ludwik jest obcy, obcy wszelkiej korupcji. Obcy rzeczywistości na wskroś skorumpowanej. Zagajewski wybiera z niej elementy mało krzykliwe: opaleni mężczyźni w komisach godzinami przymierzający zamaszowe kurtki, brak mieszkania, krzykacze i pijacy, którzy zaszli wyżej. Płyta Wagnera, kupiona i odstawiona na półkę, z którą nigdy nie dojechał do swojej dziewczyny, i której nigdy z braku adapteru nie wysłuchał. Ta dobra i trwała miłość, do której na odległość — dziewczyna Ludwika z braku pracy musiała po studiach wyjechać — brakło animuszu i siły. Poczucie miakkości życia. Nada. Można się tylko dziwić, że inni nie odczuwają podobnie. Trudno się dziwić jemu. I ta rzeczywistość, którą odbiegły słowa. I jeszcze niemożność odnalezienia własnego gestu i niechęć do powtarzania cudzych.

W pewnym momencie Ludwik próbuje w książkach szukać ratunku dla swojej „wiotczej duszy”. Jego uwagę w jakimś czasopiśmie filozoficznym przykuwa słowo „wolność”. I od olśnienia tym słowem nie ma już odwołania. Pozostaje tylko jazda autobusem przepełnionym do granic wytrzymałości, który stacza się z wiaduktu: „...potem nastąpiła cisza, przesywający ostry ból zatrzymał się na wysokości serca, jakby ktoś wbił mu szpadę w pierś”. I tu się historia kończy.

Bohater Andermana jest pozornym przeciwieństwem Ludwika; ci dwaj mówią i myślą różnymi językami. Ale *Gra na zwłokę* jest także opowieścią o niszczącej fikcyjności życia. Narracja Andermana także jest rozdwojona; każda sytuacja, każdy obraz są tu opowiedziane dwukrotnie, raz w pierwszej, raz w trzeciej osobie. Ale narracja w trzeciej osobie, obiektywizująca, pełni u Andermana dodatkową i nieoczekiwaną funkcję. Należy do tajników. Do łapsów, którzy śledzą każdy krok narratora.

„Widziano go, jak...” — brzmi formuła na narrację tajniacką. Albo: „Stwierdzono, że...”. Przypomina to zresztą Faulknera i Buczkowskiego.

Z taką pasją pisał niegdyś Borowski, potem Hłasko, a wcześniej, grubo wcześniej Zbigniew Uniłowski. *Gra na zwłokę* przypomina jego *Wspólny pokój*, tę gruzliczo-wódczaną książkę o nędzy Dwudziestolecia i wegetacji młodych. Proza Andermana jest przepiękna żółcią od pierwszego zdania, od pierwszego obrazu. Gorzkiego barda tego zdziwaczałego, przypominającego dom obłąkanych miasta, poznajemy stopniowo w trakcie jego wędrówki. Jest chuliganem, lumpem i spauperyzowanym poetą, którego język może się wywodzić z każdej warstwy społecznej. W mieście po którym chodzi — podobnie jak w *Weselu raz jeszcze* Marka Nowakowskiego (u którego Anderman jest sporo zadłużony) — nastąpiło zglajchszaltowanie. Przejawia się to nawet w interpunkcji, gdzie kropka często zastępuje przecinek, jakby w ludziach zbyt wiele było furii i gorączki, aby mogli sobie pozwolić na zawieszanie głosu.

Gra na zwłokę, jak poemat, podzielona jest na odcinki-obrazy. Czasem są to dwie strony, czasem parę linijek. Obrazy pisane prozą, z grubymi ziarnami poezji. „Te jego przebogate mennice”, mówi się tu o kieszeniach urzędnika magistrackiego, który usiłuje wysupłać grosz dla przepowiadającej mu podróż za granicę Cyganki. Opowiadający nawija swoje miasto na szpulę. Jest kamerą i komentatorem, współaktorem i współautorem. Odnotowuje rozmowy, przepisuje bazgroty z podniesionych papierów, opisuje wygląd ulic i ludzi. Miasto jest zmarniałe, kiedyś było lepsze: „Ten dzień układał się drżącym deszczem na alei Plantów, gdzieś w okolicy dość znanego kiedyś uniwersytetu...”.

Kontestator i ofiara tej miejskiej rzeczywistości, jest całkowicie zrównany z tymi, o których opowiada. Zrównany z miastem, po którym się porusza jak zasiedziały pacjent po klinice psychiatrycznej. Jest młodym mężczyzną, wychowano go w zasadach socjalistycznej równości płci, która nigdy w tym kraju nie wyszła poza papier. Zdumiewające, jak niewiele zmieniło się w polskiej literaturze — i w polskim życiu! — od opowiadań Hłaski. Ta animalizacja kobiet — podobna u Madeja, Orłosa i Nowakowskiego — ta pogarda dla ich seksualizmu, ta ich wulgarna samiczość, pod którą zawsze wyczuwa się tokowanie za grubo nadzianym portfelem — to obrazy niespotykane dziś w innych literaturach. Kobiety Andermana: „[...] szybkimi ruchami zwlekały różowe albo bardziej wyrafinowane w kolorze, fioletowe majtki, rozglądając się przy tym bystro dookoła jak spłoszone kwoki. Potem na rozdęte kłęby wciągały dolne części opalaczy, zakupionych na ten najnowszy sezon w pedete za czterysta dwadzieścia złotych, lub trzysta pięćdziesiąt. Ściągały sukienki i na siedząco lub kłęcząc, na koronkowe biustonosze nakładały ten kolorowy. Odpinając poprzedni i pospiesznie upychając umykające worki piersi. A potem oddawały się gwał-

townie słońcu, które nie chciało ich przyjąć”. A w innym miejscu: „Myślałem o tych dwóch najważniejszych literach kobiecych, które wszystko znaczą i wszystko mówią: Kurwa i Mac”. Ma prawo tak napisać, on, posługujący się językiem polskim na co dzień.

Kim jest? „Stwierdzono, że jest nałogowym palaczem”. W kieszeniach ma wszystko, co posiada: papierosy, zapałki i najważniejsze: wezwanie na kolegium. Siedzi w deszczu na Plantach, przeglądając gazetę z „aktualną datą”: „Był tam artykuł na temat sprawy, którą pasjonowało się od tygodni całe miasto. I nie tylko. Niektórzy do tego stopnia, że postanowili zapomnieć o innych pasjonujących sprawach. Jak nazwać lwiątką?”.

Porusza się niby swobodnie, ale kluczy ulicami, przenosząc się z miejsca na miejsce. *Gra na zwłokę* — to pozornie jedyny cel jego wędrówki. Jest samotnikiem, włóczęgą, wydziedziczonym z własności i biografii. Poetą, zatrudnionym w jednej z tych trzech cienkich gazet, które wychodzą w mieście. Istnieje — chodząc i patrząc. Ale jego włóczęga jest także demaskatorska w zamiśle; chodzi przecież po własnych śladach, jakby w oczekiwaniu na swoją rozprawę, chciał ją wcześniej wytoczyć miastu. Dwa, najwyżej trzy razy wracają strzepy przeszłości; próby autodeterminacji, natychmiast poniecane. Widzimy go w wynajmowanym pokoju, który zaraz będzie musiał opuścić. Kiedy to było: „To było wtedy gdy posiadałem przez jakiś czas tak zwany kąt, czyli pieczątkę w moim osobistym dowodzie, która potwierdzała z całą pewnością fakt posiadania przeze mnie stałego miejsca zamieszkania”.

Nocuje na dworcu, w świetlicy dla podróżnych, która przypomina obóz koncentracyjny: „... całą dobę pracownice tej świetlicy, umieszczone na podwyższeniu, pilnowały tych głów, czujnie strzegąc, by żadna z nich nie opadła na piersi, nie spać tam, ten w zielonym ortalionie, nie spać: tam, to nie sypialnia, rozległ się krzyk ostry jak strzelenie bata”. Ale prawdziwym jego domem jest Rynek Główny, skąd promieniście rozchodzą się ulice: Grodzka, św. Anny, Szewska. Z knajpy do kościoła, z kościoła na Zwierzyniecką, już poza pierścien miasta, gdzie mieszka niejaka K., była graficzka, doszywająca tasiemki do becików dziecinnych. Krótki przystanek w wędrówce i precyzja tego oschłego opisu, dopadającego swój przedmiot jak zły pies: „... była naga, ze śladami starości, ale wbiegła krokiem młodej dziewczyny; zobaczyła go uśpionego; w tym momencie zobaczyła go uśpionego; zauważyła też jego kolano wystające spod koca i zabezpieczone dzinsami; patrzyła na to kolano i miała suche policzki”.

Gra na zwłokę opowiada o abnegacie, który nie zawsze nim był, i który do końca, właśnie przez swoją wędrówkę, usiłuje nim nie być. Jego ogląd miasta jest selektywny, okrutny. Pod piórem Andermana, „mały realizm”, plaga polskiej literatury,

nagle rozkwita i nabiera nowego aspektu: staje się namiętny, poetycki, interwencyjny i bezkompromisowy. Uzależniony — co zawsze podejrzewałam — od talentu i osobowości pisarza, od jego umiejętności nagłego uskoku poza własną konwencję, od jego postawy moralnej i poznawczej, od pasji demaskatorskiej. Nie wychodząc poza „odpisywanie” z rzeczywistości, Anderman zamienia je w eksperyment, w świadome, pełne premedytacji doznawanie świata, w którym literatura i życie przenikają się nie do poznania. Sposobem ekspresji są obrazy, sposobem wartościowania nie retoryka, lecz intensyfikacja przeżyć i poetycki skrót: „Uderzyło mnie powietrze. Tramwaj konał na przystanku. Naprzeciwko murszała barykada domu”.

Gra na zwłokę jest poematem, elegią na śmierć, albo obłąd miasta. Ten poemat składa się z okrucich pejzaży, strzępów rozmów, wyglądów ludzi, ich mieszkań, ich melin, ich knajp-azyłów. Przede wszystkim z ich ciemnej, nienawistnej i bełkotliwej mowy. Jest tak, jakby jedyną więzią społeczną, jedyną formą wspólnoty jeszcze funkcjonującą w tym mieście, była wspólnota wody, meliny, papierosa: „— pałac przy pałacu zawsze siadzie — odezwał się szczerzyły po jakich trzech sztachnięciach, — moja czasem mówi, nie pal, bo śmierdzą te papierochoy, to co zrobić, jak takie produkują, a te, co nie śmierdzą, to znowuż drogie są.

— i niezdrowe — usłyszano.

— a co jest zdrowe, wszystko jedno chore, krucy banda. wsio. ludzie. drzewa. powietrze. cały ten świat chory, w mordę zataraszony, ten deszcz cały”.

Miasto jest złuszczone, chore na drugorzędność. Oszczędzone przez wojnę, po wojnie bez znaczenia. Bez arrywistów, ale i bez opozycji. Podniszczone nikłymi dotacjami, emigracją kulturalną do stolicy i wyziewami pobliskiego przemysłu. Nierzeczywiste miasto: „...odwróciłem się i znowu ogarnął mnie strach, jak tyle razy, kiedy schodziłem tędy o zmroku; u stóp leżało prawdopodobnie miasto, ale było niewidoczne — niekę wypełniały dymy, które rosły jak chore ciasto, i tylko nad kłębiącą się powierzchnią sterczały czubki wież kościelnych, wieńczonych błogosławieństwem krzyży; dziesiątki razy schodziłem tędy o zmroku, by pogrążyć się w mieście, by zamienić się jak wszyscy w kawałek schorowanego muru, cegłę czy strzęp człowieka”.

Spod Wawelu i Instytucji, w której niegdyś pracował — a która równie dobrze może być Urzędem Bezpieczeństwa, jak gmachem telewizji — wraca taksówką na Rynek i wchodzi do redakcji. Ucieka z redakcji w tramwaj, z tramwaju pełnego bełkotu i przekleństw na dworzec kolejowy, w pierwszy lepszy pociąg: „Pasażerstwo rozmawiało, ale ludzie nie słuchali się nawzajem. Płynęły słowa, płynął pociąg — już mniej płynnie. Ślinotok myśli”. Wysiada z pociągu na przypadkowej stacji i rusza w podkrakowską Polskę. Przysiada się do mężczyzny, któ-

remu krwawią usta, „pojawia się na nich ten czerwony pająk”, od butelki wódki otwieranej zębami. Kolejna przypadkowa melina u dróżniczki, Marianny K.: „Otoczył nas brud. Umeblowanie składało się z kredensu, od którego odpadały płatki kremowej farby, stołu i jednego krzesła”. Gdyby miał przeczucie, mógłby się teraz odwrócić i przerwać tę wędrówkę: „Byłem w małej sieni, z której prowadziły trzy drogi — jedna do nieznanego pomieszczenia, tu na dole, druga drewnianymi schodami na strych. Trzecia droga była drogą odwrotu, o której przestawałem pamiętać; weszliśmy do tej izby na dole”.

Ucieczka z domu dróżniczki prowadzi w spotkanie z wiejskim astronomem-przygłupkiem: „Widziano go, jak spotkał się z Tomasiem Janem, który jest miejscowym Kopernikiem”. Opuści go śpiącego z głową na stole, z włosami wchodzącymi do puszek po konserwach. Powrót do miasta przypomina powolne dawkanie trucizny: „Pomyślałem, że wysiądę na najbliższym, pierwszym przystanku miasta, by powoli w nie wnikać, by to wejście nie było zbyt gwałtowne. [...] Te mroczne plamy dookoła to szarość nowego osiedla, które niedługo osiedli ludzi; wznosili te bunkry, jak Majowie swoje miasta w dżungli, i jak Majowie będą teraz ufnie czekać na swojego boga, który nigdy się tu nie objawi”.

Każdy odcinek wędrówki wypełniają głosy ludzi, ich sfrustrowany bełkot. Jego funkcją jest słuchać. Reporter — to jego prawdziwy zawód w redakcji tej gazety, do której ciągle wpada, i dla której kiedyś, zanim uznano go za prowokatora, napisał prawdziwy reportaż; z prawdziwym pejzażem. prawdziwymi ludźmi, prawdziwym absurdem ich życia.

Chodzi i słucha ciemnej mowy swoich współplemieńców. Tak pojmuje swój zawód reportera, tak zapewne pojmuje literaturę. Nie włącza się, nie interweniuje. Raz tylko, kiedy zamyślony starzec uderza go łokciem w pierś, chwytą cegłę i bije nią o bruk.

Potem jest na izbie wytrzeźwień, potem odwiedza znajomą melinę, w której kolejny były grafik pędzi wódkę i udaje wariata. Wraca na Rynek, odwiedza restaurację Trzy rybki, a potem klub dziennikarzy: „Dziennikarze siedzieli przy stolikach; każdy trzymał w ręku gazetę i z zadowoleniem wpatrywał się w swój napisany poprzedniego dnia tekst...”. Mija niecały dzień od początku do końca tej dantejskiej wędrówki, monotonnie przerywanej telefonami z milicji, która świetnie zna jego szlak: „Jest wczesny wieczór; nie mogę się otrząsnąć z natrętnego odczucia, że nie jestem sam, mimo że o tej porze miasto kona w samotności”.

Jeszcze parę ulic i miejsc, jeszcze melina w klasztorze i parę godzin snu. Jeszcze rozmowa z rzeźbiarzem, Marianem Kruczkim — jedyna tu normalna — na progu jego pracowni, z rzeźbami wystawionymi na pokaz pokpiwających przechodniów.

I przejmujący obraz, na moment urągający światu tej opowieści: „W gardle ulicy ukazuje się chłopak, trzymający dziewczynę za rękę; ta dziewczyna siedzi na wózku inwalidzkim, który porusza się tylko dlatego, że ona trzyma za rękę tego chłopaka, a on ciągnie wózek — i to jest jak zdobycie szczytu na którym trwają wieczne śniegi.

Widziano go”.

Potem widziano go jeszcze na bazarze miejskim, dawniej zwanym tandetą. Potem w barze mlecznym, gdzie wysłuchał skażonych obłędem rozmów. Potem był kuszony przez tajniaka, potem pisał reportaże z wernisażu sztuki nowoczesnej w Zakładach Szadkowskiego. Po wystawie zebranie z dyrektcją: „I jest propozycja autora scenariusza. Trzeba koniecznie zbadać, ile po wernisażu wzrosła wydajność pracy”.

Jeszcze lokalni poeci na pomniku Mickiewicza recytują wiersze, spychając jeden drugiego. Opowiadanie urywa się w miejscu, w którym równie dobrze mogłoby się zacząć. Z przejeżdżającego auta-chłodni, które rozwozi mięso, wypadają na ulicę kości. „Alea iacta est?” — pyta z uśmiechem narrator, a robotnicy biorą go za cudzoziemca i kierują w stronę hotelu Cracovia. Gra na zwłokę trwa dalej. Nad opowiadaniem czai się śmierć, równie pewna — i równie przypadkowa — jak u Zagajewskiego. Podobna do śmierci Bursy, którą dwadzieścia lat wcześniej opisał Czyż w opowiadaniu *And*. Pokolenie „zmiany warty”, „pieszczochów” i „kaskaderów”, jak różnie ich nazywano, przekazało tragiczną pąteczkę pokoleniu Marca, Grudnia i Czerwca. Sztafeta pokoleń trwa.

Janina KATZ HEWETSON

Zarys historyczny

Tytuł najnowszej książki Marii Danilewiczowej Zielińskiej — *Szkice o literaturze emigracyjnej** — jest skromny, niepozorny, a przez to mylący. Sugeruje on, że otrzymujemy zbiór esejów i artykułów krytycznych, związanych tematycznie z literaturą powstającą i ukazującą się na emigracji. Tymczasem w rzeczywistości mamy tu do czynienia z pozycją o charakterze historycznym, porządkującym. *Szkice o literaturze emigracyjnej* — można stwierdzić to bez wahania — to pierwszy poważniejszy

* Maria Danilewiczowa Zielińska, *Szkice o literaturze emigracyjnej* (str. 415, Indeks nazwisk), Instytut Literacki, Paryż, 1978.

zarys historii polskiej literatury współczesnej na emigracji. Zarys ów nie sprowadza się do przeglądu najważniejszych sylwetek twórców, działających poza krajem. Autorka daje szczegółowy i oryginalny wykład, obejmujący swym zakresem wszelkie formy piśmiennictwa i różnorodne zjawiska, składające się na całokształt życia kulturalno-literackiego na obczyźnie.

Układ jest zasadniczo chronologiczny. Po pierwszym rozdziale, który poświęcony jest porównaniu między wielką emigracją XIX-go wieku i „naszą” emigracją powojenną, autorka przechodzi do systematycznego omawiania kolejnych etapów w życiu kulturalnym emigracji. Mamy więc wyczerpujące obrazy takich okresów, jak wczesny i późniejszy okres paryski, a następnie kolejne okresy londyńskie („Londyn 1942”, „Londyn 1941-1945”).

Po uporządkowaniu tła historycznego i wyszczególnieniu najważniejszych wydarzeń i punktów zwrotnych w życiu emigracji, Danilewiczowa przechodzi do opisu i analizy określonych zespołów tematycznych. Należą do nich takie kompleksy zagadnień, jak poezja żołnierska, proza powieściowa o tematyce wojennej, publicystyka i informacja kierowana pod adresem cudzoziemców, Fundusz Kultury Narodowej itp. Równoległe do toku chronologicznego prowadzony jest wątek — by tak rzec — geograficzny. Danilewiczowa zarysowując najważniejszy, najszerszy nurt życia literacko-umysłowego emigracji (Paryż, Londyn), nie zapomina o innych ośrodkach, w których rodziła się i rozwijała działalność kulturalna Polaków. Następują rozdziały poświęcone życiu literackiemu na Węgrzech, w Szwecji i Szwajcarii, następnie w Rosji (bardzo interesujący i ważny ustęp o literaturze zsyłkowej), a wreszcie we Włoszech i Izraelu.

Wraz z końcem wojny kończy się okres gwałtownych i częstych zmian i przeobrażeń. Powstaje Związek Pisarzy Polskich na Obczyźnie, inne zaś ośrodki kulturalne, jak wydawnictwa, redakcje, biblioteki poczynają się stabilizować. Od tego momentu wykład Danilewiczowej przybiera formę zdecydowanie kompleksowo-przekrojową. Autorka dokonuje przeglądu rozmaitych zjawisk literackich, postępując się różnymi kryteriami. Ciekawie przedstawia dalsze (końcowe) losy Skamandrytów, w dwóch częściach omawia twórczość i sylwetki najwybitniejszych prozaików (około 25 sylwetek), w osobnym rozdziale kreśli portrety dwóch pisarzy, którzy zdobyli największy rozgłos światowy (Gombrowicz, Miłosz), sumuje dorobek wszelkich, różnej rangi poetów (rozdział: *POECI, POECI, poeci*), zajmuje się wreszcie autorami wspomnień i pamiętników, a także pisarzami dwujęzycznymi. Gruby tom (415 stron) wieńczy solidne omówienia (małe monografie) działalności Instytutu Literackiego w Paryżu (*W Kręgu „Kultury”*), *Wiadomości Literackich* w Londynie oraz innych, mniejszych lub większych ośrodków emigracyjnych, jakie powstały w późniejszym czasie.

Wykład Danilewiczowej jest przejrzysty, napisany świetnym, prostym stylem. Czytelnik nie czuje się przytłoczony mnogością

informacji (dat, tytułów, nazwisk), o co nie trudno przy tego rodzaju publikacji, rzecz odbiera się jako barwną panoramę, wielki fresk, obrazujący całokształt działań literackich i kulturalnych Polaków, jakie rozgrywały się i nadal rozgrywają na obczyźnie po drugiej wojnie światowej. Autorka dysponuje nie tylko erudycją i skrupulatnością, posiada ona także ważną i coraz rzadziej już spotykaną zdolność inteligentnej rekapitulacji i formułowania — w najogólniejszych kategoriach — istoty twórczości danego pisarza czy „przewodniej myśli” i poetyki określonego dzieła. W ten sposób otrzymujemy coś w rodzaju rozbudowanej encyklopedii, która może służyć jako niezastąpiona pomoc przy różnego typu pracach naukowych, wydawniczych, a także czysto pisarskich. Na omówieniach, streszczeniach i diagnozach Danilewiczowej można polegać. Są one bardzo rzetelne i obiektywne. Autorka wyraźnie powstrzymuje się od wydawania własnych ocen, starając się w sposób najbardziej bezstronny ukazać różne zjawiska czy osobistości literackie.

A zatem *Szkice* to uzupełnienie poważnej luki w obrazie współczesnej literatury polskiej. Książka Danilewiczowej, dzięki swej systematyczności i tendencji do wyczerpującego omówienia przedmiotu, jeszcze raz przypomina i podkreśla znaczenie i rolę literatury powstałej poza granicami kraju. Choć nie jest to powiedziane wprost, czytelnik *Szkiców* wynosi z lektury myśl, że literatura powstała na emigracji jest wielkim, niezależnym korpusem duchowym, który nie tylko dopełnia, lecz zasadniczo współtworzy ogólny dorobek polskiej myśli i sztuki ostatniego czterdziestolecia. W sumie pozycja niezwykle potrzebna i cenna.

Jerzy ROLICZ

Panie opisują panów

Przypuszczalnie każde ludzkie życie widziane z bliska i na co dzień wygląda jak wesz pod mikroskopem, czyli dość potwornie i dlatego załatwianie na papierze porachunków z kimś, kogo się dobrze znało nie jest sztuką trudną ani dużą. Ponieważ zmarli chronieni są zasadą *nilhil nisi bene*, przestrzeganą m.in. dlatego, że jej złamanie robi złe wrażenie, a umrzykowi i tak już wszystko jedno, biografie i wspomnienia negatywne poświęcone są przeważnie osobom żywym. Tak się składa, że piszącymi są w tym wypadku najczęściej kobiety, ex-żony lub ex-kochanki sławnych mężczyzn. Przyczyną tego jest po pierwsze statystyczny fakt, że znanych mężczyzn jest o wiele więcej niż zna-

nych kobiet (a o ludziach nieznanach pisać nie warto, bo nikt nie przeczyta), po drugie zaś, że mimo postępującego zrównania płci urazy i krzywdy doznane w życiu „stadelnym” są zazwyczaj dotkliwsze dla strony żeńskiej i budzą większą chęć zemsty. Zemsty literackie rzadko się jednak udają, ponieważ dzieła tu nemezis, nie tyle moralna co techniczna, która polega na tym, że każdy piszący mimo woli odsłania swą hierarchię wartości i kategorie oglądu świata, czyli to co zwykle się określać krótko poziomem. Ponieważ impuls zemsty jest cechą *par excellence* infantylną i przeważnie towarzyszą mu inne oznaki niedojrzałości umysłowej, zazwyczaj mamy tu do czynienia z autorami (-kami) w najlepszym razie przeciętnymi i przeciętność ta wyłazi z ich utworów wszystkimi szwami.

Ilustracją tych twierdzeń ogólnych są dwie książki*, które opisują dwóch znanych, choć nie równych sobie oczywiście gatunkowo pisarzy: Georges Simenon'a i Sołżenicyna. Pierwsza, pióra ex-drugiej-żony twórcy Maigret'a i piewcy francuskiej szaryzny codziennej stanowi *casus* klasyczny. Madame Simenon (z pochodzenia Kanadyjkę z Quebecu) zaliczyć można niewątpliwie do tej kategorii kobiet, które im lepiej człowiek poznaje, tym więcej zrozumienia nabiera dla pederastów: trzy czwarte książki wypełnione są wyjątkowo niesmaczną ginekologią — trudno te wynurzenia inaczej określić — a zresztą jest listą własnych cnót, zalet tudzież poświęceń na rzecz ubóstwianego niegdyś męża, którego pani Denyse miała m.in. zwyczaj osobiście odprowadzać do burdelu, gdy chciał sobie trochę odmienić (ona sama czekała na dole, gawędząc z pensjonariuszkami). Simenon, z którego — w co trudno wątpić — co chwila w książce wyłazi prowincjonalny chamuś belgijski z nadmiarem pieniędzy, pozbył się jej przy pomocy rozpowszechnionego w tego rodzaju środowiskach trick'u, tzn. próbując z niej zrobić wariatkę — i stąd książka. Nie warto byłoby o niej wspominać, gdyby nie stanowiła pewnego *pendant* do drugiej tu omawianej, pióra Natalii Reszetowskiej.

Na tle madame Simenon b. żona Sołżenicyna (pobrali się w 1940, rozeszli formalnie w czasie jego uwięzienia, pobrali ponownie po zwolnieniu z zesłania w 1956 i przenieśli się wspólnie kilka lat w Rostowie) robi wrażenie osoby zrównoważonej i serio — co w tym kontekście nie jest sztuką. Nie jest też jasne, jaki jest rzeczywisty udział Reszetowskiej w tej książce, rozpowszechnianej pod jej nazwiskiem przez sowiecką agencję „Nowosti” i wyraźnie przez tę agencję lub inne przedstawicielstwo KGB skleconej z fragmentów wspomnień-zeznań; niektóre wstawki na miłą zalatują „czynnikami oficjalnymi”, np. aż wzruszające w swej niezdarności a nieuchronnie cytaty z prasy zachodniej jako

* Denyse Simenon, *Un oiseau pour le chat*, J.-C. Simoën, Paris, 1978, str. 260; Natalia Reszetowska, *Sołżenicyn — realia i mistyfikacje* (tytuł oryginału „W sporie so wriemieniem”), Krajowa Agencja Wydawnicza, Warszawa, 1977.

dowód „obiektywizmu”; por. pieczołowicie przytoczony tytuł nie-pochlebnej recenzji o Sołżenicynie skąd? — z *Yorkshire Evening Press*, jak się okazuje gazety łatwo dostępnej i popularnej w Ros-towie w 1963 roku! Można przypuszczać, że Natalia Reszetowska jest w rzeczywistości mniej ograniczona niż by to wynikało z książ-ki, ale dla skrótu potraktujmy to jako jej dzieło: szereg infor-macji niewątpliwie pochodzi od niej (inna rzecz, na ile po prze-puszczaniu przez policyjne sito dane te są wiarygodne?), a syl-wetka pisarza nakreślona jest tak, że w ogólnych zarysach przy-puszczalnie odpowiada jej odczuciu. Ze wspomnień tych (tech-nicznie biorąc niesłychanie chaotycznych i mętnych, *nota-bene*) wyłania się obraz człowieka od najwcześniejszych lat niezwykle ambitnego, skoncentrowanego na swej pracy pisarskiej, pracowitego i systematycznego; oczywiście przy współżyciu z takim czło-wikiem życie towarzysko-rozrywkowe nie było zbyt urozmaicone i głównym wyrzutem Reszetowskiej jest, że „w ten sposób nie-zauważalnie, powoli ubożało moje życie. Okradano je z tego, co było dostępne wszystkim...” (str. 183) — czyli to, co każdy mąż, nie będący nawet Sołżenicynem słyszy od czasu do czasu od swojej żony. Tylko słowo „kradzież” i sugestia niezwyklej bujności życia naokoło ma lekki posmaczek sowiecki. Gorycz kulminuje oczywiście w momencie, gdy autor „Gułagu” odchodzi do innej kobiety i trudno się temu dziwić, choć biorąc pod uwagę szeroko uprawiane w rosyjskim środowisku literackim *changements des dames* trudno liczyć na jakiś wstrząsający efekt propagandowy tego wydarzenia.

Można sądzić, że nawet „wydawcy” sowieccy zdają sobie z tego sprawę i postawili na coś innego: na powtarzający się stale mo-tyw-zarzut nonkonformizmu, własnego zdania i w ogóle niezależ-ności umysłowej. Ze jest to „zarzut” mogący znaleźć odbiorców tylko na ich własnym terenie i na Zachodzie robi wrażenie właś-nie dodatnie, nie przyszło im do głowy — co niezbyt dobrze świadczy o tych głowach. Przyjrzyjmy się temu motywowi. W czasie wojny, zanim cokolwiek wydrukował, Sołżenicyn „... już tak dalece uważa się za pisarza, że wydaje opinie na temat innych, publikowanych literatów...” (str. 57); w stosunkach z Twar-dowskim zbyt mało liczy się ze zdaniem tego ostatniego, „o tyle starszego”; na zesłaniu w Kazachstanie odbija ujemnie od pary zesłańców, którzy „posiadają szczęśliwą zdolność cieszenia się małym. W ich domu nie słychać narzekań i skarg” (str. 161). Lata uwięzienia — *nota-bene* przedstawionego jako rodzaj pobytu w obozie harcerskim, twardym ale zdrowym („*Sania ma twarz szczupłą, ale świeżą i rumianą — to dobroczynny wpływ tych stepowych, mroźnych wiatrów*”; „*czuje się zdrowo i dziarsko*”; „*choć czas wolnego było dość mało, Sania jednak dużo czy-tała*” — tu lista książek) — okazują się na tle późniejszego mal-kontenctwa okresem pozytywnym, niewinnym, por str. 154:

„O tym, że Sania nie otrząsnął się z nastroju spokojnej pokory

świadczą również jego ówczesne wiersze 'Prawo więźnia'. Apeluje w nich:

*'Niechaj ze wszystkich naszych praw niebyłych
— najmniejszym będzie prawo do zemsty ukrytej'.*

Chyba inną obecnie Sołżenicyn wyznaje filozofię...”

Zarówno ten wielemówiący wielokropek jak i ideał „spokojnej pokory” pochodzą chyba od „wydawców”. Spokojna pokora... Jak ja to rozumiem;

Jeszcze jeden fragmencik, świadczący, że socrealizm nie wy-gaś i że szwarccharakterowi koniecznie musi przeciwstawić się bohater pozytywny. Gdy Sołżenicyn został w obozie brygadzi-ą, okazało się, że jego brygada „miała skład urozmaicony. Poza Rosjanami pracują w niej Ukraińcy, Łotyśze, Estończycy, nawet Polak i Węgier”. (Boże, to „nawet”!). Otóż właśnie Węgier okazał się pozytywny:

„Kiedy Rozsasowi odczytano wyrok w nieznanym mu wówczas języku, liczył sobie zaledwie osiemnaście lat. I chociaż Janos został na długo oderwany od swojej ojczyzny, nie było w nim nic z zapiekłej nienawiści. [...] Pod koniec 1953 Janos został zrehabilitowany i wrócił do kraju, na Węgry, gdzie zaczął pra-cować jako księgowy. Po roku ożenił się. Obecnie ma dwóch synów i córkę. Wydawałoby się, że nic mu nie brakuje do szczę-ścia. Ale nie... Janosowi brakuje tych dalekich przyjaciół, z któ-rymi dzielił niegdyś lata gorzkie lecz młode. Urządził więc u sie-bie w mieszkaniu kącik, który nazywa 'małą Rosją'. [...] Najbar-dziej lubił śpiewać rosyjską 'Trojkę'. Kiedy jednak zaczyna śpie-wać po rosyjsku, ból ściska mu serce, że nie zobaczy już swych dawnych rosyjskich przyjaciół, których pokochał 'za dobroć'. [...] Z jakąż radością korespondowałby Janos z Sołżenicynem, lecz Aleksander Isajewicz miał na to coraz mniejszą ochotę, coraz bardziej ceniał czas” (str. 153 n.).

Ten zadyszany entuzjastka, to ciu-ciu-ciu jak z Polskiej Kro-niki Filmowej to chyba też „wydawcy”, fryzujący relacje Resze-towskiej. Ich prymitywizm jest istotnie na poziomie pani Simonon — tu jest punkt styczny między obu książkami — i co jest szcze-gólnie interesujące, to zbieżność punktu widzenia rozzałonej ko-biety (autentycznej czy sfingowanej, obojętnie) i interesów so-wietskij własci. W oczach tej ostatniej cnoty domowe są cnotami obywatelskimi — i innych nie ma. Ta usankcjonowana babskość podkreśla jeszcze raz znany fakt, że totalitaryzm jest systemem społecznym, opartym na modelu rodziny — *parter familias*, po-słuszeństwo, niepisane prawa, lojalność ważniejsza od prawdy — a więc organizacją, w tej skali należąca do zamierchłej historii ludzkości. Ludzie, usiłujący wskrzesić przeszłość nazywani są reakcjonistami i na dłuższą metę zawsze przegrywają. Fakt, że władcy 250-milionowego państwa uciekają się do formuły „pani opisuje pana”, próbując zdyskredytować *jednego* człowieka, któ-

ry im się przeciwstawił nie świadczy o sile. Byłoby przyjemnie pomyśleć, że ta nieskładna książeczka — w Polsce wydana w liczbie 40.000 egzemplarzy i wręcz plugawym przekładzie — jest jednym z przejawów słabości, której reakcja zawdzięcza swe kłęski.

M. BRŃSKI

« Wysokie pokoje »

Wysokie pokoje dają się określić jako powieść „z kluczem” — a raczej całym pękiem kluczyków, jak u paska fartucha starej gospodyni. Z tym uzupełnieniem, że nie bardzo wiadomo do czego który kluczyk pasuje.

Trzy są strefy działalności bohaterów powieści: dom-relikt na Folwarcznej, opierający się zwycięsko rekwizycjom pod pozorem goszczenia Muzeum Śmierci, jakiejś gigantycznej „przypkowskiady”, w której zatechłe wyziewy przepelnionych zbiorami pomieszczeń mieszają się z zapachami ciastek i świeżego pieczywa z królestwa pana Bobkowa i kresowych pań z biura „Nafty”. Druga strefa — to wyspa Adao na terenach typu eksplorowanych ongiś przez Bronisława Malinowskiego a zamieszkała przez skłócone plemiona Kanaków, Malajów, przybyszów z Fidzi — i przedsięwziętych Europejczyków, naprzód polujących na rzadkie i pięknie upierzone ptaki a następnie uważnie przyglądających się wierceniom w poszukiwaniu ropy. Wreszcie, w trzeciej strefie wnikamy w tajniki akcji zmierzających do ratowania Wenecji, która w czasie powieściowym jest, jak Florencja wodami Arna, dotknięta zalewem, który np. zatopił most Rialto.

Tę powieści jest konflikt między mentalnością ratowników „starzyzny”, reprezentowanej przez Wenecję, z humanitarnymi odruchami pionierów nowej cywilizacji, którzy pod egidą Narodów Zjednoczonych usiłują podnosić standard życia mieszkańców Adao, godząc ich ze sobą i dostarczając im ryż (w niedostatecznych ilościach). Jeśli czytelnik weszły w tym kiplingowską nutę oznacza to, że nie wyczuwa subtelniej różnicy między XIX-towiecznym gubernatorem, działającym w imieniu królowej Wiktorii, a Lordem Hive, wysłannikiem Genewy. Wenecja i wyspa Adao — to pozornie dwa nic z sobą wspólnego nie mające światy. A przecież zniszczenia powieściowej Wenecji dopełnia wysadzony w powietrze tankowiec z ropą z Adao pokrywający kożuchem zatraty zalane wodą zabytki. Trzecim światem jest symboliczna Folwarczna, w której współżyją ludzie „retro”, rozhułkana młodzież i działawia w wieku szkolnym organizująca w zbudowanym ze śniegu i lodu Pałacu „rewolucję” jakby wyjętą z kart powieści Korczaka. Dom-absurd okazuje się jednak najpewniejszym schronieniem. Ci, co go porzucili, powracają na Folwarczną skruszeni — i tu, w pokoju opróżnionym przez część zbiorów Muzeum Śmierci ex-urzędniczka Urzędu Konserwatorskiego ratującego Wenecję urodzi dziecko po powrocie z Adao ledwie uszłego stamtąd z życiem męża o nazwisku Tymoteusz Boyko. Jest sprawą niejasno postawioną dlaczego powiększenie ludności świata, który w ujęciu autora nie

Piotr Wojciechowski: *Wysokie pokoje*. Warszawa, 1976, Państwowy Instytut Wydawniczy, 80, str. 307 (1).

jest najspokojniejszą z planet, jest wydarzeniem radosnym. Dlatego chyba, że wypadki z Folwarcznej w świat okazały się niewypałami zarówno dla Tymoteusza Boyko, uczestnika delegacji Narodów Zjednoczonych w Adao jak i dla pięknej jego żony Dominiki, którą praca w międzynarodowych instytucjach w Szwajcarii i Włoszech wybija z normalnego toku życia i deprymuje.

Jak w poprzedniej powieści Wojciechowskiego (*Czaszka w czasie*) rzeź dzieje się w nie dającym się bliżej określić czasie a pseudohistoryczne wydarzenia odbierają sens próbom „normalizacji” tła. Ta nowa powieść jest łatwiej strawna, zwłaszcza dla czytelników zadawałających się śledzeniem perypetii żony czekającej przez trzy lata na męża i absurdalnych przygód wysłannika pokoju, odciętego od świata na skutek blokady wyspy. Wśród osobiście ponazywanych postaci przewijają się starzy znajomi z *Czaszki w czasie* — dla miłośników prozy Wojciechowskiego są to spotkania przyjemne, z balzakowskim posmakiem. Erudycja autora i tym razem imponuje, wątki powieściowe przeplatane są wymyślnie, język roi się od świetnych zestawień i błyskotliwych gier słownych. Obwołata fatalna, pierwsza znana mi porażka Stannego. Jeśli wyobrażona na niej para ma reprezentować Tymoteusza i Dominikę to kompletnie chybione są kapelusze nasuwające skojarzenia z latami 1900-1914.

Maria DANILEWICZ ZIELIŃSKA

« Wremia i my »

Rosyjskie życie emigracyjne jest niezwykle bogate, a jednym z jego przejawów jest publikowany po rosyjsku od końca 1975 roku izraelski miesięcznik *Wremia i my*. Jest to literacki tolstyj żurnal z działami poświęconymi historii, filozofii i religii. W numerze dziewiątym (lipiec 1976) można przeczytać zapiski obozowe Maji Ulanowskiej i wzruszające wspomnienia K. Wilkowskiego z pogrzebu Pasternaka. Wilkowski opisuje spon-taniczną deklamację wierszy wielkiego poety nad jego grobem, zakończoną „Requiem” Achmatowej. Artykuł ilustrowany jest zdjęciami Pasternaka, w tym po raz pierwszy drukowanym pięknym zdjęciem Pasternaka z Achmatową.

W numerach jedenastym i dwunastym znajdujemy opowiadania Marka Hłaski, Lwa Melamida, autobiograficzne opowiadanie Władimira Hussarowa pod tytułem „Mój ojciec zabił Michoelsa”; w numerze trzynastym opowiadanie Borysa Jampolskiego „Wielka epoka”, wspomnienia polskie J. Margolina „Wrzesień 1939” i wstrząsający artykuł Andrieja Siniawskiego „Ja i 'oni'”, dotyczący tego, co autor nazywa „językiem” rosyjskich więźniów obozów koncentracyjnych, to jest głodówek, samookaleczania, wypisywania na czoło „więzień KC”, itd. Siniawski przekonująco tłumaczy tego typu manifestacje jako sposób na przerwanie ostatecznego odizolowania od rzeczywistości, w jakim znajdują się więźniowie. Numer ten zawiera także wybór wierszy z albumu „Apollo-77” z ilustracjami najwybitniejszego rosyjskiego malarza młodego pokolenia Michała Szemiakina. Redakcja zapowiada druk utworów Wiktora Niekrasowa, W. Maramzina, Józefa Brodzkiego i innych.

Nadesłane nowości wydawnicze

- KISIELEWSKI (Stefan) (KISIEL).** *Moje dzwony trzydziestolecia.* Nowy wybór felietonów i prac publicystycznych z lat 1946-1977. Str. 120 i 6 nlb. (Wyd. Polonia Book Store & Publisher, Co., Chicago, Ill, 1978. (Nr 7 Biblioteki „Nowa droga”).
- CHAŁKO (Zbigniew).** *Strofy staro-miejskie i wiersze inne.* Wybór i przedmowa Edwarda Duszy. Str. 114 i 3 nlb. Biblioteka „Contry” — tom IV. (Wyd. A. Poray Book Publishing, New York, N.Y., 1977).
- DUSZA (Edward).** *Przez ciemność do światła.* Teksty w języku polskim i angielskim. Okładka i rysunki w tekście Lucjana Barana. Str. 57 i 7 nlb. Biblioteka „Contry” — tom III. (Wyd. A. Poray Book Publishing, New York, N.Y., 1977).
- BEDNARCZYKOWA (Krystyna).** *Obmowy świtów.* Wiersze. Str. 43 i 5 nlb. (Wyd. Oficyna Poetów i Malarzy, Londyn, 1978).
- RAKOWSKI (Janusz).** *Eugeniusz Kwiatkowski — Szkic biograficzny młodych lat na tle ruchu niepodległościowego ZETU i ZARZEWIA 1886-1920.* Str. 47. (Wyd. Polska Fundacja Kulturalna, Londyn, 1977).
- Pamiętnik Literacki — tom II.** Okładkę projektował Tadeusz Terlecki. Komitet redakcyjny: Józef Garliński (przew.), Bronisław Przyłuski, Antoni Pospieszalski i Ignacy Wieniewski. Str. 170 i 2 nlb. (Wyd. Związek Pisarzy Polskich na Obczyźnie, Londyn, 1978).
- PRZYBYLSKI (Paweł, ks.)** *Stworzenie człowieka w Katechizmie Holenderskim w świetle współczesnej bibliistyki.* Przedmowa: ks. Stanisław Grzybek. Str. 127 i 1 nlb. (Wyd. Oficyna Poetów i Malarzy, Londyn, 1978).
- DODD (C. H.).** *Założyciel chrześcijaństwa.* Z angielskiego tłumaczył Zygmunt Kubiak, okładka: Roman Cieślewicz. Str. 181 i 3 nlb. (Wyd. Editions du Dialogue, kolekcja „Znaki czasu” Nr 34, Paryż, 1978).
- GUIMET (Fernand).** *Istnienie i wieczność.* Z francuskiego tłumaczyła Zofia Włodkowska, okładka: Roman Cieślewicz. Str. 93 i 3 nlb. (Wyd. Editions du Dialogue, kolekcja „Znaki czasu” Nr 33, Paryż, 1978).
- BIENKOWSKA (Danuta Irena).** *Między brzegami.* Poezja i proza. Przedmowa w języku angielskim Louis Iribarne, tekst w języku polskim. Do druku przygotował Bohdan Budurowycz. Okładkę projektował Aleksander Werner. Str. 447 i 1 nlb. (Wyd. Oficyna Poetów i Malarzy, Londyn, 1978).
- SZYMAŃSKI (Wiesław Paweł).** *Julian Przybóś.* Str. 153 i 3 nlb. (Wyd. Państwowy Instytut Wydawniczy, seria „Portrety współczesnych pisarzy polskich” Warszawa, 1978; cena zł 20).
- GOMBROWICZ (Witold).** *Les envoiés.* Z polskiego tłumaczyli Albert Mailles i Hélène Włodarczyk (tytuł oryginału *Opetani*). Przedmowa Paul Kalinine. Str. 364 i 1 nlb. (Wyd. Stock/Est, Paryż, 1977).
- „Il Manifesto” — Pouvoir et opposition dans les sociétés post-revolutionnaires.** Traduit de l'italien par Ph. Guillon, G. Hug et P. Veronese. Str. 181 et 1 nlb. Collection „Combats”. (Editions du Seuil, Paris, 1978).
- AXIONOV (Vassili).** *Notre ferraille en or.* Z rosyjskiego tłumaczyła Lily Denis. Przedmowa Victor Erofeiev. Str. 296 i 6 nlb. (Wyd. Stock/Est, Paryż, 1978).
- DOSTOJEVSKAJA (Anna Grigorievna).** *Journal.* Les carnets in-

- times de la jeune femme de Dostoievski. Tłumaczył z rosyjskiego Jean-Claude Lanne, przedmowa Paul Kalinine. Str. 274 i 2 nlb. (Wyd. Stock/Femmes dans leur temps, Paryż, 1978).
- Dissent in Ukraine.** An Underground Journal from Soviet Ukraine. *The Ukrainian Herald*, Issue 6. Tłumaczyli z ukraińskiego Lesya Jones i Bohdan Yasen. Przedmowa Yaroslav Bilinsky. Str. 215 i 1 nlb. (Wyd. Smolokyp Publishers, Baltimore - Paryż - Toronto, 1977; cena Dol. 3,95).
- The International Sakharov Hearing.** Pod redakcją Marty Harasowskiej i Oresta Olhovycha. Str. 335 i 1 nlb. (Wyd. Smolokyp Publishers, Baltimore - Toronto, 1977).
- Military Technique Policy and Strategy in History.** Pod redakcją Witolda Biegańskiego, Wacława Jurgielewicza, Piotra Matusaka, Jądwi Nadzieja i Janusza Sikorskiego. Str. 922 i 2 nlb. (Wyd. Wojskowy Instytut Historyczny, MON, Warszawa, 1976).
- Dr John Lhotsky — The Turbulent Australian Writer, Naturalist and Explorer.** Str. 175 i 1 nlb. (Wyd. Australia Felix Literary Club, Documentary and Historical Series No. 2, Melbourne, 1977).
- WEYDENTHAL (Jan B. de).** *Poland.* (Nadbitka z 1978 *Yearbook on International Communist Affairs*, str. 49-57, wyd. Hoover Institution Press, Stanford, Cal.).
- WEYDENTHAL (Jan B. de).** *Poland Facing the Brink.* (Current History — A World Affairs Monthly, April 1978 — East Europe, 1978; Vol. 74, No 436, str. 159-163, Philadelphia, Pa.; cena zeszytu Dol. 1,75).
- KOWALIK (Jan).** *The Polish Press in America.* Str. 76 i 2 nlb. (Wyd. R. and E. Research Associates, Inc., San Francisco, Calif., 1978).
- MICEWSKI (Andrzej).** *Katholische Gruppierungen in Polen. PAX und ZNAK 1945-1976.* Z polskiego tłumaczył Wolfgang Grycz. Str. 353 i 3 nlb. (Wyd. Chr. Kaiser Verlag, München — Matthias-Grünewald-Verlag, Mainz, 1978; cena DM 28,50).
- Mitteilungen nr 14.** Str. 224. (Wyd. Arbeits- und Förderungsgemeinschaft der Ukrainischen Wissenschaften e. V., München, 1977).
- Dokumentation Ostmitteleuropa.** Jahrgang 3/27, Dezember 1977, Heft 6. *Probleme der deutsch-polnischen Normalisierung.* Opracowanie dr Richard Breyer. Str. 62 (450). (Wyd. Johann-Gottfried-Herder-Institut, Marburg/Lahn; cena zeszytu DM 2,80).
- LAEUEN (Harald).** *Warschauer Echo auf Katakawski Friedepreis.* (Nadbitka z *Osteuropa*, Heft 3/78, str. 219-223; wyd. Deutschen Gesellschaft für Osteuropakunde, Deutsche Verlags-Anstalt, Stuttgart).
- KOTT (Jan).** *Arcadia Amara.* „La Tempesta” e altri saggi shakespeariani. Str. 164 i 4 nlb. (Wyd. Edizioni il Formichiere, Mediolan, 1978; cena Lit 5.000).
- TELIHA (Olena).** *Boundaries of flame.* A Complete Collection of Poetry. Teksty w języku ukraińskim i w języku angielskim. Zebrał i przełożył Orys Prokopiw. Str. 134 i 2 nlb. (Wyd. Smolokyp Publishers, Baltimore - Toronto, 1977; cena Dol. 6,65).
- LIUBOMYRSKYJ (Stepan).** *Prometejiv wohoń.* Powieść. Str. 544 i 2 nlb. Wyd. Ukrainjska Wydawnicza Spilka, Londyn, 1977).
- BERDNYK (Oleś).** *Blaknytnyj kowal.* Poezje. Str. 88. (Wyd. Smolokyp, Paryż - Baltimore - Toronto, 1975).
- BERDNYK (Oleś).** *Ukraina Siczy wohniannoj.* Eseje i listy. Przedruk z Samizdatu z Sowietkiej Ukrainy. Str. 88 i 4 nlb. (Wyd. Smolokyp, Paryż - Baltimore - Toronto, 1977).
- RUDENKO (Mykoła).** *Chrest.* Poema. Str. 32 nienumerowanych. (Wyd. Smolokyp, Baltimore - Toronto, 1977).

KRAJ — BLOK WSCHODNI

5-5-78

W PRL istnieje tylko 1.429 oczyszczalni ścieków. W 1976 roku przekazano do użytkowania zaledwie 38 takich oczyszczalni. Projektowaniem tych obiektów zajmują się 84 jednostki projektowe, buduje oczyszczalnie 56 różnych wykonawców. W 117 obiektach czas budowy przekroczył 5 lat, a miejską oczyszczalnię w Żyrardowie budowano 18 lat. Modernizacja i rozbudowa istniejących obiektów wymaga nakładów 25,7 mld. złotych, a budowa nowych 82 mld. złotych.

6-5-78

Zmarł, w wieku 83 lat, gen. bryg. Leon Nałęcz-Bukojemski, żołnierz Legionów, uczestnik walk o niepodległość.

15-5-78

Tegorocznym laureatem nagrody naukowej im. Ks. Idziego Radziszewskiego został ks. prof. Wincenty Granat.

20-5-78

W czasie wizyty w Warszawie amerykańskiego ministra rolnictwa Berglanda rząd PRL zwrócił się do niego o zmianę warunków na jakich Polska otrzymała jesienią ub. roku kredyt pół miliarda dolarów na zakup produktów rolnych w USA. Pożyczka ta została udzielona na trzy lata, z oprocentowaniem 8% i ma być spłacona w trzech ratach. PRL chciałyby rozłożyć spłaty na 10 lat i obniżyć oprocentowanie. Ponieważ wydział kredytowy amerykańskiego ministerstwa rolnictwa nie ma prawa udzielania długoterminowych pożyczek ani przedłużać terminów spłat, sprawa będzie dyskutowana w ciągu lipca w Waszyngtonie. PRL bardzo na tej sprawie zależy gdyż liczą się z koniecznością dalszych znacznych zakupów w Stanach. Zadłużenie PRL wynosi obecnie ok. 14 miliardów dolarów a rzeczoznawcy angielscy obliczają że Polska będzie musiała pożyczyć 1 miliard dolarów dla obsługi dotychczasowego zadłużenia. Za pierwszy kwartał br. import Polski zmalał o 12,5% a eksport wzrósł o 10,5% w porównaniu z pierwszym kwartałem ub. roku. Ograniczenia importowe mogą mieć bardzo złe skutki dla gospodarki. Mianowicie PRL zmniejszyła import ropy o 42 tys. ton, gazu ziemnego o 69 milionów metrów sześciennych, rudy żelaznej o 300 tys. ton i stali walcowanej o 140 tys. ton. Te redukcje doprowadzają do przestoju w przemyśle.

24-5-78

Jerzy Piętowski, naczelny dyrektor ANIMEX-u, w wywiadzie udzielonym paxowskiemu *Stowu Powszechnemu*, podkreślił, że jeśli idzie o towary rolno-spożywcze, to bilans obrotu handlu zagranicznego był dodatni, a obecnie import znacznie przewyższa wpływy dewizowe z eksportu. Polska eksportuje wyroby puszkiwane głównie do USA, bekon do Wielkiej Brytanii, żywiec wołowy do Włoch, Grecji i na Bliski Wschód, mięso do RFN. Bardzo wzrósł eksport koni rzeźnych i roboczych (w 1977 roku 178 mln. złotych dewizowych), sprzedaż owiec (32,2 mln. zł. dewizowych), eksport dziczyzny (51,6 mln. zł.). W ub. i bież. roku Polska importuje m.in. mięso i szmalc. ■ Reżyser Jerzy Hoffman realizuje nowy film pt. „Do krwi ostatniej”. Tematem tego filmu będą wydarzenia związane ze wschodnią polityką gen. Sikorskiego.

25-5-78

W dniach 18 do 25. 5. br. odwiedziła Polskę pielgrzymka francuskiego stowarzyszenia katolików „Credo”. Była to największa wycieczka katolików francuskich po wojnie. Francuscy katolicy wrócili pod ogromnym wrażeniem polskiego katolicyzmu i znany dominikanin O. R. L. Bruckberger zamieścił w paryskiej *L'Aurore* z 1. 6. br. entuzjastyczny artykuł pt. „Il nous faut être Polonais”. ■ Prof. Stanisław Ulam otrzymał najwyższe odznaczenie Polskiego Towarzystwa Matematycznego — medal im. Wacława Sierpińskiego. ■ W bież. roku jest spodziewany przyjazd do PRL około pół miliona polskich turystów z Zachodu. ■ Nowym ambasadorem ZSSR w PRL został mianowany Borys Aristow, pierwszy sekretarz komitetu miejskiego KPZS w Leningradzie i członek KC.

28-5-78

W PRL podniesiono średnio o 25% ceny detaliczne napojów alkoholowych. Głównie wzrosły ceny wódek czystych i gatunkowych, ceny wina wzrosły o 15%, a piwa o 10%. Spożycie napojów alkoholowych zwiększyło się w okresie 1974-1977 o 32%, a spożycie wyrobów spirytusowych w tym samym okresie o 45%. Charakterystyczne że ceny napojów alkoholowych nie zostały podniesione w sklepach dolarowych.

31-5-78

Zmarła w Warszawie, w wieku 80 lat, znana malarka i ilustratorka Maja Berezowska.

1-6-78

W Warszawie mówi się, że w czasie ostatniego spotkania Breżniewa z Gierkiem ustalono rozpoczęcie budowy w Elblągu wielkiej strategicznej sowieckiej bazy morskiej, której koszt o wiele przewyższy koszt budowy huty „Katowice”.

3-6-78

Prasa krajowa podaje, że radomska wytwórnia telefonów „Telkom” jest jednym z największych producentów aparatów telefonicznych na świecie, a największym w Europie. Producent polski gwarantuje trwałość aparatu na lat 20. PRL wybudowała w Syrii wielką montażownię, a obecnie przygotowuje się uruchomienie polskich fabryk na terenie Nigerii, Grecji i Libanu. Największym odbiorcą polskich aparatów telefonicznych jest ZSSR, gdzie jest obecnie ponad 5 milionów telefonów polskich. Rocznie RWT eksportuje ponad 60% swojej produkcji. ■ Narodowy spis powszechny, który ma miejsce w PRL co 10 lat został przyspieszony i odbędzie się w grudniu bież. roku.

ZACHÓD — EMIGRACJA

W Klubie Polskim w Johannesburgu odbył się zjazd delegatów organizacji polonijnych z Afryki Południowej i Rodezji. Na specjalne wyróżnienie zasługuje referat z Rodezji, gdzie mimo tego, że skupisko Polaków jest najmniej liczne, są oni najlepiej zorganizowani. Jedyni, którzy posiadają własny Dom Polski, szkółki dla dzieci i samopomoc finansową. Na zjeździe przyjęto jednogłośnie statut Rady Polonii oraz wybrano zarząd Rady w następującym składzie: prezes — T. Orzechowski (Durban), członkowie: T. Barski (Rodezja), K. Krawczyk (Cape Town), J. Wallas, K. Ranozek, S. Smoleniec (Johannesburg). Do zarządu dookooptowano Z. Fudakowskiego, J. Luterka i E. de Virion. P. de Virion zgłosił wniosek o poparcie działalności organizacji niepodległościowych w Polsce.

7-5-78

W Izraelu zmarł, w wieku lat 69, Józef Muszkat, dziennikarz i satyryk, popularnie zwany Jotemem.

11-3-78

Stefan Kisielewski wygłosił w wiedeńskim Österreichische Gesellschaft für Litteratur odczyt po niemiecku pt. „Die alte polnische Kultur im altem Galizien”. W związku z pobytem Kisielewskiego w Wiedniu dziennik *Die Presse* z dnia 16. 5. br. zamieścił rozmowę z nim poświęconą w większej części problemom cenzury w PRL.

14-5-78

Dr fil. Jerzy Sarnecki, uczonego szwedzkiego pochodzenia, został pod przymusem doprowadzony do wracającego z Polski samolotu i do Polski nie wpuszczony. Sarnecki należał do trzyosobowej oficjalnej delegacji szwedzkiej zaproszonej do Polski przez Uniwersytet Warszawski w celu wzięcia udziału w dyskusji na temat przestępczości młodzieży. Delegacja szwedzka składała się z wyższych urzędników i uczonych Rady Zapobiegania Przestępczości. Skandaliczne zachowanie się władz polskich na lotnisku Okęcie, które na zapytanie Sarneckiego dlaczego jego, zaproszonego do Polski na konferencję, odsyłają przymusowo, odpowiedziały „Powinnicie wiedzieć, że takich jak wy do Polski nie wpuszczamy” — wywołało w Szwecji wielkie oburzenie. Natychmiastowy protest szwedzki tym razem poskutkował. Dr Sarnecki wrócił do Polski następnego dnia i zaplanowana konferencja mogła się odbyć. W ostatnich tygodniach szereg Polaków żydowskiego pochodzenia, obywateli szwedzkich zatrzymywano na granicy polskiej. Pomimo zapewnień rządu PRL — o informowaniu rządu Szwecji o powodach odmowy wjazdu w każdym poszczególnym wypadku, polskie władze pograniczne w dalszym ciągu ignorują te zapewnienia p. Gierka.

20-5-78

W Domu Kombatanta w Paryżu odbyło się walne zebranie „Wspólnoty polsko-francuskiej”. Prezesem tej organizacji został prof. Henryk Adamczewski z uniwersytetu Paris III, sekretarzem generalnym inż. Janusz Deryng z Lille, a Jerzy Jankowski został wybrany delegatem generalnym.

30-5-78

Jury Związku Pisarzy Polskich na Obczyźnie w Londynie przyznało dwie doroczne nagrody: za całokształt twórczości dr. Adamowi Ciołkoszowi (Londyn) za najlepszą książkę roku 1977 i prof. Wacławowi Jędrzejewiczowi (New York) za *Kronikę życia Józefa Piłsudskiego*.

4-6-78

Walne zebranie Związku Pisarzy w Londynie wybrało ponownie dr. Józefa Garlińskiego na prezesa. Do zarządu weszli: Paweł Moskwa, Antoni Pośpiecha, Bronisław Przyłuski, Krzysztof Rowiński, Marta Reszczyńska-Stypińska i Ignacy Wieniewski. Przyjęto uchwałę wyrażającą zaniepokojenie i zdziwienie, że władze w Polsce odmówiły znanemu poecie, Stanisławowi Barańczakowi, prawa wyjazdu do Stanów Zjednoczonych celem objęcia katedry literatury polskiej na uniwersytecie w Harvard.

14-6-78

Zmarł w Scunthorpe (W. Brytania), w wieku 69 lat, Andrzej Tarnowski, żołnierz Brygady Karpackiej, przyjaciel naszego pisma.

16-6-78

W kościele polskim w Paryżu odbył się koncert klawesynowy Barbary Strzeleckiej, czolowej polskiej klawesynistki, specjalizującej się w muzyce XVI-go i XVII-go wieku.

20-6-78

Towarzystwo Opieki nad Polskimi Zabytkami i Grobami Historycznymi we Francji zorganizowało wieczór poświęcony kolekcjom pałacu Montrésor. Na wieczór złożyły się: odczyt Jana Winczakiewicza pt. „Xawery Branicki i pałac w Montrésor” oraz przezroczka, komentowane przez Xawerego Reya.

22-6-78

W Bibliotece Polskiej w Paryżu odbyło się walne zebranie Towarzystwa Historyczno-Literackiego.

23-6-78

W Centre du Dialogue w Paryżu odbył się wieczór muzyczny, na którym Marek Drewnowski wykonał utwory fortepianowe Romana Palestra i Stefana Kisielewskiego.

24-6-78

W SPK w Paryżu odbyła się herbatka dyskusyjna poprzedzona odczytem płk. Stanisława Szewalskiego „Droga do zwycięstwa prowadziła przez Afrykę Północną (1940-1942)”.

7-7-78

W Paryżu miał miejsce VII Congrès International de Phénoménologie. Kierownikiem programowym była Anna Teresa Tymieniecka z The World Institute for Advanced Phenomenological Research and Learning w Belmont (USA).

KRONIKA AMERYKAŃSKA

W hieź. roku wartość amerykańskiego eksportu produktów rolnych osiągnęła sumę ponad 25 miliardów dolarów. ■ Wybitny uczonego dr Ludwik Gross, szef wydziału badań nad rakiem w Bronx Veterans Administration Hospital, otrzymał najwyższą nagrodę medyczną RFN — złoty medal im. Darmstaetera. Ponadto prezydent Giscard d'Estaing odznaczył dr. Grossa orderem Legii Honorowej, a także został on w tym roku laureatem najwyższej nagrody naukowej Francji — Prix Griffuel. Prof. Gross jest członkiem Polskiego Instytutu Naukowego w Nowym Jorku. ■ Skład rady i komitetu wykonawczego Północno-Amerykańskiego Studium Spraw Polskich ukształtował się następująco: przewodniczący rady — Aleksander Kajkowski, wiceprzewodnicząca — Danuta Mostwin, sekretarz — Stefan Kowalik; członkowie — Andrzej Brzeski, Zdzisław Dziekoński, Jan Gross, Stanisław Jaworski, Andrzej Kawczak, Józef Kleszczyński, Zbigniew Kliszewski, Jerzy R. Krzyżanowski, Jerzy Lerski, Kazimierz Łukomski, Ryszard Mostwin, Tomasz Sech, Władysław Stepień, Janusz K. Zawodny. Członkami komitetu wykonawczego zostali: W. Bniński, A. S. Ehrenkreutz, J. Morelewski, S. Mostwin, F. Polcyn, W. Soroka, Z. Szpikowski i J. A. Wojciechowski. Działalność polityczną Studium w Waszyngtonie koordynuje W. H. Bniński. ■ 25. 6. br. została otwarta wystawa Christiny Eichler w Heritage Gallery w Los Angeles. ■ Kongres większością 202 głosów na 162 odrzucił projekt utworzenia Instytutu Praw Człowieka, który miał działać w oparciu o corocznie uchwalaną dotację.

KRONIKA KANADYJSKA

Polski Instytut Naukowy w Kanadzie zawiadamia o ustanowieniu Funduszu im. Tadeusza Romera. Zadaniem Funduszu będzie zasilanie Biblioteki Polskiej w Montrealu przy Instytucie Naukowym. ■ W maju zmarł, w wieku lat 96, ks. Antoni Sylla, najstarszy wiekiem kapłan, misjonarz polski z zakonu O.O. Oblatów, który duszpasterzował w Kanadzie, na preriach, od 1909 roku. ■ W Montrealu zmarł, przeżywszy lat 80, artysta-malarz i konserwator Stefan Kontski. Jego specjalnością było wytłaczanie kurdybanów, m.in. wykonał wnętrze kościoła M. B. Częstochowskiej w Montrealu. ■ Aleksander Zinowiew został przyjęty na członka kanadyjskiego Pen-Clubu.

Z OSTATNIEJ CHWILI

Londyński *Tydzień Polski* z 17 czerwca podaje, że na walnym zebraniu Związku Pisarzy na Obczyźnie „dużo uwagi poświęcono uchwalonej w ub. roku nagrodzie im. Juliusza Sakowskiego dla wydawców. Prezes Garliński wyjaśnił, że próby zdobycia na ten cel funduszy nie powiodły się. Wszyscy wydawcy, do których zarząd zwracał się o zadeklarowanie udziału — odmówili. Zarząd Związku przyszedł do wniosku, że fundusze Związku, zaangażowane głównie w wydawanie „Pamiętnika Literackiego”, na taką nagrodę nie pozwalają. Prezes wysunął i inną trudność ustanowienia takiej nagrody: do niedawna były dwa wydawnictwa wydające książki z własnego wyboru i opłacane własnymi funduszami. Były to Instytut Literacki w Paryżu (*Kultura*) i Polska Fundacja Kulturalna w Londynie. Dzisiaj tylko Instytut Literacki wydaje książki przez siebie wybrane i finansowane. A więc nagradzać tylko Instytut Literacki? Poza tym, prezes Garliński uważa, że parusetfuntowe nagrody nie byłyby żadną pomocą dla wydawców. Wielu obecnych na zebraniu członków wypowiadało się jednak, że takie wyróżnienie byłoby zachętą i bodźcem do dalszej pracy. Padł też dezyderat, aby przy wprowadzaniu poprawek do statutu umożliwić przeznaczanie pewnej sumy (Związek nie jest, dzięki istniejącemu Funduszowi Domu Pisarza, organizacją biedną) na pomoc autorom w wydawaniu. To także spotkało się nie bez słuszności z dezaprobatą prezesa Garlińskiego, gdyż rozpetałoby to lawinę zgłoszeń”.

SPRAWA STERNFELDA

Ary Sternfeld, Polak, obywatel honorowy Sieradza, studiował na Uniwersytecie Jagiellońskim matematykę, następnie pracował na Sorbonie, gdzie opublikował pierwsze obliczenia trajektorii satelitów ziemskich (sputników). Gdy projekty jego przedkładał w tej sprawie rządowi Francji, Anglii i USA spotkały się ze zdecydowaną odmową, a zaproponowano mu dalsze prace w tym kierunku w Moskwie, wyjechał do Rosji wraz ze swą pierwszą żoną-Francuzką. Projekty jego nadal były traktowane nieufnie, i dopiero podczas wojny zainteresowała się nimi armia (rakiety, katusze!!), dzięki czemu mógł kontynuować badania. Gdy pierwszy sputnik miał zostać wystrzelony w atmosferę dokołaziemską, obliczenia trajektorii dokonane przy pomocy komputerów zostały odrzucone i sięgnięto po dane opracowane w 1934 przez Sternfelda. Także trajektornia Gagarina była identyczna — z opracowaną i opublikowaną przez Sternfelda w 1934. Kilka lat temu Sternfeld dostał doktorat h.c. jednego z uniwersytetów francuskich — odmówiono mu paszportu. Obecnie dostał doktorat h.c. uniwersytetu w Nancy — i znów odmówiono mu paszportu. W ciągu ostatnich 20 lat tylko raz udało mu się dostać paszport do Polski (na odebranie honorowego obywatelstwa swego rodzinnego miasta Sieradza!). Sternfeld ma lat 85. Jego siostra jest wdową po prof. Kaleckim.

Listy do Redakcji

Florence, 27 maja 1978.

Drodzy Przyjaciele,

Przesyłam Wam, wraz z opłatą za prenumeratę *Kultury* i włoskimi wycinkami prasowymi w których mowa o Waszym miesięczniku, pierwszą sumę zebraną przez nas w Florence na KOR. Wiemy że los dysydentów zależy bardzo często bezpośrednio od rezonansu ich inicjatyw za granicą i od poparcia sympatyków zagranicznych. W latach ucisku carskiego Giuseppe Mazzini powtarzał zawsze, ubolewając nad niewrażliwością swoich współczesnych, że nie wolno zapominać o Polsce. Przypominając te słowa, chcielibyśmy wyrazić nasz żal nie udało nam się zrobić więcej.

Życzymy Wam powodzenia w dalszej pracy i przesyłamy najserdeczniejsze pozdrowienia.

Paolo AMATO

Sekretarz regionalny

Młodzieży Fedetracji Republikańskiej

Szanowny Panie Redaktorze,

Tanger, 25 maja 1978.

W majowym numerze *Kultury* Łobodowski pisze o tragicznej deportacji Jakuba Goldszmidta (Janusza Korczaka). Korczak nie nazywał się Jakub, lecz Henryk. Znany był jednak jedynie pod swym nazwiskiem literackim, które, jak mi to sam opowiadał (wzmiankowałem o tym we wspomnieniu o nim, które opublikowałem w Londynie w kwietniu 1943 roku) powstało zupełnie przypadkowo. Przytaczam niemal dosłownie relację Korczaka: „Pierwszy mój utwór literacki, który posłałem do prasy, musiał być podpisany „godłem” dla zachowania anonimowości autora, ponieważ był to konkurs. Na biurku moim leżała książka Kraszewskiego „O Januszu Korczaku i o pięknej miecznikównie”. Podpisałem machinalnie „Janasz Korczak”. Redaktor, który o tej książce nigdy nie słyszał, a imię „Janasz” znał przypuszczalnie jedynie z bazaru Janusza za Żelazną Bramą, myślał, że to omyłka i poprawił „Janasz” na „Janusz”. Na konkursie zostałem odznaczony i zachowałem ten pseudonim”.

Z poważaniem,

Anatole ESTRYN

Warszawa, czerwiec 1978.

Szanowny Panie Redaktorze,

Do mojej rozmowy z Kisielą w majowym numerze *Kultury* wkradła się niecisłość, spowodowana albo moim przejęzieniem się, albo błędem w notatkach Kisiela. Chodzi o zdanie, w którym działalność Towarzystwa Kursów Naukowych figuruje na liście różnych akcji KOR'u. — Towarzystwo Kursów Naukowych jest instytucją całkowicie autonomiczną.

Adam MICHNIK

Pwllheli, Gwynedd, Wielka Brytania, 5 maja 1978.

Wielce Czcigodny Panie Redaktorze!

W numerze majowym 1978 *Kultury* X.W.S. pisząc o zakonnikach polskich i ich działalności na niwie religijno-społecznej w USA, pominął księży Zmartwychwstańców.

Zgromadzenie powyższe zostało założone w Rzymie w roku 1842 z inicjatywy Adama Mickiewicza; pracuje już w USA i Kanadzie od przeszło stu lat. Obsługuje liczne parafie polskie i zakłada szkoły jako też liczne stowarzyszenia polskie. Ponadto XX Zmartwychwstańcy przez wiele lat wydawali *Dziennik Chicagowski*, który dopiero po drugiej wojnie światowej uległ likwidacji na skutek braku funduszy. Mam wrażenie że pomyłka autora artykułu „Polonia Amerykańska — Wielka Niewiadoma” jest zwykłym przeoczeniem.

Proszę przyjąć wyrazy poważania,

A. S. ORŁOWSKI

ODPOWIEDZI REDAKCJI

- A.R.-Sz., Londyn. — Nie zamieścimy. To są jałowe spory.
 K.L., Hollywood. — Nie zamieścimy. Wiersz jest słaby.
 V.W.A., Montreal. — Nie zamieścimy. Jałowy popis erudycji.
 A.K., Paryż. — Nie zamieścimy. List przekazaliśmy p. St. Kisielowskiemu.
 St.K.B., Granada, Hiszpania. — Nie zamieścimy. Obrona gen. Sikorskiego nie jest dla nas przekonywująca.
 K.L., Nowy Jork. — Bolesław Lasocki to pseudonim wybitnego publicyście krajowego, który ze zrozumiałych względów nie może podpisywać artykułów własnym nazwiskiem. Powierzylimy mu omówienie książki z całą świadomością.

Dokumenty

AUTOBIOGRAFIA

Urodziłem się 29 października 1922 roku we wsi Pachtino, obwodu kostromskiego. Matka była kołchozową chłopką, ojciec — malarzem pokojowym. Dzieci było w rodzinie jedenaścioro; dwoje umarło w dzieciństwie, dwoje w wieku dorosłym. Żyje do dziś czterech braci (trzech z nich jest robotnikami, jeden pułkownikiem w stanie spoczynku) i dwie siostry, obie robotnice-emerytki. Rodzina początkowo mieszkała częściowo w Moskwie, częściowo na wsi, a od roku 1946 przeniosła się całkowicie do Moskwy. Mieszkaliśmy tam w wilgotnej suterynie, w pokoju mającym dziesięć metrów kwadratowych, w którym stałe gnieździło się po osiem-dziesięć osób.

Ja mieszkałem i uczyłem się w Moskwie od roku 1933. W roku 1939 skończyłem szkołę i wstąpiłem do Instytutu Filozofii, Literatury i Historii (IFLI), na wydział filozoficzny. W tym samym roku za wystąpienie przeciw kultowi jednostki Stalina zostałem wyrzucony z komsomołu i instytutu. Skierowano mnie najpierw do lecznicy psychiatrycznej, a następnie, kiedy zostałem tam uznany za normalnego psychicznie, zabrano do budynku na Łubiance (nie pamiętam jak się wówczas ta organizacja nazywała). Pamiętam tylko, że mnie kilkakrotnie przesłuchiowano i próbowano ustalić kto mnie nauczył myślenia w taki sposób. Po krótkim czasie zostałem wypuszczony; zrobiono to, by ustalić moje kontakty i „wspólników”. Nie wstępując do domu, od razu wyjechałem na wieś, do matki. Ponieważ przed aresztowaniem mówiłem swoim przyjaciołom, którzy na mnie donieśli, że wyjadę na Syberię, przez pół roku poszukiwano mnie właśnie tam. Dowiedziałem się o tym przed paroma laty od kolegów. Wreszcie domyślono się, że trzeba mnie szukać w miejscu urodzenia. Kiedy się zorientowałem, że zostałem wykryty, znowu uciekłem, tym razem do Moskwy. Na wsi pracowałem w kołchozie. Chociaż miałem odroczenie służby wojskowej, namówiłem kogo trzeba żeby mnie powołano. W ten sposób ukryłem się przed organami bezpieczeństwa i głodem.

W wojsku służyłem w kawalerii, w broni pancernej i w lotnictwie. Wojnę spędziłem początkowo w armii lądowej, a pod koniec w lotnictwie szturmowym. Dokonałem kilkudziesięciu lotów bojowych, atakując cele na tyłach wroga. Zostałem odznaczony orderem i medalami. W roku 1946 zostałem zdemobilizowany.

Następnie wstąpiłem na Wydział Filozoficzny Uniwersytetu Moskiewskiego. Skończywszy studia w roku 1951 zapisałem się na aspiranturę, którą ukończyłem w roku 1954, obroniwszy pracę pod tytułem „Metody przechodzenia od abstrakcji do konkretności (na materiale „Kapitału” Marksa)”. Praca zyskała rozgłos o skandalicznym posmaku. W ciągu czterech lat Wyższa Komisja Kwalifikacyjna (WAK) nie zatwierdziła mojego tytułu kandydata nauk. Podobno moja praca kandydacka do tej pory jest kolportowana w Samizdacie. W każdym razie wielu sowieckich filozofów czerpało z niej całymi garściami — co prawda tak bezmyślnie, że podstawowe tezy pozostały dotychczas nienaruszone lub zniekształcone. W czasie nauki pracowałem jako tragarz, kopacz, laborant, tłumacz, nauczyciel w szkole. Od roku 1948 do 1954 uczyłem logiki i psychologii.

W roku 1954 zacząłem pracować w Instytucie Filozofii ZSSR, na etacie którego znajdowałem się aż do zwolnienia w styczniu 1977, tj. przez przeszło dwadzieścia dwa lata. Początkowo byłem pracownikiem technicznym, później młodszym, a wreszcie starszym naukowym. Jednocześnie pracowałem w Instytucie Fizyko-Technicznym, a następnie na Wydziale Filozoficznym Uniwersytetu — najpierw jako starszy wykładowca, a następnie profesor (w latach 1962-1976). Przez pewien czas, w latach 1967-1968, kierowałem katedrą logiki. W roku 1962 zrobiłem doktorat, a w roku 1966 otrzymałem tytuł profesora. W latach 1968-70 byłem członkiem kolegium redakcyjnego czasopisma *Woprosy Filozofii*. W roku 1974 zostałem wybrany na członka Fińskiej Akademii Nauk.

Sytuacja rodzinna. Po raz pierwszy ożeniłem się w roku 1943, i mam z tego związku syna Walerego, który jest obecnie oficerem milicji. Rozwiódłem się w roku 1948, powtórny związek małżeński zawarłem w roku 1951; urodziła się z niego córka Tamara, z wykształcenia historyk sztuki, a z powołania artystka. Po raz trzeci ożeniłem się w roku 1967; moja żona, Olga jest z wykształcenia historykiem filozofii; córka Polina urodziła się w roku 1971.

Przynależność do partii. Od młodych lat byłem antystalinistą, i do samej śmierci Stalina uważałem antystalinowską pro-

pagandę za główną sprawę życiową. Za wystąpienia tego typu zostałem zaszczycony uwagą organów bezpieczeństwa, o czym była już mowa wyżej. Po śmierci Stalina wstąpiłem do KPZS, zamierzając kontynuować walkę ze stalinizmem legalnie. Ale wkrótce przekonałem się, że sprawę tę wzięli w swe ręce stalinieści, a ja nie miałem nic do powiedzenia. Od tego czasu byłem członkiem partii tylko formalnie, co w środowisku sowieckiej inteligencji jest zjawiskiem dosyć typowym. Płaciłem składki, rysowałem karykatury w gazecie ściennej, i czasami siedziałem na zebraniach — znowu rysując karykatury, lub czytając powieści kryminalne. W czerwcu 1976, w związku z „incydentem fińskim” (napiszę o nim dalej) wystąpiłem z partii — przestałem płacić składki i zwróciłem legitymację. Formalnie zostałem wydalony w listopadzie czy grudniu 1976.

Działalność naukowa. Publikować zacząłem późno — od roku 1958; przy czym pierwsze artykuły ukazywały się w Polsce, Czechosłowacji, i gdzieś na Zachodzie (dokładnie już nie pamiętam). W roku 1958 zniszczyłem książkę o „Kapitale” Marksa, nad którą pracowałem osiem lat, ponieważ otrzymałem efekt zdecydowanie negatywny i przekonałem się, że praca w tym kierunku jest niemożliwa. W roku 1959 zacząłem pracować w dziedzinie logiki matematycznej i logicznej metodologii nauki („logiki nauki”). Opublikowałem sześć książek i przeszło sto artykułów w języku rosyjskim, oraz kilka książek i wiele artykułów w językach obcych. Podstawowa sfera moich zainteresowań naukowych to logika nieklasyczna i jej zastosowania do analizy języka nauki. Wielokrotnie byłem zapraszany na międzynarodowe spotkania fachowe, byłem włączany do delegacji na kongresy, otrzymywałem osobiste zaproszenia itp. — ale ani razu mnie nie wypuszczono. Zaproszenia tego typu przychodziły z Polski, Jugosławii, Czechosłowacji, Bułgarii, USA, Belgii, Holandii, Finlandii, RFN i innych krajów.

Najważniejsze prace naukowe:

1. *Filosofskie problemy mnogoznaczonej logiki*, Moskwa 1960;
2. *Łogika wyskazywanij i teorija wywoda*, Moskwa 1962;
3. *Philosophical problems of many-valued logic*, Dordrecht, Holland, 1963;
4. *Osnovy logiczeskoj teoriji naucznych znaniij*, Moskwa, 1967;
5. *Ueber mehrwertige logik*, Berlin, Branschweig, Basel, 1968;
6. *Kompleksnaja logika*, Moskwa, 1970;
7. *Complexe logik*, Berlin, Branschweig, Basel, 1970;

8. *Łogika nauki*, Moskwa, 1971;
9. *Łogiczeskaja fizika*, Moskwa, 1972;
10. *Nietradycyjnaja teorija kwantorow. Łogika klassow*. W zbiorze „Teorija łogiczeskogo wywoda”, Moskwa, 1973;
11. *O niekotorych sistiemach formalnoj arifmietiki*. „Reports on Mathematical Logic”, 1974, nr 3.
12. *Oczerk empiriczeskaj geometrii*. „Fiłosofskije nauki”, 1975, nr 1;
13. *O paralelnych liniach w empiriczeskaj geometrii*. „Fiłosofskije nauki”, 1975, nr 4;
14. *Logische Sprachregeln*, Berlin, München, Salzburg, 1975 (wspólnie z H. Wessel);
15. *Logik und Sprache der Physik*, Berlin, 1975;
16. *Logic and Empirical Science*. „Studia Logica”, 1976, X XXV, nr 1 (wspólnie z H. Wessel);
17. *Foundations of the Logical Theory of Scientific Knowledge*, Dordrecht, Holland, 1973;
18. *Połnaja indukcija i Wielikaja Tieorema Fermi*, 1975. Jeszcze nie opublikowana;
19. *Logical Physics*, 1976. Jeszcze nie opublikowana;
20. *O sistiemnom mietodie*, 1974. Jeszcze nie opublikowana.

Sytuacja w sowieckiej nauce. Od początku była dwuznaczna. Z jednej strony mnie zachęcano, z drugiej zdecydowanie ograniczano. Dopuszczono do obrony pracy kandydackiej, ale przez wiele lat nie zatwierdzano stopnia naukowego. Chwalono za oryginalność, ale przez wiele lat nie drukowano i zabroniono powoływania się na moją pracę. Potem pozwolono publikować ale przemilczano. Wiele zapożyczano, ale bez powoływania na źródło. Włączano w składy delegacji na spotkania międzynarodowe, ale nigdy nie wypuszczano. Wysuwano moją kandydaturę do tytułu członka-korespondenta Akademii Nauk ZSSR, ale nie wybierano. Wysuwano kandydaturę do Nagrody Państwowej, ale nie dawano. W roku 1968 włączono mnie w skład kolegium redakcyjnego pisma *Woprosy fiłosofii*, ale wkrótce przestano drukować w piśmie moje artykuły, i w roku 1970 opuściłem kolegium. W roku 1967 zrobiono mnie kierownikiem katedry na wydziale filozoficznym, ale wkrótce pozbawiono tego stanowiska (w celu „wzmocnienia kierownictwa katedry”). Dopomogli w tym koledzy-logicy, wybrawszy zamiast mnie człowieka, którego skądinąd nie akceptowali ani w sensie zawodowym, ani osobistym. Systematycznie zapraszano mnie do wykładania na uniwersytecie, i jednocześnie

stopniowo likwidowano wprowadzone przeze mnie cykle wykładów, pozbawiano dyplomantów i aspirantów. Tak minęły lata sześćdziesiąte. Jeśli osiągnąłem w tym czasie pewne sukcesy, to dzięki względnej „liberalizacji”, oraz dzięki temu, że moje prace wydawano na Zachodzie, w związku z czym zagraniczni logicy i filozofowie interesowali się moją osobą. Poczynając od lat siedemdziesiątych w środowisku moich kolegów wszczęto kampanię mojej dyskredytacji jako uczonego, co zakończyło się zupełnym rozbitciem mojej grupy, zakazem publikacji moich prac i zakazem powoływania się na nie. Moja działalność uniwersytecka została sprowadzona do małego kursu wykładowego (koło 20 godzin) i to nie dla logików-specjalistów. W roku 1974 mnie i moich uczniów nie dopuszczono nawet na międzynarodowe sympozjum logiczne, zorganizowane w Instytucie Filozofii w którym pracowałem. Nie zostałem także dopuszczony na Wszechzwiązkowe Sympozjum Logiczne w Kijowie w r. 1975. W r. 1974, w czasopiśmie *Fiłosofskije nauki* zostały opublikowane artykuły, w których całą moją działalność naukową oceniano jako pozbawioną naukowej wartości. W ich napisaniu brało udział wielu sowieckich logików i filozofów; zostały one zatwierdzone przez wydział nauki KC KPZS, tak, iż nie można ich uważać za przypadkowe. Kolegium redakcyjne pisma odmówiło opublikowania artykułów w mojej obronie, chociaż było ich stosunkowo dużo. W rezultacie jeszcze przed opublikowaniem „Przepastnych wyżyn” (w końcu roku 1973) znalazłem się w sytuacji pełnej izolacji twórczej.

Napisanie „Przepastnych wyżyn”. Mówi się, że nie ma złego, co by na dobre nie wyszło. Kiedy odsunięto mnie od aktywnej pracy w sferze logiki, zacząłem po raz pierwszy od wielu lat mieć wolny czas — i pisać „Przepastne wyżyny”. Książka ta nie była jednak dla mnie czymś przypadkowym. Już w młodości zajmowałem się trochę działalnością literacką (wiersze, karykatury i satyryczne teksty w gazetkach ściennych, a także twórczość ustna — dowcipy). Po służbie wojskowej zamierzałem zostać pisarzem, ale przekonałem się, że w tych latach nic nie miało sensu. Przez cały czas marzyłem o napisaniu wielkiego dzieła. Coś niecoś pisałem i drukowałem. Wygłosiłem dziesiątki publicznych odczytów z których wiele niemal dosłownie weszło do „Wyżyn”. W wykładach na temat logiki ustawicznie dokonywałem literackich dygresji. Również doświadczenie książek i artykułów dotyczących logiki i filozofii przydało się. Tak więc byłem nieźle przygotowany do napisania „Wyżyn”. W gruncie rzeczy książka ta była już „napisana” w mojej głowie, i pozostawało ją tylko przenieść na papier. Praca ta zajęła mi w sumie pół roku. Co prawda pracowałem jak szalony. Czasami pisałem

przez dwadzieścia godzin pod rząd. O pracy tej wiedziała tylko moja żona Olga (podkreślam — jedyny pomocnik w napisaniu „Wyżyn”) i paru bliskich przyjaciół, których nazwisk nie mogę na razie wymienić. To dzięki nim książka ujrzała światło dzienne. Stwierdzenia innych osób, pretendujących do ról pomocników w napisaniu książki i organizatorów jej wydania — kategorycznie dementuje, jako dowodzące, łagodnie mówiąc, braku skromności. Mam nadzieję, że z biegiem czasu będę mógł ujawnić nazwiska osób, bez których książka nie zostałaby opublikowana. Na początku swej pracy postępowałem nieco nieostrożnie, czytając fragmenty książki niektórym swoim bliskim znajomym. Od razu zaalarmowało to odpowiednie organy; od tej pory czułem na sobie stale ich uwagę. Trzeba więc było książkę zakonspirować, co też się udało. Dla zamaskowania jednocześnie przygotowywałem książkę o logice, która w roku 1975 została opublikowana w Berlinie po niemiecku. „Wyżyny” pisałem prawie bez poprawek i bez obróbki redakcyjnej. Kiedy je przeczytałem już po opublikowaniu skonstatowałem, ku swemu zdziwieniu, że wniosłbym w nie teraz niezbyt wiele poprawek. Po napisaniu, aż do momentu publikacji, nie wiedziałem niczego konkretnego o losach książki. W gruncie rzeczy nie sądziłem, że wyjdzie w świat tak szybko. Jedyne na co liczyłem, to to, że książka nie przypadnie i za jakiś czas wyjdzie, bodaj w niewielkim nakładzie. Tym bardziej nie mogłem przewidzieć sukcesu „Wyżyn”.

Incydent fiński. W czerwcu 1976 miałem pojechać na międzynarodowe sympozjum logiczne do Finlandii. Wyjazd ten miał dla mnie znaczenie zasadnicze, o czym (przy pomocy „pośredników”) uprzedziłem zawczasu odpowiednie organy. Byłem członkiem Fińskiej Akademii Nauk, znajdowałem się w składzie delegacji, poza tym miałem poważne osiągnięcie w logice (przy pomocy swojej teorii niedowiedzialności dowiodłem w roku 1975 że nie jest możliwe znalezienie dowodu na Wielką Teoremę Fermiego). Poza tym dziesiątki razy nie wypuszczano mnie za granicę, i sytuacja niewolnika państwa definitywnie mi się znużyła. Również i tym razem mnie nie wypuszczono, w związku z czym złożyłem przeciw tej decyzji publiczny protest wobec zagranicznych korespondentów. *Nota-bene:* „Wyżyny” jeszcze nie były opublikowane, i nie wiedziałem, jak się z nimi sprawy mają. Tak więc „incydentu fińskiego” nie należy wiązać z „Wyżynami”. Za swój protest zostałem natychmiast wyrzucony z pracy w uniwersytecie i z Sowieckiego Towarzystwa Filozoficznego (którego członkiem nigdy nie byłem). Moje prace wycofano z druku. Powoływanie się na nie, nie zalecane i wcześniej, zostało teraz definitywnie zabronione. KGB rozpoczął niemal jawną inwigilację mnie i mojej rodziny.

Po opublikowaniu „Wyżyn”. O publikacji „Wyżyn” zaczęło być wiadomo w końcu września 1976. Co było dalej? Koledzy i starzy znajomi ogłosili całkowity bojkot mnie i mojej rodziny. Mojej aspirantce Anastazji Fiedinej odebrano prawo bronięcia pracy kandydackiej z logiki, ponieważ odmówiła zmiany promotora i zerwania kontaktów z moją rodziną. Następnie stworzono wokół niej sytuację nie do zniesienia, w związku z czym musiała zrezygnować z pracy w wydziale logiki. Możliwości innej pracy w tej dziedzinie zostały przed nią zamknięte. Na początku roku 1978, przy pomocy podłego oszustwa pozostawiono ją w ogóle bez pracy. Najpierw zaproponowano jej pracę w wydawnictwie „Nauka”. Przyjęła tę propozycję, odchodząc z Instytutu Filozofii. A gdy tylko to zrobiła, okazało się że jej przyjęcie do pracy było fikcyjne, i obliczone wyłącznie na to, żeby ją usunąć z instytutu. Chcę zwrócić na ten fakt uwagę filozofów i logików na Zachodzie. Podłość ta została zrealizowana rękami kolegów — filozofów i logików. Sytuacja Anastazji Fiedinej budzi poważne obawy.

Mojego brata, Wasylego, zwolniono z wojska i usunięto z Moskwy. Poprzednio pełnił służbę wojskową w różnych częściach kraju. Jest prawnikiem w stopniu pułkownika. Jako dorosli widzieliśmy się raptem kilka razy. O istnieniu książki nie miał pojęcia. W roku 1976 przeniesiono go z Kijowa do Moskwy, do pracy w prokuraturze wojskowej. Po wyjściu mojej książki został od razu zwolniony. Myślę że to posunięcie miało na celu m.in. usunięcie brata z Moskwy i pozbawienie mnie opieki prawnej — ale intencją główną było zemścić się na nim za to, co zrobiłem.

Zwolniono z pracy niepełnoletnią córkę Wasylego. Do tej pory jest na nich wywierany nacisk za „niegodne związki”.

Wywierano i wywiera się stale nacisk i na pozostałych braci. Syn jednego z nich został poddany bezprawnemu przesłuchaniu przez psychiatrę KGB i zwolniony z pracy. Dotychczas nie może znaleźć zatrudnienia. Dwaj inni bracia zostali pozbawieni możliwości poprawienia swych warunków mieszkaniowych. W razie mojego wyjazdu za granicę wszystkim im grozi zwolnienie z pracy.

Na zebraniu partyjnym, które odbyło się w Instytucie Filozofii 2 grudnia 1976 roku moi koledzy jednogłośnie ocenili książkę jako antyradziecki paszkwil, chociaż nikt z nich nie trzymał jej nawet w rękach. Przyjęto uchwałę o zwróceniu się do dyrekcji Instytutu z zaleceniem zwolnienia mnie, rozpoczęcia postępowania zmierzającego do pozbawienia mnie wszystkich stopni i tytułów naukowych, oraz odebrania wszystkich odznaczeń pań-

stwowych (w tym i wojennych). Następnego dnia zostałem zwolniony z pracy. Ponieważ jednak było to zbyt jaskrawym naruszeniem wszystkich przepisów, i wywołało silne poruszenie na Zachodzie decyzja została natychmiast anulowana. Postanowiono działać „zgodnie z prawem”. W tym celu zorganizowano konkurs na obsadzenie mojego stanowiska. Było to niezgodne z prawem, ponieważ oficjalnie o konkursie nie ogłoszono, a w warunkach panujących w Instytucie dziesiątki pracowników należało poddać weryfikacji. Odbyło się zebranie wydziału logiki, na którym odsądzono moją działalność naukową od czci i wiary. Zrobili to ci sami ludzie, którzy jeszcze niedawno zalecali moją książkę do tłumaczenia na angielski, i rekomendowali mnie, w liczbie najlepszych uczonych, do nagrody państwowej. Charakterystyczne, że, chociaż nie byłem jeszcze wówczas zwolniony, wydział logiki polecił na moje „wakujące” miejsce innego kandydata. Zgodnie z zaleceniem wydziału rada naukowa nie zatwierdziła mnie na moim stanowisku na nowy okres, naruszając przy tym liczne paragrafy odpowiednich przepisów. Nie zostałem zaproszony na to posiedzenie, chociaż byłem członkiem rady i decydowano tam o moim losie. Żadnej oceny moich prac naukowych nie przeprowadzono. Zapomniano całkowicie, że ci sami ludzie wielokrotnie przyznawali mi za moje książki nagrody instytutu, przedstawiali do nagród, itp. Żadnej innej pracy mi nie zaproponowano. Organizacja związkowa nie wykazała żadnego zainteresowania sprawą, chociaż winna była podjąć kroki zaradcze w związku z wyraźnymi naruszeniami norm ustawodawstwa pracy. Tak więc w styczniu 1977 zostałem powtórnie zwolniony z Instytutu Filozofii, w którym, według powszechnej oceny, byłem wzorowym pracownikiem w ciągu przeszło 22-letnich lat.

4 lutego 1977 roku Wyższa Komisja Kwalifikacyjna przy Radzie Ministrów ZSSR na wniosek Instytutu Filozofii pozbawiła mnie wszystkich stopni i tytułów naukowych. I znowu: instytut wystąpił z wnioskiem o pozbawienie stopni kandydata i doktora nauk a WAK odebrała na dodatek jeszcze i tytuł starszego pracownika naukowego i profesora. Przy tym WAK nie miała prawa pozbawiać mnie tytułu starszego pracownika naukowego, ponieważ ma je tylko prezydium Akademii Nauk, a Instytut Filozofii nie mógł składać wniosku o pozbawienie stopnia kandydata nauk, ponieważ przyznano mi go na wydziale filozoficznym uniwersytetu. Są to tylko pojedyncze przykłady tego faktycznego bezprawia, które zapanowało po wyjściu „Wyżyn” w stosunku do mnie i mojego najbliższego otoczenia. Wkrótce potem Prezydium Rady Najwyższej ZSSR pozbawiło mnie odznaczeń państwowych. W lutym 1977 wyłączono w moim mieszkaniu telefon. Wraz z żoną zostaliśmy pozbawieni łączności tele-

fonicznej i kontaktu listownego z przyjaciółmi i krewnymi za granicą. Naszej bliskiej znajomej wyłączono telefon po tym, jak moja żona zadzwoniła od niej do swojej siostry, mieszkającej na Węgrzech. Wyłączenie umotywowano faktem, iż właścicielka telefonu oddała go do dyspozycji „tych, którzy nie mają do tego prawa”.

Christine Maistre, przyjaciółka żony, mieszkająca we Francji, otrzymała, bez żadnych powodów, zakaz wjazdu do ZSSR w ciągu 12 lat. Wszystkie nasze próby telefonowania za granicę od znajomych, lub z moskiewskiego Głównego Urzędu Telefonicznego były udaremniane pod takim czy innym pretekstem.

Wydania moich prac, przygotowanych do druku w Polsce, Niemczech Wschodnich i Bułgarii, zostały zabronione, przy czym odmówiono mi również wypłacenia honorarium, chociaż, zgodnie z międzynarodowymi umowami wydawcy byli zobowiązani to zrobić. Miejscowe władze niejednokrotnie traktowały mnie jako „pasożyta”. Zaproponowano mi pójście do pracy w charakterze... programisty, tj. do zawodu nie mającego z moim nic wspólnego. Czterokrotnie wzywano mnie na przesłuchania do KGB; przy czym raz sprowadzono mnie za pośrednictwem milicji, tj. przymusowo. Byłem wzywany w związku ze sprawami Szczarańskiego i Orłowa. Spotkałem się z nimi tylko raz i nie miałem w ich sprawach nic do powiedzenia. Toteż przesłuchania były faktycznie przesłuchaniami mnie samego.

W kwietniu 1977 roku otrzymałem zaproszenie od rektora uniwersytetu w Monachium — do wzięcia udziału w seminarium twórczym w roku akademickim 1977/1978. Początkowo OWiR (Oddział Wiz i Rejestracji Komendy Milicji, komórka zajmująca się wyjazdami zagranicznymi i pobytami cudzoziemców w ZSSR — przyp. tłum.) odmówił przyjęcia mojego podania. Później natomiast (16 maja) w moskiewskim OWiR-ze zaproponowano mi zebranie odpowiednich dokumentów dosłownie w ciągu kilku godzin. Jednakże od tego czasu upłynęło osiem miesięcy, aż wreszcie 25 stycznia 1978 zakomunikowano mi, że otrzymałem odmowę. Przyczyny odmowy, rzecz jasna, nie zostały podane. W czasie kiedy moje dokumenty leżały w OWiR-ze otrzymałem zaproszenie na międzynarodowe sympozjum logiczne do Włoch, ale pojechać oczywiście nie mogłem, ponieważ nie miałem żadnej formalnie możliwości złożenia podania o zezwolenie na wyjazd. W listopadzie 1977 roku dowiedziałem się, że w Szwajcarii przyznano mi nagrodę za „Wyżyny”, ale i tym razem nie miałem możliwości wyjazdu, i ceremonia wręczenia nagrody odbyła się 9 grudnia 1977 bez mnie. Obecnie zostałem zaproszony jako jeden z referentów na międzynarodowy kongres filozoficzny, który odbędzie się w sierpniu i wrześniu 1978 roku w Düsseldorfie

(RFN), ale nie jestem w stanie złożyć podania, ponieważ nie pracuję w żadnej sowieckiej instytucji. Przedstawiciele ZSSR w Komitecie organizacyjnym kongresu, żądali, by usunięto mnie z listy referentów.

O warunkach życia i środkach utrzymania. W ciągu tego czasu rodzina moja egzystowała dzięki sprzedaży książek i co cenniejszych rzeczy, a także dzięki pomocy krewnych i nowych przyjaciół. Dążenie władzy do stworzenia wokół mnie i mojej rodziny zupełnej pustki nie zostało uwieńczone powodzeniem; jest to nader wymowny i charakterystyczny w sowieckich warunkach fakt. Żyliśmy i żyjemy w warunkach ustawicznej inwigilacji, straszenia, fałszywych pogłosek. Wiele osób, mających kontakty z moją rodziną poddawanych jest również inwigilacji, tajnym rewizjom, zastraszaniu. Istnieją podstawy do przypuszczeń, że niektórzy z nich mogą zostać poddani represjom po linii psychiatrycznej. Groziło to również i mnie, i trudno powiedzieć, czy udało mi się tego uniknąć, gdybym w swoim czasie nie zrobił kopii świadectw stanu zdrowia, które wydawano mi przy załatwianiu zamierzonych (ale niezrealizowanych) wyjazdów zagranicznych. Przyjmowania finansowej pomocy z Zachodu odmówiłem, z dwu powodów: 1) żeby nie znaleźć się w sytuacji „płatnego szpiega Zachodu”; 2) żeby nie popierać systemu faktycznego rabunku, dokonywanego w takich wypadkach przez państwo.

O książce „Świetlana przyszłość”. W rok po ukończeniu „Przepasnych wyżyn” stwierdziłem, że jeden z rozdziałów książki („Notatki odszczepieńca”) został zagubiony. Odtworzyłem go, ale już w innym stanie ducha. Tak powstała praca „Notatki nocnego stróża”*. W „Notatkach” znajdowała się niewielka „Moskwicińska bajka”, którą następnie poszerzyłem do objętości całych „Notatek”. Tak powstała „Świetlana przyszłość”. Obie zostały połączone w książce pod tym ostatnim tytułem. Książka ta została napisana na przełomie lat 1975/76, to znaczy jeszcze przed publikacją „Wyżyn”. Z jednej strony kontynuuje ona i rozwija ideę „Wyżyn”, ale z drugiej — jeśli chodzi o tonację uczuciową i formę literacką — jest to praca samodzielna, i znacznie odbiegająca od „Wyżyn”.

Perspektywy. Życie i praca w Związku Sowieckim są w tych warunkach niemożliwe. I przyjaciele i krewni są zmęczeni. Tak

* „Notatki nocnego stróża” niedawno dotarły na Zachód i zostaną wydane przez L. „Age de l'homme”, wydawnictwo które wydało poprzednie książki A. Zinowiewa.

więc zamierzam znowu walczyć o pozwolenie wyjazdu i podjęcia pracy w którymś z uniwersytetów Zachodu. W najgorszym razie będę zmuszony rzec się sowieckiego obywatelstwa i prosić o azyl polityczny w którymś z krajów Zachodu.

21 lutego 1978 r.

Aleksander ZINOWIEW
ZSSR
Moskwa 117036
ul. Kiedrowa 13, blok I, m. 49

KONFERENCJA „POLONIA 1978 — POLONIA JUTRA” KOMISJA NR I. WSPÓŁPRACY ORGANIZACYJNEJ

PROJEKTY WNIOSKÓW

DEKLARACJA

Przedstawiciele zorganizowanych środowisk polonijnych z 20 krajów Wolnego Świata, zgromadzeni na Konferencji „POLONIA 78 — POLONIA JUTRA” w TORONTO w dniach 25-28 maja 1978, potwierdzają deklarację ideową Konferencji Polonii Wolnego Świata z listopada 1975.

W minionych trzech latach zarówno Naród Polski w kraju w warunkach sowieckiej dominacji i pomimo narzuconego mu siłą systemu komunistycznego, jak i rzesze polskiego pochodzenia w Wolnym Świecie brały udział w walce o podstawowe ideały chrześcijańskie zachodniej cywilizacji, oraz trwały w walce o odzyskanie wolności i niepodległości przez Naród Polski i w wysiłkach przeciwdziałania ideologii i imperializmowi sowieckiemu w jego dążeniach do opanowania całego świata.

Konferencja „Polonia 1978” z radością wita przemiany wewnątrz społeczeństw zachodnich szczególnie w Kanadzie, Stanach Zjednoczonych i Australii zmierzające do oparcia życia tych społeczeństw na wielokulturowości zapewniającej wszystkim grupom etnicznym swobodny i możliwie pełny rozwój ich kultur i ich ideałów.

Konferencja „Polonia 1978” stała się kolejnym krokiem w kierunku pogłębienia spójności i znaczenia Polonii w krajach osiedlenia, ich roli w życiu organizmów państwowych i społecznych. Wzmacnianie Polonii krajowych będzie wspierać w coraz większym stopniu nowy czynnik współpracy Polonii we wszystkich krajach wolnego świata i pogłębiające się związki Polonii z własnym narodem.

Konferencja „Polonia 78 — Polonia Jutra” za swe czołowe zadanie uważa powołanie organów współdziałania Polonii całego wolnego świata, którego organa będą wspólnym narzędziem walki o wolność i niepodległość Narodu Polskiego oraz narzędziem współpracy rzesz polskiego pochodzenia w wolnym świecie. W tym celu Konferencja powzięła szczegółowe tezy i uchwały ustanawiające:

- regularne zjazdy Polonii Wolnego Świata,
- Radę Polonii Wolnego Świata i jej Prezydium,
- Biuro Rady,
- Komisję Robocze Konferencji.

Konferencja przyjęła zarys programu współpracy i zarys podstaw finansowych i zaleca Radzie i jej Prezydium czuwanie między zjazdami nad całością prac polonijnych i opracowywanie ich szczegółowych programów.

Konferencja „POLONIA 1978 — POLONIA JUTRA” apeluje do rzesz polskiego pochodzenia poza granicami Polski o skupienie i poparcie zjednoczonych wysiłków polonijnych w wolnym świecie w szczególności poprzez zaangażowanie się wszystkich jednostek i organizacji w wolnym świecie w fundacjach Światowej Wspólnoty Polonijnej, które będą powołane przez Radę Polonii Wolnego Świata i naczelną krajową reprezentację społeczne. Wsparzymy wszyscy w miarę naszych sił nasze wspólne cele:

1. walkę Narodu Polskiego o wolność, niepodległość i całość terytorialną Polski oraz obronę praw ludzkich i obywatelskich;
2. pracę na rzecz znaczenia Polonii w krajach osiedlenia, pogłębienia poczucia wspólnoty i świadomości rodowodu, oraz pełnego jej rozwoju w ramach wielokulturowych społeczeństw krajów zachodniego świata;
3. walkę z niebezpieczeństwem komunistycznym;
4. walkę o prawa Polaków w ZSSR;
5. utrzymanie polskich ideałów religijnych i narodowych w życiu naszym i w życiu przyszłych pokoleń polskiego pochodzenia we wszystkich krajach osiedlenia.

REZOLUCJA I UCHWAŁY KOMISJI IV i V

REZOLUCJA. Konferencja Polonia 78 stwierdza, że zadaniami Polonii w Wolnym Świecie są:

1) kontynuacja bezkompromisowej walki o niepodległość Polski przy jednoczesnym podkreśleniu podstawowej różnicy pomiędzy ujarzmionym narodem a narzuconym mu przez Sowiety reżymem i agenturą partią. Jednocześnie uznajemy potrzebę czujności wobec objawów rewizjonizmu niemieckiego i odradzającego się ruchu neo-hitlerowskiego.

2) Wspieranie w każdym możliwym rozmiarze dążeń Kościoła Katolickiego w jego ofiarnej działalności na rzecz praw ludzkich, kultury narodowej, chrześcijańskiego wychowania i godności człowieka.

Wyrażamy hołd najwyższy heroizmowi, wielkiej mądrości i opatrności ewangelicznej roli Kardynała Stefana Wyszyńskiego i Episkopatu Polski.

3) Skuteczne poparcie powstających zgodnie z tradycją wolnościową demokratycznych ruchów obrony praw człowieka i obywatela w Polsce. Widzimy w nich wyraz niezniszczalnej żywotności narodu polskiego.

W uznaniu wspólnej nam troski o wychowanie młodzieży w duchu prawdy historycznej, która przyswieca działalności towarzysząc kursów naukowych, dołożymy starań o zapewnienie słuchaczom i wykładowcom możliwości kontynuacji ich pracy.

Dążyć będziemy także do stworzenia warunków umożliwiających młodzieży, która przebywa czasowo na Zachodzie, dokształcanie się w duchu prawdy historycznej.

4) Wzmoczenie wywołanej deklaracją w Helsinkach akcji obrony praw człowieka poprzez inicjowanie w krajach Zachodu instytutów Praw Ludzkich i Wolności, dla systematycznej obserwacji wszelkich pogwałceń tych podstawowych praw w totalitarnych systemach, ze szczególnym celem lepszego z polskiego punktu widzenia, niż to miało miejsce w wypadku Belgradu, przygotowania następnej Konferencji w Madrycie skrót N.P. przez publiczne rejestrowanie i napiętnowanie wydatków reżymowych na policję i polityczne

więziennictwo, aparat podsłuchowy, kontrolę korespondencji, cenzurę, zagłuszanie RFE, itp.

Dalszym elementem tej działalności winno być nawiązywanie współpracy z międzynarodowymi organizacjami działającymi w obronie praw człowieka.

Witamy z uznaniem inicjatywę Prezydenta Cartera wysunięcia praw ludzkich jako jednego z czołowych elementów polityki zagranicznej, zgodnie z tradycją amerykańskich ideałów wolnościowych.

Wyrażamy gorące podziękowanie Ministrowi Cafikowi za jego dzielną i skutzną obronę praw ludzkich na Konferencji w Belgradzie.

Wyrażamy uznanie rządowi kanadyjskiemu za propagowanie programu obrony praw człowieka na terenie międzynarodowym.

Jednocześnie apelujemy do rządów i innych państw Wolnego Świata o solidarne i skuteczne poparcie tych akcji.

5) Oceniamy z uznaniem przeszło ćwierćwiekową działalność dla Kraju Rozgłośni Polskiej Radia Wolna Europa. Stwierdzamy, że ważne zadania Rozgłośni Polskiej wobec Kraju nie uległy zmianie i powinny być wykonywane nie tylko przez przekazywanie informacji, ale i przez — nieskrępowane żadnymi ograniczeniami — komentowanie wydarzeń w Polsce i na świecie z polskiego punktu widzenia — w myśl zasady wolności słowa, o którą walczą miliony Polaków w Kraju.

6) Współdziałanie Polonii z reprezentacjami emigracji innych narodów ujarzmionych w ramach bezspornej wspólnoty interesów.

7) Wzmoczenie wymiany kulturalnej przy przestrzeganiu zasad *fair-play* w stosunku do niepartyjnych uczonych, pisarzy i artystów, oraz wzajemności akceptowania zachodniej kultury i jej niezależnych twórców, a zwłaszcza Polaków żyjących na Zachodzie, ich książek i czasopism.

Wymiana kulturalna z Polską powinna być prowadzona tak:

- aby pogłębiała ona łączność Polski ze światem zachodniej cywilizacji;
- aby dziejowe wartości polskiej cywilizacji chrześcijańskiej mogły się ożywiać źródłami myśli świata zachodniego;
- aby służyła ona wzmacnianiu dążeń całego narodu do wolności, demokracji, sprawiedliwości i poszanowania praw człowieka;
- aby polska kultura mogła swobodnie wzbogacać kulturę innych narodów.

8) Popieranie instytucji naukowych i kulturalnych Polonii.

Zalecamy przy tym podjęcie inicjatywy koordynacji ich poczynań, oraz współpracy aktywnej przez przygotowanie i wydanie katalogów zbiorów polonijnych, co przyczyniłoby się do szerszego wykorzystania sił i środków w akcji krzewienia kultury polskiej.

9) Dążenie do utworzenia przynajmniej jednej katedry kultury polskiej na czołowej uczelni Wolnego Świata;

popieranie studiów dotyczących Polski; oraz domaganie się należytego traktowania zagadnień polskich i polonijnych w podręcznikach szkolnych w krajach osiedlenia Polonii.

10) Zwiększenie planowej akcji wydawniczej książek autorów krajowych i emigracyjnych oraz periodyków naukowych, nie tylko w języku polskim, lecz także w językach krajów osiedlenia.

Niezbędnym wydaje się w szczególności opracowanie i wydanie podręcznika najnowszej historii polskiej, zwłaszcza, że wydanie takiego rodzaju dzieła jest w dzisiejszych warunkach w Polsce, bez fałszowania prawdy historycznej, niemożliwe.

11) Popieranie rozwoju związków gospodarczych Polski z krajami Zachodu, oraz współpracy technologicznej i przemysłowej.

Mając na uwadze przede wszystkim poprawę warunków bytu społeczeństwa polskiego uważamy, że szczególną pomoc należy okazać polskim rolnikom przez odpowiednie kredyty na maszyny rolnicze, zwłaszcza dostosowane do gospodarstw indywidualnych i innych potrzeb gospodarczych.

12) Ogłoszenie Roku Katyńskiego w 1980 roku jako w 40-tą rocznicę mordu dokonanego przez Sowietów i w jego ramach powołanie międzynarodowego trybunału dla zidentyfikowania i skazania winnych tej zbrodni ludobójstwa.

13) Ostrzeżenie przed przyjmowaniem paszportów PRL. Jest to niezgodne z postawą Polaków i osób polskiego pochodzenia, niegodzących się z narzuconym przez Związek Sowiecki Polsce komunistycznym rządem. Nie da się to również pogodzić z obowiązkiem lojalności wobec kraju osiedlenia przez tych, którzy przyjęli jego obywatelstwo, albowiem stanowi uznanie nad sobą zwierzchności obcego, komunistycznego państwa.

14) Pomoc uchodźcom spod dyktatury komunistycznej przez współdziałanie z Polskim Komitetem Imigracyjnym, a w szczególności przez opracowanie zasad trwałej i systematycznej pomocy w osiedlaniu uchodźców, oraz możliwości rozbudowy aparatu pomocy w tych krajach, w których opieka nad uchodźcami nie jest jeszcze zapewniona.

Delegaci wzywają wszystkie organizacje krajowe do najdalej idącej pomocy moralnej i materialnej, oraz ścisłego, bezpośredniego współdziałania z Polskim Komitetem Imigracyjnym.

15) Dla realizacji tych ambitnych zadań, członkowie władz naczelnych organizacji polonijnych, stojących na niepodległościowym stanowisku, a także funkcjonariusze biur tychże organizacji, winni zachować najwyższy etyczny poziom życia publicznego i głęboką lojalność dla wspólnej postawy niepodległościowej.

WNIOSEK W SPRAWIE POLAKÓW W ZSSR

Konferencja Polonia 78 powołuje Komisję Roboczą do spraw Polaków w ZSSR do której należałoby:

- zbieranie i opracowywanie danych odnośnie Polaków w ZSSR,
- przygotowanie odpowiednich petycji i memoriałów i akcja w kierunku zapewnienia im należytego poparcia,
- organizowanie masowych wystąpień Polonii Wolnego Świata na rzecz wysuwanych postulatów,
- zjednywanie poparcia rządów krajów zamieszkania oraz wybitnych osobistości o znaczeniu międzynarodowym,
- odpowiedniej akcji prasowej,
- współpraca z organizacjami reprezentującymi inne mniejszości w ZSSR o zbliżonych z naszymi interesach,
- zapewnienie środków finansowych na realizację powyższych zadań,
- inne działania zaprojektowane w referacie p. Kazimierza Plater-Zyberk, przedstawionym na konferencji.

Wyrażamy podziękowanie Kongresowi Polonii Kanadyjskiej i SPK — Federacji Światowej za podjęcie się zorganizowania Komisji dla Spraw Polaków w Rosji.

REZOLUCJA W SPRAWIE REPRESJI W POLSCE

Uczestnicy Konferencji Polonia 78 — Polonia Jutra, w zaniepokojeniu rozwojem sytuacji politycznej w Polsce, zaostrej ostatnio przez represje i szykany ze strony władz PRL wobec studentów i naukowców, zaniepokojeni w związku z tym o przyszłość nauki i kultury polskiej:

domagają się natychmiastowego zaprzestania tych praktyk, które określają jako niedemokratyczne i stojące w jaskrawej sprzeczności z podpisanymi przez rząd PRL Międzynarodowymi Paktami Praw Człowieka i Obywatela.

WNIOSEK W SPRAWIE EKSTREMIZMU POLITYCZNEGO

Konferencja potępia wszelkie przejawy ekstremizmu politycznego, w szczególności zbrodniczego terroru szerzonego w wolnym świecie przez bojówki komunistyczne w rodzaju Czerwonych Brygad we Włoszech lub Frakcję Armii Czerwonej w Niemczech. Nasilająca się aktywność tych organizacji, zagraża istnieniu demokracji zachodnioeuropejskich i tym samym podcina szansę narodu polskiego na odzyskanie niepodległości.

WNIOSEK W SPRAWIE POMOCY FINANSOWEJ DLA OPOZYCJI W KRAJU

Konferencja Polonia 78 apeluje do społeczeństw polonijnych w wolnym świecie o podjęcie długofalowej akcji pomocy finansowej dla środowisk opozycji demokratycznej w Polsce.

WNIOSEK W SPRAWIE ANTYSEMICKIEJ POLITYKI PRL

Konferencja Polonia 78 potępia wszelkie przejawy antysemickiej polityki rządu Polskiej Republiki Ludowej.

Współprzewodniczący Komisji IV i V

Profesor Andrzej EHRENKREUTZ

Kazimierz LUKOMSKI

Członkowie Komitetu Redakcyjnego:

Prof. Wacław SOROKA, Prof. Jerzy LERSKI, Prof. Jan GROSS,

Dr Adam OSTASZEWSKI, Marek TROKENHEIM,

Stanisław MOSTWIN, Kazimierz PLATER-ZYBERK.

LISTA DELEGATÓW NA KONFERENCJĘ „POLONIA 78 — POLONIA JUTRA”

AFRYKA POŁUDNIOWA	1
AUSTRIA	3
AUSTRALIA	7 + 3 prasa
ARGENTYNA	4 + 1
USA	48 + 21
KANADA	25 + prasa 11 + 6 ang., 7 TV
NOWA ZELANDIA	2
SZWECJA	4
ANGLIA	33 + 5
DANIA	2
NIEMCY ZACHODNIE	17
SZWAJCARIA	4
BRAZYLIA	1 (p. Jerzy Gonerko wpłynęło upoważnienie do sekretariatu)
WŁOCHY	8 + 1
HOLANDIA	1
BELGIA	3
URUGWAJ	1
ŚWIATOWY ZJAZD POLEK	6
FRANCJA	15
RZECZOZNAWCY	6
PRASA	42
TV	7
RADIO	10
MASS MEDIA	65

Warszawa, 8 czerwca 1978.

Do

Amnesty International

Londyn

Konfederacja Wolnych Związków Zawodowych

Genewa

Od 11-tu dni w więzieniu w Gdańsku trwa głódówka protestacyjna Błażeja Wyszowskiego, współpracownika Komitetu Założycielskiego Wolnych Związków Zawodowych. Został on aresztowany po wtargnięciu policji na spotkanie zespołu redakcyjnego niezależnego pisma *Robotnik* z działaczami Komitetu Założycielskiego Wolnych Związków Zawodowych a następnie skazany w trybie administracyjnym na dwa miesiące pozbawienia wolności.

Jednocześnie od 11 dni trwa w Gdańsku i Łodzi głódówka solidarnościowa, w której uczestniczą kolejno: Józef Śreniowski — 9 dni, Krzysztof Wyszowski — 8 dni, Bogdan Borusewicz — 9 dni, Piotr Dyk — 3 dni. Głódówka ta stanowi pokojową formę walki z represjami, jakie spadają nieustannie na działaczy niezależnych ruchów społecznych w Polsce, szczególnie na robotników i ludzi występujących w obronie robotniczych interesów.

Błażej Wyszowski oświadczył, że będzie głodował dopóki starczy mu sił. Z każdym dniem rośnie niebezpieczeństwo grożące jego zdrowiu a być może i życiu. Dlatego jeszcze raz prosimy o natychmiastową interwencję.

KOMITET SAMOOBRONY SPOŁECZNEJ „KOR”

Błażej Wyszowski zdobył w 1966 roku mistrzostwa świata w żeglarskim klasie „Kadet” i reprezentował Polskę na Olimpiadzie w Monachium. Dlatego przesyłamy odpis niniejszego komitetem Olimpijskim: polskiemu i międzynarodowemu.

SPRAWA ANTONIEGO SOKOŁOWSKIEGO

5 czerwca wysłał on list do *Życia Warszawy*. 6-go przybyła do niego policja, postraszyli go, zawieźli do p. GROMADZKIEGO, który obiecał Sokołowskiemu 106 tys. zł., zaspokojenie wszelkich roszczeń pod warunkiem podpisania oświadczenia, że ten list do *Życia Warszawy* jest nieprawdziwy. Sokołowski odmówił.

7 czerwca sytuacja się powtórzyła. Tym razem p. GROMADZKI obiecywał 150 tys. zł. i Sokołowski się załamał. Podpisał i poprzednio wymagane przez Gromadzkiego oświadczenie i inne jeszcze, których nie był w stanie sobie przypomnieć po wyjściu od Gromadzkiego.

Dotyczy: pisma wysłanego 27. 5. 1978 przez grupę mieszkańców Grudziądza w sprawie represji przeciwko robotnikom zatrudnionym w Pomorskiej Odlewni i Emaliarni za udział w strajku 25 czerwca 1976.

Ilość podpisów pod listem do Rady Państwa żądającym przywrócenia wszelkich utraconych praw represjonowanym robotnikom przekroczyła 200.

Przypominamy: pierwotna wersja listu, podpisana przez 148 mieszkańców Grudziądza została skonfiskowana u jednego z sygnatariuszy listu: Zdzisława WOJANOWSKIEGO.

Został on zatrzymany 19 maja. 23 maja został on ponownie zatrzymany, w czasie podróży, w Bydgoszczy. Był on zatrzymany przez 48 godzin. Przesłuchiwali go funkcjonariusze SB w ten sposób, że przykuto mu kajdankami ręce do krzesła. Następnie przykuto go do szafy, bito go, kopano.

Oto fragment jego skargi do prokuratury:

„... Tamże w tej komendzie byłem traktowany w nieludzki sposób. Zało-

zono mi kajdanki, przykuto mnie do krzesła i wymuszono mi różne pytania o których nie byłem zorientowany. Gdy rozkuto mnie od przykutego krzesła to następnie byłem przykuty do kaleryferu i szafy żelaznej. W dodatku podczas przesłuchania znęcali się nade mną bijąc i kopiąc mnie przez uderzenie mnie po twarzy i innych częściach ciała przecięto mi wargi w górnej i dolnej części. Poza tym kopnięto mnie w bok żebra, co do obecnego czasu odczuwam ból i nie mogę się wyprostować”.

WOJANOWSKI był przesłuchiwany na okoliczność kontaktów jego z Edmundem ZADROŻYŃSKIM, również mieszkańcem Grudziądza, jednym ze współredaktorów *Robotnika*.

Kominet Samoobrony Społeczne KOR

w Polsce

Warszawa, 7 czerwca 1978.

Do Amnesty International

Londyn

Utrwalił się w Polsce proceder policyjny zatrzymywania ludzi źle widzianych i zamykania ich w Komendach lub Komisariatach MO. Po upływie 48 godzin a czasem wcześniej zwalnia się ich bez żadnych wyjaśnień. Zatrzymani w ten sposób zostali*: w kwietniu 1977 — Wojciech Arkuszewski, Bogusława Blajfer, Mirosław Chojecki, Marcin Gogulski, Jakub Karpiński, Sergiusz Kowalski, Jacek Kuroń (dwukrotnie), Jan Józef Lipski, Antoni Macierewicz (dwukrotnie), Piotr Naimski, Wojciech Onyszkiewicz, Wojciech Ostrowski; w maju 1977 — Piotr Amsterdamski (na 52 godziny), Stefan Kawalec (dwukrotnie), Eugeniusz Kloc, Sergiusz Kowalski (dwukrotnie), Elżbieta Lewińska (na 50 godzin), Henryk Wujec, Andrzej Zdziarski; w czerwcu 1977 — Wiesław Parchimowicz; w lutym 1978 — Marek Adamkiewicz, Bogdan Borusewicz, Jolanta Bujwid, Leopold Gierek, Jarosław Klimek, Janusz Krupski, Jacek Kuroń, Jan Lityński, Adam Michnik, Marek Rospond, Janina Stasiaczyk, Janusz Szpotański, Andrzej Stefaniak, Stanisław Śmigiel; w marcu 78 — Jan Kelus, Adam Michnik, Jan Walc, w kwietniu 1978 — Bogdan Borusewicz, Adam Michnik, Kazimierz Świton (dwukrotnie), Krzysztof Wyszowski; w maju 1978 — Jerzy Geresz (dwukrotnie), Wojciech Jeśman, Roma Kściuczek, Elżbieta Lewińska, Grzegorz Liże, Jan Lityński, Adam Michnik, Józef Śreniowski, Kazimierz Świton, Jan Walc, Błażej Wyszowski, Krzysztof Wyszowski. Rekord osiągnął Adam Michnik, który zatrzymany był 9 razy (4 razy na 48 godzin), kilka razy na trzydzieści — czy dwadzieścia parę, dwukrotnie porwany siłą z ulicy do samochodu, raz przy zatrzymaniu pobity, raz pobity w Komendzie MO). Wszystkie wyżej wymienione osoby są uczestnikami jawnej opozycji bądź należą do niezależnych organizacji studenckich lub robotniczych, prowadząc zarazem działalność samokształceniową lub oświatową. Organy ścigania stoją na stanowisku, że uprawnione są do takiego postępowania i że każdego można zatrzymać na 48 godzin nie naruszając przez to przepisów prawnych. Stanowisko to jest z gruntu fałszywe. Wykrętny złośliwy proceder jest pogwałceniem przede wszystkim zasady konstytucyjnej gwarantującej obywatelom nietykalność osobistą. Według artykułu 84 Konstytucji PRL pozbawienie wolności może nastąpić tylko w przypadkach określonych ustawą. Zatrzymany powinien być zwolniony w ciągu 48 godzin od chwili zatrzymania jeśli nie doręczy mu się postanowienia sądu lub prokuratora o aresztowaniu. Norma ta stanowi ograniczenie uprawnień organów ścigania a nie przyznanie im prawa do samowoli — zatrzymanie bowiem nastąpić może

* Lista nazwisk nie jest kompletna (przypis KSS KOR).

tylko w przypadkach określonych w ustawie. Jest to konstytucyjne potwierdzenie zasady *neminem captivabimus nisi jure victum*. Aby wolno było przystąpić do zatrzymania spełnione muszą być warunki, które wymienia artykuł 206 Kodeksu Postępowania Karnego: „Milicja Obywatelska ma prawo zatrzymać osobę podejrzaną 1) jeżeli istnieje uzasadnione podejrzenie, że popełniła ona przestępstwo i 2) zachodzi obawa ukrycia się tej osoby lub zatarcia śladów przestępstwa”. Żadna z wyżej wymienionych osób, które zostały zatrzymane nie była podejrzana o popełnienie przestępstwa i nie było śladu obawy, że zamierza się ukrywać. Wszystkie prowadzą jawną działalność. O tym, że nie chodziło tu bynajmniej o wykrycie przestępstwa świadczy najlepiej fakt, że Milicja Obywatelska wbrew przepisowi paragraf 3, art. 206 KPK nie przystępuje niezwłocznie do zbierania dowodów a nawet z reguły nie usiłuje przesłuchiwać zatrzymanego. Według artykułu 9, ustęp 1 Międzynarodowego Paktu Praw Obywatelskich i Politycznych, będącego integralną częścią ustawodawstwa polskiego „każdy ma prawo do wolności i bezpieczeństwa osobistego, nikt nie może być pozbawiony wolności. Pozbawienie wolności może nastąpić jedynie z przyczyn ustalonych przez prawo i zgodnie z ustaloną przez prawo procedurą”. Praktyka zatrzymywania jest zatem bezprawną szykaną, przy pomocy której nęka się obywateli, głównie młodzież. Metoda szykanowania prowadzi do nikąd. Jej jedynym rezultatem jest pogłębianie wrogości społeczeństwa wobec policji i utrwalanie przekonania, że obowiązywanie prawa w Polsce to jeszcze jedno kłamstwo.

Za Komitet Samoobrony Społecznej KOR
Aniela STEINSBERGOWA

BIBLIOTEKA « KULTURY »

TOM 289 — MARIA DANILEWICZ ZIELIŃSKA

SZKICE O LITERATURZE EMIGRACYJNEJ

Wczesny okres wojenny. — Literatura Polski Walczącej. — Londyn 1942. — Polacy w Rosji: Literatura zsyłkowa. — Od Teheranu do Jerozolimy. — Rozdział włoski. — Londyn u kresu wojny i w latach powojennego chaosu. — Czasopisma literackie.
Książka zaopatrzona jest w Indeks Nazwisk.

Str. 416.

Cena F. 85.

TOM 290 — MARIA CZAPSKA

CZAS ODMIENIONY

to dalszy ciąg wspomnień Autorki („Europa w rodzinie”), to jej losy w czasie pierwszej wojny światowej kiedy z Mińska przez Petersburg i Warszawę — rewolucja rosyjska i wyzwolenie Polski — dociera do uniwersytetu Jagiellońskiego w Krakowie.

Str. 160.

Cena F. 35.

TOM 291 — WŁADYSŁAW BIENKOWSKI
Seria „Bez Cenzury”

SOCJALIZM PO 60 LATACH

Str. 64.

Cena F. 18.

TOM 292 — ZESZYTY HISTORYCZNE

ZESZYT CZTERDZIEŚTY CZWARTY

Zawiera m.in. prace: W. Drzewieckiego — *Wywiad z St. Mikołajczykiem z 17. XI. 1947*; M. Chęcińskiego: „*Ludowe Wojsko Polskie*”; A. Cienciąły: *Anglia była gotowa bić się o Gdańsk*; J. Nowak: *Rozmowy z gen. Sosnkowskim*; Z. S. Siemaszko: *17 września i jego konsekwencje*; T. Katelbach: *Bezdroża* (dok.); W. Krzyżanowski: *Lata bukareszteńskie* (dok.). RECENZJE.

Str. 240.

Cena F. 35.

PRZEMIANY

PISMO POLSKIEJ PARTII SOCJALISTYCZNEJ

Wydaje Komitet Główny PPS w Niemczech.

ARTYKUŁY, OPINIE, WIADOMOŚCI I OCENY Z KRAJU.

Ukazuje się od roku 1974 raz na dwa miesiące.

Prenumerata roczna razem z przesyłką DM 15,00 lub równowartość.

Przesyłka lotnicza do USA i Kanady — dopłata DM 10,00

Do Australii — dopłata DM 15,00.

Cena numeru pojedynczego (16 str.): DM 1,00, podwójnego: DM 2,00

Zamówienia prosimy kierować:

T. PODGÓRSKI — 8 MÜNCHEN 40, UNGERERSTR. 47.
W. GERMANY

CZESŁAW MIŁOŚZ

UTWORY POETYCKIE-POEMS

stron 400

Wyd. Michigan Slavic Publications, Ann Arbor.

Cena dol. 9,50.

Wiersze zebrane z przedmową w języku angielskim
prof. A. Schenkera.

Zamówienia kierować do:

Department of Slavic Languages and Literatures,
University of Michigan, Ann Arbor, Michigan. USA.

Włoski korespondent „Kultury”: Gustaw HERLING-GRUDZIŃSKI,
Napoli, via Crispi 69. — Telefon: 66 57 28.

Wydawca: INSTITUT LITTERAIRE

91, avenue de Poissy, Mesnil-le-Roi, 78600 Maisons-Laffitte.

Le directeur de la publication: Jerzy Giedroyc.

Commission Paritaire N° 21 267.

Dépôt Légal : 3^e Trimestre 1978.

KULTURA

REDAKTOR : JERZY GIEDROYC
Adres Redakcji : 91, avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi
par 78600 Maisons-Laffitte - Telefon : 962-19-04

PRZEDSTAWICIELSTWA	Egz. poj.	Prenumerata	
		1/2-roczna	roczna
AFRYKA POLUDNIOWA : Dr F. Kaluza, 214 Giovanetti Str., New Muckleneuk, Pretoria, 0002		R. 15,00	R. 29,00
ARGENTYNA : Natalia Dabrowska, « Libreria Polaca », Serrano 2076, Buenos Aires, Suc 25	F. 15,00	F. 85,00	F. 160,00
AUSTRALIA : Polish Book Depot VISTULA, Daking House, Rawson Place, Sydney NSW, 2000, tel. 212-2013	\$ A 3,75	\$ A 18,00	\$ A 35,00
AUSTRIA : Henryk Odlanicki-Poczobut, Wien I, Schönla- terngasse Nr 5/2, Stiege/Türe 14, Tel. 52-40-762	F. 15,00	F. 85,00	F. 160,00
BELGIA : Janina Korab Brzozowska-Csaky, 19, Amédée Lynen, app 57, 1030 Bruxelles, Nr konta pocztow. 7315-20. Tel. 218-69-23	F.B. 150,00	F.B. 850,00	F.B. 1 600,00
BRAZYLIA : prosimy o przesyłanie czekow do adm. „Kultury”	\$ US 3,75	\$ US 18,00	\$ 35,00
DANIA : O.T. ZALEWSKI, Postboks 41, 2880 Bagsvaerd ..	F. 15,00	F. 85,00	F. 160,00
FRANCJA : do nabycia w redakcji « KULTURY » i w kles- garniach polskich w Paryżu	F. 15,00	F. 80,00	F. 150,00
HOLANDIA : Mrs J. Minkiewicz, Wielingenlaan 6, Vlissing- gen. Tel. (01184) 14073, Postgiro 1379176	Fl. h. 8,50	Fl. h. 50,00	Fl. h. 90,00
KANADA : Krystyna Krakowska, 770 Cr. Picard, Ville Brossard, P.O. J4W 1S5. Tél. (514) 465-2362 ; B. Kra- sueki, 8 High Park Blvd., Toronto, Ont. M6R 1M4 ; Very rev. Donald Malinowski, 23 Coralberry Ave., Winnipeg, Man. R2V 2P2 ; Tel. 339-5577 ; Z. Micherdzinski, 285-287 Ottawa St.N., Hamilton, Ont. L8H 3Z8. Tel. 545-2115 ; J. Korwin- Lopuszanski, 90 Hilliard Avenue Ottawa K2E 6C2 ; « Polish Voice Publishing » Co., 1089 Queen str. W. Toronto 145 Ont., Polish Alliance Presse, Ltd. (« Zwiakowiec »), 1636 Bloor St. W., Toronto, Ont., M6P 1A7	\$ Can. 4,00 DM 8,00 F. 15,00	\$ Can. 21,00 D.M. 50,00 F. 85,00	\$ Can. 40,00 D.M. 85,00 F. 160,00
NIEMCY : St Mikiciuk, 8 München 45, Gablonzerstr 7/1, NORWEGIA : Br Lubinski, Klommenstengt 8, Moss	F. 15,00	F. 85,00	F. 160,00
SZWAJCARIA : Maria Wasung, 6, rue des Lilas, C.P. 74, 1211 Genève 7. Tel. 44-32-51, Nr konta pocztow. 12.14431 ..	F.S. 8,50	F.S. 50,00	F.S. 90,00
SZWECJA : Norbert Zaba, Kallskärgatan 3/IV, 115 33 Stockholm, Tel. (08) 60-15-70, Postgirokonto Nr 48 82 34-6.	K.S. 15,00	K.S. 85,00	K.S. 160,00
U.S.A. : S. Dohczynski, Alma Shipping Co, 121 St. Marks Pl., New York N.Y. 10009, Tel. 475-8886. L. Dudarew-Osse- tynski, 1603 No Fuller Ave., Hollywood, Cal. 90046, tel. 876-8868 ; Ada Dziewanowska, 41, Katherine Road, Water- town, Mass. 02172 ; J. Konopacki, 27437 Detroit Rd, Cleve- land, Ohio, 44145. Tél. 871-48-47 ; Irena Kretowicz, 4254- 34th St., San Diego, Cal. 92104, Tel. 284-6271 ; V.B. Kwast, 9055 East Lee St., Tucson, AZ 85715, Tel. 886-2128 ; M. Kosciuch, 12331 French Rd., Detroit Mich 48234 ; F. Orze- chowski. Book, 2036 Chestnut str., Philadelphia, Pa 19103. POLONIA, Bookstore, 2886 Milwaukee Ave., Chicago, Il. 60618, tel. (312) 469-2554 ; R.J. Sas-Babczynski, 776 N. Van Ness Av. apt. 1, Los Angeles, Cal. 90038, tel. (213) 463-1817 ; Jan Wojcik, 674 Farmington Ave., New Britain, Conn. 06053 ; Księgarnia Ludowa, Peoples Book Store, 5347 Chene Str., Detroit, Mich, 48211	\$ US 3,75 \$stg. 1,85 F. 15,00	\$ US 18,00 \$stg. 10,00 F. 85,00	\$ US 35,00 \$stg. 19,00 F. 160,00
W. BRYTANIA : Orbis Books (London) Ltd., 66 Kenway Rd., London, S.W. 5. ORD. Tel. (01) 370 2210	\$stg. 1,85	\$stg. 10,00	\$stg. 19,00
WŁOCHY : Witold Zahorski, Roma, via Gallia 60 Int. 27., Tel. 75-67-241	F. 15,00	F. 85,00	F. 160,00

W krajach niewymienionych prenumerata roczna — F.160; półroczna — F.85.
Przesyłka pojedynczego numeru — F.2,00.

Należności wysyłane pocztą prosimy przekazywać na nasze konto pocztowe:
INSTYTUT LITTERAIRE, 91 avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi,
par 78600 MAISONS-LAFFITTE — C.C.P. PARIS 18-228-56 (z Francji)
lub C.C.P. PARIS 18-228-38 (z zagranicy).

Nowości wydawnicze

BIBLIOTEKI « KULTURY »

TOM 293 — SERIA „BEZ CENZURY”
RYSZARD KRYNICKI

NASZE ŻYCIE ROŚNIE

Wiersze

Wybór poezji młodego wybitnego poety krajowego.

Str. 104.

Cena F. 25,00.



TOM 294 — SERIA „BEZ CENZURY”

PPN

Wybór artykułów Polskiego Porozumienia Niepodległościowego zawiera:

- *Program i oświadczenia Polskiego Porozumienia Niepodległościowego w Kraju.*
- *Teksty problemowe:* Tradycja niepodległościowa i jej wrogowie; Kościół i katolicy w Polsce Ludowej; Myśli o dzisiejszej ojczyźnie; Czy dialog z władzą jest możliwy?; Przeciwnicy systemu; Rachunek naszych słabości; Stan moralny społeczeństwa; Program dla polskich rodzin; Pijaństwo w Polsce.
- *Poradnik społeczny:* Obywatel a Służba Bezpieczeństwa; O zdobywaniu wiadomości.
- *Prace indywidualne:* Prognozy Chochoła.

Str. 160.

Cena F. 35,00.

Cena 25 F